

Zoom najbliższego świata

ANTOLOGIA DZIENNIKARSKICH TEKSTÓW
KALISKIEGO „KONTRASTU” (2003–2019)

PROJEKT OKŁADKI

Sebastian Krok

Na okładce wykorzystano pracę *Orlean* z wystawy Sebastiana Kroka *Mentalne Pearl Harbour* (2019).

REDAKTOR INICJUJĄCY

Eryk Krasucki

KOREKTA

Aleksandra Radecka

Grażyna Kowalska

ŁAMANIE

Przemysław Gamdzyk

Książka została sfinansowana ze środków z „Programu Społecznik na lata 2019–2021”, realizowanego przez Zachodniopomorski Urząd Marszałkowski, oraz z dotacji Starostwa Powiatowego w Drawsku Pomorskim.

WYDAWCA

Stowarzyszenie Przyjaciół Drawska „Meander”, meander.drawsko@gmail.com

Copyright©by Stowarzyszenie Przyjaciół Drawska „Meander”

Copyright©by Aleksandra Radecka and individual chapters to thiers authors

Wydanie I

ISBN 978-83-939367-6-2

DRUK

KAdruk, www.kadruk.eu

 **creative commons**



Użycie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 3.0 Polska – Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w relacji niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych). Jest to najbardziej restrykcyjna z licencji.
<http://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/3.0/pl/>

Zoom najbliższego świata

ANTOLOGIA DZIENNIKARSKICH TEKSTÓW
KALISKIEGO „KONTRASTU” (2003–2019)

Pod redakcją Aleksandry Radeckiej

Spis treści

Aleksandra Radecka, <i>Kilka słów o książce</i>	9
---	---

REPORTAŻ

Aleksandra Bieńkowska, Daria Różańska, Paula Jaworska, Aleksandra Rzeszuto, Natalia Kędzierska, Paulina Szczęsna, Maciej Domański, <i>Opętana przez mit</i>	15
Daria Różańska, <i>Niepokonany świadek czasu</i>	19
Daria Różańska, <i>Bóg dał mi siłę</i>	23
Dobrogniewa Stachowiak, <i>Stracone życie</i>	27
Nina Tuziak, <i>Wujek</i>	31
Dobrogniewa Stachowiak, <i>Dopalacze? Bez problemu</i>	34
Lena Kaczmarek, <i>Zbudować dom</i>	36
Marta Stympin, Klaudia Andryka, <i>Spowiedź narkomana</i>	41
Marta Stympin, Mateusz Wiśniewski, Marcin Ratajczak, <i>Ulica ojczysta</i>	44
Maria Kurylczyk, Klaudia Andryka, Bartosz Próchnicki, <i>U siebie nie byłam nigdy</i>	49
Maria Kurylczyk, <i>Interwencja o interwencję</i>	53
Maja Banaszak, <i>Kochać za wszelką cenę</i>	57
Marta Stympin, Maria Kurylczyk, Natalia Tymczyszyn, Jakub Biegniewski, Maciej Radzimski, Szczepan Domagała, <i>Dawno, dawno temu na Dzikim Zachodzie</i>	61
Marta Stympin, <i>Z literką „P” na piersi</i>	68
Jakub Biegniewski, Maciej Radzimski, <i>Obraz</i>	78
Maria Wiewiórkowska, <i>Znieczulenie</i>	85
Maria Wiewiórkowska, <i>Rozbrajanie wojny</i>	91
Adriana Cybulska, Amelia Ciosmak, <i>Blizna na wieki</i>	96

WYWIAD

<i>Z ulgą długo pływałam w jeziorze...</i> , z Joanną Kuleszą rozmawiała Magdalena Zajac.....	103
<i>Małym druczkiem</i> , z Pawłem Łuczka rozmawiały: Daria Różańska i Iwona Mazur	105
<i>Cała prawda o Kołczu, czyli wyznania Zibiego don Vito</i> , ze Zbigniewem Witkiem rozmawiała Monika Moń	107
<i>Koneserka gry w kości</i> , z Katarzyną Witek rozmawiała Klaudia Domańska	109

<i>Nauczyciel z wyboru</i> , z Mirosławą Kacperską rozmawiały: Paulina Emilianowicz i Nina Tuziak	112
<i>Zawsze warto rozmawiać z ludźmi</i> , z Kamilem Durczokiem rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Katarzyna Jarzyńska.....	114
<i>Ekonomia (niestosowana) w praktyce</i> , z Joanną Rutą rozmawiały: Paulina Emilianowicz i Anna Stemplewska	117
<i>Spełniam marzenia</i> , z Darią Różańską rozmawiały: Lena Kaczmarek i Klaudia Nadybał	119
<i>Zatrzymując wskazówki zegara na metafizyce</i> , z Szymonem Hołownią rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Aleksandra Makowska	121
<i>W życiu liczy się pasja</i> , z Adamem Małyszem rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Bartosz Próchnicki	124
<i>Jestem eteryczną blondynką</i> , z Moniką Olejnik rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Klaudia Nadybał	128
<i>Życie w internetowym Eldorado</i> , z Dawidem Serafinem rozmawiał Krzysztof Kot	132
<i>Nie muszą się podobać</i> , z Robertem Mazurkiem rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Mateusz Wiśniewski, Ina Leśniak i Kinga Bąk	135
<i>Artysta w każdym calu</i> , z Januszem Gajosem rozmawiali: Jagoda Gładysz i Krzysztof Kot	140
<i>Młodość musi się wyszumieć, a starość wypalić</i> , rozmowa „Kontrastu” z Marią Czubaszek w opracowaniu: Wiktorii Brzozowskiej, Klaudii Andryki, Bartosza Próchnickiego, Dominika Błądka i Dominika Majki	143
<i>Książka okiem historyka</i> , z Maciejem Rydzewskim rozmawiała Maria Kurylczyk	149
<i>Wciąż jestem ciekawy...</i> , z Przemysławem Kossakowskim rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie wywiadu: Agata Dobiesz, współpraca: Klaudia Andryka, Patrycja Figiel, Marta Przybylska, Paulina Staniecka, Marta Stympin	152
<i>Miałem czas się przyzwyczać...</i> , z Maciejem Orłosiem rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Jakub Biegniewski	157
<i>Ginęli na moich oczach</i> , z Władysławem Gleniem rozmawiali: Magda Wyrzykowska i Daniel Morcinek	162
<i>Przyrodnicze a, b, c</i> , z Emilią Grabowską-Grządziel rozmawiała Alicja Bulkiewicz	167
<i>Wiedza zamiast nienawiści</i> , z Anną Wilczyńską rozmawiali: Patrycja Sobczak, Wojciech Fedorowicz, Magdalena Wyrzykowska	170
<i>Niedoświadczone doświadczenia</i> , z Wiktorem Blichowskim rozmawiał Daniel Morcinek	174
<i>Order Orła Białego dla Roberta Górskiego</i> , z Robertem Górskim rozmawiała redakcja „Kontrastu”	178
<i>Golf nie tylko dla bogatych</i> , ze Stewartem Sneddenem rozmawiał Nikolas Richter	183
<i>Kabaret w RMF Classic</i> , z Arturem Andruszem rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Maria Wiewiórkowska	186
<i>Jeśli chcesz być malarzem...</i> , z Jarosławem Modzelewskim rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie wywiadu: Weronika Mazur	189
<i>Zmiana pokoleń</i> , z Marianną Wiśniewską rozmawiali: Wojciech Fedorowicz i Natalia Sobczak	192

<i>Żywa legenda</i> , z Szewachem Weissem rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Szymon Naumiak i Magdalena Wyrzykowska	196
„ <i>Kiedy twój sarkazm jest tak głęboki, że mają cię za kretynę</i> ”, z Marcinem Mellerem rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Marta Rogowska i Zofia Zawrot	200
<i>Dziennikarz na dyżurze</i> , z Pawłem Reszką rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Maria Wiewiórkowska i Adrianna Cybulska	204

VARIA

Anna Rocławska, <i>Drogi uczuć. Odcinek pierwszy</i>	211
Karolina Rybicka, <i>Eksperyment 1999</i>	212
Krzysztof Grodecki, <i>Idealnie wytresowani</i>	213
Katarzyna Obrębska, <i>Diabeł tkwi w szczegółach</i>	214
Maciej Domański, <i>Kaliska kultura</i>	215
Redakcja „Kontrastu”, <i>Mistrz</i>	216
Maciej Dziermański, <i>O tak zwanych starych i nowych czasach</i>	219
Mateusz Wiśniewski, <i>Językowa współczesność</i>	221
Julia Kapiszka, <i>Sprzedawcy nadziei</i>	223
Mateusz Wiśniewski, <i>Dwa światy liter</i>	224
Szymon Wytlib, <i>W końcu przyszła...</i>	226
Magdalena Wyrzykowska, <i>Marcin Dubiel, Mietczyński i SeksMasterka</i>	227
Malwina Cybulska, <i>Łamacz schematów</i>	229
Maria Wiewiórkowska, <i>Prawdziwa rzeczywistość, nierzeczywista prawda</i>	230
Wojciech Flantowicz, <i>Social media, czyli jak walczyć o bycie sobą</i>	233
Mateusz Martenka, <i>Wiem, że wiem wszystko</i>	235
Aleksandra Radecka, „ <i>Kontrast</i> ” – <i>trochę faktów i anegdot</i>	237
Aneks 1. Dziennikarze „Kontrastu”	244
Aneks 2. Sukcesy	250
Podziękowania	252
Fotografie z archiwum „Kontrastu”	253

Aleksandra Radecka

KILKA SŁÓW O KSIĄŻCE

Nie ma co ukrywać, że o Kaliszu Pomorskim większość mieszkańców Polski usłyszała, jeśli w ogóle usłyszała, przy okazji ćwiczeń wojskowych na poligonie drawskim. Być może nieliczni, ci gustujący w kiszonych ogórkach, połączą to miejsce jeszcze z cykliczną imprezą organizowaną tu latem nad Jeziorem Ogórkowym. Pozostali mają nikłe pojęcie o tej ziemi na Wale Pomorskim. Przy takim założeniu, idąc krok dalej, można dodać, że mało kto wie o bardzo dobrym liceum i szkolnej gazecie „Kontrast”. To oczywista oczywistość.

Umówmy się, nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się temu dziwił ani łudził, że dzięki tej książce cała Polska, od Szczecina po Sanok, pozna i zachwyci się twórczością młodych oraz zapamięta Kalisz Pomorski jako zagłębie dziennikarstwa. Nie o to chodzi. Nie będę jednak udawała, że jako pramatka „Kontrastu” nie ucieszyłam się z propozycji wydania tekstów byłych i obecnych uczniów.

Zaproponował to przyjaciel – Eryk Krasucki. Przyjaciel jest historykiem i nauczycielem akademickim, ale przede wszystkim jest autorem ciekawych biograficznych książek. Pomyślałam więc, że wie, co robi. Koncepcja antologii narodziła się, gdy podczas jubileuszu 15-lecia gazety na scenie wybrzmiały fragmenty naszych wywiadów i reportaży. Zadał mi wtedy pytanie, czy myślałam o opublikowaniu materiałów w zbiorze. Prawda jest taka, że nie myślałam.

Bez entuzjazmu i pomocy Eryka być może projekt zniknąłby zupełnie za mgłą różnych nieprzewidzianych okoliczności, przecież z łatwością można zabić każdy pomysł wymijającą frazą: „się zobaczy”. Ale wydawca, prezes Stowarzyszenia „Meander”, czyli wyżej wymieniony, dzwonił do mnie regularnie, gdy nie dzwonił, to pisał. Przypominał, nie odpuszczał i mobilizował. I chwala mu za to!

Wakacje rozpoczęłam od wyprowadzenia (wszystko działo się po cichu niczym zaplanowany skok na bank) ze szkolnej biblioteki kartonu wypełnionego gazetami. Numery od 2003 roku do 2019. Całe szczęście, że mieszkam w pobliżu, bo ledwie dotarłam te skarby do swojej posesji. Wyblakłe egzemplarze, te najstarsze, potraktowałam jak święte relikwie. Nie dotykać, podziwiać. Zamiast skąpanej w słońcu plaży oglądałam pokój usłany wydrukowanymi kartkami i zbierałam siły, najczęściej gapiąc się w milczeniu na ten dziennikarski kopic. Bo życie napisało mi dodatkowy scenariusz – podróże do szpitala i ze szpitala.

Pierwszy krok, czyli wybór tekstów, wydłużał się. Pocięczałam się tym, że przynajmniej wiem, jak je ułożyć. Trzy części w kolejności chronologicznej: reportaże, wywiady, teksty różne. Nie chodziło o to, by do druku poszło wszystko, co uznaję za najlepsze, czy też najbardziej kontrowersyjne.

Zoom najbliższego świata to w założeniu podwójna opowieść: o pokoleniach młodych ludzi i o rzeczywistości, która ich otaczała, a także dzięki wyjazdom do Warszawy o tej odległej, z pierwszych stron gazet, oglądanej z ich perspektywy. Gdy zaczęłam czytać archiwalne numery, nostalgia aż kłuła w oczy, wbijałam się w treść zachłannie i coraz bardziej rozumiałam wartość tego, może nie zawsze doskonałego, ale za to ważnego pisania.

Bo co to znaczy zapisać? To znaczy nie pozwolić się skurczyć pamięci do kilku chwil, do kilku obrazów. Wszyscy przecież wiemy, że to, co się zobaczyło, usłyszało i odczuło, skazane jest na wysychanie. Piękna miłość staje się po czasie jedynie przelotnym uśmiechem, ból jakimś delikatnym uciskiem w okolicy serca, radość nie ma tych skrzydeł, które dawniej unosiły nas ponad ziemię, a bunt kwitujemy zwykłym uniesieniem ramion. Zatrzymać obraz, wyostrzyć obiektyw, odtworzyć szczegóły, na to pozwala czytanie reportaży, wywiadów czy felietonów „Kontrastu”. Wracamy do czasów, gdy królowała młodość piszących. Zatarłe dziś w pamięci realia mogą być ponownie oświetlone. Wystarczy oddać się lekturze.

Widzimy samotnych i zagubionych ludzi w ośrodku dla bezdomnych w Rynowie, wiosce położonej koło Łobza, sklep z dopalaczami w centrum Drawska Pomorskiego, grupę interwencyjną, która sprząta ulice Kalisza Pomorskiego. Słyszymy wstrząsające historie pierwszych osadników, którzy odkryli, jaki naprawdę był Dzik Zachód. Wzruszamy się, gdy troskliwy ojciec opowiada o adopcji dzieci, które uznano za niezdolne do życia w społeczeństwie, gdy rozbity przez nałóg chłopak mówi, że jego życie było jak całowanie przez szybę: „niby się jest, ale nic się nie czuje”. Uśmiechamy się, kiedy czytamy o micie związanym z Liceum w Kaliszu Pomorskim, albo wtedy gdy życie jednego z bohaterów reportażu układa się w niekończącą się przygodę i trudno go w tym pędzie do szczęścia zatrzymać. Zastanawiamy się nad pracą lekarki, której przypisujemy rolę Boga, a nie możemy nawet zapamiętać jej imienia i nad niemieckimi korzeniami mieszkańców naszego miasta.

W rzecze spotkanych ludzi są wszyscy: wybitni artyści, dziennikarze, sportowcy, aktorzy, satyrycy, psychologowie, świadkowie historii, nauczyciele, uczniowie, zwykli mieszkańcy naszej Małej Ojczyzny.

Toczą się rozmowy o odebranych przez wojnę dzieciństwie, o zwątpieniu, o trudnej roli reportera, który zawsze jest na pierwszej linii i płaci za to wygórowaną cenę emocjonalną, o rywalizacji w sporcie, o czytaniu, o tym jak powstają obrazy, o Polsce i Polakach, o poczuciu humoru i pisaniu tekstów, o etyce dziennikarskiej, o roli nauczyciela, dyrektora, ale także o wiośnie i codziennych sprawach, o byciu przyzwoitym człowiekiem. Wszystko można w tym miejscu napisać, ale nie to, że młodzi byli „chudzi od braku rozmów”, cytując Pawła Sołtysa.

Za to mniej chwalebne jest pole publicystyki w gazecie. Ten teren jest słabiej zalesiony. Ci, którzy tworzyli historię „Kontrastu”, chętniej oceniali i dzielili się opiniami. Byli bezkompromisowi, odważni, walili prawdę

między oczy. I guzik ich obchodziło, co w tej sprawie ma do powiedzenia tak zwane ciało pedagogiczne. Ironicznie pisali o tym, czym się kończy brak edukacji seksualnej. Aż trudno powstrzymać się od współczesnych skojarzeń, bo analogia narzuca się sama. Krytykowali księży, szkolne instytucje, schematy społeczne, hipokryzję. W młodzieńczej zapalczywości zapominali, czym jest felieton, ale ogień w nich płonął aż do końca. Im dalej przesuwamy wskazówki zegara, tym słabiej słychać świst bata wymierzonego przeciwko światu. Słowa złagodniały, zaokrągliły się, a posługiwanie się sarkazmem znane jest nielicznym. Pewnie, że zawsze było i jest to sztuką. Ale wcześniej przynajmniej próbowano. Za tytuły *Łowcy czarnuchów* czy *W co się bawią księża?* nie trzeba było tłumaczyć się na dywaniku u dyrekcji. A dziś? Kto wie, co przyniesie przyszłość.

Ktoś skomentuje, że wszystkiemu winna jest poprawność polityczna. Nie popadajmy jednak w przesadny pesymizm. Są perełki, są. W dziale nazwanym „Varia” uważny czytelnik znajdzie twórczość najmniej związaną z regułami gatunków dziennikarskich. W zamian dostanie ciekawe obrazki rzeczywistości. Na przykład taki z sobotniego wieczoru z wejściem do znanego nocnego klubu, popularnie zwanego „Planetą”. Jeśli to za mało, jest też hit prozatorski „Kontrastu”, czyli parodia brazylijskich seriali o wymownym tytule *Drogi uczuć*.

Czytając antologię „Kontrastu”, mamy jedyną okazję, by zobaczyć świat, który na naszych oczach znika.

Taka „zemsta ręki śmiertelnej”. W małej skali, ale za to zrodzona z prawdziwej pasji i pragnienia utrwalenia obrazów.

Liczba tekstów w zbiorze w początkowym założeniu miała być, jak mawia redaktor Robert Mazurek, mojej osobie bliską, więc padło na pięćdziesiątkę. Rzadko kiedy miały wersję elektroniczną, wiele z nich zginęło na zawsze, bo nie dbaliśmy, by je w ogóle zapisywać. Cekał mnie koszmar przepisywania tych, które ocalały. Przez głowę przebiegła mi odkrywczą myśl, że przecież mogą to zrobić obecni dziennikarze gazety. Otrzymałam od nich zaledwie kilkanaście artykułów. Te, o które poprosiłam. Trwały wakacje, zwyczajnie nie miałam sumienia psuć im beztroski. Sama przepisywałam, a objętość książki rosła. Uwierzcie i tak serce mi pęka, bo musiałam zapomnieć o recenzjach, dziale poezji, rysunku i innych cackach. Mam nadzieję, że zostanie mi to wybaczone. W końcu na ponad trzech tysiącach stron zapisanych przez szesnaście lat jest także mój odcisk. „Kontrast” to moje dziecko. Jestem z niego bardzo dumna.

Na koniec zostawiłam temat niewdzięczny, postanowiłam napisać kilka zdań o redakcji tekstów. Niektórzy to lubią, ja do nich nie należę. Nie chodzi o przecinki czy inne błędy, to przełknę, choć dożywotnie sprawdzanie cudzych prac rujnuje zdrowie. Człowiek ślepnie, także w znaczeniu przenośnym. Prawdziwa panika zaczyna się przy edytowaniu, formatowaniu i innych dziwnych zabiegach. To, że książka nieźle się prezentuje pod względem graficznym, jest zasługą Eryka Krasuckiego.

Mnie zostały dodatkowe atrakcje, na przykład koszmar rozszyfrowania pseudonimów. Bo skąd u licha masz wiedzieć, kim byli: Dictionary, Em, Selma, Aisha, Anawa, Dobuś czy Tysia. Szukałam także informacji o bohaterach wywiadów, uzupełniałam daty, projektowałam działy.

Kochani Czytelnicy mimo, że wyliczam skrupulatnie swoje zasługi niczym księgowy, domagający się podwyżki, to prawda jest inna. Czuję ogromne wzruszenie, czuję miłość do młodych ludzi, do autorów wywiadów, reportaży, felietonów i innych artykułów. Razem udało nam się stworzyć wiele dobra i piękna. „Wzruszenia może bywają infantylne, ale świat na pewno nie jest od nich gorszy” – pisze w jednym ze swoich felietonów Marcin Meller i ja się z nim zgadzam.

Czytajcie, po prostu dobrze się bawcie!

REPORTAŻ

„Trzeba te szczegóły zapamiętać. Może kiedyś dowiemy się o nich czegoś więcej.
Proszę pana. Kiedyś o wszystkim dowiemy się czegoś więcej”

Hanna Krall

„Przez czternaście lat leżał w łóżku. Nie miał prawdziwego dzieciństwa.
Nie miał przyjaciół. Jedynie zza okiennej szyby obserwował bawiących się rówieśników.
Zazdrościł im, ale nie płakał. Męskie serce biło w ciele małego chłopca”

Daria Różańska, *Niepokonany świadek czasu*

Aleksandra Bienkowska, Daria Różańska, Paula Jaworska,
Aleksandra Rzeszuto, Natalia Kędzierska, Paulina Szczęsna, Maciej Domański

OPĘTANA PRZEZ MIT

(2007)

*Kalisz Pomorski – małe miasteczko, a w jego centrum szkoła – liceum.
Dookoła miła atmosfera, na korytarzu tłum czekających na lekcje uczniów.
Gdzieś pomiędzy nimi pojawi się nauczyciel zmierzający na zajęcia.
Po dzwonku cichną korytarze, a uczniowie w klasach skupiają się wyłącznie na nauce.
Zmieniają się pory roku, mijają lata, a wizerunek szkoły wciąż ten sam:
– Dziura zabita deskami, nie opłaca się tu przychodzić – mówi Lidia,
uczennica trzeciej klasy gimnazjum.*

Źródło mitu...

– Mały próg, dużo słabych osób przyjętych do liceum, co za tym idzie niska zdawalność matury. No i zaczyna się tworzyć tak negatywny mit. Wystarczy, że nieprawdziwe plotki roznieś dziesięć osób i nikt nie pofatyguje się, żeby iść to sprawdzić – mówi Renata Pietroń, nauczycielka wychowania fizycznego w gimnazjum. Takie opinie często wynikają z plotek, które zawsze mają swoje uzasadnienie, choćby w przeszłości: – Uważam, że plotka ma zawsze swoje podłoże. Jak był bałagan, jak uczniowie nie wiedzieli, do której klasy wchodzi, jak wchodził do szkoły i okazywało się, że mają same okienka albo okienka pomiędzy dobrymi lekcjami i w tym czasie udawali się np. do parku, to dla mnie nie jest ani wychowawcze ani kształcące – stwierdza nauczycielka biologii z kaliskiego gimnazjum, Mariola Domańska. Takie opinie krążą wśród niektórych nauczycieli z tej szkoły. Natomiast nauczyciel kaliskiego Liceum, Paweł Łuczko, ma odmienne zdanie: – Myślę, że mit o Liceum w Kaliszu Pomorskim wziął się od osób nieżyczliwych tej szkole, a takich ludzi jest zdecydowanie mniej w naszej miejscowości, wobec tego mit praktycznie nie istnieje.

Dlaczego uciekają?

Uczniowie najczęściej wybierają szkoły poza Kaliszem, w takich miastach jak: Szczecin, Wałcz czy Choszczno. Co jest powodem ucieczki młodych ludzi? – Przede wszystkim biorę pod uwagę to, żeby nie być w domu, dlatego chcę iść do szkoły gdzieś dalej, ale też chcę, żeby to była jakaś dobra szkoła – mówi jedna z uczennic gimnazjum. Co ich odstrasza? – System oceniania. Punkty zamiast ocen. Moim zdaniem beznadzieja! Boję się, że nie podołam – stwierdza Lidia. Ale czy wszystkim ten system nie odpowiada? – Z jednej strony oceny są sprawiedliwe, ale z drugiej, gdy zabraknie na przykład jednego punktu, to czuje się taki niedosyt. Jednak ogólnie podoba mi się taki system oceniania – mówi inna uczennica gimnazjum. Często zdarza się, że nauczyciele podpowiadają swoim wychowankom wybór szkoły. – Jedna z nauczycielek zasugerowała mi, że powinnam zmienić otoczenie i pójść do lepszego liceum niż w Kaliszu, że po kaliskim Liceum można być nikim – mówi dobra uczennica gimnazjum. Jedna z nauczycielek gimnazjum podkreśla: – Podczas określania kryteriów przyjmowania do liceum dyrekcja nie jest konsekwentna co do ustalonego progu punktowego.

Plotka czy prawda?

Wybuchając śmiechem, jedna z gimnazjalistek stwierdza: – Słyszałam, że trzeba przynosić papier do ubikacji, bo inaczej nie przepuszczą do następnej klasy. Natomiast inna – czerpiąca informacje od siostry, która tam uczęszcza, komentuje: – Z tego co słyszałam, panuje tam świetna atmosfera, stosunki pomiędzy uczniem a nauczycielem są przyjazne, pojawiły się profile, które wzbudzają wielkie zainteresowanie wśród gimnazjalistów.

W świadomości ludzi żyjących w Drawnie – miasteczku koło Kalisza – zakorzenione są pewne mity dotyczące liceów w Choszczynie i Kaliszu. Liceum w Choszczynie – to szkoła bardzo dobra, więc tam należy posłać dzieci, Liceum w Kaliszu – to szkoła słaba, więc idą tam ci, którzy nie dostali się gdzie indziej.

– Rok temu, kiedy sama stanęłam przed wyborem szkoły, zasięgnęłam informacji u rodziców ucznia – wtedy jeszcze trzecioklasisty. Oboje twierdzili zgodnie, że szkoła ta nie potrafi przygotować do matury, nauczyciele nie umieją przekazać wiedzy, a dobrzy uczniowie po prostu się tam marnują. Jednak zmienili zdanie, gdy ich syn zdał maturę bez przygotowywania się w domu – przypomina sobie Paulina – uczennica pierwszej klasy z naszej szkoły.

– Na wieść o tym, że zamierzam uczyć się w kaliskim Liceum, moja sąsiadka w zaskakujący sposób podsumowała mój wybór: „Szczęsna idzie do Kalisza? A miała być taka mądra”.

Nauczyciele z gimnazjum ze zdziwieniem w głosie pytali: „No co ty? Nie wygłupiaj się. Co ty będziesz tam robić?”

Wiele razy pytałam tych ludzi, co konkretnie złego widzą w tej szkole, nie potrafili odpowiedzieć. Mają wyrobione poglądy, których nie umieją uzasadnić. Ich zdaniem wybrać szkołę w Kaliszu to wstyd, ale z dumą mogliby powiedzieć: moje dziecko uczy się w Szczecinie, Choszczynie.

Nić współpracy...

Na pytanie o to czy są szanse współpracy między gimnazjum a liceum, nauczycielka biologii odpowiada: – Pewnie! Współpraca zaczęła się już od września. We wrześniu wymieniliśmy się programami, jakie realizujemy w gimnazjum, a teraz np. prowadzimy razem pomiar dydaktyczny. Już dwa spotkania były wspólne przy kawie i ciastku – to jest bardzo przyjemne. Z tą opinią zgadzają się wszyscy pytani przez nas nauczyciele gimnazjum. – Liceum to szkoła współpracy... młodych ludzi, nauczycieli, rodziców i organów zarządzania (dyrektor, organ prowadzący, społeczność lokalna). Z efektów współpracy możemy corocznie się cieszyć, gdy nasi uczniowie wygrywają konkursy ogólnopolskie: „Paluckie pióro”, „Sprawni, jak żołnierze”, czy ostatnio „Dzieje oręża polskiego”. Znajdźcie mi szkołę w Polsce, która debiutując wygrywa konkurs ogólnopolski, gdy najlepsze licea w rankingach szkół średnich na zaszczyt reprezentowania Polski pracowały przez wiele lat – pewnie odpowiada dyrektorka kaliskiego Liceum, pani Joanna Kulesza. Ona nie ma wątpliwości, że do tej szkoły przyjść warto.

– W przyszłym roku szkolnym uczniowie rozpoczynający naukę będą mieli po 10 godzin w cyklu nauczania przedmiotów w zakresie rozszerzonym, zakupujemy pomoce dydaktyczne, remontujemy szkołę... Nauczyciele udowodnili, że potrafią nadać blasku diamentom, do współpracy potrzebni są jeszcze uczniowie – młodzi ludzie, którzy chcą, a nie muszą się uczyć.

Z dystansu inaczej

Każdego roku szkołę opuszcza około stu absolwentów. Różne są ich losy, jedni dostają się na wymarzone studia, inni pasują, inni próbują ponownie. Sytuacja jak w każdej szkole. – Jak nie drzwiami to oknem, jak nie oknem to dziurką od klucza – śmieje się ubiegłoroczna absolwentka, Justyna Pacześna – studentka dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, była redaktor naczelna naszej szkolnej gazetki „Kontrast”. Pewna swojej wartości, bez kompleksów, powoli przeciera szlaki dziennikarskie w stolicy. Jest tam ze swoją przyjaciółką, *notabene*, też była dziennikarką „Kontrastu” – Katarzyną Obrębską. Obydwie dostały się po zwycięskim konkursie o indeks na studia dziennikarskie Uniwersytetu Warszawskiego, pisały reportaże o wybranych przez siebie osobach z Kalisza, które uznały za autorytet. Justyna chętnie wraca wspomnieniami do przeszłości.

– Pierwsze skojarzenia ze szkołą to przyjaciele, zaglądam na naszą stronę internetową, do księgi gości, tęsknię nawet za tymi, którzy mnie nie uczyli. Szukam newsów na stronie internetowej. Kiedy przyjeżdżam do Kalisza, wpadam na chwilę do szkoły, żeby poczuć tę atmosferę, ze szkołą średnią ma się związane najmiłsze wspomnienia. To tu dokonuje się najważniejszych wyborów. Nigdzie nie poczułam tak miłej atmosfery jak w tej szkole. Czy bałam się, że się nie dostanę na studia? Jasne, myślę, że każdy uczeń ma takie obawy, obojętnie z którego jest liceum. Każda szkoła średnia to nic w porównaniu ze studiami.

Recepta na sukces dla ucznia jest prosta: rozwijać swoje pasje, być sobą, nie ulegać presji grupy ani stereotypom, przekreślającym szkołę średnią na prowincji. Uczyć się. Umieć organizować sobie czas i odróżniać rze-

czy ważne od nieważnych, narzucić sobie dyscyplinę i być samokrytycznym. Takie wnioski płyną z wypowiedzi byłej absolwentki.

Nie wszystkie sądy absolwentów są jednak tak pochlebne. – W innych szkołach uczniowie mieli np. możliwość zrobienia certyfikatów językowych, u nas nie było o czymś takim mowy – wspomina jedna z absolwentek i dodaje: – Język musiałam doszlifować, ale nie musiałam niczego nadrabiać, egzamin na studia był bardziej szczegółowy niż wiedza zdobyta w szkole, ale nie byłam w stanie przygotować się ze wszystkiego, nie jest to winą liceum, lecz moją własną.

Zdania są różne, najczęściej skrajne. Może należy samemu sprawdzić, jaka jest prawda. Na prowincji trudno jest zbudować pozytywny wizerunek jakiegokolwiek instytucji, a co dopiero szkoły. Szkoła to przede wszystkim uczniowie, od ich wiedzy, zapału i ambicji zależy sukces. Najczęściej widzi się same negatywne strony, a o pozytywnych się nie wie i nie chce wiedzieć. A może konsekwentnie należy podnosić próg wymagań przy naborze, systematycznie budować dobry wizerunek? Czy mamy szansę obalić tę obiegową opinię, by nie potwierdziło się przysłowie: „Cudze chwalicie, swego nie znacie”?

Daria Róžańska (Yensidr)

NIEPOKONANY ŚWIADEK CZASU

(2008)

*Jego życie jest żywą historią. Wojnę, krew, śmierć widział na własne oczy.
Jeden postrzał. Kalectwo. Samotność. Dzieciństwo zza okiennej szyby.
Zrujnowane szczęście. Kręta życiowa ścieżka. To go tylko wzmocniło.
Przykre doświadczenia wypełniają jego serce, ale pomagają mu być niezwykłym człowiekiem.*

Drawno, ulica Kolejowa, stara i mocno zaniedbana kamienica. Główne wejście do budynku otwarte na oścież. W powietrzu unosi się zapach późnej jesieni i obiadu. Drewniane drzwi z tabliczką Downar. Pukam przez długi czas. Potem nieśmiało wchodzi. Mieszkanie skromne, czyste. Uśmiechnięta para zaprasza mnie do największego pomieszczenia.

– Tam jest telewizor, więcej miejsca – wyjaśniają.

– Wygodna kanapa i stolicek, będzie pani miała na czym pisać – dodaje pan Alfred.

Zielone ściany obwieszane są obrazkami świętych. Kątem oka widzę wózek inwalidzki.

– Kawki, herbatki? Napaliłem w piecu, żeby rączki przy pisaniu nie zmarzły – mówi z troską gospodarz.

Atmosfera jest ciepła, pełna szacunku. Łamie bariery wstydu i skrępowania. Rozmowa staje się swobodna.

Razem łatwiej

– W 1964 roku ją poznałem. Była taka piękna, delikatna. Jak patrzyłem w jej oczy, to chciało się żyć. Potrafiliśmy godzinami na siebie patrzeć. Wiedziałem, że Wandzia będzie moją żoną – uśmiecha się, ale jego wzrok unika mojego.

– No i szybko żeśmy się pobrali.

– Po dwóch tygodniach – odzywa się żona, a na jej twarzy pojawia się lekki rumieniec. Po chwili dodaje:

– Nie zawsze było idealnie, ale przez cały czas byliśmy i jesteśmy dla siebie oparciem. Budzę się w nocy. Mam koszmary z lat wojny. Przeżyłam jako dziecko Powstanie Warszawskie, amputację nogi. Przed oczyma stają smutne obrazy. Wtedy zrywam się jak szalona. Płaczę. Mąż przytuli. Zawsze rozumie. Przeszedł to samo, to wie, jak to jest – ciągnie ze smutkiem.

Szara rzeczywistość

– Mam 596 zł renty. Żona też. Tylko, że ona to więcej ode mnie przepracowała. To jej się należy. Ja nigdy nie mogłem znaleźć roboty. Nikt nie chciał kaleki. Mówili mi, tydzień pan popracujesz, a potem miesiąc na chorobowym. Nie mam żadnych dokumentów z przeszłości. Wszystko się spaliło, dlatego nie starałem się o wyższą rentę.

Niewzruszona, wręcz kamienna twarz i kolejna ucieczka oczu przed moim spojrzeniem.

– Pracowałem siedemnaście lat w magazynie. Grałem w zespole. No, na weselach, na jakichś zabawach. No, i tak sobie zarobiłem na rentę. Uśmiecha się.

– Mąż to tak sobie marzy o fiaciku malutkim, żeby mógł sobie wszędzie pojechać, bez bólu i upokorzenia. Na nogach to ciężko. Daleko nie pójdzie. A ja wcale z domu nie mogę wychodzić. Zanim się gdzieś dogramolę z tą moją jedną nogą, to po reszcie szybko zaczyna mnie boleć. Nie jest łatwo. Mamy małe renty, ale jakoś sobie żyjemy. Aż strach pomyśleć..., gdyby któregoś zabrakło – zdradza ściszym głosem, gdy pan Alfred opuszcza pokój, dodaje:

– Ludzie spotykani na ulicy nie zawsze są życzliwi. Kiedyś chciał wejść do autobusu. Niski wzrost i krótkie nogi nie pozwoliły. Ludzie i kierowca patrzyli tylko. Na twarzy pani Wandy pojawia się smutek.

– Nikt nie pomógł – mówi głośno.

– Wszedł na czworaka. Jechał wtedy do Choszczna po lekarstwa dla mnie. Po miasteczku, w którym mieszka, porusza się niewielkim pojazdem na trzech kółkach.

– O czym rozmawialiście? – pyta podejrzliwie pan Alfred, zamykając drzwi od kuchni. Niesie dwie herbaty. Uśmiechamy się przyjaźnie i powracamy do rozmowy.

– W niedaleką trasę mogę jechać po zakupy, do kościoła – opowiada.

– Dalej jednak nie pojedę. Do autobusu nie wsiądę. Ze skromnej renty wynajmuję samochód. Ktoś znajomy weźmie pięćdziesiąt złotych, innym razem siedemdziesiąt. Nie muszę się czuć upokorzony.

– Fredek jest człowiekiem honoru. Wstydzi się swojej biedy. Z kalectwem się pogodził. Nie chce wzbudzać litości. Nie lubi tego. Cieszy się tym, co ma – do rozmowy włącza się żona.

– Nie mam pretensji do Niemców, że mnie postrzelili, nie ma co pamiętać, to było kupę lat temu. Nie chcieli postrzelić mnie specjalnie – stwierdza sucho.

Do miejsca, w którym się urodził, nie powraca nawet wspomnieniami. Ostatni raz był w Bryniczewie w 1957 roku.

Zapisane w pamięci

– Wcześniej? To ja tam mieszkałem. Bo ja się tam urodziłem.

Niechętnie mówi o przeszłości, jednak cieszy się, że ktoś chce wysłuchać. Jego oczy łagodnieją.

– To Kresy, 1932 rok. Mieszkaliśmy w Bryniczewie. Nie wiem, może było tam z siedem gospodarstw – ciągnie z zapalem.

– Miałem wspañałą, liczną rodzinę, sześcioro rodzeństwa. Ojciec i matka zajmowali się rolnictwem. Mieliśmy duży majątek po dziadkach ze strony ojca. Bo ja jestem z rodziny szlacheckiej. Mój dziad i pradziad nosili nazwisko Downar Zapolski – mówi nieśmiało, ale na jego twarzy widzę wyraz dumy. Podkreśla po raz kolejny, że nie chce się chwalić.

– Nazwisko Downar Zapolski musiał zmienić już mój ojciec. Wszystko byśmy stracili. Dlatego dziś w moim dowodzie osobistym zapisano jedynie Downar.

– Bardzo miło wspominał okolice, w których mieszkałem. Rzekę Niemen. Mieliśmy piękny dom. Naokoło cudna przyroda. Własne jezioro, młyn, las.

Wojna nie pozwoliła im spokojnie żyć. Odebrała szczęście i to, co zdobyli ciężką pracą. Okolica powoli traciła swój czar. Pojawiali się żołnierze, czołgi. Atmosfera spokoju zamieniła się w wojenną zawieruchę. Zostali wysiedleni do Niemiec. Wszystko się zmieniło.

– Załadowano nas na wagony. To chyba byli Niemcy – myśli na głos.

– Tak, na pewno! – dodaje. – To było straszne – opowiada, starając się nie rozczulać.

– Kiedy byliśmy może kilometr od domu, usłyszeliśmy gwałtowny huk. Potem pojawiła się duża łuna dymu. To spłonął nasz cały dobytek. Wszystko. Rodzice płakali, a ja wiedziałem, że jeszcze tam kiedyś wrócę. Zostaliśmy bez swojego miejsca na ziemi – urywa słowa i przeryka nerwowo ślinę.

– Jednak powróciliśmy. Powróciliśmy do miejsca, gdzie kiedyś stał nasz dom. Nie było tam niczego, tylko wojsko. Zostaliśmy. Chyba na przekór wszystkiemu. Ojciec ze starszym bratem zbudowali szałas. Tam mieszkaliśmy. Warunki były ciężkie. Ale o tym się w ogóle nie myślało. Najważniejsze było to, że jesteśmy na swojej ziemi. I wszyscy razem. Musieliśmy się ukrywać. Nie mogliśmy opuszczać schronienia, gdyż przechodził tam front – dodaje.

– Pani to młodzieńka, pewnie sobie tego nawet nie wyobraża? – pyta z ufnością i zaciekawieniem.

Jeden postrzał

– Zwyczajny lipcowy dzień. Bawiłem się z kolegami. Miałem wtedy osiem lat. Patrzeliśmy na kąpiących się w jeziorze radzieckich żołnierzy. To był taki czas, kiedy czułem się wolny. Taki szczęśliwy. Poza wojenną grozą. Prawie przestałem się bać – opowiada spokojnie.

– W jednej chwili zauważyłem niemieckie wojsko. Krzyknąłem! Pamiętam echo strzału. Milknie. W oczach błyszczą tłumione łzy.

– Woda w jeziorze była czerwona od krwi radzieckich żołnierzy. Tych, którzy niczego się nie spodziewali. To byli młodzi chłopcy. Chcieli się tylko ochłodzić. Leżałem na zakrwawionej ziemi. Jakiś radziecki żołnierz zaniósł mnie do domu – opowiada.

– Może gdybym ich nie ostrzegł, gdybym uciekł tak jak inni, wszystko potoczyłoby się inaczej? Życie okazałoby się łatwiejsze?

– Pamiętam, jak obudziłem się już przy matce. Pamiętałem wszystko. Tylko bez zakończenia – dodaje smutnym głosem.

Przyjaciele zza szyby

– Na lekarza nie było pieniędzy. Nogi przestały rosnąć. Puchły. Bardzo chorowałem. Chudłem. Nikt nie wiedział, dlaczego się tak dzieje. Nogi stawały się krótsze i grubsze.

Z bólem patrzy na swoje nogi. Zaciska zęby i mruży oczy. Milknie.

– No i aż w końcu zrobiły się takie – dodaje z pokorą.

Przez czternaście lat leżał w łóżku. Nie miał prawdziwego dzieciństwa. Nie miał przyjaciół. Jedynie zza okiennej szyby obserwował bawiących się rówieśników. Zazdrościł im, ale nie płakał. Męskie serce biło w ciele małego chłopca.

– Nie chodziłem wcale. Czasami brat albo ojciec nosili mnie na rękach.

– Czternaście lat leżałem w łóżku! – mówi przez ściśnięte gardło, każde wypowiedziane słowo sprawia mu ból.

– Ksiądz leczył ziołami. Były kąpiele z siana. Nogi nacierane ciepłą gliną. Jednak nic nie pomagało. Ciągle chudłem. Miałem gruźlicę kości. Strzępki kości wychodziły. Zaczęto mnie leczyć. Wożono do Warszawy. Pamiętam, jak sąsiad zrobił mi zdjęcie. Miał aparat. Rodzice wysłali je do specjalisty. Tamten lekarz dużo pomógł. Nie pamiętam jego nazwiska, zawsze jednak będę mu wdzięczny. Odważyłem się stanąć na nogi. Po czternastu latach! Ja normalnie stałem. Nawet nie wie pani, co to znaczy – mówi z uśmiechem.

– Są krótkie i niesprawne, ale mogę się poruszać.

– Co rządzi życiem? Hmm..., nie wiem, może Bóg, może los, może sam człowiek – odpowiada po długim namyśle. Potem na chwilę milknie. Zbiera myśli i dodaje:

– Najważniejsze w życiu jest być dobrym, szczerym, uczciwym człowiekiem. Wtedy wszystko będzie dobrze. Nie zawsze jest tak łatwo, bo życie to ciężkie czasami bywa, ale zawsze jakoś się ułoży. Trzeba wierzyć, że będzie dobrze i nie zapomnieć o byciu człowiekiem – mówi z uśmiechem na twarzy.

Daria Róžańska

BÓG DAŁ MI SIŁĘ

(2008)

Był przy jej narodzinach, w samym środku wojennej zawieruchy.

To Jemu śpiewała na chwałę, kiedy powstańcy ratowali ją od śmierci głodowej.

Wierzy, że stał obok nawet wtedy, gdy nad jej gnijącą nogą pochylał się lekarz z piłą w rękę.

Ta wiara wypełniła jej niezwykle życie godnością i pogodą ducha.

– Bardzo miło wspominałam swoje dzieciństwo. Lecz z małą dozą smutku i rozczarowania. Wyciąga z szuflady dwa połówki i po brzegi zapisane zeszyty. Po chwili mówi:

– To pamiętniki, które prowadziłam przez całe swoje życie. Pisałam wszystko. Niektóre rzeczy wiem z opowiadań. Przewraca zniszczone kartki. Zaczyna czytać. Po chwili przerywa. Świeżo zoperowana tarczycyca nie pozwala czytać dalej. Lekarz mówi, że czeka ją jeszcze jedna operacja. Musi nauczyć się z tym żyć.

Nie rozstaje się z zapiskami. Prowadziła je nawet podczas wojny. Są częścią jej historii. Przelane na papier myśli, niezwykle słowa. To świat wojny, tułaczki małej dziewczynki. Opowiada. Często przerywa. Wtedy przypomina się następna rzecz, o której chce powiedzieć. Pamięta prawie wszystko. – Niech ten mój marny los komuś na coś się zda – dodaje przyciszonym głosem.

„Zostałam zupełnie sama”

Kiedy w 1939 roku przyszła na świat, cała Warszawa uśpiona była w szarym pyłe. Na ulicy Złotej brakowało już kostki brukowej. Miażdżona była przez ciężkie czołgi, wybuchy bomb, pocisków. Każdego ranka było jej mniej i mniej. Aż w końcu wcale. Wszędzie byli żołnierze. Ulice ryły gąsienice czołgów, powietrze przecinały wstęgi samolotów. Ciężko było oddychać spalinami zawieszonymi w powietrzu. Wszystko pogrążone było w smutku. Ale i nadziei na to, że będzie lepiej. Jeszcze wtedy miała rodzinę. Ale tylko wtedy.

– Ojciec szybko został aresztowany w ulicznej łapance. Ale i tak nie był dla nas dobry, dużo pił. Matka, żeby utrzymać nas przy życiu, prowadziła mały sklep. Już wtedy chorowała. Musiała słać ojcu paczki do więzienia. Było ciężko.

– Oddała nas do babci mieszkającej w niewielkiej wiosce pod Warszawą. Babcia szybko zmarła. Matka odwiedzała nas tak często, jak tylko mogła. Potem sama zmarła w szpitalu Dzieciątka Jezus – opowiada ze smutkiem.

– Od tej pory zaczęła się nasza tułaczka po świecie. Zostaliśmy zupełnie same, Krysia i ja. Miałymy tylko siebie.

Zamieszkały u stryja, który obiecał matce na łożu śmierci zająć się dziewczynkami. Obietnicy dotrzymał, lecz, jak szybko się okazało, nie do końca z czystej miłości.

– Zabrał wszystko, co nam pozostało. Skromny majątek po matce. Traktował nas jak kopcuchy – opowiada dalej.

Bierze stołek i z wielkim trudem sięga po zdjęcia. Są schowane w górnej szufladzie meblościanki. Szuka zdjęcia matki, stryja. Pokazuje mi również wspólną fotografię z siostrą. Skromne mieszkanie, idealnie wysprzątane. Centralna ściana pokryta wizerunkami Matki Boskiej czuwającej nad mieszkańcami domu. Milczący świadek naszej rozmowy.

Tułaczka po świecie

Wojna ciągle trwała. Rok 1944, Powstanie Warszawskie. Nalot wojsk niemieckich. – Opuściliśmy mieszkanie, żeby przeczekać w schronie. Kilka dni spędziliśmy bez jedzenia. Przy życiu trzymały nas stare, zeschnięte marchewki znalezione w kącie piwnicy i modlitwa. Właśnie modlitwa i wiara w wolną ojczyznę pozwoliły nam przetrwać. Modliliśmy się, śpiewaliśmy tak głośno, że spod doszczętnie przysypanego bunkra usłyszeli nas powstańcy. Pomogli. Wyciągnęli. To był cud. Tę historię zna tylko z opowiadań. Pamięta kłęby kurzu i pogrążoną w dymie ulicę Żelazną. Myślała, że koszmar się już skończył. Wszystko co najgorsze, było jeszcze przed nią.

Złapano ich. W bydłych wagonach przewieziono do Pruszkowa. Wyrzucono gdzieś na torach. – Ciocia trzymała mnie za rękę. W tłum ludzi puszczono rozpędzoną lokomotywę. Ciotka zginęła na miejscu. Milknie. Ja miałam szczęście. Bóg nie pozwolił mi odejść! Wszędzie gruba warstwa pyłu i brudu. Miała mocno okaleczoną i krwawiącą nogę. Wdała się gangrena. – Nie było wyjścia. Nogę trzeba było amputować.

W oczach pani Wandy zbierają się łzy. Zamyka je. Milknie. Nabiera tchu i zaczyna znowu: – Pamiętam wielką szpitalną salę. Byłam samiuśka. Bez siostry, bez nikogo. Przerazona, przywiązana do łóżka. Lekarz z piłą w rękę na żywca ciął nogę. Biała pościel skąpana we krwi... Szum w uszach i mój własny krzyk: „Mamusiu!!!, Tatusiu!!!”. Do dziś się tego boję. Widzę rozpacz w oczach mojej rozmówczynie. Coś na krztałt lęku, że odsłoniła przede mną swoje emocje. Po chwili dodaje: – Przez całe życie byłam kaleką, ale nigdy się nią nie czułam. Jej twarz staje się spokojniejsza.

– Obudziłam się o poranku. Zamiast nogi zwiślał kikut. Płakałam i zrywałam bandaż. Obok mnie nie było siostry. Nie było nikogo. Tylko stary, zawszony mężczyzna – na chwilę milknie. – Powoli umierał. Załapałam te wszy od niego.

Z wielkim trudem mówi dalej: – Nie wiedziałam, gdzie jest Krysia. Czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę? Pytałam siebie przez cały czas. Miałam nadzieję, że żyje – wspomina ze smutkiem. Wycierając delikatnie łzę spływającą po policzku. Domyślała się, że Krysia została u stryja. Jak się później okazało, miała rację.

Bóg największym przyjacielem

Szukała oparcia. Przyjaciela wśród pustych ścian domów dziecka. Znalazła go. Najlepszego na całe życie – Boga. Tułaczka po domach dziecka i zakładach opiekuńczych: Porszewice, Wrocław, Piotrków Trybunalski. Wzmocniły jej wiarę. – Ludzie ode mnie odeszli, ale Pan Bóg nigdy – na twarzy kobiety maluje się delikatny uśmiech szczęścia.

To on zawsze nad nią czuwał. Dodawał nadziei w chwilach zwątpienia. Budził ducha walki o normalne życie. W obliczu Boga niestraszna była ciągła wędrówka po świecie.

– Zawsze potrafiłam spojrzeć na problem inaczej. Znaleźć odskocznię. Dużo śpiewałam. Przede wszystkim żyłam nadzieją. Miałam dużo siły.

Dziś także uważa wiarę za największe oparcie w trudnych sytuacjach: „W tym czasie przybył do nas do parafii obraz Matki Bożej. My z mężem jak zawsze modliliśmy się dzień i noc o syna. Było to na zakończenie pobytu obrazu w Drawnie. W tym dniu nie mogłam iść do kościoła, bo dostałam okropnego ataku wątroby” – czytam karty pamiętnika pani Wandy.

Żal jest głęboko zakorzeniony

Porszewice – dom dla kalek. Tam zawiązały się pierwsze przyjaźnie. Tam rzuciła kule. Dostała protezę. Jedno z marzeń spełniło się. W piwnicy ośrodka była pralnia – opowiada. – Prały tam stare Niemki. Bardzo często śpiewały w swoim ojczystym języku. Nie mogłam znieść niemieckiej mowy! Miałam wielki uraz do tych ludzi. Dziś jest inaczej. Czas uleczył rany. Serce zapomniało o tych wszystkich przykrościach. Już jako mężatka wybrałam się na pielgrzymkę z mężem i synem. Tuż po mszy ogłoszone zostało, że za chwilę odbędzie się błogosławieństwo dla Niemców. Mąż i syn wyszli od razu. Ja zostałam. Głośno płakałam. Ludzie wokół obracali się. Patrzyli jak na wariatkę.

Po błogosławieństwie wszystko odeszło. Byłam spokojna. Zrozumiałam, że rozpamiętywanie jest zajęciem starców. Wiedziałam, że to niczego nie zmieni w moim życiu. Choć nie ukrywam, że w głębi serca żal pozostanie do końca życia.

Uśmiech szczęścia

Nastał długo oczekiwany moment – kres wojny. Zwiastunem było głośne wycie syren. Ludzie na ulicach całowali się. – Pamiętam doskonale! Wszyscy cieszyli się bardzo. Ja też! Niemcy skapitulowały! Utkwił mi w pamięci taki czarny, malutki piesek. On też latał i się cieszył. Choć pewnie nie wiedział, dlaczego – opowiada pogodnie.

– Mieszkałam wtedy w domu w Piotrkowie Trybunalskim. Po głowie chodziła mi tylko jedna myśl. Spotkać się z siostrą. Napisałam do spisu ewidencji ludności Warszawy. Chodziłam wówczas do piątej klasy podstawówki. Byłam szczęśliwa. Uwierzyłam w siłę marzeń. Spotkałyśmy się po latach w Warszawie. Dziwnie to brzmi, ale tam myśmy się właściwie poznały – opowiada.

– Ale to już nie było tak, jak kiedyś – dodaje. – Tak bardzo kochałam siostrę. Lata rozłąki sprawiły, że już mnie nie potrzebowała. Była taka zimna i obojętna – mówi ze smutkiem i dodaje: – Bardzo cieszyłam się, że Bóg pozwolił mi chociaż ją zobaczyć.

Życie toczyło się dalej. Pani Wanda Downar stała się piękną kobietą, do dziś uroda pozostała. Piękne czarne oczy i delikatne rysy twarzy. Skończyła szkołę krawiecką. Potem pracowała w Spółdzielni Inwalidów. Pojawiły się pierwsze miłości. Spotkała na swojej drodze ludzką życzliwość, miłość, opiekę. W roku 1964 poznała swojego przyszłego męża. Wyszła za niego po dwóch tygodniach znajomości.

– Fredek jest inwalidą wojennym i też nie miał lekkiego życia – dodaje.

Wspólne doświadczenia i niełatwe życie zbliżyły ich. Pozwoliły stworzyć dom pełen ciepła i miłości. Każde z nich ma po 560 złotych renty. Oboje są niepełnosprawni, schorowani. Pieniądze, transport, opłaty. Na życie i drobne potrzeby pozostaje niewiele. Marzenie o małym fiacie jest dla nich nierealne. Mieszkanie jest nieprzystosowane dla ludzi niepełnosprawnych. Jest na parterze, by do niego dotrzeć, należy wspiąć się po schodach. Dostali je od gminy, nie bez walki.

– Razem dajemy sobie jakoś radę. Skormnie sobie żyjemy. Ale osobno byłoby naprawdę ciężko – mówi z zakłopotaniem pani Wanda.

Milknie. Spogląda ufnie na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Po chwili spokojnie wtrąca: – Zawierzyłam swoje życie świętej panience. Tyle złego mnie spotkało. Ale ja dalej potrafię się uśmiechać. Bóg mnie prowadził przez życie. To, że teraz tu jestem to też jego zasługa. Czuwa przy mnie zawsze! – uśmiecha się delikatnie i mocno zaciska w jasnych dłoniach czarny różaniec.

Dobrogniewa Stachowiak (Dobuś)

STRACONE ŻYCIE

(2010)

*Bezdomność równa się samotność, bezradność i brak miłości,
życie po drugiej stronie, po stronie cienia...*

Rynowo to wioska w powiecie łobeskim, w województwie zachodniopomorskim. Ludzie mówią, że to zapomniane miejsce. Kilka domów, mały sklepik, zniszczony pałac i ośrodek dla bezdomnych o symbolicznej nazwie „Diogenes”. Idę brukowaną ulicą i już z daleka widzę cel mojej podróży – stary blok z nierównymi oknami oraz zrujnowaną gorzelnię. Mijam tablicę informacyjną. Ludzie piłują drzewo, wieszają pranie. Wchodzę do budynku. Mały korytarzyk prowadzi do stołówki. Drewniane stoły, betonowa posadzka, niedawno odmalowane ściany – czysto i schludnie. Na ławce przed budynkiem jakaś pani pije kawę, druga obiera ziemniaki, a z kuchni przez otwarte drzwi dochodzi zapach gotowanego obiadu. Rozglądam się ostrożnie i widzę jeszcze kilka osób, patrzą na mnie pytająco i zaczepnie. Z sekretariatu wychodzi kierowniczką, za chwilę zwoła spotkanie całej społeczności. Tak mówi się tu o mieszkańcach – „społeczność”. Poza szefową jest tu jeszcze pan Andrzej – brygadzysta i pani Magda – terapeutka.

Porządek dnia w „Diogenesie” jest stały. O 7:30 śniadanie, w niedzielę o dziewiątej, po nim praca, a o jedenastej drugie śniadanie, ponownie praca aż do obiadu, który kuchnia wydaje o piętnastej. W sobotę wolne jest szybciej, bo już o trzynastej, a obiad o czternastej. W niedzielę oczywiście nikt nie pracuje, oprócz kucharzy i pomocy kuchennej. Od północy do szóstej rano – cisza nocna. Pracować musi każdy. Poza kuchnią pracuje się w kotłowni, w piwnicy – przy ziemniakach, w oborach – przy zwierzętach, w magazynie – przy segregacji odzieży, a także sezonowo w ogrodzie oraz przy porządkowaniu terenu wokół ośrodka. Życie mieszkańców „Diogenesa” przypomina trochę szkolny internat. Jednak problemy nie dotyczą sprawdzianu, niezaliczonej kartkówki czy wagarów – są o wiele poważniejsze. To alkoholizm, narkomania, konflikty z prawem, a także

życiowa bezradność, brak pomysłu na siebie i samodzielną egzystencję. Główną przyczyną jest zaburzona socjalizacja, spowodowana na przykład pobytem w domu dziecka, bądź patologią środowiska wychowawczego. Nauczyli się już o tym opowiadać.

Piotrek

Młody, ma 31 lat, postawny mężczyzna z ogoloną głową. Nie patrzy w oczy, jego wzrok błądzi po ścianach. W oczach niepewność, stale trzęsące się ręce, boi się rozmowy. Po śmierci matki, gdy miał 2 lata, zabrali go do bidula. Ojca pozbawiono praw rodzicielskich, nie interesował się domem. Braci Piotrka adoptowali obcy ludzie, nie ma z nimi kontaktu. W domu dziecka był do swojej osiemnastki. Przechodził z rąk do rąk, z miejsca na miejsce, przez ośrodki wychowawcze, poprawczaki. Ale bezdomność zaczęła się od ucieczki.

– Miałem osiemnaście lat, kupili mi bilet do Warszawy i parę spodni, powiedzieli, jedź, dasz radę. No i tak pojechałem z jedną reklamówką. Nie skończyłem nawet dziewiętnastu lat, a już wylądowałem w więzieniu. I tak poszło wszystko po linii – mówi powoli. – Siedziałem na ogół za pobicia i bójki, bo jak mnie ktoś sprovokuje, to wybucham. Na przykład nienawidzę takiego chu..., za przeproszeniem, zaraz mi ciśnienie rośnie i szybko gaszę uśmiechy. Łącznie kiblowałem 10 lat. W przerwach szukałem pomocy, chciałem ułożyć sobie życie, ale bez pracy nie miało to sensu. A kto przyjmie skazanego? Moja kuratorka w niczym mi nie pomagała. Kolejna osoba, która mówiła: „radź sobie sam”. W więzieniu resocjalizacja robiona jest na sztukę. Na przykład przy ostatniej odsiadce zrobili mi kurs na wózki widłowe, ale znowu wsadzili mnie w pociąg i radź sobie, dalej jesteś sam chłopaku. Teraz jestem na warunkowym. Poznałem dziewczynę, trochę razem pomieszkaliśmy, ale z każdej pracy mnie wywalali, gdy dowiadywali się, że siedziałem. W końcu zamieszkaliśmy tu. Może z czyjąś pomocą się uda – wzdycha. Z Kamilą planuje ślub, najlepiej na przełomie czerwca, lipca. Uśmiecha się pierwszy raz, kiwa głową i mówi, że to taki krok w normalność. – Teraz planujemy to życie poukładać w jedną kupę. Żeby to jeszcze wszystko wykorzystać w miarę normalnie, żeby nie było tak, że wpadniemy w tą bezdomność i już nie ma szans na jakieś normalne życie. Myślę, że tu będzie ta szansa, że wyjdziemy z tego oboje – zawieszają głos i patrzy przed siebie, ale już bez uśmiechu.

Wujek Zenek

Zenek od razu wzbudza sympatię. Korpulentny, siwiejący, z miłym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Rozmowę zaczyna sam. – Mam na imię Zenek, czego chciałaby pani się ode mnie dowiedzieć? Trafił tu w 2009 roku. W lutym przywieziono go do ośrodka, bo po prostu nie miał gdzie mieszkać. – Mieszkałem w szkole dziewięć lat. Dopóki mogłem, płaciłem czynsz, kiedy nie mogłem, nie płaciłem. Zadłużony byłem i dzięki pani burmistrz i opiece właśnie się tu znalazłem. Jego pobyt w Rynowie jest tymczasowy, jest o tym przekonany, bo nigdy nie miał konfliktów z prawem, nie pije, ot czasem fajkę zakurzy.

– Czekam, aż rodzina wyremontuje stary strych i właśnie wtedy z nimi zamieszkam. Wezmą wujka na swoją posiadłość, mały kątek mi wystarczy – szczerze się śmieje. Jego nadzieja na normalne życie i pewność, że jeszcze wszystko dobrze się ułoży, są widoczne gołym okiem.

Janek

Janek jest niewysoki, ma twarz poorly zmarszczkami, dziwi się, że ktoś chce z nim rozmawiać. Terapia w ośrodku to co innego. Tu trzeba mówić. Ale jakaś obca osoba, „po co jej?”. W 2001 roku rozpadło się jego małżeństwo, syn i żona zostali w mieszkaniu, bo „ono było jej”. Mieszkał trochę u mamy, ale ona jest alkoholiczką, bez szans. Mówiła, że jest niedobrym synem, bo nie pije. No to wybrał narkotyki. I tak się zaczęła jego znajomość z Monarem. Kontakty z synem ma bardzo dobre. – Będę chciał coś zrobić, żeby stąd wyjść, ale zobaczymy, jak to pójdzie. Najgorzej jest z tym mieszkaniem, bo to różnie bywa. Na przykład dostanę pokój na jakiś czas, ale później, jak umowa się skończy, będę musiał szukać dalej i tak w kółko. Może jakoś to będzie, mam taką nadzieję – kończy ze smutkiem.

Małgosia

Na korytarzu rozlega się płacz dziecka. Grzecznie pukałam do drzwi. Otwiera mi ładna brunetka, trzyma na rękach niemowlę. Tu mieszka i tu urodziła swoją córeczkę. Schemat się powtarza: ojciec popijał w domu, były sprzeczki, awantury, wszystko zaczęło się jednak od brata. Szykanował ją psychicznie, próbował wpłynąć na jej decyzje. Opowiada i patrzy ukradkiem na mężczyznę siedzącego obok. W końcu on nie wytrzymuje: – Brat żony nie akceptował naszego związku – wyszło jak wyszło. Ja z pracy zrezygnowałam przez jej brata, teraz bym ładne pieniądze zarabiał, miałbym własne mieszkanie – usprawiedliwia się. To ich pierwszy ośrodek. A dziecko było zaplanowane. Starali się o nie dwa lata. Małgosia milczy, a jej mąż wyjaśnia: – To przez stres, pijaństwo u niej w domu, nie zachodziła w ciążę. Mam jakąś pracę, ale jutro albo pojutrze będę jechał do miasta za lepszą się rozglądać i jak dobrze pójdzie, to po świętach nas tutaj nie będzie. Jak wszystko wypali z mieszkaniem, to damy radę.

Marianna

– Marianna Subda, alkoholiczka – przedstawia się, podając rękę. – Zaczęło się kochanie tak, że pojechałam do rodzinnego domu z biduła. Niestety, tam nie było warunków – byłam przez matkę maltretowana, poszłam z domu i zapoznałam koleżanki o dużo lat od siebie starsze. Tu lampeczka, tam lampeczka, tu papieroszek i tak się zaczęło. Piłam prawie czterdzieści lat. Byłam smakoszem. Byłam wrogiem alkoholu, niszczyłam go, łąłam go w gębę jak najwięcej – wyrzuca z siebie słowa jakby bez emocji, ale co chwilę zaciska nerwowo ręce, widać, że się denerwuje. – Byłam bez mieszkania. Napiłam się, to nie myślałam o tym, ale w końcu przyszedł taki czas, że

trzeba było się opamiętać. Poszłam do siostr zakonnych z Kalkuty. One mówią, że mnie przyjmą, ale nie wolno pić, a ja im na to, że właśnie o to mi chodziło. W styczniu poszłam opiekować się starszą panią, ale okazało się, że to jeszcze lepsza smakoszka niż ja. Więc mówię, tak się nie da. Lekarka mi powiedziała, że nie mogę rzucić od razu, bo to może uderzyć na głowę. Ale ja swój charakter znam, że jak nie rzucę od razu, to tak będę pod stołem leżeć, a rękę będę jeszcze wyciągać. Więc pojechałam do Katowic, znowu do tych siostr zakonnych. Tam byłam 4 lata. Przez dwa lata w ogóle nie spałam, tylko krzyżówki rozwiązywałam i kawę piłam.

Po tych czterech latach Marianna poszła do pani Basi z opieki. Powiedziała, że nie chce wrócić tam, skąd przyszła, bo już od sześciu lat nie pije. Zaproponowali ten ośrodek. Od tamtej pory to jej dom. – Mieszkam tu już od bardzo dawna, dobrze się tu czuję. Wiem, że jestem alkoholiczką, kiedy jadę do miasta, mogłabym się napić, ale nie chcę. Musiałam sobie powiedzieć, że mam problem i teraz chodzę z podniesioną głową po ulicy, mówiąc jestem alkoholiczką, ale wcale się tego nie wstydzę! Już nie.

Niebo nad „Diogenesem” powoli ciemnieje. Na pożegnanie słyszę szczekanie psa, kundel szarpie się jak wściekły, wrywa do przodu, na długość łańcucha, który zamocowano w prowizorycznej, zbudowanej z desek budzie. Nie ucieknie. Nie ma szans.

Kilka słów od autorki reportażu

Zapewne zastanawiacie się, dlaczego zdecydowałam się w szkolnej gazetce poruszyć tak trudny temat, jakim jest bezdomność. Przecież nas – licealistów – on nie dotyczy. To nieprawda. Mieszkańcy ośrodka, „Diogenes” i ich historie powinny pełnić dla nas szczególną rolę. Pokazują, jak wiele pokus czyha na człowieka. Jak niebezpieczne jest życie. Samodzielność, podejmowanie trudnych decyzji, założenie rodziny, wszystko to jeszcze przed nami. Ich życie to przestroga przed nałogami, przed ślepą miłością czy nieodpowiedzialnością. Życie mamy tylko jedno, musimy przeżyć je jak najgodniej! Warto pamiętać, że bezdomny nie znaczy gorszy, ale potrzebujący pomocy. Najlepiej oddają to słowa pani Heleny: – My chcemy pomagać tym ludziom. Chcemy, żeby ich bezdomność była tylko tymczasowa, ale żeby zmienić błędne myślenie takiego człowieka, który przez wiele lat nie miał domu, pracy, obowiązków, potrzeba czasu i cierpliwości. Wiemy, że takie miejsca jak nasze są potrzebne, że my jesteśmy tym ludziom potrzebni. Oni przecież są tacy jak my – tylko trochę bardziej zgubieni. Bezdomność może dotknąć każdego z nas!

Nina Tuziak

WUJEK

(2010)

Opinia psychologa była jednoznaczna – te dzieci są stracone dla świata.

Nie rozwiną się prawidłowo. Nie wyjdą z traumy.

On nie uwierzył, dla niego były darem od Boga.

Rodzina Styczników mieszkała w Złocięcu. Przyjechał do nich z funkcjonariuszem policji zajmującym się sprawą. W domu była matka z dziećmi. Zapuszczone mieszkanie cuchnęło spalenizną. Na ścianach widoczna gruba warstwa pleśni. W tym miejscu znalazł Olę i Kubę. Dwójkę czteroletnich bliźniaków. Wspomina, że dzieci bały się obcych. Zobaczył je chowające się pod brudnym, zapleśniałym kawałkiem materiału, który kiedyś był dywanem. Wyszedł, niosąc oboje na rękach. Ważyły zaledwie kilkanaście kilogramów. Matka nie miała oporów przed oddaniem syna i córki obcym ludziom. Mówiła, że je kocha, ale trzymając Kubę na kolanach, wyciągała rękę z dzieckiem w stronę nieznanym. Kobieta zajmująca się sprawami adopcji rozplakała się. Płakała, widząc, jak matka oddaje dobrowolnie swoje dzieci. Rozebrali je już na klatce schodowej. Były zawszone. Kuba miał dziurawy bucik, wystawał mu duży palec. Był cały czarny. Pierwsza myśl, że był czarny z brudu. Okazało się, że miał przedziurawione rajstopki, bucik tak uciskał palec, że zsiniał z braku dopływu krwi. Dziewczynka miała na ciele sińce. Jej brat mocno rozcięty łuk brwiowy i rany na plecach. Żyły tam jak przestraszone zwierzęta. W nowym miejscu przez kilka dni nie mogły spokojnie zasnąć. Płakały. Bały się.

Zestaw dziecko-nocniczek

W dawnym domu były wyganiające podczas nocnych libacji alkoholowych na strych. Wspominały, że pewnej nocy spadł na nich z sufitu tynk. Obudziły się przerażone. Od tamtej pory miały uraz. Ola była karmiona tylko chlebem i kiszonymi ogórkami. Jej brat od czasu do czasu dostawał trochę skwarek. To ich smaki z dzieciństwa. Jadły rękoma, działały pod wpływem instynktów. Najadały się na zapas i chowały jedzenie pod

poduszki. Każdy głośny dźwięk wywoływał w nich strach, krzyk i popłoch. Chowały się pod stołem, za fotelami, za półkami. Chodząc garbiły się jak małpki. Nie знаły znaczenia słów. Gdy mówił, żeby pokazały ręce lub odwróciły się, patrzyły na niego zdziwionymi oczyma.

– Skoro ludzie w cyrku potrafią nauczyć zwierzęta ludzkiego zachowania, to ja też nauczę te dzieci życia. Dziwnie brzmi, prawda? Sprawdza moją reakcję i opowiada dalej.

– Często chodziły do toalety. Myśleliśmy z żoną, że mają kłopoty z pęcherzem. A wiesz, co się okazało? Nie miały w domu toalety. No i spuszczenie wody było największą zabawą. Przyglądały się tej wodzie.

W tamtym życiu, gdy ojciec wracał pijany do domu, załatwiała się do nocnika. A on traktował dziecko jak zestaw dziecko-nocniczek – kopniakiem. Pan Wiesław pokazuje mi, jak to wyglądało. – Taki tatuś! – kwituje. Opowiada też o ciosach z pięści, które były codziennością. Tak silny cios powaliłby dorosłą osobę, a co dopiero czterolatka.

Psychologowie jednak uznali, że rodzina Styczniów może się poddać resocjalizacji i wyzwolić z patologii. W oczy razi zdanie pani psycholog: „Matka kocha swoje dzieci”.

Pan Wiesław postanowił pomóc. Powiedział, że będzie ich woził tam i z powrotem, kiedy tylko zapragną widzieć Olę i Kubę.

– Przyjechali odrobinę pijani – pokazuje wymownie na szyję. – Usiedli, każdy w swoim fotelu. Nie przywitani się z dziećmi. Musieliśmy przez dwa dni wietrzyć mieszkanie po nich. Tak wyglądały ostatnie odwiedziny. Od nich minęły trzy lata.

Życie cudem jest

Ola pierwsza nauczyła się pisać własne imię. Była z tego bardzo dumna. Jej rodzona matka miała przeblyski uczuć tylko wtedy, gdy piła. Dzwoniła. Wtedy Ola chwaliła się nowym życiem, że umie pisać. Przepity głos w słuchawce gasił jej radość: „A po co ci pisanie, ważne, że mamusia cię kocha”. „Nie chcę, żebyś mnie kochała, ja mam już kogo kochać” – krzyczała w odpowiedzi. Kuba miał chorobę sierocą. Kiwał ciągle głową. Psycholog uznał, że nie pozbędzie się tego przez długi czas. A on pozbył się tego odruchu. Jak?

– Przez zabawę i żarty – wokół oczu pana Wiesława pojawiają się zmarszczki od szerokiego uśmiechu.

– Mówiłem mu, siedząc obok: „Kuba, komu ty się tak kłaniasz? Z kim się tak witasz?”. Wiedział, że żartuję, śmiał się i mówił do mnie: „Wujek”. Kontrolował kiwanie. I je pokonał. Opinię o dzieciach od psychologa rodzina Piotrowskich dostała po dwóch miesiącach. Stwierdzono, że nie nadają się do prawidłowego funkcjonowania w społeczeństwie i nie są w stanie dostosować się do normalnego życia.

– Gdyby pan wiedział wcześniej o tym, zrezygnowałby pan z ich adopcji? Pan Wiesław myśli przez chwilę.

– Nie, ale opinia została wydana za późno i jest mylna. Te dzieci pani psycholog spisała na straty – irytuje się.

Skromny wujek

Pan Wiesław zawsze miał słabość do dzieci. Swoich nie miał. Kilka lat temu odwiedził osierocone dzieci w Mostach. Zobaczył, jak jeden z maluchów próbuje otworzyć lodówkę. Drzwi były zamykane na kij od szczotki, żeby się nie uchylały. Stwierdził, że musi im pomóc. Następnego dnia przywiózł dużą lodówkę. Dzieci zaczęły nazywać go swoim wujkiem. Prosiły o inne rzeczy: „Wujku, przywieź nam odkurzac. Wujku, przywieź nam radio. Wujku, przywieź pralkę!”. Do nich dołączyła się pani: „Suszarka by nam się bardzo przydała!”. Załadował wszystko na przyczepkę i przywiózł. Dzieci wiedziały, że wujek lubi ciasto. Upiękły ogromną blachę. Obiecał im wycieczkę na poligon drawski. Zabrał je, choć opiekunka żartowała, że przywiezie je po godzinie. A oni spędzili razem całe popołudnie.

– To niewiarygodne, jak bardzo są spragnione domu – urywa i zawieszają głos na kilka sekund. – Na koniec zaproponowałem im zobaczenie samolotu lub wizytę w moim domu. Wybrały dom.

„Państwowe dzieci”

Na adopcję czekali trzy lata. Aż tu niespodziewany telefon w środku dnia. Możliwość przygarnięcia czteroletniej Oli z bratem lub osobno. Nie spodziewali się takiej propozycji, planowali adopcję jednego dziecka. Powiedział wtedy do żony: „Jak matka rodzi, to też nie wie, co ją czeka, ile dzieci przyjdzie na świat. Bierzemy!”. Zgodziła się. Pan Wiesław żartuje, że to są „państwowe dzieci”, „dzieci z przydziału”. Sprawę o przyznanie im praw rodziny zastępczej wygrali. Wyrok zapadł – dzieci zostają w Drawsku. Rozpierała ich radość. Chwile zachwytu trwały krótko. Żona pana Wiesława zachorowała. Diagnoza – rak piersi. Konieczna amputacja obu piersi. To był cios. Z jednej strony radość, z drugiej smutek.

– Te dzieci to dar od Boga. One zjawiły się w naszym życiu nie bez powodu. W tak ciężkiej chwili mogliśmy mimo wszystko się cieszyć. Pomogły nam pokonać chorobę – wspomina wzruszony pan Wiesław.

Teraz państwo Piotrowscy czekają na sprawę sądową o przyznanie pełnych praw. Pan Wiesław nie może się doczekać, wierzy w powodzenie. A dzieci nawet nie chcą słyszeć o biologicznych rodzicach.

Wiosna

Wspięły się prędko na duży skalniak w ogrodzie i radosnymi okrzykami ogłosiły, że wiosna nadeszła, ponieważ zakwitły krokusy.

– Dzisiaj rano Kuba powiedział, że idzie do szkoły bez rękawiczek – śmieje się pan Wiesław. Widać radość bliźniaków. Kuba zakochał się w historii i w starych przedmiotach. Ola uwielbia czytać. Każdą przeczytaną bajkę opowiada na głos. Tego nauczył ją brat. Siedział w swoim pokoju z książką w dłoniach. Zapytany o to, co robi, wyznał zakłopotany, że czyta. Nikt jeszcze go tego nie uczył. Ale chłopiec powtarzał ten rytuał przez kilka dni. Sam składał literki aż do płynnego czytania. – Kuba jest niemożliwy, on nie umie usiedzieć w miejscu. Ola powoli staje się Olką, nabrała wagi i zaczyna się stroić – ekscytuje się pan Wiesław. Dzieci są ufne, chętnie nawiązują kontakt. Zarażają śmiechem i radością. Należą do trójki najlepszych uczniów w klasie.

Dobrogniewa Stachowiak

DOPALACZE? BEZ PROBLEMU

(2011)

Na potrzeby tego artykułu przeprowadziliśmy małą prowokację dziennikarską. Nasza 17-letnia redakcyjna koleżanka, udając klientkę, odwiedziła sklep z dopalaczami. Robiąc to, chcieliśmy pokazać i udowodnić rzecz przerażającą: kupowanie przez nieletnich substancji, które zabiły już wielu młodych ludzi w Polsce, odbywa się w miłej atmosferze przyzwolenia społecznego. Apelujemy do dorosłych: „Zróbcie z tym coś!”. Ale najpierw przeczytajcie, jak naprawdę wygląda sprzedawanie dopalaczy.

Centrum miasta. Wokół pełno samochodów i zmierzających gdzieś tam ludzi. Wśród nich ja. Już z daleka widzę budkę z kurczakami, a obok niej szyld: „Dopalacze shop – Sklep kolekcjonerski”. Wiem, co tam znajdę. Wchodzę po schodach, otwieram drzwi... Parter. Białe ściany korytarza, czysto i schludnie. Nic nie wskazuje na to, że w tym miejscu sprzedają porcjowaną śmierć. Na korytarzu pytam napotkanego starszego pana, gdzie znajduje się sklep z dopalaczami. – Te drzwi na prawo – odpowiada i uśmiecha się szeroko. Dziękuję za wskazówkę i wchodzę...

Półki wypełnione przyrządami do palenia, wciągania i kruszenia tabletek rzucają się w oczy. Niektóre widzę pierwszy raz, chociaż o większości słyszałam już wielokrotnie. Tu, w środku jest miło, biało i czysto. Podłoga wyłożona panelami, ładny żyrandol – po prostu luksus. Stojąca za ladą młoda blondynka uśmiecha się do mnie. Ot, zwyczajowy uśmiech witający kolejną klientkę. Ukrywając w kieszeni dyktafon podchodzę, przyglądam się dokładnie wystawionym na blacie pudełeczkom. Pytam o rodzaje, ceny i działanie kilku: – To jest do palenia – pokazuje niewielką paczuszkę. – Ceny za wszystkie rodzaje są takie same: 34, 99 zł za gram, bo mamy już tylko same resztki. Ale niedługo będziemy mieli nową dostawę – zapewnia skwapliwie, prezentując jednocześnie zielone i niebieskie opakowania. Poprawiając fryzurę, wskazuje na granatową folię z narysowanym chińskim znaczkiem: – Najmocniejszy jest „Tajfun” – uśmiecha się, jakby mówiła: „Rozumiemy się, nie?”.

– Nie odlecę po tym za bardzo? – pytam. – Nie, nie! Efekty są takie, jak po jaraniu dżezu. Ten na przykład jest smakowy, waniliowy, a ten nie ma żadnego smaku – pokazuje bez skrępowania.

Pełen profesjonalizm. Przechodzi do kolejnej półki. – To są tabletki na energię i euforię. Te tutaj są słabsze, a te mocniejsze – prezentuje czerwone opakowania. Przechodzi dalej, swobodnie opowiadając o zawartości kolejnych paczuszek, jakbym wybierała pomiędzy Snickersem a Marssem.

– Ogólnie człowiek po nich się śmieje, gadka mu się włącza i takie tam różne historie. A tutaj są już tylko proszki – pokazuje dwa ostatnie pudełeczka. – I to się wciąga do nosa? – pytam, udając zszokowaną. – Tak, ale nie polecam tego na początek. Tabletek też, jeżeli ktoś wcześniej nie brał. Najlepiej zacząć od palenia – odpowiada.

Słyszając kroki, odwracam się. Spokojnie, z pewną dozą lansu wchodzi do sklepu młody chłopak. Wygląda na osiemnastolatka. Staje przy ladzie, w bluzie z kapturem i ukrytymi rękoma w kieszeniach, przypatrując się wystawionym na półkach produktom. Przysłuchuje się odpowiedzi mojej rozmówczyni i dodaje. – To jest lepsze niż marihuana. Ma się po tym fajne fazy, pełen odjazd. Jak chcesz się dobrze zabawić, po prostu nabij lufę i rozkręć imprezę.

Bez słowa podchodzę do półki zastawionej przez różnokolorowe, fantazyjnie powykręcane bongy. Przyglądając się im, w ostatniej gablotce, zauważam kolorowe, długie pudełeczka. Widząc moje zainteresowanie, sympatyczna blondynka wyjaśnia: – To są bletki smakowe. Skręcasz sobie jointa i palisz jak papierosa. Te tutaj – pokazuje pierwsze z brzegu opakowanie – są waniliowe. Bardzo dobre. Polecam!

Chwilę stojąc, niby zainteresowana kupnem jednego z produktów, przyglądam się ulotce leżącej na ladzie. Na zdjęciu liść marihuany, a na nim napis: „Moc zabawy”. Tłumacząc miłej blondynce, że muszę się naradzić z przyjaciółmi, wychodzę ze sklepu. Na korytarzu znów spotykam uroczego starszego pana. Żegnając się, wychodzę przez brązowe drzwi.

Czując już powiew świeżego powietrza, zerkam na dwóch młodych ludzi. Jeden z nich w naciągniętym kapturze siedzi na rowerze. Nerwowo uderza nogami o pedały, jakby na coś czekał. Niecierpliwie. Rozmawiają przyciszonym głosem. Przechodząc obok, jeszcze raz spoglądam w ich kierunku. Czytam wiszącą pod budką reklamę, odwracam się i odchodzę zamyślona.

Lena Kaczmarek

ZBUDOWAĆ DOM

(2012)

*„Może nie umiemy ładnie mówić, nie jesteśmy wykształceni,
ale wiemy, że na pewno kochamy swoje dzieci”*

– wyjaśnia z przejęciem pan Ryszard, trzymając w objęciach Elę.

Początek

Dzień zaczyna od mocnej kawy. Wie, że będzie wyczerpujący. Leci do pokoju Eli, która właśnie szykuje się do szkoły. Pomaga jej się ubrać. Dziewczynka chodzi do Szkoły Podstawowej w Pomierzynie. Poszła o rok wcześniej, bo jest zdolna. W sypialni leży Piotruś. Musi go przełożyć na drugi bok, by nie miał odleżyn. Głaszcząc go po głowie na powitanie. Potem szykuje śniadanie dla Eli i męża. Ryszard odziedziczył gospodarzkę po ojcu. Uprawia jednak tylko kawałek ziemi, aby mieć coś swojego.

– Mam spory kawałek ziemi, ale co z tego? Nie uprawiam, bo sytuacja w domu mi na to nie pozwala. Jest rencistą, ale wybrano go na sołtysa wsi Pęplówek. Ich życie dawniej wyglądało zupełnie inaczej. Dzieci ożywiły dom. Kiedyś był pusty. Czasami tylko, kiedy przyjeżdżała rodzina, mogli zaopiekować się małutkimi siostrzeńcami. Brakowało w domu pociech. Pragnęli mieć własne. Jednak nie mogli.

Postanowili zostać rodziną zastępczą. Zgłosili się do ośrodka, który pomaga przyszłym rodzicom zastępczym w Koszalinie. Najpierw musieli przejść szkolenie. Udało się.

Telefon zadzwonił siódmego czerwca, sześć lat temu

Chcieli przysłać szesnastoletnią dziewczynę. Znajomy jednak im odradzał. Opinia o niej nie była dobra. Były już z nią wcześniej problemy. Uciekała z ośrodka, w którym była, nie słuchała opiekunów, po prostu zbuntowane dziecko. Czekali na telefon. W końcu zadzwonili siódmego czerwca, sześć lat temu. Pojechali na poródkę.

– Byliśmy szczęśliwi. Nie mogliśmy się doczekać. To był nasz najszczęśliwszy dzień. Nic więcej nam nie brakowało. Urodził się zdrowy chłopczyk, Piotruś. Dostał dziesięć punktów w skali Apgar. Matka chłopca miała 16 lat i została prawdopodobnie zgwałcona.

– To był dla nas najpiękniejszy dzień – wspomina pani Krystia ze łzami w oczach. Po sześciu dniach zabrali Piotrusia do domu. Wszystko było gotowe na przyjazd dziecka. Byli tacy szczęśliwi. Wiedzieli, jak zajmować się chłopczykiem.

– Nic trudnego. Najważniejsze, żeby opiekować się z sercem. Reszta sama przyjdzie – zapewnia, patrząc na mnie z przekonaniem. Po pięciu miesiącach zadzwonili ponownie z ośrodka.

19 listopada na świat przyszła maleńka Ela. Była śliczna. Zabrali ją ze szpitala po tygodniu. Jej matka to alkoholiczka. Mieszka w Mińsku Mazowieckim. Każde dziecko oddała do adopcji. Dziś po tych kilku latach tłumaczy Eli, że nie mogła jej wychować. – Ja wiem, ja wiem – krzyczy nagle dziewczynka z kuchni.

– Kocham swoją mamę Krystynę i tą, co nie mogła się mną zajmować. Tatuś mi powiedział, że mamusia bardzo mnie kocha, ale nie może się mną zajmować i opiekować. Mogła być chora i dlatego mnie nie wychowuje – tłumaczy sześciolatnia Ela.

Dobry Boże, proszę Cię, uzdrow mnie...

Pani Krystyna zrobiła gorącą herbatę. Rozmowa się rozwija. W domu jest bardzo przytulnie i rodzinnie. W pokoju gra telewizor. Leci właśnie bajka dla dzieci. Ela biegnie ją oglądać. Siedząc w kuchni z całą rodziną, przyglądam się panu Ryszardowi. W kącie widzę biurko, na którym leży pełno książeczek. Pewnie Eli. Mieszkają na wsi, mają własny skromny domek. Gołym okiem widać, że wymaga remontu, ale wokół jest wszystko pięknie wysprzątane.

– Piotruś i Ela mieli niecały roczek. Żona zaczęła coś zauważać. Choć są w tym samym wieku, to inaczej się rozwijali. Ela wciąż się uśmiechała. Piotruś był inny. Wtedy zaczęliśmy się zastanawiać – wspomina pan Ryszard ze smutkiem. Pani Krystyna karmi Piotrusia jogurtem. Robi to bardzo starannie i powoli. Wsłuchuje się w słowa męża. Nic nie dodaje. Uśmiecha się do synka. Wyciera mu buzię i czule do niego mówi, że pięknie je.

– Pojechaliśmy z żoną do lekarza. I wtedy się zaczęło. Wiadomość była szokująca. Porażenie mózgowie. A przecież lekarze zapewniali nas, że nasz synek jest zdrowy – mówi rozżalony pan Ryszard. W dziesiątym miesiącu życia rozpoznano jeszcze wadę wrodzoną układu nerwowego, otwartą szczelinę mózgu z niedorozwojem półkuli prawej.

– Na początku nie wiedzieliśmy, co robić. Razem z mężem postanowiliśmy walczyć – włącza się do rozmowy pani Krystyna. – Taka choroba, jak z nią walczyć? Jednym słowem szok! – na twarzy pani Krystyny widać smutek i przygnębienie. Piotruś cały czas siedzi na jej kolanach. Co chwilę patrzy na mamę i zawstydzony uśmiecha się. Mama głaszcze go po głowie.

Nie wiedzieli, jak mają zajmować się chorym dzieckiem. Nikt im nie powiedział, jak rehabilitować synka. Ile razy podnosić i rozciągać jedną rączką, a ile drugą. Jak z nim ćwiczyć, aby był w dobrej formie. Zaczęli szukać pomocy w gminie.

– Zgłosiliśmy się do logopedy – Urszuli Jarzyńskiej. Od tamtego czasu jeżdżę z synkiem systematycznie raz w tygodniu na zajęcia. Piotruś bardzo lubi panią Ulę. Zawsze, gdy ją słyszy, tak pięknie się uśmiecha. Ćwiczy z nią i robi to bardzo chętnie – opowiada pani Krystyna.

– Pani Ula bardzo nam pomaga. Czasem bywa tak, że zajęcia nam przepadają z powodu wyjazdu do Warszawy na rehabilitację. Wtedy, jak wracamy do domu, staramy się nadrobić wszystkie zaległości. Synek bardzo lubi ćwiczyć. Mówimy mu, że musimy ćwiczyć, żeby być zdrowym – dodaje pan Belkiewicz. Pani Krysia jest na zajęciach logopedycznych, ponieważ chłopczyk bardzo płacze, gdy nie ma przy nim matki zastępczej. Jest bardzo do niej przywiązany. Chce czuć jej obecność i słuchać jej głosu. Często jeździ z nimi Ela.

– Nasza córeczka ćwiczy z braciszkiem. Kiedyś powiedziała, że gdy dorośnie, to zostanie lekarzem, żeby wyleczyć Piotrusia z choroby – ze łzami w oczach mówi pan Ryszard. Cała rodzina od pięciu lat jeździ do Mazowieckiego Centrum Neurorehabilitacji i Psychiatrii w Zagórzku koło Warszawy. Podróż jest bardzo męcząca, ale dziecko robi postępy. Rodzice zgłosili go do Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Niemieńsku. Piotruś z rodzicami chodzi też na zajęcia wczesnego wspomaganie rozwoju. To wszystko wymaga pieniędzy, ale rodzinie pomaga Fundacja Pomocy Osobom Niepełnosprawnym „Słoneczko”. Niektórzy mieszkańcy z gminy przekazali Piotrusiowi jeden procent podatku.

Jestem pełna nadziei, że to wszystko niedługo się skończy...

Kiedy choroba Piotrusia wyszła na jaw, prawie wszystkie instytucje zaczęły się nimi interesować. Nie mogli uwierzyć, że wszystkie kontrole mają jakiś głębszy sens. Aż w końcu nadszedł najgorszy dzień.

– Przyjechali do nas przedstawiciele z Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie z Drawskiego Pomorskiego. Na początku nie wiedzieliśmy, czego ma dotyczyć długa rozmowa u nas w domu. Zrobiłam kawę i spokojnie zaczęliśmy tłumaczyć. Pan Ryszard bierze w tym momencie Piotrusia na ręce. Ela przybiega do kuchni. Pyta tatę, czy może iść na dwór. On odpowiada z uśmiechem, żeby się ciepło ubrała. Pani Krystyna nie uśmiecha się. Widzę, że jest bardzo zmęczona.

– Zachowywali się jak jakaś inspekcja. Później i tak wszystko odwrócili przeciwko nam. Przeszkadzało nawet to, że Ela przyniosła łyżeczki do kawy. Powiedzieli, że wysługujemy się dziewczynką. To takie niesprawiedliwe. Marszczy czoło z nerwów pan Ryszard. W tym samym momencie Piotruś zaczyna się denerwować. Cały się napina. Kurczy mocno nogi. Wyczuł zdenerwowanie ojca. Mama chłopca pomaga mu uspokoić się. Każę wyciągnąć mocno nóżki. Masuje mu mięśnie. Po chwili znowu jest dobrze.

– Ale to był dopiero początek problemów. Na początku lipca 2011 roku przewodnicząca Sądu Rejonowego w Drawsku Pomorskim, pani Maria Szumilas, chciała umieścić dzieci na czas trwania postępowania w rodzinie zastępczej Jadwigi i Stanisława Bagińskich. – To było wielkim szokiem. Jak to może tak być, że odbiorą nam najważniejsze istoty na ziemi. Przecież my je kochamy. Są dla nas całym sercem, a jak mamy żyć bez serca? – zadaje pytanie pani Krystyna, która spogląda na synka. Uśmiecha się do niego. Każe mu zamknąć szeroko otwartą buźkę. Jej oczy są smutne i zmęczone. W głębi jednak widać, że dzieci i mąż są dla niej najważniejsi. Pan Ryszard siedzi na krześle. Zaczyna łapać Piotrusia za nogę. Piotruś szeroko uśmiecha się. Czuje obecność bliskich.

Pani Maria Szumilas swoje postanowienie uzasadniła tym, że Piotr Jawor nie był w warunkach domowych rehabilitowany ani nie była prowadzona wobec niego zalecana przez specjalistów rehabilitacja. W Przychodni Kompleksowej Rehabilitacji dla Dzieci i Młodzieży w Koszalinie potwierdzono złą jakość opieki rodziny zastępczej nad niepełnosprawnym dzieckiem.

– Napisali do nas pismo, w którym zawarli, że my nie opiekujemy się Piotrusiem, że jest zaniedbany. A przecież robimy wszystko, tak jak powinno być, a oni nam taką przykrość zrobili – z ogromnym smutkiem mówi pan Ryszard. A co synek miałby w ośrodku społecznym? Nie przeżyłby, gdyby nie żona. Tam wszystko robi się mechanicznie. Na jedno dziecko przypada 10 minut opieki, dwa pampersy i brak miłości. Piotruś wymaga dużo więcej czasu i troski – z oburzeniem wciąż mówi ojciec dzieci.

Pani Krystyna przyniosła grubą teczkę. Zaczyna pokazywać dokumenty. Aby pomóc mi zrozumieć całą sytuację, kseruje papiery. Trochę tego jest. Pani Krystyna zaczyna czytać zaświadczenie o odebraniu im dzieci. Pan Ryszard, pokazując palcem, tłumaczy urzędowe pisma. Zna je na pamięć.

Sąd Rejonowy chciał umieścić małą Elę Rusiecką w rodzinie adopcyjnej. Jest rodzina, która zainteresowała się dziewczynką. Państwo Jadwiga i Stanisław Bagińscy chcą zaadoptować Elę.

– Napisali do nas, że nie uregulowaliśmy sytuacji prawnej Elki. Dla nas już jest córką i nie potrzebujemy tego mieć na papierze. Przecież my wszyscy pokochaliśmy się. Łączy nas ogromna więź rodzinna. I co, teraz mamy oddać naszą Elę? Nie! Na pewno jej nie oddamy – stanowczo mówi ojciec dziewczynki. – Oprócz tego oskarżyli nas, że my to wszystko robimy dla pieniędzy. Powiedzieli, że nie określiliśmy sytuacji prawnej Eli, ponieważ chcemy brać pieniądze w ramach rodziny zastępczej. W innym przypadku, gdybyśmy zaadoptowali Elę, żadnych pieniędzy byśmy nie otrzymywali. A przecież te wszystkie wyjazdy na rehabilitację, do szkoły, na utrzymanie, nie pokrywają tych pieniędzy – z oburzeniem mówi pan Ryszard. – Mówili też, że Ela jest wykorzystywana do opieki nad Piotrem. Tak właśnie napisali w piśmie. To bzdura! Wszystko przekręcili – załamuje się głos pani Krystyny. Widzę, że ma łzy w oczach.

– Ela bardzo chętnie bawi się z braciszkiem i chce pomagać w domu. Dziewczynki w jej wieku chcą usługiwać i pokazywać, że są już duże. To nic dziwnego – tłumaczy ze smutkiem pan Belkiewicz. – Wszystko prze-

kręcili. A my musimy się tłumaczyć. Nasze życie to ciągła walka. Mogę tylko zapewnić, że nigdy nie oddam swoich dzieci – mówi stanowczo.

Tatus nie odda synka, nie odda nikomu!

Mama przytula mocno Piotrusia. On nic nie mówi, bo nie potrafi. Uśmiecha się jednak. Widzę, że kocha matkę. Próbuje poruszać się, jednak nie ma na tyle siły. Mama wciąż go tuli. Przez całą rozmowę Piotruś siedzi z nami w kuchni. Jest bardzo grzeczny.

Widać ogromną więź. – Pamiętam to pismo. Dostaliśmy je na początku czerwca ubiegłego roku. Biała kartka, a na niej duże, wytłuszczone litery: „Nie zostali zakwalifikowani”. W oczach pana Ryszarda znowu smutek. Tyle emocji w jednym zdaniu. Pan Ryszard nie chciał jednak tego długo tłumaczyć. Z dziwnym przekąsem na twarzy odwrócił się do syna. I wtedy dopiero się uśmiechnął. Ma już dosyć.

W ubiegłym roku zgłosili się na szkolenie w ramach programu „Rodzina”. Nie przeszli go. Dotyczyło ono tego, czy mogą zostać rodziną zastępczą już na zawsze. Uzasadnienie: „zaniedbywali niepełnosprawne dziecko”. I znowu wszystko pod górkę. – Nie mam już siły. To wszystko nas przerasta – mówi zdesperowana mama. – Mamy oddać dziecko, które kochamy? Nie! – zapiera się ojciec. Pan Ryszard napisał zażalenie, w którym przedstawił wszystkie dokumenty potwierdzające rehabilitację Piotrusia. Użył w nim prostych słów. Przedstawił rachunki, opisał, jak kochają dzieci i jak się nimi zajmują. I wtedy los się uśmiechnął. Pierwszy raz. 11 lipca ubiegłego roku dostali list. Bali się go otworzyć – niepotrzebnie. Tym razem pani Maria Szumilas postanowiła uchylić postanowienie o umieszczeniu Piotrusia w domu pomocy społecznej i Eli w rodzinie zastępczej. Najbardziej ucieszyły ich słowa: „Wskazali, że otrzymane przez nich pieniądze stanowią tylko część kosztów utrzymania dzieci”.

– To jest dla nas najważniejsze! W końcu uwierzyli, że gdzieś mamy pieniądze. Życie i zdrowie dzieci jest dla nas najważniejsze! – podnosi głos pan Ryszard.

Nie można zabić miłości...

Pokochali dzieci takie, jakie są. Walczą o to, co po trudach udało im się zbudować. Mała Ela jest radosna i bardzo otwarta w kontaktach z ludźmi. Piotruś najlepiej lubi ciepły głos pani Krysi i czułe głaskanie rodziców. Źle znosi obecność obcych.

– Ten dom bez dzieciaków byłby pusty. Nie mogłabym żyć bez nich. Moja rodzina jest cudowna. Czekamy właśnie na sprawę sądową, w której się okaże, jak dalej będzie. Wiemy jedno – nigdy się nie poddamy. Będziemy walczyć do końca – stwierdza z przekonaniem pani Krystyna.

Sąd nigdy nie powinien rozdzielać dzieci. Piotruś nie przeżyłby, gdyby nie pani Krystyna. Nikt w ośrodku nie spędzałby z nim tyle czasu. Nikt nie martwiłby się, że Piotruś drętwieje ze strachu. Rodzice znają każdą jego minę, wiedzą, kiedy najbardziej ich potrzebuje. A Ela? – Ela to mój skarbek. Oczko w głowie taty. Kocham oboje!

Marta Stympin, Klaudia Andryka

SPOWIEDŹ NARKOMANA

(2013)

„Życie narkomana jest jak supermarket. Idziesz między półkami, wybierasz, co chcesz. Przez chwilę jesteś nawet zadowolony. Ale na końcu dochodzisz do kasy i za wszystko musisz zapłacić. A samo ćpanie? Jest jak całowanie się przez szybę. Jesteś, widzisz, ale nic nie czujesz i niczego nie doświadczasz...”

Walcz. Stary budynek gdzieś w centrum miasta. Zanedbane drewniane drzwi. Od wejścia atakują nas latające wióry, trwa remont schodów. W obskurnej klatce schodowej czeka już na nas mężczyzna około trzydziestki. Zaprasza nas do swojego mieszkania. Pierwsze piętro. Mała kuchnia. W rogu piec, w szafce za szybą widać poukładane owocowe herbaty. Stawia przed nami półmisek z faworkami.

– Rozgośćcie się – zaczyna nieśmiało.

Rachunek sumienia

W domu było pod górkę. Rodzice pili od rana do wieczora. Za bardzo popuścili mi lejce. Stałem się dzieckiem ulicy. Z siostrą też nie miałem dobrych kontaktów. Ja miałem swoje życie, a ona swoje. Jedyne oparcie znajdowałem w kolegach. Tylko oni mnie rozumieli. Było nas w paczce czterech. Ucieczką od problemów były używki. Miałem piętnaście lat, dyskoteka, lufka. Od tego się zaczęło. Palisz? Jesteś kozak. Lepiej widzisz, lepiej słyszysz, lepiej się bawisz. Tak to się toczyło. Jarałem co weekend, balety, zabawa. Najpierw spokojnie, delikatnie – marihuana, hasz. Później to nie wystarczyło. Zaczęła się amfetamina, grzyby, tabletki. Ćpanie – taka nasza recepta na szarość.

Spowiedź

Tydzień składał się z odliczania do weekendu i zbierania kasy na towar. Na początku jeszcze dostawałem kasę od rodziców, mówiłem, że potrzebuję na bułki. Potem to minęło. Zaczęła się dorywcza praca, po roku już kradliśmy złom. Tak, żeby nikt nie widział. Wszystko, co zarobiliśmy, szło na towar. W końcu zaczęło się wyno-

szenie z domu. Złoty łańcuszek matki warty był trzy gramy amfetaminy. Braliśmy u kumpla na strychu. Łyżka, świeczka, półtora grama amfy, strzykawka i do żyły. Starzy kumpla wiedzieli, co się dzieje. Nieraz piliśmy z nimi wódkę. Wszystko bez sensacji, na porządku dziennym. Kiedy szliśmy ulicą, wszyscy schodzili nam z drogi, bali się. My nawaleni, pełni mocy, euforii. Podobało się nam, czuliśmy się jak królowie nieba i ziemi. Nikt nie myślał o tym, jak patrzą na nas ludzie. Teraz myślę, że byli nami przerażeni. A ja miałem na wszystko wy..ane. Na dziewczyny, na seks, rodzinę, szkołę. Liczyli się tylko ci, co ćpają i sprzedają. Stworzyliśmy sobie zamknięty świat, tylko my, igły, strzykawki, zabawa. Nikt z zewnątrz się nie mieszał, nie miał prawa. Marnowałem czas na siedzeniu w parku, wybijaniu okien, bluzganiu na ludzi. Po fecie rzucaliśmy nawet śmietnikami. Było coraz gorzej z kasą, ale z dilerami problemów nie było. Brałem na krechę, ale starałem się to robić racjonalnie. Nigdy mnie nie ganieli. Ale takie rzeczy się zdarzały. Pamiętam, jak jednego takiego podczepili do linki i ciągnęli za samochodem, bo miał trzy dychy długu. Tak to jest. Z dilerami nie ma przyjaźni. Tobie chodzi o towar, im o pieniądze. Biznes się kręci jak w sklepie, płacisz, bierzesz co twoje i wychodzisz. Nikogo nie obchodzi, co się dzieje potem. A potem było coraz gorzej. Do menu weszła belladonna, czyli bieluń, straszny halucynogen. Kiedyś kumpel przyniósł do szkoły 1500 sztuk. Wygląda to jak ziarnka sezamu, tylko ciemniejsze. Na początek kazał nam wziąć po sto ziaren. Nic nas nie kopło. Wzięliśmy po 600. Poszedłem na matkę i widziałem oddychające krzesło. Miałem takie fazy, że myślałem, że przyjadą po mnie kaftaniarze i zabiorą do psychiatryka. Nie tylko ja tak miałem. Mój koleżka widział i czuł, jak napuszcza wody do wanny, kąpie się i wychodzi z łazienki. Okazało się, że w łazience tylko zmienił koszulkę. Wszystko inne było halucynacją. Inny kumpel siedział w kuchni, pluł na podłogę, krzyczał. Matka się pyta, co mu jest. A on jej na to, że przecież siedzi z kumplami w parku. To była paranoja. Kiedyś wróciłem tak naćpany, że byłem w stanie tylko leżeć i się modlić, aby ten stan minął. Im dłużej się modliłem, tym gorzej się czułem. Jakby coś wysysało ze mnie wewnętrzności, jakby uchodziło ze mnie życie. Trwało to 48 godzin. Nie każdy mógł to wytrzymać. Pamiętam jak jedna dziewczyna miała zapaść. Naćpała się amfy, straciła przytomność. Zabrali ją do szpitala. Tam spała dwa tygodnie, skończyło się operacją na otwartej czaszce. Potem wyszła z narkotyków. Ale to w niej siedziało. Zaszła w ciążę i poroniła. Nigdy nie była zupełnie normalna.

Postanowienie poprawy

Z biegiem czasu robiło się coraz bardziej nerwowo. Dochodziło do spin między nami. Na przykład o to, kto ma wziąć więcej towaru. Kiedyś pobiłem kolegę, który miał narkotyki. Zabrałem towar i poszedłem. To się stało obsesją. Wypełniało całe życie. Kiedyś jeszcze udawało mi się łączyć ćpanie z wychodzeniem do szkoły czy do pracy. Doszedłem do takiego etapu, że oprócz brania nie liczyło się nic. Wylali mnie z roboty. Za co? No wiadomo. Zaćpałem i nie poszedłem kilka dni. W końcu powiedziałem sobie dość. Już nie mogę ćpać amfy! Próbowałem, ale głód był coraz silniejszy. Rozkojarzenie, zmęczenie, bolące kości, agresja. Aby się jej pozbyć, paliłem hasz. Popadałem ze skrajności w skrajność. Znalazłem zamiennik, zacząłem pić. A właściwie chlać na

umór. Potrafiłem nie trzeźwieć przez dwa tygodnie. Spałem tu w kuchni pod piecem. Albo czołgałem się jak wąż po podłodze do łóżka. Doszły inne kłopoty. Kiedy czułem, że dłużej tego piekła nie wytrzymam, postanowiłem się powiesić. Poszedłem do lasu, zawiązałem sznur. Na szczęście coś mnie odwiodło od tej myśli. Sam nie wiem co. Ale co by to nie było, dobrze że tak się stało. Tak dobrze jest znów żyć.

Zadośćuczynienie

Jak skończyłem z ćpaniem? To było piękne. Spotkałem kobietę. Dla niej się zmieniłem. Chciałem wiedzieć, jak to jest żyć normalnie. Dom stał się dla mnie prawdziwym azylem. Zawsze mogłem się tam schronić przed starymi kumplami, którzy namawiali na imprezy i ćpanie. Ale sam nie dałbym rady. Musiałem pójść na terapię. Strach był jak cholera, ale się przełamałem. Z ośrodka wyszedłem siedem miesięcy temu. I od siedmiu miesięcy tak naprawdę żyję. Raczkuje jak dziecko. Nie jest łatwo. Zdarzają się chwile słabości. Wtedy wychodzę z psem, rąbię drewno, czytam książkę. Poprawiły się moje stosunki z siostrą. Spotykamy się często, a kiedyś to było nie do pomyślenia. Powiem tak: szkoda życia na narkotyki, szkoda czasu, który przepadł. Ja straciłem dziesięć lat.

Marta Stympin, Mateusz Wiśniewski, Marcin Ratajczak

ULICA OJCZYSTA

(2013)

*Pani od polskiego zabiera ją po szkole do domu, zakłada na nogi szmaty,
obwiązuje sznurkiem i każe szurać nogami po podłodze. Szur, szur, szur, szur
– kiedy 11-letnia Zosia poleruje deski, nauczycielka wbija jej do głowy nowe słówka.
Zosia uczy się szybko. Musi. Jest rok 1945, dookoła sami Polacy, a ona mówi tylko po niemiecku...
A tego języka tu, w nowej Polsce, raczej nie kochają...*

Miejska legenda, niepotwierdzona w źródłach pisanych, mówi, że kiedy w lutym 1945 roku Armia Czerwona (a dokładnie 61 Armia 1 Frontu Białoruskiego) zdobywa Kalisz Pomorski, jej żołdaci tracą czujność upojeni wódką i bojowym sukcesem. Ten moment miała wykorzystać młoda Niemka, która jednym celnym strzałem z pancerna unieszkodliwiła radziecki czołg. Zginęli Rosjanie. Zemsta czerwoarmistów jest straszna. Miasto jest metodycznie niszczone, płoną budynki, niemieckie kobiety są gwałcone, a mężczyźni zabijani.

Nawet jeśli historia z młodą Niemką, pancernym i czołgiem jest nieprawdziwa to cała reszta niewiele odbiega od rzeczywistości. Po przejściu Armii Czerwonej 80% budynków w Kaliszu jest kompletnie zniszczonych. Miasto zaścieniają hałdy gruzów, przetykane gdzieś dymiącymi zgliszczami.

Dokąd nogi poniosą...

Do tego udręczonego miasta-trupa wraca z rodzicami 11-letnia Zosia. Mała dziewczynka, która wyjechała z rodziną z niemieckiego „Kallies”, a wróciła do polskiego „Kalisza”.

Dokładnie 68 lat później ta sama..., no, nie do końca ta sama, bo to już przecież starsza pani Zofia..., siedzi przy stole naprzeciwko nas i płynną polszczyzną opowiada swoją historię. Z niemieckiego zostało jej tylko delikatne, niemal niesłyszalne gardłowe „r”, które słychać w niektórych wyrazach.

Jej błyskotliwa, żywa inteligencja, doskonała pamięć oraz przede wszystkim poczucie humoru i pogoda ducha sprawiają, że opowieści o kilku pierwszych latach życia w polskim, powojennym Kaliszu słucha się z prawdziwą przyjemnością.

Chociaż one same do przyjemnych nie należą.

Jak choćby jedno z jej pierwszych wspomnień. To o ucieczce z Kalisza.

– Miałam pięć lat, kiedy z rodziną uciekliśmy z miasta... Taka jest wojna – wzdycha pani Zofia. – Tułaliśmy się po całych Niemczech Wschodnich. Ta tułaczka to był jeden strach i poniewierka. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka... Pamiętam takie wielkie wozy jak u Cyganów. To nimi wyjeżdżaliśmy z miasta w kierunku Drawska i później na północ aż gdzieś pod dzisiejsze Świnoujście. Niewiele pamiętam, byłam bardzo mała, tylko takie obrazy... jakieś stodoły, w których spaliliśmy... jakieś duże domy... – wspomina pani Zofia.

Po linie w trzciny

Do rodzinnego Kalisza wrócili dopiero w czterdziestym piątym, zaraz po tym, kiedy skończył się koszmar. Tyle, że nie dla wszystkich. – Jak już Rosjanie szli to tylko po to, żeby gwałcić – mówi pani Zofia. Sama widziała, jak jej matka i ciotka spuszczały się po linie z okna na tyłach domu, prosto w trzciny. Uciekały, wiadomo przed czym...

Kiedy wyszli Rosjanie, przyszli Polacy. – Zaraz po wojnie, gdy mieszkali tu jeszcze Niemcy, to jak przyjechali Polacy, trzeba było się jakoś poukładać – wspomina.

Jednak to „poukładać” wcale nie było dla Niemców takie proste. – Wyrzucano ich z domów, do chlewów... Pracowali jako służący w polskich domach. Postawa antyniemiecka szerzyła się w polskich rodzinach – twierdzi Maciej Rydzewski, historyk, wicedyrektor Liceum Ogólnokształcącego w Kaliszu Pomorskim.

Potem zaczynają się masowe wysiedlenia. Ludność niemiecka jest wysiedlana z tych terenów. Matka małej Zosi – Niemka, jej dwie siostry i brat opuszczają domek przy jednej z kaliskich ulic. Zostaje w nim Zosia. Z dziadkami, którzy byli Polakami i nie musieli wyjeżdżać. – Moje siostry i brat też chcieli zostać, ale dziadkowie powiedzieli, że nie dadzą rady utrzymać tylu dzieci... no i zostałam tylko ja, najmłodsza. Nigdy tego nie żałowałam – uśmiecha się nasza bohaterka.

Może dlatego, że tak kochała ojca, którego zabrakło... – Mój ojciec służył w niemieckim wojsku, chociaż też był Polakiem. Oficjalnie zginął na froncie pod Stalingradem, lecz to wszystko ma swoje drugie dno – wspomina i opowiada nam przedziwną historię. Jej dziadek szedł kiedyś ze znajomym tuż obok ich domu i usłyszał za sobą rozmowę dwóch mężczyzn: „Patrz Niemcy, a niech poniosą nasze bagaże”. Dziadek Zofii odwrócił się i oznajmił z gniewem, że nie jest Niemcem. Mężczyźni powiedzieli, że szukają pewnego człowieka i podali jego imię i nazwisko. Szukali właśnie dziadka pani Zofii. Po czym oznajmili mu, kompletnie zaskoczonymu, że ojciec Zofii żyje, ale zmienił nazwisko i jest w Niemczech. Nie podali żadnych innych informacji i zniknęli.

Maciej Rydzewski, któremu opowiedzieliśmy tę historię twierdzi, że po wojnie takie sytuacje były często spotykane i nie byłby to wyjątek. – W zawierusze wojennej ludzie często byli przekonani, że ich najbliższa rodzina zginęła, zakładali nowe rodziny, zmieniali nazwiska, żeby uciec od tragedii z niedalekiej przeszłości – tłumaczy historyk.

Tymczasem życie toczy się dalej.

Od nowa...

W roku 1945 życie nie jest łatwe. Ale solidaryzuje ludzi, zacieśnia więzi.

Pomaga wojsko. W mieście nie ma sklepów ani innych punktów handlowych. – Na szczęście żołnierze starali się pomóc, jak mogli. Dawali nam jedzenie i nie głodowaliśmy – opowiada pani Zofia.

Pomagają sąsiedzi. W mieście bez przerwy wybuchają pożary. Ludzie muszą radzić sobie sami, bo „straż pożarna w Kaliszu Pomorskim powstała w 1945 roku. Posiadała dziesięciu członków” (Marcin Kuchto, *Dzieje polskiego Kalisza Pomorskiego w latach 1945–2010*, Kalisz Pomorski, 2010, s. 108). – Pamiętam raz tutaj tak po sąsiedzku dwaj tacy się napili, a jak pijane, to i się głupoty łba trzymają. Jeden taki, to on grabił wszystko ludziom. Miał domek, w którym to wszystko trzymał. Raz z sąsiadem strzelali do okienka na strychu. Iskra poszła i się wszystko popaliło. A miał tego sprzętu mnóstwo, to i paliło się fest. No i wtedy sąsiedzi ustawiali się w takim ogonie i jeden drugiemu wiadro podawał, żeby to wszystko zagasić... Ale to i tak się wszystko spaliło – mówi pani Zofia.

Pomagają ci, pomagają tamci. Ale czasami bywa naprawdę głodno i brudno. Chociaż i wesoło.

Głodno... Pani Zofia opowiada, jak brakowało masła i ich babcia smarowała chleb tłuczonymi ziemniakami z łojem. Raz, kiedy Zosia wybiegła z kromką chleba posmarowaną grubo tym specjałem, jedna z kobiet stojących na podwórku powiedziała do przyjaciółki: „Patrz... tym, to się powodzi, mają tyle masła”. – Podbiegłam do niej i zaproponowałam degustację tych „pyszności” – śmieje się pani Zofia.

Brudno... – Jeszcze w czasie wojny matka wytrząsała nam wszy z ubrań i wrzucała do ognia. Cięły tak, że nie mogliśmy zasnąć – mówi nasza bohaterka. W późniejszych latach proszki do prania i mydło były, ale gdy zabrakło na przykład mydła, to i w proszku myłam włosy.

Wesoło... – Były potańcówki, ktoś miał harmoszkę, brał i grał, a reszta tańczyła – uśmiecha się wspominając o tych zabawach i o kinie objazdowym, które wtedy odwiedzało Kalisz.

– A jakieś plakaty były, że jest taka zabawa? – pytamy naiwnie.

– A gdzie tam – śmieje się pani Zofia. – Nie te czasy. Ludzie sami sobie mówili, że coś takiego jest. A zresztą, nawet na naszym podwórku ile się takich zabaw odbyło.

Było więc różnie. Wszystkim. Ale nie Zosi. Bo Zosia miała jeszcze jeden problem. Była Niemką. Wśród Polaków.

My i oni

Dwie małe Niemki były dyskryminowane, bite, opluwane przez rówieśników. Nawet w szkole. Dzieci uczyły się od rodziców. – Mówili swoim dzieciakom: „To Niemra. Nie zadawaj się z nią” – wspomina pani Zofia.

Tak było w szkole, w świecie dzieci. Ale przykład szedł z góry. Niemcy, którzy zwlekali z odejściem na zachód, często płacili za to wysoką cenę. – Widziałam raz, siedząc w oknie z babcią, jak Polacy pakują pobitego skatowanego Niemca na wóz... i ślad po nim zaginał – mówi pani Zofia.

Najgorsze piekło urządził jednak Zosi... ksiądz, który uczył religii w szkole. – Ja go nigdy nie zapomnę – mówi starsza pani i jeszcze dziś na to wspomnienie zaciska bezwiednie dłoń. – Katował mnie. Raz złapał mnie za kołnierz i omal nie zrzucił z pierwszego piętra. To był koszmar. Tyle, że w późniejszych czasach spotkała go kara. Mając już 80 lat hodował pszczoły i wytwarzał miód, jednak oszukiwał ludzi i dodawał do niego cukru. Władze skazały go za to na kilka lat więzienia, lecz ten przewrócił się, złamał nogę i krótko potem zmarł.

Słodko – gorzkie życie

Mija rok, dwa, pamięć zaciera krzywdy, uprzedzenia zaczynają się rozwiewać i następuje odwilż stosunków polsko-niemieckich. – Miałam wspańiałego przyjaciela Jurka Ziółkowskiego, który był wcześniej moim największym dręczycielem – śmieje się pani Zofia.

Nic tak nie łączy jak wspólne nieszczęścia. Nawet Polaków i Niemców zaraz po wojnie. „Po wojnie w powiecie drawskim sprawy ochrony zdrowia nie przedstawiały się najlepiej. Tymczasem potrzeby w tej dziedzinie były duże. Ogólny stan zdrowia przybywających Polaków oraz zamieszkujących tu jeszcze Niemców był bardzo zły. Wpływ na to miała głównie niedawno zakończona wojna ze wszystkimi ujemnymi konsekwencjami. Wśród ludności polskiej występowały liczne schorzenia oraz przypadki chorób zakaźnych, które niekiedy przybierały nawet rozmiary epidemii. W tej sytuacji bardzo pilną potrzebą stało się utworzenie placówek służby zdrowia. Niestety było to sprawą niełatwą, gdyż brakowało fachowego personelu, lekarstw i sprzętu medycznego” (Marcin Kuchto, dz. cyt., s. 129). – To była epidemia dyfterytu. Straszna choroba, ludzie padali jak muchy – wspomina pani Zofia.

Ciężkie czasy to też dziwne, słodko-gorzkie sytuacje. – Pamiętam, że kiedy pracowałam na poczcie, już kilka lat później, stał u nas tutaj duży nadajnik radiowy AGA. U nas w urzędzie można było kupić głośniki do domów. I do tych głośników szedł sygnał z tego pocztowego nadajnika. Codziennie emitowana była audycja. Bajki dla dzieci, wiadomości, muzyka... Jedna z niewielu rozrywek dla ludzi... – wspomina pani Zofia.

Jakim rozczarowaniem dla nich była kradzież odbiornika, ich szczęścia, uśmiechu w pochmurnym czasie... – To on! To ten listonosz go ukradł! – denerwuje się pani Zofia.

– Co? Listonosz?

– A tak, listonosz... kiedyś wracałam z nim na pocztę, spostrzegłam, że drzwi są uchylone. To niemożliwe.

Przecież je zamykałam... Zapropował, że wejdzie do środka, a później radia już nie było.

Ale to w takich sytuacjach zacierają się wszelkie różnice. – Był taki felczer. Wspaniały człowiek. Leczył, jak umiał, ale był na każde zawołanie, w dzień i w nocy. Dla mnie wygrzebał spod ziemi nawet penicylinę, kiedy miałam takie okropne zapalenie stawów. To był... O tak... człowiek o dobrym sercu, jak umiał to pomagał... Polakom i Niemcom... Bez różnicy – wspomina z uśmiechem pani Zofia.

Pomoc innym jest też jak epidemia. Zaraźliwa. Pani Zofia też chciała pomagać...

– Pracowałam na poczcie, w Czerwonym Krzyżu i w opiece społecznej... – mówi pani Zofia. – Wszędzie miałam dużo roboty. Kiedy coś ginęło, ludzie szli do Czerwonego Krzyża i otrzymywali nowe rzeczy. I tak to szło.

Stary, nowy dom

Kiedy w 1945 roku wróciła do miasta, ujrzała straszny krajobraz. Zielone parki, duże chodniki, ławeczki i aleje zmieniły się w gruzy, dymy i zgliszcza. A przecież Kalisz (wtedy jeszcze Kallies) jej dzieciństwa był taki piękny. – Przecież to było miasto turystyczne. Przyjeżdżali tu Niemcy z całego kraju. Były idealne warunki do zwiedzania i piękne widoki – rozmarza się nasza bohaterka. Jej opinię potwierdza Maciej Rydzewski, mówiąc o Kaliszu: –Zielone Płuca tamtejszych Niemiec.

Może nie jest już tak piękny, ale na zawsze pozostanie jej.

Raz, już w latach siedemdziesiątych, pojechała do rodziny, do Niemiec. Tylko raz. – Boże, jak ja tęskniłam. Wtedy powiedziałam sobie: „Urodziłaś się na tej ulicy i na niej umrzesz. Co za różnica w jakim kraju...”

Narodowość	Przed rokiem 1939	Rok 1947
Polacy	ok. 50	1 175
Niemcy	4 019	167

Maria Kurylczyk, Klaudia Andryka, Bartosz Próchnicki

U SIEBIE NIE BYŁAM NIGDY

(2013)

*Październikowa noc 1945 roku. Z mroku wylania się tablica Kalisz Pomorski,
pociąg staje z głośnym stęknieniem. Wysiada z niego tylko jedna, młoda kobieta.
Czuje radość, bo wreszcie koniec tułaczki, zobaczy matkę i brata.
Z drugiej strony pytania: gdzie jestem, dokąd iść?*

Do kościoła jadą saniami, jak w piosence Skaldów: „Spod kopyt lecą skry, hej lecą skry, zmarznięta ziemia drży, hej ziemia drży. Dziewczyna tuli się, hej tuli się”. Dziewczyna jest w białej sukience. A mężczyzna to jej przyszły mąż – Józek. Weselnicy jadą z Suchowa do Kalisza.

Jest rok 1946, siarczasty mróz i biało od śniegu. Wokół metrowe zaspasy. Kiedy docierają, są mokrzy, ale szczęśliwi, bo wojna się skończyła, a przed nimi nowe życie. Błogosławi ich pierwszy polski proboszcz, ks. Jan Borodnicz. Zakładają obrączki, przyrzekają sobie miłość. Wesele zrobili na dwadzieścia osób: rodzina, przyjaciele, sąsiedzi. Bawili się w domu przy domowej wódce, zakąską były chleb, słonina i ogórki. – Nie było nawet swojskiej kielbasy – śmieje się pani Janina. – Była za to muzyka. Ktoś grał na skrzypcach, jakiś młody chłopak z Kalisza, ktoś na bębnach i akordeonie. To były inne czasy, straszna bieda była – wspomina z rozrzewaniem.

W środku piekła

Janina Grzyb urodziła się 90 lat temu, 22 kilometry od Krzemieńca, na Wołyniu. W jej domu zawsze mówiono po polsku. Gdy wybuchła wojna, miała 16 lat. Niszczyli ich wszyscy po kolei: Ukraińcy, Rosjanie i Niemcy. Ukraińcy byli szczególnie okrutni, bandy UPA prześladowały Polaków. Banderowcy różnili i robili, co chcieli. – 17 września 1939 roku na Kresy wkraczają wojska radzieckie. Wszyscy mieszkający w czasie wojny na tych terenach musieli przyjąć radzieckie obywatelstwo. Sytuacja była nie do pozazdroszczenia – wyjaśnia Maciej Rydzewski, nauczyciel historii i wicedyrektor Liceum w Kaliszu Pomorskim.

– A po ataku Niemiec na ZSRR Wołyń został włączony do utworzonego 1 września 1941 roku Komisariatu Rzeszy Ukraina. Polityka okupanta była taka, by traktować te tereny jako zaplecze gospodarcze, wyzyskiwano miejscową ludność, wysyłano ich w głąb Rzeszy na roboty – dodaje historyk.

Janka też dostała nakaz. Zabrał ją towarowy wagon. Matka z rozpaczny zemdląła na dworcu dwa razy. A córka płakała całą drogę. Zachorowała podczas podróży, wiało wszystkimi szparami, ona w lekkim płaszczyku, bo przecież był maj. Gorączka, kaszel, mdłości i ból głowy. W Niemczech została sześć tygodni.

Musiała wyglądać jak siedem nieszczęść, bo niemiecki oficer przyglądał się jej z daleka, przerażony, że to może być epidemia. Dał zgodę na powrót do domu. I zmienił jej całe życie.

– Stałam w drzwiach, kiedy wszyscy jedli obiad. Osłupieli. Ciotka chciała mnie ukryć, ale wyciągnęłam kwitek: stało czarno na białym, że mam zwolnienie.

Ważyla czterdzieści pięć kilo, była „wysuszona” i chora. Ojciec zabrał ją do znachorki na wózku, tak była słaba. Ta dotknęła jajkiem głowy, rozbiła w przeźroczyściej szklance kolejne i postawiła diagnozę: tydzień zwlekania, a byłoby po niej. – Kazała przynieść wodę z trzech różnych źródłowych studniów i sześć jajek od czarnej kury. Uratowała mi życie – mówi z przekonaniem bohaterka.

Sanitariuszka

Kiedy wyzdrowiała, zgłosiła się jako ochotniczka do 1 Armii Wojska Polskiego. Chciała walczyć z Niemcami. Entuzjazm zabiło pierwsze spotkanie z rosyjskim oficerem, który wyglądał jak młokos i mówił do nich tylko po rosyjsku. Nie słuchali, a on obrzucał ich najgorszymi wyzwiskami. Nie tak to sobie wyobrażała. Jednak jako sanitariuszka przeszła cały szlak bojowy aż do Berlina. Poznała przyszłego męża – Józefa i wróciła do Polski. Chciała odnaleźć mamę i brata. Ojciec zginął wcześniej na Wołyniu, nikt nie wie do dzisiaj, gdzie został pochowany. Rodzinę wysiedlono, trafili do Suchowa.

– Na jakiej zasadzie przydzielano repatriantom ziemie? – pytamy pana Macieja Rydzewskiego.

– Prawdopodobnie miejsce zatrzymania się pociągu towarowego ustalały władze. Pociągi wysyłały tam, gdzie Polacy mogli się bezpiecznie osiedlić.

Początkowo ludzie wybierali sobie gospodarstwa, działała zasada: „kto pierwszy, ten lepszy”. Później, gdy już były urzędy, przydzielano wolne ziemie. Czasem dochodziło do sytuacji, że w mieszkaniach przydzielonych Polakom mieszkali jeszcze Niemcy. Byli bardzo ulegli i zajmowali mniejszą część domu, a bywało nawet, że pracowali jako służba.

Tylko kościół stał

Nie miała pojęcia, jak i którądy iść. Nie wiedziała nawet, czy wysiądzie na dobrej stacji. Była noc. Puste, obce miasto. – Nas dwie zaprosił na noc do siebie kolejarz. – Dwie?

– Bo na stacji siedziała jeszcze jedna zagubiona. A rano, nie wiem jak, znalazł mnie mój narzeczony, Józek. Potem pieszo do Suchowa. Szli przez zbite wojną miasto. Ludzi prawie nie było widać.

– Stali puste domy i mieszkania, ale kto wtedy zwracał na to uwagę? Jak człowiek młody, to o innych rzeczach myśli. A my myśleli wtedy, że to tylko na chwilę, a potem się przeniesiemy. Gruzy byli, powalone domy byli. Tylko kościół stał nienaruszony. Tam żeśmy zobaczyli po niemiecku tabliczkę „Zuchow”, Suchowo, to udało się trafić.

Nie u siebie

Matka wprowadziła się do domu, gdzie nie było nic.

– Buda to była, okna powybijane byli, trzeba było zagrabić te okna. I tak mieszkać.

Kiedys za domem stała stodoła, ale Niemcy spalili ją, zanim wyjechali. Nie tylko tę jedną – także dwie sąsiednie.

U innych gospodarzy pod strzechą, kiedy wybiła woda, znaleziono stary myśliwski karabin. W ich domu nie było takich niespodzianek.

„30 sierpnia 1946 w Suchowie zamieszkiwało 114 Polaków (33 mężczyzn, 47 kobiet, 34 dzieci)” (Marcin Kuchto, *Dzieje polskiego Kalisza Pomorskiego w latach 1945–2010*, s. 118), aż 22 rodziny spod Krzemieńca (informacja od Antoniego Oleksiuka, jednego z przesiedleńców spod Krzemieńca).

– Wszyscy myśleliśmy, że jesteśmy tu tylko tymczasowo. Zawsze było tak, że liczyliśmy, że kiedyś będzie lepiej, mieliśmy wyjechać, wrócić do domu.

– Czyli żyliście chwilą?

– Tak, bo nikt nie wiedział, co będzie dalej. Ludzie wciąż mówili, że Niemcy wrócą. Oni też myśleli, że wynoszą się tymczasowo. Nawet zakopywali cenniejsze rzeczy w ziemi, aby Polacy ich nie zabrali.

W Suchowie organizowano warty. Były dyżury. Dwóch mężczyzn z dwóch rodzin. Każdy miał wytyczony dzień, w którym musiał strzec wejść i bocznych dróg. Jak warty w wojsku: człowiek chodził z pałąką i musiał odstraszyć nieproszonych gości. Czasem zdarzały się wejścia Niemców, ale były rzadkością. Przy jednej takiej okazji mąż pani Janki interweniował.

– Mama wyszła i powiedziała: „Chodź Józek do domu”. No i posłuchał. A Szwaby coś tam poszwargotali i poszli sobie.

Do kościoła całą wioską

Na Wielkanoc nosiło się tradycyjnie koszyk z jedzeniem do poświęcenia. Zbierała się cała wioska i wszyscy razem ruszali do Kalisza, do kościoła. Szli najpierw piechotą, jakiś ponemiecki rower zdobyć to cud, potem były konie. Chodzili tak nie tylko z tej okazji, ale także co niedzielę na mszę. Nikomu nie przeszkadzał ani mróz ani słońce. Żadna pora roku nie była straszna. Podobnie jak odległość – sześć kilometrów.

– Gaworzyliśmy po drodze, śmieliśmy się. Nawet nie zauważałam, kiedy byłam na miejscu. Raz z bratem poszliśmy poświęcić pokarm. Przyszliśmy, a tu wszyscy już wychodzą, zmienili godzinę. Mogliśmy iść jeszcze do księdza, ale już wtedy nie wracalibyśmy z ludźmi. Zastanawiałam się, co powiedzieć mamie. Bo jak jeść niepoświęcony pokarm? Jak się wytłumaczyć? Przyznałam się dopiero kilka lat później.

Sąsiedzka życzliwość

W Suchowie ludzie uprawiali zboże. Pola były dość duże – po sześć, siedem hektarów. Nie było maszyn, pożyczali sobie narzędzia. „W latach 1947–1949 zwiększyły się dostawy środków obrotowych dla rolnictwa (ziarna siewnego i nawozu) oraz koni, bydła, trzody chlewnej i owiec (między innymi z dostaw UNRRA)” (Marcin Kuchto, dz. cyt., s. 158).

W trakcie zbiorów cała wieś spotykała się na polu danej rodziny. Wymieniali się, jednego dnia u jednych, drugiego u drugich. – Nikt się nie spóźniał. Bo przecież, gdy przyjdę za późno do kogoś, to on mi powie: „Ty się spóźniłaś do mnie, to teraz ja mam tobie pomagać?”. Kiedyś sąsiedzi zbierali się w sadzie, rozścielali koc i rozmawiali, śmiali się. Pomagali sobie, mogli na siebie liczyć. Dziś ludzie mieszkają obok, ale się nie znają.

Pamięć

Na stole przykrytym białym obrusem leżą pamiątki: zdjęcia, książeczka wojskowa, medale. Pani Janka przygląda się z uwagą, wybiera co chwilę jakiś przedmiot i uśmiecha tajemniczo. Ona wie, że kiedy zamyka oczy, widzi wyłoczone pola, las, a potem ojca, mamę i bliskich – wszyscy w rodzinnym domu, tym koło Krzemieńca. Stoi nietknięty wojną, niezajęty przez obcych ludzi. Nie słyszy stukotu pociągu, pisku hamulców, nie ma ławeczki w obcym mieście, ani kobiety, ani kolejarza. A ten dom w Suchowie? Miał być na chwilę, kto by pomyślał, że człowiek tu będzie umierał...

Maria Kurylczyk

INTERWENCJA O INTERWENCJĘ

(2014)

To jest tak: pracujesz do wyrobienia kuroniówki, a jak się uda, to dłużej.

Potem czekasz na pracę i tak w kółko. Jak wyrobić emeryturę?

Ktoś ci mówi: „Trzeba było się wykształcić!”.

Pani Joanna pracuje w interwencji w Kaliszu Pomorskim. Grupa liczy 50 osób, a w całej gminie jest ich jeszcze więcej. Zamiatają ulice, przycinają miejskie żywopłoty lub drzewa, zimą odśnieżają drogi. Ona się wśród nich wyróżnia. Zdała maturę na czwórkach i piątkach w technikum ogrodniczym.

Los sprawił, że ma taką pracę. Gdy była młoda, jej mąż zarabiał dostatecznie dużo, żeby miała zapewnioną przyszłość. Niczego im wtedy nie brakowało, a ona czuła się wartościowa. Zmarł w pracy, źle podcięte drzewo spadło w niewłaściwą stronę. Została sama. Musiała sobie radzić, bo miała dwie małe córki – 5 i 7 lat. Po tragedii przyjechała do niej matka, chciała pomóc, jednak ona wolała wszystko zrobić sama. Dziewczynki wysłała do sąsiadki, zajęła się mężem. Zawsze bała się zmarłych, ale umyła go i ubrała. Dopiero po wszystkim zawołała dzieci. Jeszcze długo po pogrzebie dziewczęta spały w swetrach swojego taty. Po cichu zadawała sobie pytanie: dlaczego tak się stało? Ale odpowiedzi nie było, a żyć musiała dalej, dla dzieci. Wtedy nie czuła, że to coś wielkiego, dzisiaj, kiedy wraca pamięcią do tej chwili, sama się dziwi, skąd miała tyle siły.

„Gdyby wykształcenie było ekonomiczne..”

Sprzedawała wartościowe rzeczy, kiedy tylko brakowało pieniędzy. W sumie w ciągu kilku lat spieniężyła: samochód, piły motorowe, motorower i inne pamiątki po dawnym życiu. Rozpoczęła poszukiwanie pracy. Nikt nie potrzebował ogrodnika, słyszała tylko od urzędniczek: „Gdyby była pani wykształcona ekonomicznie...”. Tyle ich tam siedziało po zawodówce, a ona po maturze nie miała pracy. Burmistrz zaproponował, że może zacząć w interwencji. Taki był początek. Wstydziła się sama przed sobą, czuła, że spadła o parę stopni niżej.

Sąsiadka mówiła o niej – dama. A ona powtarzała w duchu: „Niech sobie wyobrazi swoją »dame« z łopata!”. Obciąła zadbane paznokcie, bo nie pasowały do roboczych rękawic, zamieniła wysokie kozaczki na płaskie buty, założyła starą kurtkę i wyszła na ulicę. Straszne upokorzenie.

– Musiałam wziąć do ręki miotłę. Wiadomo, co mówią o tych, którzy sprzątają. A tu małe miasteczko. Człowiek się z czasem przyzwyczaja, uczy, ale wtedy? Udźwignąć cały dom na swoich barkach. I nie pracowałam tylko w kąciaku chodnika ze spuszczoną głową, nie poniżałam się jeszcze bardziej. Jeśli już musiałam pracować, to starałam się to robić dobrze. Jedyną rzeczą, która kazała wziąć się w garść, były dzieci. Kiedy widziałam kogoś znajomego, było mi przykro, że już nie jestem taka jak kiedyś. Było mi wstyd odezwać się, bo trudno jest mówić o rzeczach nieprzyjemnych, a ja wiedziałam, że będą pytać. Otrzymała z opieki społecznej zapomogę wydawaną co miesiąc przez pół roku i od sąsiadów propozycję pracy przy sadzeniu lasu. Codziennie jechała sadzić drzewa. – Szłam potem cała brudna, w starych ciuchach, ubłocona – wracałam do domu. I takie sytuacje. Spotykam sąsiadkę.

– Co? Pracuje?

– Pracuję.

– I co, zarobi?

– Jeszcze nie wiem, chyba tak.

– Jednak umie pracować – kwitowała złośliwie.

Wynagrodzenie z lasu było wysokie. Do tego jeszcze pensja z trzymiesięcznej pracy w interwencji, dużo. Poszła do opieki społecznej i powiedziała, że nie weźmie zapomogi, bo nie potrzebuje. A urzędniczka na to: „Cicho! Dostała pani, to trzeba się cieszyć”. Ucieszyła się.

Nie zawsze miała pracę. Czasem siedziała w domu, zajmowała się dziećmi, a jak były w szkole, znowu jej szukała. Bezustannie pytała, nie mogła sobie pozwolić na próżnowanie. Gdy dostała jakąś propozycję, a córki nie miały z kim zostać, robiła im wielki talerz kanapek, żeby tylko miały zajęcie i nie wychodziły z domu. – Wtedy obydwie przytyły – śmieje się pani Asia. – Ale nie mogłam postąpić inaczej, martwiłam się o nie.

Było różnie: dwa lata w sklepie jako księgowa, później, sezonowo, w fabryce czekolady w Tucznie, najmiej wspomina ostatnią pracę – opiekowała się niepełnosprawną dziewczynką, odprowadzała ją do szkoły i karmiła. Praca była czysta, w ciepłe, pomagała pracownikom w szkole, kiedy dziewczynka miała lekcje. Jakaż odmiana po grabieniu liści i odśnieżaniu chodników. Tak było przez rok. Po wakacjach zdążyła już wyprasować spódnicę na rozpoczęcie roku i dowiedziała się, że jednak nie jest potrzebna. I znów została ulica.

A tak się pracuje...

Jesienią zamiatają chodnik, idzie jakiś miły pan i mówi: „Nie męczcie się tak, przecież te liście i tak polecą!”. Bardzo im miło. Albo latem – gorąco, one sprzątają. Podchodzi pani i mówi, że ma napoje, że da, żeby się z dziewczynami nie przegrzały. Uprzejmie dziękują i tłumaczą, że są po śniadaniu.

Jednego dnia podszedł mężczyzna, koło pięćdziesiątki, wziął od jednej z nich łopatę i zgarnął kupkę śmieci do taczki. Ale się śmiały! Ludzie dają im cukierki i zapraszają na kawę, ale one odmawiają, nie wolno robić dłuższych przerw. Nie wszyscy są tacy. Przechodzą obok, patrzą na nie z góry z powodu mioteł i taczek. Czy to, że ktoś stoi w kamizelce, musi oznaczać, że jest niewykształcony? Niektórzy pracownicy mają po dwa zawody. To przez życie. Nie ma pracy, dlatego człowiek idzie do każdej, jaka się trafi. Ale przechodnie tego nie wiedzą, czują się lepsi, bo to nie oni muszą po kimś sprzątać. Często osoba z miotłą na ulicy jest bardziej wartościowa, otwarta i życzliwa niż taka, która siedzi za wielkim mahoniowym biurkiem. Idą na przykład gimnazjaliści i na zamieciony chodnik wyrzucają papiery po słodyczach. – Krzyczę: „Ej! Podnieście to!”. Jeden już prawie się wraca, ale drugi szturcha go. Krzyczy: „A wy co? Od sprzątanania jesteście”. – Zapamiętałam tę lekcję, szedł pan z papierosem i rzucił niedopałek, upomniałam go. Gdy nie chciał go podnieść, powiedziałam, że zadzwonię po straż miejską. Podniósł. Kiedyś facet w lśniącym samochodzie wyzywał grupę od niewykształconych idiotek, pytał, czy są jakieś głupie, bo od mioteł kurzy się na jego nowe auto.

Dzień dobry!

Dzień dobry! – zwrot, na który trzeba sobie zasłużyć. Pani Joanna opowiada, że kiedy jest poza pracą, na zakupach lub cmentarzu, ubrana elegancko, tak jak lubi, ludzie się z nią witają. Następnego dnia, gdy jest w seledynowej kamizelce i starych spodniach, nie zasługuje nawet na kiwnięcie głową. – Kiedyś pracowałyśmy na cmentarzu. Dwie panie wchodząc minęły nas w bramie bez słowa. Kiedy się okazało, że zapomniały zapalek, podeszły i pożyczyły od nas. Wychodząc podziękowały i powiedziały: „Do widzenia”. Ludzie tak właśnie się zachowują. Niby wiedzą, że robimy dużo dobrego dla miasta, jednak nie doceniają tego. Istnieje umowa między urzędem miejskim a szkołą ponadgimnazjalną w naszym mieście. Możemy jeść w szkolnej stołówce śniadania w zimnych miesiącach. Dostajemy też gorącą herbatę. Jednak uczniowie potrafią rzucić komentarz, dlaczego oni tu jedzą, a nie sprzątaj?

Zwyczajny dzień

Codziennie rano przychodzą do pracy, biorą co potrzebne i wyruszają na wskazaną ulicę. Wczoraj była Koszalińska. Rano zawsze jest zimno, to zamiatają szybko, żeby się rozgrzać. Po godzinie robią sobie krótką przerwę na papierosa lub odpoczynek. Kryśka boi się nawet na chwilę przystanąć. „Mówić jej i tak nie posłucha, boi się, że straci pracę”. Jest bardzo sumienna, a wie, że nawet taka nędzna robota, choćby i z miotłą w ręce, a uratuje rodzinę. Pięcioro dzieci, ona i mąż, który wiadomo, jaki jest, butelka mu nie jest obca. A biedna kobieta haruje, żeby tylko dla dzieci mieć co ugotować. To jest poświęcenie. A Sylwia przyszła w tamtym tygodniu cała zmarznięta i niewyspana. Pytały, co się stało. A ona nic, milczała jak grób. Przecież widać, że coś nie w porządku. Tak się pokłóciła z mężem, że ją z domu wyrzucił. Całą noc biedaczka chodziła wokół bloku i jeszcze

się martwiła, bo to wiadomo, co strzeli mu do głowy, a w domu dziecko zostało. Po paru dniach powiedziała, że jest w ciąży.

Kaśka ma dwójkę dzieci i jest rozwódką. Mąż oczywiście nic na dzieci nie da, alimenty miała od państwa. Tak się cieszyła, że ma pracę, a tu nagle przychodzi pismo, że tą naszą pensją przekroczyła dochód i zabrali, i alimenty, i rodzinne. Kaśka mówi: „No i jak ja mam żyć?”. A ona tylko głową kręci.

„Znosimy interwencję”

Cztery lata temu w Kaliszu Pomorskim rozmawiało się o rozporządzaniu pieniędzmi gminy. Jednym z pomysłów na polepszenie budżetu było zamknięcie grupy interwencyjnej. Burmistrz był przeciwny. Poprosił wszystkich pracowników na posiedzenie Rady Miasta. Na głosowanie przeciw przysli w roboczym stroju, wprost z pracy. Większość radnych głosowała za zniesieniem tej instytucji. Cóż było robić, pospuszczali głowy i wyszli. Pan burmistrz poprosił, by wrócili na salę. Szepnął, że jeszcze mają szansę. Wtedy dopiero im powiedziano, że mogą się wypowiedzieć. Grupa pani Asi wybrała ją, bo wykształcona i umie z ludźmi rozmawiać. Nie chciała wyjść na środek. Mówiła z miejsca. Mówiła, stojąc wśród nich, o ludziach, którzy potrzebują tej pracy, nie mają innego źródła dochodu, mają rodziny na utrzymaniu. Kiedy skończyła, zaskoczyły ją oklaski i uznanie w oczach radnych. Cieszyła się, bo klaskali ci, o których walczyła, czyli mówiła dokładnie to, co leżało im na sercu. – Dopiero potem dotarło do mnie, że powinnam chyba być z siebie zadowolona. Przewodnicząca rady kręciła głową, że nie da się ponownie przeprowadzić głosowania. Jednak parę dni potem dowiedzieliśmy się, że jednak mamy pracę. To była niewypowiedziana ulga – opowiada z dumą w głosie.

Pasja

Po pracy pani Joanna odpoczywa, czytając książki, uwielbia to robić. Najbardziej lubi Stephena Kinga, gromadzi w domu jego horrory. Czytanie jest jej jedynym nałogiem. To jak równoległe życie, trochę w innym świecie. I tak trwa już od dzieciństwa. Sama nie wie, która książka jest jej ulubioną, bo jest ich tak dużo. – Podobają mi się powieści prawnicze Johna Grishama i różnego rodzaju thrillery, nawet medyczne. W domu mam bardzo dużo książek, najwięcej starych, takich z osiemdziesiątych lat. Kupowałam je wtedy, kiedy tylko była okazja. Były tak trudno dostępne, że jak tylko jakąś widziałam, od razu musiałam ją mieć. Moje córki mają po mnie zamiłowanie do czytania i tak jak ja, często chodzą do biblioteki. Kiedy wyślę jedną z nich po nowe książki, panie bibliotekarki, chwala dla nich, mogą podrzucić mi najlepsze powieści w ulubionych gatunkach. Takie, których jeszcze nie czytałam, bo nie lubię czytać tej samej książki parę razy – wyjaśnia. Córki są wykształcone, obydwie po studiach. Mam teraz drugiego męża i trzecią córkę, która uczy się w liceum. Kiedy wracam do domu, często bolą mnie ręce. Czasem od łopaty czy miotły, a czasem od torebki wypchanej po brzegi książkami.

Maja Banaszak

KOCHAĆ ZA WSZELKĄ CENĘ

(2014)

- Ja nie mam dwójki jak większa część polskich rodzin, ale mam siódemkę.*
- A tak naprawdę mamy dziewiątkę – śmieje się pan Andrzej.*
- Adoptowaliśmy dwójkę z Afryki – wyjaśnia, widząc moje zdumienie.*

Dominika: 13 lat. Najmłodsza. Długie nogi, lubi tańczyć. Urodziła się w Częstochowie, symbolicznie.

Jasiu: 15 lat. Miłośnik koszenia trawy. Serce na dłoni. Naśladuje swojego starszego brata Karola.

Marysia: 17 lat. Długie, ciemne włosy. Twardy charakter, po mamie. Zawsze osiągnie to, co chce.

Małgosia: 19 lat. Córeczka tatusia. W przyszłości będzie lekarzem. Maturzystka lubiąca biologię.

Karol: 22 lata. Złota rączka. Wszystko w domu robi sam. Był ukochanym wnuczkiem babci.

Marek: 28 lat. Tatusiowaty. Opiekun brat. Cierpliwy nauczyciel języka niemieckiego.

Piotr: 31 lat. Zawsze miał swoje zdanie, uparty. Potrafi walczyć o słuszną sprawę. Najstarszy z rodzeństwa. Został księdzem.

Ona: drobna, wydaje się krucha i delikatna, ale to tylko pozory. Jest silna i odporna na życiowe przeciwności.

Zawód wyuczony: lekarz dermatolog, ale najważniejszy – matka.

On: głowa domu, internista, brat dyrektora Caritasu, Mariana Subocza, radny Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego.

Pełne zorganizowanie

Godzina 6:30 – pobudka. Pierwszy wstaje pan Andrzej. Najpierw budzi dzieci. Żona jeszcze śpi. Dzwoni dzwonem, który wisi na ścianie w jadalni. Po kolei wykrzykuje imiona pociech. Zaczyna od najstarszej. Pachnie kawa, przygotowane są miseczki na płatki z mlekiem. Robi dzieciom kanapki do szkoły. Słychać, jak zbiegają po schodach do jadalni. Jedzą śniadanie przy wielkim stole, na wprost wisi duża reprodukcja obrazu Leonarda

da Vinci *Ostatnia wieczerza*. Przy ścianie stoi stary, duży zegar. Jest w rodzinie od kilku pokoleń. Każdy ubiera się przed wyjściem z domu. Dzieci szukają swoich rzeczy. Wszystkie buty są ułożone w szeregu. Robi się har-mider. Ojciec odwozi je, a potem sam jedzie do przychodni. Żona jeszcze trochę podsypia. Później szykuje się, by zdążyć do poradni dermatologicznej. Pan Andrzej pracuje w trzech miejscach. Jako internista w przychodni przy szpitalu wojskowym w Wałczu. W ramach Narodowego Funduszu Zdrowia odwiedza chorych na raka, to forma domowego hospicjum. Dyżuruje także w szpitalu na oddziale dializ. Od 8:00 rano rozpoczyna pracę w przychodni. Do domu wraca późno. Bywają takie dni, że dopiero po dwudziestej. Życie toczy się szybko, nie ma czasu na lenistwo, kiedy trzeba wychować czwórkę dzieci, bo trzej najstarsi synowie już z nimi nie mieszka-ją. O sobie można zapomnieć. Trzy lata temu pan Andrzej miał zawał serca. Typowy objaw przemęczenia, który sami lekarze najczęściej rozpoznają u chorych w okresie wypoczynku. Tak było i w tym przypadku. Nadszedł czas świąt Bożego Narodzenia. Lekarz zawsze myśli, że choroba jego nie dotyczy. Nie chciał iść do szpitala. Przekonała go żona. O godzinie piątej rano było już bardzo źle. W trakcie jazdy dzwonił do wszystkich dzieci. Był przerażony. Trafił wprost na stół operacyjny. A potem urlop zdrowotny, na dziewięć miesięcy. Bał się, że będzie to katastrofa finansowa. Żonie zaproponowano kontrakt, lepsze warunki, większe pieniądze. Dali sobie radę. Twierdzi, że zawsze czuwała nad nimi opatrność boska.

Po prostu kochać

Siedzimy w małym pokoju gościnnym. Rodzinna i miła atmosfera. Państwo Suboczowie mieszkają w domu rodziców męża. Po wojnie zostali przesiedleni z rejonów Wileńszczyzny.

W Wałczu było wiele poniemieckich domków, pustych, do zamieszkania. Wybrali ten na skraju drogi, ostatni przy ulicy Żymierskiego. Gołym okiem widać, jak się zmieniał w czasie. Jedną jego część została dobudowana. Inaczej trudno byłoby pomieścić tak liczną rodzinę. Był taki czas, kiedy mieszkały w nim trzy pokolenia: dziadkowie, ich dzieci i wnuki. Przez uchylone drzwi pokoju widać malutkie pomieszczenie, a w nim stare meble i duże czarno-białe fotografie seniorów. Na zdjęciach są jeszcze młodzi. Uśmiechają się otoczeni czwórką dzieci. Dębowy stary stół, przy którym siedzimy, cały jest zastawiony słodkościami. Ciastka „Delicje”, herbata z cytryną.

– Czy jestem dumna z dzieci? Ja je po prostu kocham – ze łzami w oczach rozpoczyna rozmowę pani Jadzia.

– Im człowiek starszy, tym się bardziej cieszy, że rodzina jest większa. Wielodzietna to nie patologia. To większe szczęście – kończy z przekonaniem. Chociaż zdarzały się złośliwe żarty, na przykład taki, że „mnożą się jak króliczki”. Znosiła to z pokorą, spokojnie, bo zawsze mogła liczyć na miłość i wsparcie męża. Kiedy wracała do pracy, by nie stracić kontaktu z zawodem, on zajmował się dziećmi. Poradzili sobie. Rodzeństwo sobie pomagało. Na przykład przy odrabianiu lekcji. W dużej rodzinie siła. Cięża nigdy w niczym nie przeszkadzała. Niczego nie żałuje. Koledzy z pracy poszerzali swoją wiedzę. Kształcili się w nowych kierunkach. Pani Jadwiga przestała poświęcać się pracy. Pochłonął ją nowy zawód – matka.

– Wie pani, ja myślę, że żadna kobieta nie chce zabić swojego dziecka. Tylko potrzebuje wsparcia i miłości – komentuje, gestykulując.

– Ja nie mam dwójki jak większa część polskich rodzin, ale mam siódemkę.

– A tak naprawdę mamy dziewiątkę – śmieje się pan Andrzej.

– Adoptowaliśmy dwójkę z Afryki – wyjaśnia, widząc moje zdumienie.

O tej akcji dowiedzieli się z czasopisma kościelnego, jakieś 10 lat temu. Adopcja odbyła się przez Stowarzyszenie Braci Pallotynów. Długo się nie zastanawiali. Miesięcznie wysyłają 200 zł na dwójkę dzieci. Mają z nimi kontakt. Wspierają. Takie pieniądze to nie majątek, a mogą pomóc. Pan Andrzej przechowuje wszystkie listy od dzieci. Piszą po angielsku, jeden chłopiec to sierota, wychowuje go babcia – pokazuje palcem zdanie napisane dziecięcą ręką zielonym atramentem.

– Teraz to tak naprawdę mamy nowe pod opieką – uśmiecha się pani Jadzia. Płaci się za edukację, która trwa kilka lat, jedno dziecko odchodzą, inne przychodzą.

Niespodzianka od życia

Wyjazdy wakacyjne są tradycją państwa Suboczków. Co roku wspólnie odwiedzają rodzinę z Przemyśla, skąd pochodzi pani Jadzia. Dużo czasu muszą poświęcić na pakowanie. Na wakacje co roku wybierali się dwoma samochodami. Mąż jechał pierwszy, żona za nim. Wielka wyprawa. Niektóre wyjazdy były wyjątkowe. Tak jak ten sierpniowy z 1999 roku. Jechali jak zawsze na wakacje, pani Jadzia w siódmym miesiącu ciąży. Czuła się dobrze, dlatego nie bała się podróży. Życie zgotowało niespodziankę. Zaczęła krwawić, miała ostre bóle. Zadzwonili po karetkę, zabrano ją do szpitala w Częstochowie. Była tam dwa miesiące. Opatrzność boska czuwała nad całą rodziną. On został sam. Fatalna sytuacja. Zastępował kolegę w pracy. Małe dzieci. Siostra pomagała im w domowych pracach. Wsparcie rodziny było potrzebne. Żona odpoczywała, czytała książki. Miała czas, żeby nadrobić zaległości. Ciągle nerwy. Badania USG. Lekarze nie mieli dobrych wiadomości. Mówili, że dziecko urodzi się chore, z wadą serca. – Za bardzo tym się nie przejmowałam. Obojętnie, jakie by się nie urodziło, to przecież jest dziecko. I tak bym je mocno kochała – wzruszona dodaje pani Jadzia. Dwa miesiące minęły szybko. Przyszedł czas narodzin Dominiki. Przygotowali inkubator. – „Cicho bądźcie. Wy to urodzicie zdrowe dzieci. Ta pani ma problem, nie wiadomo, co się urodzi” – wspomina słowa lekarza. Mąż od rana czekał na poród. Pan Andrzej jako pierwszy wziął córkę na ręce. Rzeczywiście miała długie nogi, ale serce zdrowe. Wszystko dobrze się skończyło. W tym roku planują wycieczkę do korzeni rodzinnych pana Andrzeja. Kierunek - Wilno.

Odmienne bicie serca

W przedpokoju mały ołtarzyk. W jadalni obraz Jezusa trzymającego Ewangelię w złotej ramce na szarym tle. W pokoju gościnnym czuwająca Maryja z dzieciątkiem i malowidło z trzema aniołami. – Zawsze myśleli-

śmy, że to Karol będzie kapłanem – wspominają roześmiani rodzice. Najbardziej lubił bawić się w księdza. Namówił gospozię, która pomagała w domu, by uszyła mu szaty. On sam udzielał ślubów młodszemu rodzeństwu. Odprawiał mszę, chrzczył, bardzo lubił naśladować znajomych księży. Był pupilem babci. Swoimi zabawami przeszkadzał starszemu bratu, który przygotowywał się wtedy do matury. Piotr miał zostać lekarzem. Rodzice pokładali w nim nadzieję. Nie chciał ich zawieść. Uczył się biologii i chemii. Dobrze zdał maturę, na egzaminy wstępne do Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie miał pojechać sam. Zabrał przygotowane przez mamę dokumenty, ale wiedział już wtedy, że nigdy się tam nie pojawi. Jego serce biło dla kapłaństwa. Bał się wyznać prawdę. Wrócił do domu po paru minutach. Stanął w drzwiach i oznajmił, że idzie do seminarium. Mama zaniemówiła. Na samo wspomnienie tego momentu ma oczy pełne łez. Zadzwoiła do męża. Nie było go w domu. Od razu się zdenerwował. Jak mógł uwierzyć, że jego najstarszy syn nie pójdzie w jego ślady? To była jednak decyzja Piotra. Musiał ją uszanować. Nikt w rodzinie o tym nie wiedział. Jest księdzem od 6 lat. Pracuje teraz jako kapelan w szpitalu w Koszalinie. Kocha to, co robi. Nigdy nie żałował swojej decyzji. Wiare wyniósł z domu rodzinnego. Wychowywano go tak, że Bóg jest na pierwszym miejscu. Kocha go, ale równie mocno kocha rodzinę. Od czasu, kiedy jest księdzem, rzadko przyjeżdża do domu. Kiedy zajeżdżał na chwilę, jego najmłodsza siostra w ogóle go nie poznawała. A w dzieciństwie to nawet mówiła do niego wujku.

Bezcenna miłość

Dominika: 13 lat. Najmłodsza. – Najbardziej kocham rodziców za to, że pomagają mi w trudnych chwilach i obdarzyli mnie miłością.

Jasiu: 15 lat. Miłośnik koszenia trawy. – Kocham rodziców za to, że zawsze mi razem pomagają.

Marysia: 17 lat. Długie, ciemne włosy. – Najbardziej kocham rodziców, bo dają mi poczucie bezpieczeństwa i wspierają w podejmowaniu życiowych decyzji.

Małgosia: 19 lat. Córeczka tatusia. – Kocham rodziców, ponieważ pomagają mi spełniać marzenia, nauczyli mnie wiary w Boga i szacunku do drugiego człowieka.

Karol: 22 lata. Złota rączka. – Kocham rodziców przede wszystkim za to, że jestem, że mnie wychowali na człowieka mającego podstawowe wartości, takie jak: przyjaźń, miłość, szacunek, honor i wiara. Za to, że wspierają mnie w trudnych chwilach i za to, że w każdym momencie mogę liczyć na ich pomocną dłoń.

Marek: 28 lat. Tatusiowaty. – Kocham rodziców za to, że dali mi życie i wspaniale wychowali, dając mi zawsze poczucie bezpieczeństwa, miłość oraz przekazali fundamentalne wartości.

Piotr: 31 lat. Zawsze miał swoje zdanie, uparty. – Kocham rodziców za dar życia i świadectwa miłości, za przekazanie mi wiary i ukazanie jak nieść nadzieję. Kocham ich za to, że zawsze mogę znaleźć u nich pomoc, we wszystkim.

Marta Stympin, Maria Kurylczyk, Natalia Tymczyszyn,
Jakub Biegniowski, Maciej Radzimski, Szczepan Domagała

DAWNO, DAWNO TEMU NA DZIKIM ZACHODZIE

(2015)

*Zjeżdżali tu jak do Ziemi Obiecanej. Wagonami towarowymi, konnymi wozami, ciężarówkami.
Jedni w nadziei na lepsze jutro, drudzy z przymusu, a jeszcze inni z przypadku.
Niczym amerykańscy pionierzy szli w jednym kierunku: na Zachód.*

Jesień 1945. Błoto, smutny deszczowy krajobraz. W tle stukot kół odjeżdżającego pociągu. Dziewczyna. Średni wzrost, zgrabna figura. Ładna sukienka za kolano, prezent od cici. Na twarzy szeroki uśmiech, jak namalowany. W pamięci jej rodzinna wieś: Słup, nieopodal podwarszawskiego Garwolina. W sercu nadzieja na lepsze życie.

– Miałam piętnaście lat. Cieszyłam się, że przyjechałam, bo tu już od kilku miesięcy byli rodzice z bratem. Rozglądałam się i nie mogłam się nadziwić. Domy murowane, a ziemi tyle, że okiem nie wypatrzysz – wspomina osiemdziesięcioletnia dziś Irena Haczkowska.

Nie to co u nich w Słupie: słoma na dachach i pola wielkości dużego salonu we dworze.

Inny świat. O dziwnej nazwie: Giżyno.

„Na zachód wiodły wszystkie drogi
Z dalekich ziem, z dalekich stron.
Kto by pomyślał Boże drogi,
Że tutaj będzie jego dom”.

(Dana Lerska, *Szli na Zachód osadnicy*)

W Giżynie spotkali się Niemcy, rdzenni mieszkańcy tych ziem i przyjezdni: Mazowszanie, Kresowiaci, Romowie. Dla tych ostatnich mityczny Zachód okazał się dziki.

– Nie było prądu, nie było pracy, pieniędzy nawet nie było – wylicza pani Irena.

– Dorzućmy do tego szabrowników i strach przed napaścią z ich strony, a także przed żołnierzami Armii Czerwonej. Bano się powrotu Niemców. We wioskach ustawiano warty. Struktury władzy organizowały się powoli, stąd wrażenie bezprawia. Trzeba było liczyć na siebie – uzupełnia Maciej Rydzewski, nauczyciel historii z Kalisza Pomorskiego.

– Co miał człowiek robić? Od rana do zapadnięcia zmroku zajmowaliśmy się tym jak przeżyć kolejny dzień. Oporządzić krowę, co to ją ojciec z Garwolina przywiózł, upiec chleba na cały tydzień, takie tam. Boże! Ile ja się tego chleba napięłam! – wykrzykuje ze śmiechem pani Irena. – Takie duże bochny. Mąkę się brało z Kalisza, a jak tam zabrakło, to trzeba było jeździć do młyna dalej. Nie mieliśmy co jeść.

– A państwo? Pomagało?

– Rozdali kartki, które można było wymienić na jedzenie w Kaliszu. Ale często i tam tego jedzenia nie było. Codziennie jedliśmy ziemniaki z... ziemniakami. Dobrze, że je Niemcy zasadzili. No tak było, no, nie ma co gadać.

Mięsa też nie było. I jajek. Nawet na Wielkanoc.

– To co nieśliście w koszyczku do święcenia?

– Nic. Bo i święcenia w czterdziestym szóstym nie było. Nie było co święcić.

Nowa religia

Z kościołem w ogóle było kiepsko. Budynek stał, ale zamknięty na głucho. Ksiądz nie było. Na mszę trzeba było w niedzielę iść cztery kilometry w jedną stronę. – Zimą też, to znaczy ten, kto miał ubranie – opowiada pani Irena. – Ja miałam akurat dobrze. Ubierały mnie ciotki z Warszawy. Zawsze miałam sukienki i płaszcz, a nawet buty. A bieda była taka, że ludzie nie chodzili do kościoła, bo by zamarli po drodze. – Ludzie modlili się przy kapliczkach na rozstaju dróg, ten ludowy zwyczaj był od zawsze w polskiej kulturze – dodaje Maciej Rydzewski, a pani Irena opowiada dalej:

– Później już przyjeżdżał rowerem ksiądz, otworzyli nasz giżyński kościół.

Stoi do dzisiaj: stary budynek w samym środku Giżyna.

Religię miała w 1945 roku zastąpić nowa państwowa ideologia: marksizm-leninizm. – Któregoś dnia powiesili nam we wsi takie megafony, mówili na to kolchoźniki – opowiada Irena Haczkowska. – Leciała z tego przez cały dzień jakaś propaganda, do tego trochę muzyki. Człowiek chciał, nie chciał, musiał tego słuchać, gdy się po wsi kręcił. – To nie był nowy wynalazek, Niemcy na przykład montowali swoje „szczekaczki” – komentuje Maciej Rydzewski.

Oficjalna propaganda nie mogła zastąpić szkoły. Chociaż i z edukacją było też krucho. – Nauczycielem często zostawał ktoś z wioski, jeśli miał tak zwaną „małą maturę”, to było już dużo. Uczył dzieci, a później uprawiał swoją ziemię – dodaje historyk Mariusz Garbacz, miłośnik historii regionalnej.

W Giżynie funkcjonowała jedna szkoła czteroklasowa, a w położonym o kilometr Pomierzynie działała już taka dla starszych. I znowu trzeba było przeprawiać się udeptaną drogą w błocie po kolana. A jeszcze dalej było do Kalisza... „Ustalono, że nauczanie rozpoczynać się będzie o godzinie 9.00, a nie o 8.00 ze względu na bardzo wielką odległość od szkoły dużej ilości dzieci. Ponieważ w Kaliszu Pomorskim jest szkoła zbiorcza, uczęszczają tutaj uczniowie do klas starszych z pobliskich miejscowości, oddalonych po 5 i 6 km” (Marcin Kuchto, *Dzieje polskiego Kalisza Pomorskiego w latach 1945–2010*, Kalisz Pomorski 2010, s. 31).

Dzieci wojny

Dzieciaki większość czasu spędzają jednak poza szkołą. I choćby nie wiadomo jak było biednie, chcą tylko jednego. Bawić się. – Zabawek nie było, trzeba było coś wymyślić – wspomina pani Haczkowska. – Dziewczynkom czasami matka uszyła lalkę ze szmatek, chłopaki brali fajerki z pieca, nakładali na jakiś pręt metalowy i robili wyścigi, kto szybciej taką fajerkę potoczy. Bawiliśmy się w chowanego na starym niemieckim cmentarzu, graliśmy w klasy, bo to wystarczy tylko patykiem na ziemi kwadraty narysować i już jest zabawa. Zimą starsi organizowali kuligi, ale najpierw trzeba było sobie sanki zrobić, bo przecież gotowych nie było.

Wszędzie były za to powojenne „pamiątki”. – Pamiętam, raz chłopaki znaleźli jakieś pociski czy granaty i wrzucali je do ognia – pani Irena wyraźnie smutnieje. – Chowali się i słuchali, jak strzelają. Prawdziwy Dzik Zachód. Jeden taki wrzucił granat do ognia i nie zdążył uciec. Przynieśli go do mnie do domu. Wszystko we krwi. Jeszcze żył, tylko tak jęczał. Wzięli go na wóz i pojechali do szpitala. Nie zdążyli. Chłopak zmarł w drodze.

No właśnie, w drodze do lekarza. Ludzie się w niej rodzili i umierali. – Z medycyną w ogóle było ciężko – opowiada Irena Haczkowska. – Ja sama, kiedy zachorowałam na szkarlatynę, nie miałam się do kogo zgłosić. Kiedy mój stan się pogorszył, musieli zawieźć mnie do szpitala w Drawsku Pomorskim. Dopiero tam mnie wyleczyli. Tak samo było z porodami. Przypominam sobie sytuację, kiedy to jedna z moich sąsiadek zaczęła rodzić. Nie miała czym się dostać do Kalisza, to mąż zabrał ją na rower i zawiózł. Nie zdążyli dojechać. Urodziła w drodze.

„Po wojnie w powiecie drawskim sprawy ochrony zdrowia nie przedstawiały się najlepiej. Tymczasem potrzeby w tej dziedzinie były duże. Ogólny stan zdrowia przebywających Polaków oraz zamieszkujących tu jeszcze Niemców był bardzo zły. Wpływ na to miała niedawno zakończona wojna, ze wszystkimi ujemnymi konsekwencjami. Wśród ludności polskiej występowały liczne schorzenia oraz przypadki chorób zakaźnych, które niekiedy przyjmowały nawet rozmiary epidemii. W tej sytuacji bardzo pilną potrzebą stało się utworzenia placówek służby zdrowia. Niestety, było to sprawą niełatwą, gdyż brakowało fachowego personelu, lekarstw

i sprzętu medycznego. Tuż po wojnie na terenie powiatu drawskiego było tylko 3 lekarzy: 1 Polak i 2 Niemców (w Drawsku znajdowało się 2 lekarzy i 1 w Kaliszu)” (Tamże, s. 129).

Nic dziwnego, że wśród ludzi, którzy nie mieli dostępu do lekarza, bardzo popularna była medycyna ludowa i zabobony. Dziś to nie do pomyślenia: wtedy, żeby wyleczyć chorobę kręgosłupa, zakopywano ludzi po szyję w ziemi.

Na osiem godzin dziennie. Przez 10 dni.

– Recepta na kolkę małego dziecka była taka: wykonać 9 kukiełek z chleba, przejechać z nimi przez dziewięć mostów, wyrzucając na każdym z nich po jednej, wiem to z opowieści rodziny ze Starej Korytnicy – śmieje się Maciej Rydzewski.

Bez jedzenia, bez domu, bez Ojczyzny

Na rycinie widać piękny pałac obrosnięty bluszczem. Tam trafili Niemcy.

Zbici w gromadę, przerażeni, przegrani...

– Właścicielami pałacu byli Joachim i Zofia Neumann-Giesen, zdążyli go opuścić przed nadejściem frontu. Po 1945 Niemcy z Giżyna i okolic ci, którzy nie zdążyli uciec, musieli zostać, by pracować w majątku Neumannów. Mieli zapewnić ciągłość uprawy, Polacy przyjechali na te tereny kilka miesięcy później. W 1947 Niemców wysiedlono. Później, na mocy dekretu PKWN, w wyniku parcelacji majątków ziemskich, całość została oddana na użytek PGR-u – wyjaśnia Mariusz Garbacz.

Dzięki pomocy pana Garbacza udało nam się dotrzeć do Ursuli Junghans (z domu Drews), która przed wojną mieszkała w dzisiejszym Peplówku i która jako 14-letnia dziewczynka trafiła w 1945 roku do majątku w Giżynie. Znalazła się tam z najbliższymi, którym udało się przeżyć zawieruchę wojenną.

– My, Niemcy, mieszkaliśmy w samym pałacu i w domach folwarcznych rozmieszczonych w jego w pobliżu od późnej zimy 1945 do jesieni 1947 roku – wspomina pani Ursula, dziś mieszkanka Zagłębia Ruhry. – Łącznie mieszkało nas tam około 150 osób. Przede wszystkim: kobiety z dziećmi, wdowy po żołnierzach, starcy. Wszyscy ci, którzy nie zdołali uciec wcześniej przed zbliżającym się frontem. Ci, którzy byli do tego zdolni, pracowali na gospodarce, na polach, w oborach, stajniach. Kiedy matki szły do pracy w polu, małymi dziećmi opiekowali się starszankowie. To był prawdziwy obóz pracy. Naszym polskim nadzorcą był cywil, prawdziwy kat. Potrafił nawet zabić batem Niemca czy Niemkę, jeżeli nie podobała mu się ich praca. Żyliśmy więc i pracowaliśmy w strasznych warunkach. Porcje żywieniowe były wydzielane i bardzo małe. Cały czas byliśmy głodni. Mogliśmy opuszczać majątek, ale raczej tego nie robiliśmy, bo baliśmy się Polaków i Rosjan. Woleliśmy być wśród swoich, nawet zamknięci i wygłodniali. Tylko nieliczni, najodważniejsi i najbardziej zdesperowani opuszczali pałac i szli po jedzenie do swoich starych domów w Giżynie, w których mieszkali już Polacy. W końcu nadszedł kres tego koszmaru. Któregoś dnia, jesienią 1947 roku w Kaliszu podstawiono pociąg z wagonami bydłocymi. Zapakowali nas do niego

i ruszyliśmy do obozu przejściowego w Niemczech. To znaczy wyruszyli ci, którzy przeżyli ten obóz w Giżynie. Wielu umarło. Na przykład tylko w mojej rodzinie zmarły dwie osoby: ponad siedemdziesięcioletni dziadek i moja trzydziestosześcioletnia matka.

„W ramach wysiedleń obowiązywała ścisła selekcja. W pierwszej kolejności obejmowała najmniej przydatnych – niepracujących i tzw. element uciążliwy, następnie wywożono pracujących w domostwach prywatnych lub prywatnych przedsiębiorstwach, w końcu tych, którzy pracowali »na państwowym«. Specjalną kategorię stanowili najsłabsi – starcy, chorzy, sieroty, którzy wyjechać mieli jako ostatni” (Janusz Mieczkowski, *Żydzi, Niemcy i Ukraińcy na Pomorzu Zachodnim w latach 1945–1956*, Szczecin 1994, s. 26).

– Było im ciężko – wspomina Irena Haczkowska. – My wprowadziliśmy się do ich domów, a ich zagnali do tego pałacu. Pamiętam ten pałac. Był bardzo duży. Musieli tam ciężko pracować. Był tam taki jeden Polak, który okropnie ich traktował. Kiedy układali snopy słomy na polu, musieli robić to precyzyjnie i równo. Inaczej dostawali batem. Nie mieli co jeść.

– Dawaliście im jedzenie?

– My tak. Ale niektórzy nie byli wcale do nich dobrze nastawieni. Niemiec to był dla nich największy wróg.

– Polacy z reguły nienawidzili Niemców z powodu wojny. Niektórzy z nich byli ogarnięci chęcią zemsty – dodaje Maciej Rydzewski.

Pani Irena dobrze zapamiętała pewną Niemkę z pałacu. – Nazywała się Brygida. Kiedyś mieszkała w naszym domu. Była starą panną. Przychodziła do nas, do wsi. Trochę z tęsknoty za domem, ale bardziej chyba z głodu. Dawaliśmy jej jedzenie. Pamiętam jakby to było wczoraj, jak moja sąsiadka wyzywała ją od Niemr i najgorszych. Ona to była nerwowa kobieta. Była cięta na Niemców. Ale los jej odpłacił. W jej domu była taka piękna, trzydrzwiowa szafa, nieskręcona. Przed wojną należała właśnie do „naszej Niemki” – Brygidy, która miała gdzieś schowane pozostałe części do szafy, jakieś śruby i deski. Brygida powiedziała nam, że powie, gdzie je schowała, ale tylko wtedy kiedy szafa stanie w naszym domu. Sąsiadka nie chciała oddać, sama skręciła szafę. Zaraz potem po domach chodzili jacyś przedstawiciele władzy i zabierali co ładniejsze rzeczy. Przestraszyła się, rozkręciła szafę i schowała w ogródku. Tam szafa zgniła – śmieje się pani Irena.

„Jest rzeczą bezsprzeczną, że musimy dążyć do tego, by stworzyć tam na »Ziemiach Odzyskanych« jednolity element ludnościowy przy wyeliminowaniu elementu niemieckiego, który stanowi i zawsze stanowić będzie czynnik rozsadzający wewnętrzną spójność społeczeństwa” (*Plan polityki narodowościowej*, „Rzeczpospolita” 1946, 24 marca).

Zabójcza praca

W tym kulturowym polsko-niemieckim tygłu zawieruszyło się też kilku Romów. – Jedna była, ale taka jak nie Cyganka – mówi pani Irena. – Miała blond włosy i jasną karnację. Ale jej siostra to już była prawdziwa

Cyganka z urody. Czarne długie włosy i oczy, ciemne brwi. One chodziły w długich sukniach. Na tę czarną sprowadziło nieszczęście. Kiedyś właśnie w czasie żniw stała przy młockarni, tam kręci się taki szeroki pas transmisyjny. I ten pas wkręcił tę długą suknię dziewczynie. Obróciło ją parę razy, zmiażdżyło, to było straszne... śmierć na miejscu.

– Romów ludowa władza próbowała zmusić do stałego osiedlenia, stąd prawdopodobnie ich obecność w Giżynie. W województwie szczecińskim w 1949 roku mieszkało 761 Romów, a w roku 1952 tylko 244. To nie jest dużo – komentuje Maciej Rydzewski.

Pracowało się ciężko, nie tylko w czasie żniw. – Przez cały rok zwykły dzień mijał nam na robotach – po pani Irenie widać, że ożywają jej w głowie wspomnienia z młodości. – Szliśmy w pole i robiliśmy swoje. Trzeba było pracować, żeby jeść. – Ciężko myśmy pracowali, ciężko. Pracowali nasi rodzice, cała okoliczna młodzież.

Czas wesela

Ludzie żyli, pracowali, uczyli się, modlili i... żenili.

Pani Irena: – Było kilka par, które chciały wziąć ślub. Zgłosili się do kowala po obrączki.

– Kowala?!

– Tak, z metalu te obrączki jakoś wycinał – zapewnia ze śmiechem, ciesząc się, że uważnie słuchamy. – Śmieliśmy się wszyscy. A wesela były ubogie, no bo nie było z czego, ale jak ja już miałam swoje, dokładnie w 56-tym roku, to ubili nam świniaka. Było wesoło. Ślub był w Kaliszu, jechaliśmy wozami z końmi. Goście też na wozie, za nami. Miałam suknię z... jakiegoś białego materiału – nie pamięta, uśmiecha się przepraszająco. – Ale szytą u krawcowej! Szytą! I obrączki już mieliśmy z Tadeuszem, ale srebrne, kto by miał wtedy na złote. A Tadeusz... No cóż, jak się oświadczał, mój tata już nie żył. Przyszedł do mojej mamy i powiedział, że chce się żenić z Irką. Odpowiedziała mu: „No, jak chcesz, to się żen”. I tak to wtedy właśnie było.

Nie po bożemu

Jak się ludzie żenili to rodziły się i dzieci. Ale jak to na Dzikim Zachodzie, nie zawsze było po bożemu. – Pamiętam, była taka jedna kobieta, przyszła nie wiadomo skąd z córką – zaczyna opowieść pani Irena. – Nikt nie wiedział, że była z jakimś drugim facetem w ciąży, ukrywała to jakoś pod suknią. A latem urodziła. Sama! Chłopca. Zapakowała go do zwykłego wiaderka i wyniosła do Wierzchucina, nikt tam jeszcze nie mieszkał. Zostawiła dziecko w piwnicy jakiegoś pustego domu. Przypadek akurat tak chciał, że wtedy rano szli mężczyźni i szukali tego, co najlepsze w pustej wiosce. Tam było wszystko zostawione, a jak u nas brakowało maszyn czy mebli to stamtąd brali. Usłyszeli jakiś hałas, jakby miażdżenie małego kotka, takie głośne. I znaleźli. Chłopczyka w wiaderku. Ale ludzie, mimo tych dzikich czasów, dobrzy wtedy potrafili być dla siebie. Żona jednego z tych, co poszli po meble, wzięła tego chłopczyka na wychowanie, żył potem normalnie w wiosce.

A kobieta? Miała jeszcze tyle siły, że poszła nad jezioro się umyć. Ktoś zawiadomił milicję. I tam ją złapali. Pamiętam, jak ją w kajdankach prowadzili przez wieś. Nigdy tu już nie wróciła.

Takie to były czasy.

Powroty

Piętnaście lat temu nasza bohaterka wróciła do swoich rodzinnych stron. Nie poznała już małej wsi pod Garwolinem.

– Wszystko się zmieniło – mówi.

Nie ma już nawet domu, w którym przyszła na świat. Pozostały jedynie wspomnienia, które są ciągle żywe w jej sercu.

– To gdzie jest pani prawdziwy dom?

– W Giżynie – odpowiada bez wahania.

I specjalnie dla nas staje przed giżyńskim kościołem, dokładnie tak samo jak na zdjęciu sprzed siedemdziesięciu lat. Nie jest już naburmuszoną dziewczynką. Tym razem uśmiecha się.

Do nas i do wspomnień.

Marta Stypin

Z LITERKĄ „P” NA PIERSI

(2015)

*Pociąg stanął na stacji Falkenburg, w dzisiejszym Złocińcu.
Była noc. Kobiety ustawiono w szeregu. Na dworcu czekali już gospodarze,
u których miały pracować...*

Irena Szpak, znana wśród znajomych i rodziny jako Zofia Czarnecka, zmieniła imię zaraz po wojnie, a nazwisko przejęła po mężu, Edmundzie Czarneckim. Zmieniła nie tylko imię. Zmieniła całe swoje życie. Nie wierzy, że to był przypadek, przypadki nie istnieją. Bo chociaż urodziła się w 1925 roku w Warszawie i mieszkała w pięknej kamienicy przy ulicy Madalińskiego, miała trafić do oddalonego od stolicy o niemal 500 km Drawska Pomorskiego i zamieszkać w poniemieckim domku. Dziś ma 90 lat, ale nadal jest dzielna i odważna, tak jak wtedy, kiedy jako szesnastolatka uciekała od Niemców z Falkenburga (Złocińca). Jej życie płynie spokojniej: bawi się z kotem, pisze wiersze, które później chętnie recytuje z pamięci, robi zakupy, spotyka się z synem. Na starym kredensie w pokoju stoją zdjęcia w ramkach, z pożółkłych fotografii patrzą na nią krewni. Wielu z nich już dawno nie żyje. Tylko ona została. Nic pamięci prowadzi ją do dzieciństwa spędzonego w Piasecznie, tam wychowywała ją ciotka Helena. Kiedy się urodziła, matka została z nią sama, ojca nigdy nie poznała, umarł, zanim Irena przyszła na świat. Helena wzięła ją na wychowanie, mimo że sama miała jeszcze czworo dzieci. Mama dziewczynki pracowała w Warszawie od świtu do nocy, a zarobione pieniądze odkładała dla dziecka. Piaseczno to dla pani Ireny miejsce święte, bezpieczne. Kiedy o nim myśli, widzi duży, wiejski dom, czuje zapach świeżo pieczonego chleba, słyszy śmiech. Jakże piękny był świat bez trosk i obowiązków: sielski krajobraz, czyste niebo, słońce, bawiące się dzieci, a wśród nich ona – czternastoletnia dziewczyna. W pamięci zapisały się także inne obrazy. Na przykład ten związany z marszałkiem Józefem Piłsudskim.

– Pamiętam, jak jego trumnę umieszczono na platformie kolejowej, zatrzymała się na stacji w Piasecznie, tłumy go żegnały. Niektórzy w milczeniu, inni owacjami. Ludzie płakali. Potem platforma pojechała w stronę Krakowa. To było jej pierwsze spotkanie ze śmiercią. Nie czuła wtedy lęku.

Wezwanie

1 września 1939 roku tak jak zawsze szła do szkoły. Z oddali usłyszała cichutki warkot, który się nasilał. Samoloty leciały w równym szyku i na tle niebieskiego nieba wyglądały jak malutkie punkciki, które robiły się coraz większe i głośniejsze. Nie pomyślała, że spełnia się najgorszy ze scenariuszy.

– Armia niemiecka wkraczała do Warszawy od strony Piaseczna. To mogło być około dziesiątego września – pani Irena zbiera myśli, a po chwili opowiada dalej. – Żydów, którzy mieszkali we wsi od pokoleń, zaprzęgali do ciągnięcia wozu z żołnierzami. Kazali im śpiewać: „Nasz Śmigły Rydz nie nauczył nas nic, a nasz Hitler złoty nauczy nas roboty”.

Obiecała sobie wtedy, że nigdy się nie podda i żaden Niemiec jej tak nie upokorzy. Sprawdzian z siły charakteru przyszedł szybciej niż się spodziewała.

Skończyła szesnaście lat i goniec przyniósł wezwanie do magistratu. Kiedy dotarła do Warszawy, żandarm, który stał przed drzwiami urzędu, szarpnął ją za ramię i wepchnął do ciężarówki. – Byłam przerażona. Wyszli nas na dziedzińcu jakiegoś budynku. Jak się później dowiedziałam, był to dawny budynek szkoły, a w środku czekała już komisja lekarska – wspomina. Wyprowadzono wszystkie kobiety. Do budynku wchodziły gęsiego, jedna za drugą. Miały się rozebrać, ustawić pod ścianą. Stały nago, kolejka sięgała od parteru do trzeciego piętra. – Nie miałyśmy się czym zakryć, było tam dużo różnych ludzi. Niektórzy z nich drwili, pokazywali palcem.

Wszystkie zostały uznane za zdolne do pracy.

„Przeznaczeni na roboty po przejściu »badań lekarskich« i »odwyszawiania« w specjalnie do tego celu stworzonych przez Niemców obozach oraz po złożeniu na piśmie oświadczenia, że na roboty udają się »z własnej woli«, kierowani byli niezwłocznie do zbiorczych transportów i wywożeni w głąb Rzeszy (*Z literą „P”*. *Polacy na robotach przymusowych w hitlerowskiej Rzeszy 1939–1945. Wspomnienia*, wstęp i oprac. Ryszard Dyliński, Marian Flejsierowicz, Stanisław Kubiak, Poznań 1976, s. 47).

W wagonie towarowym niektóre płakały, inne modliły się. Ona nic nie mówiła. – Było mi bardzo zimno. Miałam na sobie tylko szkolny fartuszek z krótkimi rękawkami i wełniany sweterek.

Nie wiedziały, dokąd jadą. Pociąg stanął na stacji Falkenburg, dzisiejszym Złocińcu.

Była noc. Kobiety ustawiono w szeregu. Na dworcu czekali już gospodarze ziemscy, u których miały pracować. Każdy z nich polował na najlepszą siłę roboczą. – Zaczęli się kłócić, przepychać i wrywać sobie nas z rąk. Czuliśmy się jak na jakimś targu.

„Procedura angażowania do pracy tych Polaków, którym los wyznaczył miejsce u bauera na wsi, przypominała często sprzedaż niewolników, niemieccy chłopcy bowiem przy wyborze robotników kierowali się siłą ich mięśni”.

Kiedy wszyscy się rozjechali, na peronie została tylko ona i stary Niemiec. Miał najmniejszą siłę przebicia. Wsiadła do bryczki i ruszyli w drogę.

Do publicznej wiadomości podano opublikowane 18 czerwca 1940 roku w szczecińskiej prasie zarządzenie prezydenta policji Wilhelma Jahna. Zarządzenie to streszczało najważniejsze postanowienia w sprawie Polaków: „Pracodawcy zatrudniający robotników polskich winni natychmiast zgłosić ich w policji; Polacy muszą nosić znak »P«; Polakom nie wolno przebywać poza miejscem zamieszkania w okresie od 1 IV do 10 XI w godzinach od 21 do 5, a w czasie od 1 X do 31 III w godzinach od 20 do 6 rano; Polakom nie wolno wchodzić do kina, teatru, kościoła i restauracji; pracodawca winien natychmiast meldować policji o nieprzestrzeganiu przepisów przez Polaka”.

Życie w niewoli

Kiedy dojechali na miejsce, poznała resztę rodziny: żonę i córkę. – Były wyraźnie niezadowolone, że stary wybrał takie chuchro do pracy w polu. Jego słaby charakter widać było i w tej sytuacji. Nic nie odpowiedział. Wyszedł z mieszkania. Niemki zaprowadziły ją do komórki przy stajni. Była tam prycza i koc. To miejsce miało być jej nowym domem. Jak się później dowiedziała, majątek należał do Hermana Rostka i jego żony. – Stara Niemka była na mnie cięta. Od godziny szóstej musiałam pracować na polu. Biła i poniżała mnie przed członkami swojej rodziny. Przecież miała do tego prawo.

„Jednym z dalszych ogniw systemu hitlerowskiego, zmierzającego do wyniszczenia i upokorzenia narodów podbitych był cały system kar stosowanych wobec robotników przymusowych w Trzeciej Rzeszy. Najczęściej stosowane środki represyjne to praca karna, częściowe lub całkowite pozbawienie żywności, a nawet kary cielesne, które były stosowane najczęściej. Dokument hitlerowskiego Krajowego Związku Rolników z 6 marca 1941 roku mówi: »Każdy kierownik przedsiębiorstwa ma prawo bić robotników rolnych narodowości polskiej, jeśli dobre rady i pouczenia nie dały rezultatu. W takim przypadku kierownik przedsiębiorstwa nie może być przez nikogo pociągnięty do odpowiedzialności karnej«”.

Irka nie miała ubrania, mydła, żałowano jej nawet jedzenia. Ale miała w sercu nienawiść, a w oczach pogardę, a to się nie podobało. Któregoś razu została w domu, żeby zacerować swoje podarte ubranie. Kiedy Niemka ją zobaczyła, wpadła w szał, wyгнаła wszystkie krowy na drogę. Kazała jej zagnać je z powrotem do obory. Wtedy pierwszy raz się zbuntowała. – Powiedziałam, że tego nie zrobię, a ta zamachnęła się. Nie zdążyła mnie uderzyć. Zrobiłam to pierwsza. Wybiegła z domu i wróciła w asyście policjanta. Na szczęście był Polakiem. Tylko dzięki temu przeżyłam. Rostkowie mieli także syna, Irena poznała go później. Był żołnierzem Wehrmachtu, ale to on jako jedyny pomagał jej w pracach gospodarskich. Na pewno znał instrukcję władz niemieckich dotyczącą traktowania Polaków, ale jej nie przestrzegał.

„Utrzymujcie wyraźny dystans do Polaków. Żaden mężczyzna niemiecki, ani żadna niemiecka kobieta nie może zapominać przy obcowaniu z tymi robotnikami polskimi, że zmieszanie krwi niemieckiej z krwią polską, za szkodą krwi niemieckiej, nie da się pogodzić z dumą narodu niemieckiego. Nie pozwólcie Polakom

jadać razem z wami, przy jednym stole. (...) Dla Polaków nie ma miejsca również w naszych gospodach. Żaden mężczyzna, ani żadna kobieta nie będzie ściągać na siebie hańby, pokazując się z Polakiem w gospodzie. W ogóle nie starajcie się w niczym ulżyć Polakom. Bądźcie dumni ze swej wyższości pod każdym względem. Polacy nie zostali ściągnięci do Niemiec, by żyć tutaj lepiej niż w prymitywnych warunkach w swojej ojczyźnie, lecz by swoją pracą naprawić niezmierne szkody, jakie państwo polskie wyrządziło narodowi niemieckiemu. Zachowajcie czystość krwi niemieckiej. Tak, jak największą hańbą jest obcowanie z Żydem, tak samo hańbi się każdy Niemiec, który utrzymuje intymne kontakty z Polakiem lub Polką. Niemcze, bądź dumny i pamiętaj zawsze o tym, co ci naród polski uczynił! Niemcze, Polak nigdy nie jest twoim kolegą! Nie zapominaj nigdy, że należysz do narodu panów”.

Z tęsknoty za rodziną i z żalu zaczęła pisać wiersze. – Nie było czym ich pisać. Za długopis służyły mi węgle z domowej kotłowni – wspomina pani Irena.

„Trzy miesiące upłynęły od rozstania, mamó ma,
I następne już się wleką, beznadziejna doła ta.
Powiedz wicherze mej rodzinie, jak mi smutno, tęskno tu,
Jak mi ciężko czas ten płynie, nie chcę zostać dłużej tu”.

Wędrownica

Wymknęła się po cichu z domu. W głowie miała cały plan ucieczki: na dworcu kupić bilet do Poznania, a później do Warszawy. Zaczynała się godzina policyjna, więc musiała poszukać schronienia. Weszła w ciemną uliczkę i zobaczyła trzech mężczyzn. Po literce „P” na ich koszulkach poznała, że tak jak ona są Polakami. Poprosiła o pomoc. Przenocowali ją w stodole u Niemca, u którego pracowali. Rano była już w pociągu. Miała jeden cel. Być jak najdalej od tego piekła. W trakcie podróży dowiedziała się, że aby dostać się do Warszawy, trzeba mieć specjalną przepustkę. Wpadła na pomysł, by iść z Poznania do Warszawy piechotą. – Jak teraz na to patrzę, to myślę, że to było wariactwo – śmieje się pani Irena. Był początek kwietnia 1942 roku. Szła szosą, a kiedy coś jechało, uciekała do rowu. Spała przewaźnie w lesie lub na polu w słomie. Czasem szła całą noc aż do rana. W przerażającej ciszy słyszała jedynie bicie swojego serca. Mijała różne miejscowości, pukała do domów. Niektórzy pomagali. Pozwalali u siebie przenocować, karmili.

Po dwóch tygodniach wędrownicy dotarła do Kutna, oddalonego od Poznania o 200 kilometrów. Była głodna, wycieńczona i samotna. W przydworcowej restauracji zobaczyła ładną kobietę z córką, mówiły po niemiecku. Blondyneczka z niebieskimi oczami grymasiła, bo nie chciała jeść. Przed nią na talerzu leżał świeżo upieczony, pachnący omlet. Głód był silniejszy niż strach, zapytała, czy może go zjeść. Oddały jedzenie bez słowa. – To było niebo w gębie! Od roku nie jadłam nic tak pysznego. Co pani może o tym wiedzieć? Wy macie

dzisiaj wszystko – pani Irena macha ręką, jakby nie wierzyła, że zrozumie tę sytuację. Młoda Niemka poradziła, żeby zgłosiła się dobrowolnie do Arbeitsamtu [urzędu pracy – przyp. red.], bo kiedy znajdzie ją Gestapo, grozi jej niebezpieczeństwo. Posłuchała. Sama zgłosiła się do biura, gdzie niemiecka urzędniczka odprawiła ją do pracy jako pomoc domową u Trogerów w Kutnie.

Cena wolności

Richard Troger był tak zwanym polskim Niemcem – volksdeutschem o polskich korzeniach. Miał żonę i czworo dzieci. – Miałam swój pokój, mogłam jeść z nimi przy jednym stole. Nie musiałam praktycznie nic robić, jedynie zajmować się dziećmi. Nauczyły mnie modlitw po niemiecku: „*Ich bin Klein, mein Herz ist rein, dass niemand drin wohne, als Jesus Allen*” („Jestem mała, moje serce jest czyste, nikt w nim nie mieszka – tylko sam Jezus”). Albo odpowiednik Ojciec nasz: „*Vater unser, der Du bist im Himmel. Geheiligt werde Dein Name. Dein Reich komme. Dein Wille geschehe, wie im Himmel, so auch auf Erden*”. Recytuje z pamięci, bez jednego błędu.

Minęły dwa miesiące. Był czerwiec 1942 rok. Sprzątała mieszkanie, kiedy rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Otworzyła. Ujrzała dwóch mężczyzn w mundurach gestapo. Zapytali: „Irena Szpak?”, przyznała, że to ona. Kazali jej iść. Chciała się pożegnać. Nie pozwolili. Zabrali ją na komisariat w Kutnie. Wypytywali o ucieczkę z Falkenburga. Nie bili. Po kilku dniach przetransportowali ją do obozu karnego w Inowrocławiu.

„Kary za wszystkie wykroczenia były coraz większe, szczególnie ostro karano próby ucieczek z pracy, najczęściej przez osadzenie w karnych obozach pracy lub w obozach koncentracyjnych” (*Z literą „P”. Polacy na robotach przymusowych w hitlerowskiej Rzeszy 1939–1945...*, s. 169).

Przeżyła kolejny koszmar podróży. – Jeden biedny staruszek, który wtedy miał biegunkę, wypróżnił się do puszek po konserwie. Kiedy skończył, żeby nie śmierdziało, wylewał wszystko przez zakratowane okienko. Nic to nie dało. Wie pani, o czym myślę? – pyta, a po chwili wyjaśnia: – Gówno miał na twarzy.

W takich warunkach dotarli na miejsce. Była to filia hitlerowskiego obozu zagłady w Stutthofie. Można go było zaliczyć do wybitnie ciężkich obozów. Przed bramą główną była brukowana droga. Sam obóz otoczony betonowym murem i drutem kolczastym. Wszędzie pełno psów, ujadały, biegały w tę i z powrotem. Na środku placu stała szubienica, pod którą wysypany był żwir. – Poniżano nas w ten sposób, że kazano nam tam naśladować odgłosy zwierząt – wspomina z bólem pani Irena.

Każdy dzień zaczynał się o szóstej rano od ćwiczeń. Padały komendy: „Padnij! Powstań! Padnij! Powstań! Żabki!”. Od „żabek” miała zdarte kolana do krwi. Kobiety dostawały rano kawę i chleb. Na obiad zazwyczaj były jakieś wodniste zupy, które jadły w puszkach od konserw. Spały na pryczach. Toaletę zastąpiło wiadro postawione w kącie baraku. Kiedy pewnego razu wyszła jak co dzień rano do pracy, przy ścieżce stał jeden z wartowników. Spojrzała na niego, a chwilę później leżała w kałuży krwi na betonowej ścieżce. – Dostałam w twarz kolbą od karabinu. Wybił mi cztery przednie zęby. Nie wolno mi było na niego patrzeć. Okrucieństwu

nie było końca. Zimą stały na placu, a Niemcy polewali je zimną wodą z węża. O mało nie zamarzła. Żołnierz niemiecki krzychał tylko, że pora na kąpiel. Nazywał je przy tym brudnymi polskimi świniami. W obozie była przez sześć miesięcy.

My, z literą „P”

Wywieziono ją znowu do Falkenburga. Tym razem do innej rodziny. Trafiła do państwa Fraier. Mieszkali przy Autobahn Strasse, to dzisiejsza ulica Kolejowa. Pani Marianna miała trzy córki i męża na froncie. Niemka podziwiała ją za to, że umie naprawić rower, narąbać drewna, wymienić żarówkę. Mijał dzień za dniem. Literka „P” noszona na ubraniu pomagała znaleźć wspólny język z innym Polakami, pracującymi przymusowo w Falkenburgu. Spotkała tam Ambrożego. Od tamtej pory są przyjaciółmi.

A tak pan Ambroży Kobierowski wspomina roboty w Złocięncu: „Wrogim nastawieniem do Polaków wyróżniali się Rytyng, Setzmit i Meissner, których jedynym argumentem było bicie. Ludność niemiecka odnosiła się do nas wrogo lub obojętnie, ale były wyjątki. Na przykład dr Ginbert, wbrew przepisom, przyjmował Polaków w swoim gabinecie niosąc im ulgę w cierpieniach. Fryzjer Julitz nie opatrzył swojego zakładu wywieszką »Nur für Deutsche« i mimo ostrzeżeń policji, obsługiwał Polaków. Słowa nadziei i pocieszenia płynęły z ust katolickiego księdza w kościele w Drawsku, dokąd czasem mogliśmy jeździć. Nie znał on naszego języka, ale zawsze starał się powiedzieć parę słów po polsku. Zwykle kończył kazanie słowami: »Módlmy się o sprawiedliwy pokój«. Katolicy, których było w Złocięncu ponad pięciuset, korzystali z parafii katolickiej w Drawsku, gdzie proboszczem był ks. Froelich, który w czasie wojny, kiedy kościoł odwiedzały setki Polaków przywiezionych na przymusowe roboty, odnosił się do nich życzliwie, wygłaszając krzepiące serca kazania” (Tadeusz Gasztold, Józef Lindmajer, *Złocieniec – zarys dziejów*, Koszalin 1985, s. 85).

Co jakiś czas jeździli do miejscowości Dramburg, obecnie Drawsko Pomorskie, aby wziąć udział we mszy. Odbywała się dla Polaków jedynie raz w miesiącu. Irka była tam kilka razy, swoje odczucia przelała na papier:

„Z miasta i okolic,
z literką »P« na piersi,
schodzili się Polacy,
ciężką pracą styрани.
Przez Niemców
w nieludzki sposób poniewierani”.

– Bo tamte czasy to było dziecko drogie piekło. Nawet nie wiadomo, kiedy można było stracić życie. Albo zostać okaleczonym. Jak ja w Inowrocławiu.

Praca u Fraierów

W końcu uzbierała upragnione 75 marek na protezę zębów. – Miałam na ich punkcie wielki kompleks, od czasu kiedy niemiecki żołnierz wybił mi je w obozie, rzadko się uśmiechałam. Pojechała do Dramburga (Drawska Pomorskiego), aby zapłacić za protezę. Malowniczy park, alejka. Przy niej żandarm, a obok tabliczka z napisem: „*Eintritt für Polen verboten*” („Wejście dla Polaków zakazane”).

Usłyszała głośnie: „*Halt!*” („Stój!”). – Nogi ugięły mi się w kolanach. – „*Bist du Polen?*” („Jesteś Polką?”). Odpowiedziała, że tak, a on zapytał: „*Wo hast du die »P«?*” („Gdzie jest twoja litera »P«?”) Odsunęła apaszkę, a on wrzasnął, żeby szła za nim. Zaprowadził ją do ciemnej uliczki, wyrwał torebkę i zabrał pieniądze. Do domu wróciła bez protezy.

„Przed wejściem do parku stoi żandarm jednonogi – czytam:

Eintreten für Polen verboten,

groźnie mnie ostrzega.

Dotknęłam swoją literkę »P« na piersi,

nie weszłam – jestem Polką!

Z dumą odeszłam.

A jednak się nas boją...”

Życie u Fraierów przebiegało spokojnie. Bywały też chwile zabawne. Któregoś razu pani Marianna wysłała ją na pole po krowie odchody. Użyźniały znacznie glebę, potrzebowała ich, żeby nawozić kwiaty. Irka poszła po nie wieczorem razem z przyjaciółką, Marysią. Wzięły szufelki i wiaderka. Kiedy nazbierały krowich odchodów, zawiesiły wiadra na kierownicy roweru i pojechały do domu. Po drodze spotkały dwóch młodych niemieckich oficerów. – Zatrzymali nas i zapytali, co mamy w wiadrach. Sparaliżowane ze strachu nie mogłyśmy wykrztusić z siebie ani jednego słowa – wspomina pani Zofia i dodaje ze śmiechem: – Jeden z nich, myśląc, że to marmolada, zanurzył palec w krowim łajnie i wziął go do ust. Skrzywił się, miałyśmy szczęście, że nas nie pozabijali. Wiosną 1944 roku weszło w życie rozporządzenie, które głosiło, że Polacy muszą pracować na rzecz rolnictwa, przemysłu, czy w innych gałęziach gospodarki. Marianna musiała oddać Irenę. Było to bardzo smutne rozstanie. Kara za odwagę.

– Co się z panią wtedy stało? – Zostałam przydzielona do kolejnego gospodarstwa we wsi Grinberg [Rzęśnica]. Mała wioska położona między Złocińcem a Drawskiem. Pracowałam u Niemki, której nazwiska już nie pamiętam. Wiem, że miała na imię Fryda i była matką dwóch chłopców w wieku przedszkolnym. Nie umiałam się z nią porozumieć. Było źle. Traktowała mnie jak przedmiot, biła. Któregoś dnia nazwała mnie polską świnią. Wykrzyczałam jej w twarz, że sama jest niemiecką świnią. Odgrażała się, że mi tego nie podaruje. Niestety, dotrzymała słowa. Następnego dnia rano próbowałam uciec. Przyłapała mnie na tym w asyście dwóch gestapowców. Zostałam odwieziona na komisariat w Złocińcu.

Gruby żandarm kazał Irenę wprowadzić do swojego gabinetu. Musiała się położyć twarzą do biurka. Wyciągnął palkę i zaczął bić ją po plecach. Ból był nie do zniesienia. Płakała i krzyczała, a ciosy były coraz silniejsze. Kiedy skończył, krzyknął: „No i co żeś zrobiła!”. Spojrzała na podłogę przerażona, zobaczyła żółtą plamę moczu. Trafiała wtedy do celi w podziemiach komisariatu. By później, za drugą nieudaną ucieczkę, odbyć karę w obozie przy fabryce benzyny syntetycznej w Pölitz, dzisiejszych Policach.

„Największym i najbardziej znanym obozem pracy w rejonie Polic był Pommernlager, usytuowany niedaleko zakładów Hydrierwerke, na północny zachód od rzeczki. (...) Powstał prawdopodobnie w marcu i kwietniu 1940 roku. (...) W 1944 r. obóz składał się już z 52 wielkich baraków. Ogółem przebywało w nim ok. 5 000 osób, pewną część z nich stanowiły kobiety, które mieszkały w oddzielnej części obozu. Znane są nazwiska dwóch komendantów tego obozu: Tepich, a następnie Folt w 1942 roku. (...) Podobnie jak i w innych tego typu obozach był on odgradzony podwójną linią drutów kolczastych, do których w nocy włączano prąd, oraz wieżami wartowniczymi. Obóz miał dwie bramy. Wewnątrz obozu znajdował się plac apelowy oraz 32 baraki mieszkalne. Część tych baraków zajmował szpital, kuchnia, odwieszalnia. Baraki były zasadniczo nieduże, przeznaczone dla 100-200 więźniów. Umywalnie i ubikacje znajdowały się na wolnym powietrzu. Na terenie obozu kobiecego znajdował się drewniany bunkier, wykopany w ziemi, gdzie zamykano więźniarki za karę. W pobliżu ustawiono dwie szubienice” (Wiesław Gawęł, *Rys historyczny Polic*, Police 1993, s. 72).

Kiedy trafiła do obozu, była połowa listopada 1944 roku, deszczowa pogoda. Kazano im stać w dwuzeregu na placu. Przed nią stała młoda kobieta. Przeważona zapytała po cichu, czy długo jeszcze będą tak stać. Nawet nie dokończyła zdania, kiedy młody żołnierz niemiecki podbiegł do niej i z całej siły uderzył w twarz. – Gdy już tak trzecią godzinę stałyśmy, wyszedł komendant obozu. Stary żandarm, w ramach rozgrzewki, nakazał nam biegać dookoła baraku. Gdy już tak biegłyśmy, padła komenda: „Zabki!”, później: „Padnij! Powstań!” i jeszcze tak kilka razy. Nie miała już siły biegać, kazali im podczas rozgrzewki śpiewać niemieckie pieśni wojskowe, takie jak: „*Auf der Heide blüht ein kleines Blümelein und das heißt Erika...*” („Tam w ojczyźnie kwitnie mały kwiatek i nazwa się Erika”). Niektóre więźniarki nie wytrzymały rozgrzewek. Bito je wtedy okrutnie.

„Robotnicy pracujący w Pommernlager pracowali w ogromnej większości w zakładach benzyny syntetycznej. Administracja nie troszczyła się o bezpieczeństwo pracy, nie było ubrań ochronnych, masek, rękawic. Praca działała szkodliwie na zdrowie, szczególnie na oczy i skórę. (...) Praca była cięższa niż w innych obozach, trwała ponad 12 godzin dziennie. Jadano tylko raz dziennie, wieczorem, ponadto robotnicy otrzymywali rano kawę i chleb na cały dzień. (...) Obóz został dwukrotnie zbombardowany, w dniach 17 sierpnia i 24 grudnia 1944 roku, podczas bombardowania zakładów przemysłowych. (...) Liczni świadkowie opowiadają, że po nalocie i bombardowaniu Polic rannych więźniów-robotników dobijano zastrzykami z fenolu. (...) Po każdym nalocie zwłoki zabitych zakopywano na terenie poza szosą, bez sprawdzania tożsamości” (Wiesław Gawęł, dz. cyt., s. 64).

Pewnej nocy był nalot bombowy na fabrykę. Baraki więźniów stały niedaleko. Słyszeli warkot nadlatujących samolotów i świst spadających bomb. – Bardzo się wtedy bałyśmy. Odmawiałyśmy koronkę do Bożego Miłosierdzia. Powtarzało się to dość często – wspomina pani Irena. Miała wszy. Gryzły ją przez pół roku. Któregoś dnia, kiedy siedziała skulona w baraku, zobaczyła je w oczkach swojego wełnianego sweterka, tego samego, w którym zabrano ją jako niewinne dziecko od bliskich z Warszawy. Grube, tłuste wszy, ze złości wyrzuciła go w kąt baraku. Kara dobiegła końca po pół roku...

Ostatnia ucieczka

W Falkenburgu dostała przydział do gospodarstwa w Dietersdorfie, dzisiejszym Bobrowie. Była tam niecałe dwa miesiące. – Dlaczego tak krótko? – Był już rok 1945. Wojna się kończyła. W głowie do dziś mam widok uciekających na zachód Niemców.

„Od końca stycznia 1945 r. hitlerowcy zaczęli przeprowadzać planową ewakuację południowej i środkowej części Pomorza Zachodniego. Ewakuację zaczęto od całkowitego opróżnienia powiatów leżących przed, na i za Wałem Pomorskim. Wedle wyjaśnienia zastępcy Gauleitera Paula Simona, Reichsführer SS Heinrich Himmler wydał polecenie opróżnienia Pomorza Zachodniego. Mieszkańcy 21 stycznia 1945 roku dostali tzw. *Packbefehl*, czyli rozkazy spakowania się” (*Dzieje ziemi drawskiej*, red. Tadeusz Gasztold, Poznań 1972, s. 128).

Na początku marca dowiedziała się, że Drawsko Pomorskie jest już zajęte przez Rosjan. Niemcy uciekali w popłochu. Niektórzy samochodami, inni wozami, a jeszcze inni nawet na rowerach. Gospodarze Ireny byli dla niej dobrzy, a Ruskich się bała. Podjęła decyzję, że ucieka z nimi. – Do dziś pamiętam tamtą, ostatnią już moją ucieczkę. Na przedzie kolumny jechał leutnant Gubbels na koniu. Za nim pluton niemieckiego wojska, a później ludność cywilna. Przez całe dni szliśmy szosą, a nocą odpoczywaliśmy po lasach. Było bardzo zimno, ludzie zamarzali w drodze.

„Wszyscy mieszkańcy wsi i miast otrzymali rozkaz wyjazdu na zachód. Pociągi nie były w stanie pomieścić ludności, która oblegała dworce. Chłopi jechali własnymi środkami lokomocji, wozami konnymi i przyczepami ciągniętymi przez traktory. Konwoje pojazdów blokowały drogi, powodując zatory, co wprawiało we wściekłość esesmanów, którzy usuwali z drogi zaprzęgi chłopskie, a nierzadko rozstrzeliwali cywilów za naruszanie porządku marszu. (...) Inwentarz żywy pędzono na zachód. Setki koni i krów rozproszyło się po polach i lasach. Niemiecka ludność Pomorza Zachodniego płaciła teraz krwawy rachunek za szaleństwo Hitlera. Pognano ją częstokroć przy 20 stopniach mrozu do nowych miejsc osiedlenia za Odrą. Straty, jakie poniosła wskutek głodu, chorób, zamarznięcia, ostrzeliwania i bombardowania były poważne” (*Przeobrażenia społeczne na Pomorzu Zachodnim w latach 1945–1947*, red. Zygmunt Dulczewski, Poznań 1964, s. 28).

Gdy nastał ranek, ukryła się na terenie jakiegoś pustego gospodarstwa. Wojsko sowieckie pojawiło się we wsi. – Upodobał mnie sobie jeden porucznik. Tej chwili nie zapomnę do końca życia. Wyglądał jak Mongoł,

śmierdział okropnie bimbrem. Był pijany i bardzo silny, nie mogłam nic zrobić. Krzyczałam i prosiłam Matkę Boską o pomoc – mówi ze łzami w oczach. – Na szczęście ten koszmar przerwali jego towarzysze, którzy wołali go z samochodu, wybiegł, zapinając pospiesznie spodnie.

Powrót

W tej wsi poznała pewną młodą Polkę. Przedstawiła się jako Maria Kwiatkowska, żona polskiego porucznika. Irena bardzo tęskniła za swoją rodziną. Polka powiedziała jej, że ona i jej mąż również wyjeżdżają do Warszawy. Mają lecieć samolotem. Po konsultacji z mężem zdecydowali, że wezmą ją ze sobą. – Byłam przeschęśliwa. W końcu, po latach, spotkam się z krewnymi, za którymi tak bardzo tęskniłam.

Widok Warszawy był przerażający. Pustynia, bez ludzi, zrujnowane miasto. Wszędzie zgłiszcza po bombardowaniach. Kamienicy, w której się urodziła, też już nie było.

W Piasecznie drzwi otworzyła ciocia. Stała w nich i płakała. – Pogodzili się już z moją śmiercią. Wzruszeniu nie było końca – wspomina pani Irena i sama ma łzy w oczach. Okazało się, że większość jej rodziny jest gdzieś poza Warszawą. Nie mieli z nimi kontaktu w czasie wojny i nie wiedzieli dokładnie, gdzie są, ani tego, czy żyją. Nie chciała zostać ani w Warszawie ani w Piasecznie. Na ziemiach zachodnich mogła zacząć nowe życie. Niczego tu nie brakowało, były puste mieszkania... Chciała się usamodzielnic. W maju 1945 roku była już w Drawsku Pomorskim. Miasto było prawie puste. Postanowiła poszukać sobie jakiegoś bezpiecznego miejsca do życia i znalazła. Mieszka tu do dziś. – To dlaczego zmieniła pani imię? – pytam z ciekawością. – Jak nowe życie to i nowe imię – śmieje się pani Zofia. – Nigdy nie lubiłam swojego imienia, a w czasie wojny kojarzyło mi się z samymi złymi chwilami. Najważniejsze jest, żeby nigdy nie tracić nadziei. Ja swoją nadzieję pokładałam w Bogu. Nadal wierzę. Nigdy nie skreśliłam drugiego człowieka. Nie mam żalu do swoich oprawców. Od maja 1945 roku byłam już pewną siebie, pogodną Zofią Szpak, a w roku 1952 Zofią Czarnecką.

Jakub Biegniowski, Maciej Radzimski

OBRAZ

(2016)

*Wszystko, co robię w życiu, związane jest z budową obrazu.
Najpierw w głowie, potem ręką trzeba przenieść to na płótno.
Na koniec oczy widzą i głowa akceptuje – tak lub nie.
Cały ten proces malowania jest dla mnie najciekawszą,
najważniejszą i najpiękniejszą rzeczą...*

Zaczyna się od tego, że nie możemy się spotkać. Scenariusz trochę jak z komedii pomyłek, trochę jak ze sztuk Witkacego. 17 listopada, wtorek – przełożył. Próbujemy w środę – bez skutku. W czwartek telefon, że też nie da rady. Sytuacja staje się zabawna, chociaż lekko surrealistyczna. Najbardziej zaskakuje nas to, że sami poddajemy się tej atmosferze bez słowa sprzeciwu, ma być nieprzewidywalnie i ciekawie. I jest.

Ostatecznie umawiamy się w piątek w jego domu w Białym Zdroju, wiosce oddalonej o 3 kilometry od Kalisza Pomorskiego w województwie zachodniopomorskim. Zamiast Tomasza Bukowskiego widzimy uśmiechniętą, rudowłosą kobietę, która jest jego życiową partnerką. Dorota nerwowo zagląda przez okno i tłumaczy, że na pewno za chwilę już będzie. Tymczasem on czeka na nas gdzie indziej, w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury, którego jest dyrektorem. Nieporozumienie. Tym razem z naszej winy. Cały weekend spędzamy na rozmowach z dziećmi: Zosią, Frankiem i Oskarem. Są takie jak ojciec, więc schemat się powtarza. Kiedy dzwoniemy do pierwszej żony – Agnieszki Kowalskiej, tłumaczy, że właśnie jedzie do Szydłowca. Szefuje Fundacji im. Maćka Kozłowskiego Pan i Pani Pies i jest w trakcie załatwiania kolejnej pilnej sprawy. Ale zatrzymuje samochód, kiedy komentujemy, że niczym się nie różni od pozostałych członków rodziny.

Opowiada o nim chętnie, choć podkreśla, że mają inne podejście do życia. Siebie uznaje za perfekcjonistkę, która pielęgnuje wiernie jedną pasję, jego za głodnego wrażeń artystę, poznającego świat jakby od nowa.

Życie obrazem

Zaczął się od tego, że ładnie malował. A raczej od tego, że mama tak powiedziała. Jest dyslektykiem, malował, bo nie potrafił pisać. Do ogniska plastycznego w Krakowie chodził przez całą podstawówkę. – Kiedy dostałem się do liceum plastycznego, wychowawczyni była mocno zdziwiona, bo ja oczywiście miałem dwóję z rosyjskiego, dwóję z matematyki i inne kłopoty w tej ósmej klasie.

Na ASP do Krakowa zdawał trzy razy. Pierwszy raz poszedł z marszu. Rok później nie zdał tylko rosyjskiego. W międzyczasie chcieli go wziąć do wojska, więc zapisał się do Szkoły Mechanizacji Rolnictwa, a potem do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Na zajęcia nie chodził. Czekał na szansę w ASP.

– Dostałem się na Akademię i pomyślałem wtedy tak: „Ja, artysta, jeszcze wam pokażę”. No i powiedzieli mi, co to znaczy „ja, artysta”.

W liceum nazywali go mistrzem, a tu był jednym z wielu. Realia Akademii przypominały bardziej zderzenie ze ścianą – nie zdał roku. Rozpoczął wędrówkę – od mistrza do mistrza. Trzy razy zmieniał pracownię. – Akademia jest tak skonstruowana, że profesor nadaje ton całej pracowni. Jak tam przychodzisz, kształtuje cię na swoją modłę. Nowosielski na przykład – od niego wychodzili sami Nowosielscy – Tomasz śmieje się i komentuje ironicznie. On zaczął od Rudzińskiego, ale klimat mu nie pasował. Potem przeżywał okres buntu.

– Poszedłem do takiej pracowni... Kurcze, nie pamiętam jak ten facet się nazywał... Krawczyk! Jednak pamiętam. Takie spady do niego chodziły. On wszystko akceptował. Mogłem robić, co chciałem. To z kolei też nie było dobre. Zrozumiałem, że malarstwo to jest coś, czego się chcę nauczyć.

Trafił do Joniaka. Tam reżim. Malowanie od ósmej do piętnastej – jak w normalnej robocie. Przychodził najwcześniej na dziewiątą.

„Panie Tomku to może ja będę przychodził trochę później, a pan trochę wcześniej. Wtedy się przy tym obrazie spotkamy” – przemówił mu do rozsądku.

Zrobił dyplom. Inspiracją do prac były maszyny, bo to były czasy, kiedy kupił gazika...

Puzzle

Miał dwadzieścia lat i kumpla z UAZ-em. Całkiem niedawno zrobił prawo jazdy. Jeździli po wertepach niczym kowboje w westernach. Chciał mieć takie auto. Pomógł mu ojciec – przede wszystkim od strony finansowej. Kumple jeździli na saksy. On nie musiał, ale był jeden warunek. W warsztacie pracować musiał sam. I tak poznał budowę samochodu od podszewki. Rozkręcił w nim każdą śrubkę i każdą potrafił nazwać.

– Piotr Beaupre, który jeździ teraz na Dakarze, to mój kumpel, z którym to auto razem budowaliśmy. Jacek Lisicki, który jest jego pilotem, był naszym mechanikiem. Piotrek zawsze miał lepiej, bo miał Land Rovera, a ja tylko gazika – wspomina.

Kumple Tomka jeżdżą do dzisiaj, spełniają marzenia. On zamiast sławy kierowcy rajdowego wybrał emocje i wzruszenia – mówi, że wszystko „wpadło” do obrazów.

– Wszystko, co robię w życiu, związane jest z budową obrazu. Najpierw w głowie, potem ręką trzeba przemieścić to na płótno. Na koniec oczy widzą i głowa akceptuje – tak lub nie. Cały ten proces malowania jest dla mnie najciekawszą, najważniejszą i najpiękniejszą rzeczą. Mam takie zdjęcia. Pokażę wam, będzie łatwiej. Przynosi poobgryzany, stary notes.

– Pies trochę oglądał i trochę zjadł – śmieje się. – Tu wszystko jest napisane. Gdzieś jeszcze powinien być czarny szkicownik. Gazik był w stodole, takiej rozpadającej się – to chciałem wam pokazać. Notes przypomina malarski katalog, wszystko zgrabnie udokumentowane, jaki obraz, gdzie i kiedy. Łącznie 128 dzieł. Ostatni, jaki namalował – *Ławka dla dwojga*, jest z 2012 roku. Jego była żona, która studiowała na ASP grafikę, o jego malarstwie mówi, że jest szczerze i uczciwie, bo on nie maluje dla zarobku.

„Tomek przysłużył się wtedy i to bardzo”

Tomasz Bukowski tłumaczy nam, że wszystko, czym się fascynuje, przypomina elementy układanki. Każda część ma swoje miejsce, bo pasje są od siebie zależne. Wędkarstwo zaczęło się od gazika, bo pojechał nim na ryby. Gdyby nie gazik, nie byłoby wędkarstwa, a gdyby nie wędkarstwo, nie byłoby myślistwa i Białego Zdroju, w którym po studiach zamieszkał. W kole wędkarskim był przyjaciel – Zbyszek Kowalski, który jeździł na polowania do Białego Zdroju, bo to były jego rodzinne strony.

– Spodobało mi się. Postanowiłem wyjechać z Krakowa i tu zamieszkać. Polowaliśmy głównie w nocy. W końcu kumpel dał mi broń i powiedział: „Tam jest twój dzik, zastrzel go”. No i go zastrzeliłem. Te ryby i ta adrenalina w porównaniu do polowań to nic. – I wkręciłeś w to syna, Franka? – Tak, najpierw poszedł z aparatem, a później ze strzelbą. Córka Tomka – Zośka, w inny sposób poznawała te tajemnice. – Pamiętam, ustrzeliłem byka. Wypatroszony leżał na łódce, która była na przyczepce i czekał na odstawienie do skupu. Zmęczony poszedłem spać. Zośka rano się obudziła i zobaczyła tego jelenia. Patrzymy, a ona jest cała upiornicza w „farbie”, cała na czerwono. „Bo tam jest jeleni i poszłam zrobić mu gili, gili”. Wlaza w niego, do środka – śmieje się. – Pamiętam, gdy raz zabraliśmy Franka i Zośkę do Zoo w Krakowie i tam były jelenie i dziki, a oni zdziwieni: „Jelenie i dziki? Pff... dziwne”.

Tę pasję też pozostawił bez żalu. Wcześniej przeczytał całą klasykę literatury łowieckiej i zdał egzamin. – Przeraziłem się tym, że nie idę polować, tylko idę po zwierzynę. Więc było mi żal.

– A jednak łowiectwo się nam przydało, bo to były czasy, że nie było naprawdę co jeść i normalnie szedł tatuś na polowanie i przywoził dzika, albo byka. Tomek przysłużył się wtedy i to bardzo – mówi z uznaniem jego pierwsza żona Agnieszka.

„Nie wyciąłbym niczego”

Przyjazd do Białego Zdroju to nie tylko polowania, to narodziny miłości do koni.

– Pamiętam, kiedy we wsi pojawił się niejaki Paweł Piątkowski i przywiózł jakieś tam konie, no i Tomek popędził tam natychmiast. I powiedział, że teraz będziemy mieć konie, więc zaczyna remontować stajnię – wyjaśnia w rozmowie telefonicznej Agnieszka. – Ani on ani ja nie mieliśmy pojęcia o hodowaniu koni – śmieje się do słuchawki.

– Zaprzyjaźniliśmy się z dyrektorem stada ogierów w Łobzie. Jeśli się czymś interesuję, to poznaję różnych ludzi. No i przekonałem tego dyrektora, że u nas byłby świetny punkt kopulacyjny. Warunek był jeden, ja mam rozgłosić po okolicy, że tu jest ogier rasowy, by z kobyłami przyjeżdżali – wspomina Tomek. Entuzjazm przekazał Agnieszce i córce. Zosia zajęła się końmi na poważnie, jest teraz zawodniczką ujeżdżania z II klasą sportową. Współpracowała m.in Galiną Zotową (wielokrotną mistrzynią Białorusi), Przemysławem Kozanowskim (opiekunem Kadry Polskiej juniorów) i Wandą Wąsowską (polską olimpijką w jeździectwie, trenerką i działaczką Polskiego Związku Jeździeckiego).

Po 10 latach było coraz trudniej. – Wszystkie chore konie z okolicy trafiały do nas. Zaczęły nas powoli „zjadać”. Poza tym były ogromną kotwicą, nie można było się nigdzie ruszyć, bo trzeba tu było być 24 godziny na dobę. Konie zabrała Kowalska (była żona) i ona się teraz nimi zajmuje z Zośką, bo to ich pasja – tłumaczy.

Spływ kajakowy z Komorowskim

W życiu Tomka jest także epizod związany z polityką, którego nie tylko nie żałuje, ale uważa, że to, co poznał i przeżył, ma wartość. – Było to coś genialnego! Każdemu życzę tego, ale do czasu. Bo polityka to... – zawiesza głos. – Jest to okropna rzecz. Dowiedziałem się, że w polityce największego wroga ma się w swojej partii. Wcale nie jest tak, że ma się kumpli. Bo każdy musi się dostać na szczyt po grzbietach swoich „kolegów”. Po takim doświadczeniu wiele się wyjaśnia. Więcej rozumiesz, zaczynasz dostrzegać te problemy. – Ale do czego ci to potrzebne? – Do tego, że mam wiedzę o ludziach. Nie byłbym dyrektorem przez 12 lat, będąc dyslektykiem i trochę sowizdrzałem. Gdybym nie poznał polityki, to by mnie zjedli.

– W bardzo krótkim czasie byłem już prezesem SKL-u (Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe) w Kaliszu Pomorskim, a potem delegatem na Radę Krajową. To, co pisali w gazetach o tych sesjach, widziałem dzień wcześniej i to zza kulis. – To dlaczego zakończyła się polityka? – Bo się rozleciało AWS, a ja byłem w SKL-u. Było fajnie, poznałem wielu znanych ludzi: Buzka, Religę, Halla czy Rokitę. Z Komorowskim sikałem w krzakach na spływie kajakowym. No i do dzisiaj mam przyjaciół z tego okresu, Darka i Małgośkę Rohde.

Jak Forest Gump

– Proces poznawania jest najciekawszy. Obraz, kiedy jest na sztaludze i się z nim zmagasz, kiedy coś zmieniasz – jest twój. Ty go poznajesz i zgłębiasz. Kiedy jest skończony, zaczyna żyć własnym życiem. Jesteś w tym obrazie, ale już nie do końca. Efekt jest dla kogoś – tłumaczy nam, dlaczego nie chce się zatrzymać w poszukiwaniach. Jego syn Franek dawno to zrozumiał: – Ojciec ma wielkie bogactwo niematerialne. Nigdy nie będzie bogaty ani biedny. Tak naprawdę każdy z bliskich uważa, że coś mu zawdzięcza.

Zosia: – Jest dobrym człowiekiem. Nie ma w nim zła. W dużej mierze przejęłam po nim charakter. Czuję się z tym dobrze, fajnie jest być podobnym do kogoś takiego jak on.

Oskar: – Nie boję się jego szalonych pomysłów. Bo nawet gdyby zamieszkał na jachcie, wiem, że byłoby tam dla mnie miejsce. Tak naprawdę o swoim ojcu mogę powiedzieć, że jest moim przyjacielem.

Kacper: – Podziwiam go za wiedzę, ma odpowiedź na każde pytanie, mogę z nim o wszystkim porozmawiać. I nie da się go określić jednym słowem.

Agnieszka: – Ja go szalenie lubię. On do końca życia będzie moją jedyną rodziną. Wiem, że jeżeli coś by się działo, to mogę na niego liczyć, no, gdyby nie był na jakimś jachcie.

Dorota: – Śmiejemy się, że on jest jak ptak, a ja jak krzak. On pozwala mi zobaczyć, co jest poza domem, przelamuje moje zahamowania, a ja dbam o dom, by chciał do niego zawsze wracać.

Dom, w którym mieszkają, jest pięknym ponadstuletnim budynkiem, kiedyś mieściła się w nim wiejska karczma. Tomek zgromadził tu ślady swoich życiowych poszukiwań. Wszystko to, co lubi. Na przykład stare meble, bo mają duszę. W kuchni ściany wyglądają, jakby do wapna ktoś dolał niebieskiego pigmentu. Pasują do otoczenia. Zdobią je obrazy, najwięcej jest starych ikon. Nad kuchennym stołem w centralnym miejscu wisi, jak to określa jeden z synów, „imprezowa lampa”, która jest regulowana. Jest jeszcze wyjątkowy obraz, przedstawiający młodego adepta malarstwa i jego mistrza, który wychyla się zza szafy pełnej wspomnień. Tym adeptem jest Tomek, a mistrzem i autorem dzieła profesor Stanisław Rodziński.

Przy ścianie stoi duży piec kaflowy, który służy do przygotowywania posiłków, suszenia grzybów, ale spełnia też rolę wielkiego grzejnika. W „królestwie Tomka”, czyli jego pokoju, gdzie maluje i spędza czas, panuje artystyczny nieład. Z kąta wyłania się drewniana komoda, na której leżą wszystkie przybory i akcesoria malarskie oraz sztaluga z rozpoczętym już obrazem.

Naprzeciw wielkie „centrum dowodzenia” – duże biurko z obrotowym krzesłem, a nad biurkiem... mnóstwo zdjęć, pamiątek z jego wycieczek, zdjęcia dzieciaków, kartki, upominki i oczywiście w epicentrum tego „wszechświata” wspomnień (gdzie Tomek potrafi wszystko odnaleźć), wisi jego duże zdjęcie – stoi za sterem pięknego jachtu. No, bo przecież wszystko kręci się tak, jak powie kapitan.

W glorii i chwale

Jakieś piętnaście lat temu odwiedził go Paweł Piątkowski – ten sam, który zaszczepił mu kiedyś miłość do koni. Powiedział, że wybiera się na żaglówkę do Chorwacji. Zapytał, czy Tomek chce z nim popłynąć. Oczywiście zgodził się. Jachtem Jeanneau, z francuskiej stoczni, pierwszy raz wypłynął na turkusowe morze.

Wszystkiego musiał się nauczyć sam. Ale to stały wariant jego życia, poznawanie. Przyjaciel czytał gazety i od czasu do czasu spoglądał ukradkiem, jak sobie radzi, zostawiał mu wolną rękę. Chodziło jedynie o to, by wejść do portu i z niego wyjść.

Tomek był w Chorwacji dwa, trzy razy w roku, nie krócej niż tydzień. Z Krakowa jeździł autem wypchanym różnymi gratami. Piątkowski, jak przystało na milionera – wolał przylecieć własną Cessną. Pływali, a później wsiadał do samolotu i odlatywał. Tomek do Krakowa wracał samochodem. W domu pojawiła się góra nowych książek dotyczących żeglarstwa.

– On nie tylko czytał, ale opowiadał, tłumaczył mi zagadki z tej dziedziny. Czasami było trudno, zwłaszcza kiedy zatrzymał się przy budowie jachtu czy meteorologii. Nic nie kumałam – śmieje się Dorota.

– Czułam, że to wszystko na tym się nie skończy. No i miałam rację. Przerzucił się na wody zimne. Znalazł osoby, z którymi mógł to zrobić. Dobił do portów na Bornholmie, w Sassnitz, Gdańsku czy Elblągu. Z Wenecji w 24 godziny dopłynął do Rowinio, ponadto odwiedził Islandię i Wyspy Owcze – Dorota mówi już o tym spokojnie, ale bała się o jego bezpieczeństwo szalenie. Pytamy, czym dla niego jest pływanie.

– Pływanie uczy cię samego siebie. Weryfikuje wiele rzeczy. Wiesz, gdzie jest twój kres. Swój poznałem, gdy wybrałem się na najpoważniejszą wyprawę do tej pory – Spitsbergen. Pojechałem tam, żeby dostać w kość. To już nie były drinki z palemką jak w Chorwacji, tylko niedźwiedzie mięso. Wszyscy polarnicy, którzy zdobywali biegun północny, stamtąd startowali. Dzięki temu, że Gofsztrom obmywa tamtą część latem, jest to akwen niezamarznięty i można dopłynąć jachtem. Masz wybór: albo płyniesz na mokro i zimno albo sucho i zimno.

– Mokro i ciepło... – poprawia Dorota.

– Mokro i zimno albo sucho i zimno. Na jachcie nie ma ciepła. Wieje, 32 węzły. Proponuję wystawić głowę z samochodu, gdy jedziesz 60 km/h. Na jachcie dostajesz w dodatku taką bryzę od dzioba i jest cały czas dwa stopnie na pokładzie – mokro albo cztery stopnie pod pokładem – sucho. Kapitan stwierdził, że będą trzygodzinne wachty (służby). Zawsze wychodziłem na cztery... Pomyślałem sobie: „Kurcze, co się teraz będzie działo?”. W pierwszej godzinie jesteś zafascynowany – morze, żagle. W drugiej zaczyna być słabo, a w trzeciej czekasz tylko, aż ktoś wyjdzie cię zmienić. Po trzech godzinach wachty jest sześć godzin odboju. Chyba, że masz kampus... Wtedy jeszcze gotujesz dla całej załogi. Kres był taki, że leżałem w kojku, a miałem dziesięć minut do wachty. Kumpel pyta, czy mnie zmienić. Musiałem wyleźć, ale przez 40 minut myślałem: „Kurwa, nie nadaję się”. Gdyby nie kumpel może uszczknąłbym mu jakieś 5 minut, ale te 5 minut to wieczność. Pomyślcie. Walczysz z czymś takim, a i syna jeszcze zabrałem. Dorota słucha z uwagą, ale sprawia wrażenie, że te historie

zna już na pamięć. Gdy Tomek milknie, wykorzystuje moment i opowiada, że syn Tomka – Franek dołączył do klanu żeglarzy z takim samym zapalem jak ojciec. Syn Tomka opowiada o żeglarstwie zupełnie jak on.

– Zaraził mnie pasją do żeglowania. On zawsze miał zacięcie do tego, żeby robić coś ryzykownego, ja mam to samo. Nie boję się tego, że znajdzie sobie coś bardziej ekstremalnego. Bardziej się boję, że mu przejdzie, bo on zapala się na te swoje pasje takim żywym ogniem i oddaje im się w całości i robi to świetnie – ocenia Franek.

Po tej wyprawie Tomek stał się współwłaścicielem łódki. Od tamtej pory pływa po Bałtyku jako dowodzący. Planuje kolejną wielką wyprawę...

– Po co ci ta Georgia? – pytamy.

– Trzeba się uczyć od najlepszych. Jeżeli mam możliwość popłynięcia z najlepszą załogą na świecie, która pływa po zimnych wodach – od nich się nauczę najlepiej. Nie ma lepszej nauki.

– Przyjeżdżasz z Georgii, nauczyłeś się już od najlepszych i co dalej?

– Wtedy to już drinki z palemką. Zabieram Dorcię, przestawiam łódkę na ciepłe wody i żyję w glorii i chwale.

Finał

A wyobrażasz sobie, że kupujesz mieszkanie nad morzem, ubierasz bambosze, wychodzisz posłuchać szumu morza i wszystko już masz? – Nie, błagam cię, musi się coś dziać. – Kiedy będziesz miał osiemdziesiątkę, to będzie ci się dalek chciało? – Nie wiem, na razie mi się chce. Nie, Dorcia?

– Ale wcześniej mówiłeś o drinkach z palemką! – Drinki z palemką to zaczepka. Pływałem po Grecji, tam też można dostać wycisk. – Nie żal ci tego, że nie masz spektakularnego sukcesu w jakiejś konkretnej dziedzinie? – A powiedz mi, w której nie mam sukcesu? Bo ja uważam, że mam w każdej. – Na czym polega ten sukces? – Na radości z tego, czego dokonałem. To jest moja satysfakcja. To są moje przeżycia, moja droga, nikt mi tego nie odbierze! – A medale, sława? – A po co mi! Ja mam medale w sobie. Przyszli do mnie młodzi ludzie, ja opowiadam im już prawie drugą godzinę, a to ich dalej interesuje. Mam 56 lat i mam o czym opowiadać. Medalem jest dla mnie to, że Franek chce ze mną pływać. – Ja też chcę! – wtrąca Dorota. – No, albo Dorcia. Jej zapytaj, ona teraz tęskni za łodzią. Gdy ją pierwszy raz przyprowadziłem do mariny, to „dobra, dobra, chodźmy do domu”, a teraz? Gdy jesteśmy w Szczecinie, czy tylko przejeżdżamy: „Do mariny nie pojedziemy? Chociaż popatrzeć, poczuć ten klimat”.

– Dokończ zdanie. Tomasz Bukowski jest...

– Szczęśliwy.

Maria Wiewiórkowska

ZNIECZULENIE

(2018)

Nadaliśmy lekarzom status bogów, mimo że są tylko ludźmi...

Mama siedem lat była na Syberii, tata szedł z jakąś armią, ale nie pamiętam jaką. Osiedlili się w małej wsi w Zachodniopomorskiem, w Myśliborzu. Ona skończyła siedem klas szkoły podstawowej, on trzy szkoły powszechnej, wtedy tak się mówiło. Mama poszła pracować do gminy. „Ty tam sprzątaczką byłaś?” – śmiałam się, pytając. A ona, jak się okazało, miała najwyższe wykształcenie. Została referentem, taka bystra! Tata miał głowę do interesów, dlatego zajął się handlem. Najlepszy towar do sklepów sprowadzał, np. garnitury z liczących się firm. Ludzie ze Szczecina i Poznania przyjeżdżali, by je kupować. Mama prowadziła mu dokumentację, uzupełniali się. Było nas w domu cztery, cztery dziewczynki, ja z siostrą Jadzią bliźniaczki i młodsze od nas Zosia z Małgosią. Wszystkie zostałyśmy lekarzami. Jadzia pediatrą i endokrynologiem, Zosia stomatologiem, Małgosia poszła w ślady Zosi. Od dwudziestu kilku lat mieszka w Szwecji, ma dyplom Szwedzkiej Królewskiej Akademii Nauk w Sztokholmie.

Ja jestem anestezjologiem, usypiam i budzę ludzi. Nasz zawód jest porównywany do pracy lotnika lub górnika. Lotnik liczy na dobry start i szczęśliwy powrót. A górnik? Jedzie pod ziemię, ale nigdy nie wie, czy wróci.

Zawód – lekarz

Studiowałyśmy z Jadzią w Szczecinie. Wstawaliśmy rano o czwartej i szłyśmy do roboty, żeby się utrzymać. Praca fizyczna, w stoczni, w przerwach przepytowałyśmy się z zadanego materiału. Wtedy w Myśliborzu była moda na porzeczki. Rodzice mieli 2 hektary ziemi, więc tata też posadził te cholerne porzeczki. To było coś strasznego. Żar z nieba się leje, lipiec, a my musiałyśmy wszystkie egzaminy zdać przed terminem, żeby pomóc rodzicom przy zbieraniu. Dyplomy lekarskie odebrałyśmy planowo. Był rok 1974.

Dziś wstaję wcześniej rano, robię śniadanie mężowi, wychodzę do pracy. Idę pieszo pół godziny, ponieważ nie mam prawa jazdy. Otwieram pierwsze drzwi: „dzień dobry”, „dzień dobry”. Mijam drugie drzwi, wchodzę

do swojego gabinetu. Przebieram się w niebieski uniform z napisem służba zdrowia i w moje wygodne skórkowe buty, bez których nie mogę się obejść, od kiedy moje stopy skupiają wszystkie możliwe schorzenia ortopedyczne. Gdybym policzyła wszystkie wystane godziny przy operacjach, pobiłabym jakiś rekord. Potem idę na codzienne poranne zebranie, gdzie rozmawiamy o pacjentach i operacjach, które się odbędą. Dziennie mam kilka, nawet pięć. Z jednej wychodzę na drugą. Otwieram trzecie drzwi. Ubieram czepek i maskę, myję ręce. Biorę maszynę do usypiania i wjeżdżam z nią na blok operacyjny, żeby była już tam gotowa. U nas jest przemiła atmosfera na bloku. Kiedy przyjeżdża pacjent, wszyscy zawsze się witają, przedstawiają się. Kiedy pacjent już z operacji wyjeżdża, jest uśmiechnięty, czasem głupoty gada, po narkozie tak jest. Następnego dnia idę go rano odwiedzić, rozmawiam z nim, jest zadowolony. A przecież wcale nie muszę z nim rozmawiać, niech sobie chirurg idzie rozmawiać, bo to on go operował. Ale ja lubię, mimo że jest to rzecz dodatkowa i że mogłabym nie chcieć mieć na to czasu.

W choszczeńskim szpitalu pracuję prawie pół wieku. Wszyscy mnie tu znają, mówią do mnie Danką lub pani Danuto, nikomu przez myśl nie przejdzie, że od siedemdziesięciu lat mam na imię Daniela. Medycyna to powołanie. Wbrew opinii społeczeństwa, nie jesteśmy herosami. Z równą troską musimy umieć pochylić się nad chorym, który jest zadbany, dobrze usytuowany, jak i nad tym, który nawet nie potrafi wyartykułować problemu, z którym się zgłasza. Mówimy ich językiem, prostym. Lekarz powinien lubić ludzi. Niektórzy moi pacjenci mnie pamiętają. Raz, na przystanku autobusowym, gdy jechałam do Myśliborza, jakaś kobieta przedarła się do mnie z tłumy i krzyczała wniebogłoso: „Pani doktor, sześć operacji miałam, pamięta pani?”. Przytaknęłam, ale jak przez mgłę ją pamiętałam. Albo ostatnio przypadkiem spotkałam w banku moją byłą pacjentkę. Dobrze, że tylko dwie urzędniczki za biurkiem siedziały. „Pani doktor, jak ja się cieszę, że panią widzę. Niech panie posłuchają – dwoje dzieci mi uratowała!” I zaczęła mnie wychwalać. Nagle wyjęła z portmonetki jakąś podkówkę, włożyła mi ją w dłoń. „Na szczęście, dla pani” – powiedziała.

Nie zawsze jednak jest miło. W Myśliborzu rodzice mieli wścibskiego sąsiada i sąsiadkę. Gdy przyjeżdżałam, jedno stało z jednej strony bloku, a drugie z drugiej. Nie wiedzieli, jak będę szła, były dwie drogi: krótsza i dłuższa. Wychylali się. No i jak mnie złapali, wylewali swoje troski. „Czy możemy pójść razem z panią do mamy?” – pytali, odpowiadałam im, że mogą. Chcieli, żebym im wypisywała recepty albo wcisnęła do szpitala. W końcu powiedziałam: „Nie mówcie, kiedy przyjadę, mam, ja bym chciała z wami porozmawiać, oni nie mogą mi całego czasu zajmować opowiadaniem, co ich boli, jakie mają schorzenia!”

Cena, której nikt nie zna

Ludzie nie mają pojęcia o wyrzeczeniach lekarzy. Wszystko jest podporządkowane pracy! Nie każdy ojciec i mąż to zrozumie, zwłaszcza, gdy ma się męża poetę, tak jak ja. A jak mąż czy ojciec nie rozumie, to tym bardziej ludzie dookoła. Największym trudem jest dla mnie to, że jestem taką perfekcjonistką, chcę, żeby w domu

wszystko grało, chcę wszystko sama zrobić. Dzięki temu, że mam taki charakter, potrafiłam wstać o czwartej i do wpół do siódmej już było śniadanie postawione na stole, obiad ugotowany i ziemniaki obrane, no bo nie mogłam ich jeszcze ugotować. To nie była ta pora. Potem szłam z dziećmi, bo mamy dwoje, do przedszkola i oczywiście, gdy dotarłam do celu, zaczynały swoją śpiewkę: „Mamusi kochana, nie zostawiaj nas!”, „Mamusi kochana, błagamy cię, my cię kochamy, nie zostawiaj nas!”. Mówiłam im, że będzie dobrze i że o trzeciej je odbiorę. Wtedy przychodziłam do pracy odpocząc, bo się już tak narobiłam w domu od samego rana. Ale dawałam radę. Lekarz to nie jest praca od godziny do godziny. O chorych myślimy nie tylko w pracy, ale też idąc do niej, czy wracając. Nie zapominamy o nich, będąc w domu. Tego nie da się oddzielić grubą kreską. Kiedyś w święta, tuż przed kolacją wigilijną, zadzwoniono do mnie, że muszę przyjechać, bo kobiecie ciężarnej odkleiło się łożysko. Mój mąż miał do mnie pretensje. „Co? Nawet w święta musisz? A rodzina?”. Ale ja musiałam jechać, bo w końcu ta dziewczyna cierpiała i ktoś musiał jej pomóc. Nieraz dzieje się coś takiego, że człowiek nie przewiduje, że może się zdarzyć. Kiedyś byłam w kościele i był pewien lekarz. Kobieta zasłabła i ja tak sobie myślę, ciekawe, podejście, nie podejździe. Chyłkiem się wycofał. Powiedziałam do mężczyzny siedzącego obok, że musimy ją wynieść na powietrze. Na bruku przed kościołem żeśmy ją położyli, zadzwoniliśmy po pogotowie.

Czy jest rzecz, z której kompletnie zrezygnowałam ze względu na pracę?

Praca lekarza jest permanentna. Szkolenia, specjalizacje, śledzenie najnowszych wiadomości medycznych z danej dziedziny. Właśnie z tego powodu w sierpniu włączyłam się po szczecińskich klinikach i kiedy wróciłam do domu, tak po ludzku się rozplakałam. Słyszałam tam, że jakiś rezydent jedzie do Meksyku, ktoś tam jeszcze do Hiszpanii, a ja co? Nachodzę się po tych szczecińskich szpitalach. Nie wiem, czy ktoś to rozumie, czy współczuje, ja nie chcę współczucia. Taka niby jestem silna, a czułam się samotna.

Przecież lekarze nie chorują?

Dzień przed Wigilią wróciłam z pracy i choć tego nie pamiętam, mąż mówi, że skarżyłam się na ból głowy. I tak jak on zawsze lekceważył te wszystkie choroby, powiedział, żeby się ubrać, bo jedziemy do szpitala. Ja się zgodziłam. Zrobiono mi badania, sama poszłam do laboratorium, sama poszłam na tomografię, później z tym wynikiem tomografii głowy do lekarki. Ona mówi: „Krwawienie podpajęczynówkowe z podejrzeniem pękniętego tętniaka mózgu”. Dzień przed Wigilią! Pojechałam do szpitala. Zoperowali. No i tak zoperowali, że po świętach od razu wróciłam do pracy. Przecież można przeżyć operację głowy, ale być niepełnosprawnym i co to za radość? Dla kogo? Dla rodziny, gdy muszą się tobą opiekować? Owszem operacja się udała, żyjesz, ale jakie to życie? Jaki komfort? Chyba mam wadę genetyczną, tętniaki robią mi się wszędzie. Mam tętniaka w brzuchu, przypadkowo wykryli mi tętniaka aorty. Drugiego też mi wycięli z tętnicy szyjnej i jeszcze mam jednego na tętnicy środkowej mózgu, do obserwacji. Ten na aorcie jeszcze jest za mały, u kobiet operują, jak ma średnicę 5 centymetrów, u mnie jest 3, 8 centymetra. To trzeba co pół roku sprawdzać. Byłam u profesora w Szczecinie,

powiedział mi tak: „Pani doktor, żadnych gwałtownych ruchów, żadnego denerwowania się, dźwigania ciężarów, szybkiego chodzenia”. Pomyślałam, no to nic tylko usiąść i patrzeć w sufit. Pytam, czy mogę pracować, a profesor odpowiada, że na dyżurach nie, tylko do piętnastej, a może i krócej. Niewykonalne. I tak wszystko na bloku operacyjnym załatwiam. Dzisiaj miałam mieć wolne, specjalnie, żeby z tobą porozmawiać, a zostałam wezwana do operacji!

Chciałam zapomnieć o swojej chorobie. Dwa miesiące temu ordynator, który miał dyżur, dzwoni do mnie, że muszę przyjechać. Przywieźli pewnego notariusza, który zasłabł. Zaczęli go badać, no i się okazało, że krwawi do brzucha. Trafił do nas na ratownictwo. Za chwilę doszło do zatrzymania krążenia. Zreanimowali go i od razu trafił na stół operacyjny. Pękł mu tętniak aorty, to co ja mam. Sprowadzono natychmiast specjalistkę ze Szczecina z chirurgii naczyniowej. I uratowałaby go, gdyby rokował. Ale niestety, mózg już nie żył. I ja to wszystko widziałam, całą operację. Spać nie mogłam po prostu. Przecież to samo może stać się ze mną. To, że zalecają kontrolę co trzy miesiące, nie znaczy, że w międzyczasie nic się nie stanie. I to jest mój dylemat, jedyny. Ale dobrze, że przychodzę do pracy, bo jakbym siedziała w domu i patrzyła w sufit i bez przerwy sobie tylko ciśnienie mierzyła, to idzie zwariować!

Walka z wiatrakami

Kiedy zaczęłam pracować w latach siedemdziesiątych, było inaczej. Ludzie się bardzo szanowali. Lekarzy było mało, byliśmy bardzo mile przyjęci, nie było mowy, żeby lekarz po studiach siedział i nic nie robił. A teraz? Ludzie przyjeżdżają uśmiechnięci, albo tacy źli, że na wejściu człowiek jest nieprzyjemny, robi łaskę, że się zgłosił i to wcale nie jest podyktowane jego chorobą. Ale nie można reagować. Po prostu milknąć i tyle, szczególnie przed samą operacją, bo nie wiadomo, co się stanie w trakcie.

Najgorzej jest na ratownictwie – tam to jest szkoła życia. Tam widzisz wszystko. Pracowałam w pogotowiu 40 lat. Dopiero gdy zachorowałam, dałam sobie spokój. Tam praca to przekleństwo. Pijak za pijakiem, ludzie chorzy, mimo że powinni być kierowani do lekarzy rodzinnych. Ale ratownicy przywożą ich wszystkich. Spytałam kiedyś jednego o pacjenta, z którym wszystko było w porządku, dlaczego to zrobił? Co go boli, jakie są objawy? Nie odpowiedział mi, zaczął się motać. Już wolałabym, żeby się przyznał, że nie wiedział, jak go zbadać, bo nie był pewien. To jeszcze byłoby zrozumiałe.

Jeździłam też z karetką m.in. do wypadków. I myślałam sobie, że zrobię prawo jazdy, ale zmieniłam po tym zdanie, bo przecież może stać się ze mną tak samo. Wszyscy chcą dojechać, wyjeżdżając z domu. Wszyscy chcą dojechać do celu. I nie dojeżdżają.

Najbardziej w złych opiniach o działaniu służby zdrowia denerwuje mnie to, że w większości są prawdziwe. Rodzice obchodzili sześćdziesięciolecie ślubu. Przyjechała moja siostra ze Szwecji. To miało się wszystko odbywać w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia w 2012 roku. Małgosia wracała ze sklepu z jakimiś zaku-

pami i upadła w przedpokoju u mamy. Mama się przestraszyła, bo zobaczyła, że ona oddała mocz pod siebie i dostała drgawek. Pogotowie nie chciało przyjechać, kazali iść do lekarza rodzinnego. Więc mama tłumaczyła im przez telefon, że Małgosia przyjechała ze Szwecji, to powiedzieli, że jest opieka popołudniowa i tam trzeba jechać. Zadzwoiła do mnie, akurat miałam dyżur, więc przywiozła siostrę do mnie. Zobaczyłam ją i mówię, że musi jechać do Szczecina, bo to jest udar. Mama pyta, skąd wiem. „Mamo wiem, dzwonię do Szczecina”. To był akurat pierwszy dzień, kiedy zlikwidowali centralę w szpitalu wojewódzkim w Szczecinie przy ul. Arkońskiej i numery były tylko wewnętrznie, w gabinetach. Nikt tu ich nie znał. Poradzono mi, żeby zadzwonić na numer ratunkowy. Kobiety głos w słuchawce mówił, że tu można dzwonić tylko w szczególnych przypadkach. Wyjaśniłam, że to jest szczególny przypadek. No i przyjechało pogotowie. Stwierdzono, że to jest stres po podróży.

Nie zabrali jej. Więc zawieźliśmy ją z moją drugą siostrą i jej synem do Szczecina, do tego szpitala na Arkońską. Była przytomna, zrobili tomografię i wyszło, że krew jest we wszystkich komorach mózgu, a ona przytomna! Lekarka, która ją badała, powiedziała, że ambulans można odpuścić. Gdy się dowiedziała, że przywieziono ją samochodem, zaczęła wykrzykiwać, że to skandal.

Gdy pacjentami są rodzice

Mój tata pod koniec życia zachorował na serce, był osobą leżącą. Błagał mnie, żebym nie oddała go do domu starców. Powiedziałam: „Tato, nie ma mowy”. Byłam taka zdeterminowana, że zostawałam dodatkowo w szpitalu na nocki, aby robić z pielęgniarkami nocny i poranny obchód, czyli dogłądanie wszystkich pacjentów. Robiłam to, żeby nauczyć się obchodzić z osobami leżącymi, jak ich przewijać, jak ich obmywać, jak zmieniać pościel. To wszystko wydaje się tylko względnie łatwe. Pod koniec tego „kursu” wszystkie pielęgniarki były pod wrażeniem, jak sprytnie i szybko to robię.

Później moja mama była operowana na woreczek żółciowy i w badaniu histopatologicznym wyszło, że to rak. W takim dobrym stanie była, proponowali chirurdzy, żeby wyciąć, poszerzyć, potem na chemioterapię. Miała 85 lat, wiedziałam, że ona się z tym nie pogodzi i po prostu nie przeżyje tego i żeby dać spokój z leczeniem. Ile przeżyje to przeżyje, a będzie miała komfort życia. Dojeżdżałam do niej po każdym dyżurze, planowałam, że cały miesięczny urlop spędzę u mamy, Tata zmarł przed nią. I przyjechałam do niej, nawet się nie rozpakowałam, zjadła obiad, moja kuzynka ugotowała i wtedy, pamiętam, była zupa pomidorowa, mizeria i kotlet mielony, mama powiedziała: „Popatrz jak ta Maryla dobrze gotuje!”. Zjadła wszystko, poszła się położyć i za chwilę słyszę krzyk, zaczęła machać rękami. Dostała obrzęku płuc. Wezwałam pogotowie, przyjechało. Nie mogliśmy się wkuć w jej rękę, bo żyły się pozapadały. Mówię: „Dobra, jedziemy do szpitala”. Nie chcieli mnie wziąć, więc dzwonię do dyspozytorki, a ona mówi, że taki przepis. Przekonałam ją jednak, że jako lekarz mogę tylko pomóc po drodze, przecież nie zaszkożę. Co mnie to wszystko kosztowało nerwów. Przywiozłam ją. Mama żyła jeszcze pół godziny i zmarła.

Diagnoza: znieczulenie

Kiedy jest się lekarzem, widok śmierci nie może robić wrażenia. Trzeba cały czas zachować spokój, to normalne widzieć takie rzeczy. Lekarz nie może wpaść w histerię. Śmierć bliskiego jest dla nas na dwóch płaszczyznach: cierpienia i modlenia się. Po ludzku, żeby wszystko było dobrze, ale równocześnie przewidywania przebiegu choroby, uwzględnienia tego, co jest nieuniknione. Przecież nie mogę położyć się na ziemi i płakać, muszę szukać zapadniętej w ręce mamy żyły.

Mówią: bój się Boga i lekarza. Utożsamiają nas z nadludzką siłą i notorycznie się dziwią, kiedy nic nie możemy zrobić. Musimy być zawsze uśmiechnięci, nigdy zmęczeni. Ale nikt nie zadał pytania, kim jesteśmy dla siebie samych?

Maria Wiewiórkowska

ROZBRAJANIE WOJNY

(2019)

Gorąco, było bardzo gorąco. Gdy wysiedliśmy na płycie lotniska w Bagram, było 45 stopni Celsjusza w cieniu. Jedno małe drzewko, a pod nim 20 żołnierzy. Byle tylko głowę schować do cienia.

Krok pierwszy

Moja kariera zaczęła się w 2007 roku. Wstąpiłem do wojska, do służby zasadniczej, pół roku poza domem. Jak przełożony pozwolił, można było zjechać na dobę czy dwie, ale potem natychmiast musieliśmy wracać do jednostki. Byliśmy młodzi, musieli nas trochę przytemperować. Przetrwałem wszystkie moje kontrakty z jednostkami, całe 18 miesięcy, następny podpisany był już na 3 lata. I nie odpadłem po pierwszym, mimo że połowa żołnierzy tak kończy przez swoją kiepską sprawność fizyczną. Dzisiaj jestem w V Pułku Inżynieryjnym Szczecin Podjuchy, jest to tzw. jednostka saperska, która zajmuje się rozminowywaniem terenów, rozbudową dróg, ogólnie infrastrukturą.

Moja misja

W czasie wspomnianego pierwszego kontraktu od razu pojechałem na misję. Miałem 24 lata. O Afganistanie nie wiedziałem nic, tyle co z opowiadań. Zapisalem się na stanowisko sapersa. Przed wyjazdem jeździłem na różne szkolenia pirotechniczne. Uczyliśmy się rodzajów min. To była podstawa. W końcu Afganistan jest najbardziej zaminowanym krajem na świecie. Ale saper na misji nie rozbraja bomb. Broń Boże! Saper jest od wyszukiwania. Saper idzie pierwszy. Saper bada teren.

Lecąc do Afganistanu, byłem podekscytowany, nie byłem wystraszony. Mogłem się przekonać, jak funkcjonuje wojsko, samoloty, śmigłowce. Poznać to, czego na co dzień nie ma w Polsce. Ciekawiło mnie, co mnie tam spotka.

Pierwszy tydzień nie należał do łatwych. Temperatura dawała się we znaki, aklimatyzacja trwała dwa tygodnie. Musieliśmy przetrwać podróże, przesiadki, czekanie. Najpierw byliśmy w Turkmenistanie, stamtąd lecieliśmy do Bagram, z Bagram do Ghazni, z Ghazni do jakiejś jeszcze bazy i wtedy dopiero śmigłowcami do bazy docelowej.

Zawód saper

Bez saperskich żołnierzy nie mają prawa wyjechać na patrol. Konwój zazwyczaj składa się z ośmiu pojazdów, saper jedzie na przedzie, pierwszy wchodzi do wioski. Można powiedzieć, że w Afganistanie jest dalej jak za czasów Jezusa. Dookoła wioski, mury z gliny, domy –lepianki, jakby historia się zatrzymała. Nie ma tam żadnych mebli, żadnych kosztowności. Dorobkiem życia jest skrzynia zamknięta na klucz, schowana pod wiklinowym stolikiem.

Musiałem wzrokowo oceniać niebezpieczeństwo. Mieć intuicję, wyczuć, gdzie można wejść, gdzie dogłębniej sprawdzić teren. Trzeba postawić się w roli przeciwnika, myśleć jak on. I nigdy nie wchodzić przez drzwi. Tam zawsze czekały na nas przymocowane prymitywne ładunki wybuchowe.

Bycie saperem wiąże się również z wielkim szacunkiem w bazie. Gdy wchodziłem do stołówki, która pękała w szwach, ludzie sami robili mi miejsce.

Kraj słońca i min

Afganistan jest równie piękny jak niebezpieczny. Jego połowa to część zamknięta, odgradzona, do tej pory rozminowywana.

Nasza baza docelowa – Warrior była położona w południowej części kraju, w górach, co utrudniało naszą sytuację. Lokum było nieduże, o wymiarach mniej więcej 400x400 metrów, otoczone trzymetrowym murem. Często były ataki. Właściwie codziennie w bazę trafiały rakiety. Mimo specjalistycznych systemów wykrywania pocisków, dla człowieka to i tak jest tylko parę sekund, żeby uciec, schować się, paść na ziemię. Najwięcej ataków było w weekendy. Od piątku do niedzieli kilka rakiet dziennie. Byli ranni i zabici przez odłamki. To norma, tak samo jak wypadki podczas patroli. Czasem urwało rękę czy nogę. Jednak najgorsze w patrolach było duże ryzyko zgubienia się. Wyjeżdżając, nikt nie wiedział, czy wrócimy tego samego dnia. Niektórzy w ogóle nie wracali. Na patrol zawsze trzeba było się porządnie spakować, bo jeżeli się tego nie zrobiło, nie było szansy, żeby przetrwać. Każdy był odpowiedzialny sam za siebie. Czasami zawodziła elektronika, GPS, a mapy nie były wystarczająco czytelne. Plan był prosty – pojechać i wrócić. W rzeczywistości lądowaliśmy na środku niekończącej się pustyni. Mój najdłuższy patrol trwał trzy i pół dnia. Potem złapaliśmy zasięg. A kiedy już się wróci, to nie ma tak, że człowiek sobie odpocznie, pośpi. Następnego dnia trzeba znowu wstać i jechać. Nie ma zmiany rytmu.

Śmierć to fotografia, która nigdy nie znika

Najtrudniejsze momenty były wtedy, kiedy ktoś zginął. Bycie saperem jest dodatkową odpowiedzialnością. Ja odpowiadałem za swój patrol, za każdego żywego i za tych, którzy nie wrócili. Bo oni wszyscy szli za moimi plecami. Śmierć to fotografia, która nigdy nie znika. Musiałem kiedyś obejrzeć samochód, w którym zginęli żołnierze. Był tam specyficzny zapach, trudno powiedzieć, czy to krwi, mięsa, wnętrznosci. Już nigdy go nie zapomnę.

Wiedziałem, że mogę zginąć, jednak nie brałem tego do siebie. Dopiero widząc śmierć co dzień, naprawdę poczułem respekt do tego kraju i wojny. Jednego dnia można siedzieć z kimś w namiocie, potem pojechać razem na patrol i wrócić samemu. Kiedy jednego i kolejnego i kolejnego dnia ktoś ginął, stało się to rutyną, normą. Śmierć kompanów każdy przeżywał na swój sposób. W pierwszych tygodniach nie mogliśmy przestać o tym mówić, dopiero później nikt już nie chciał. Trochę udawaliśmy, że nic się nie stało. Przemyślenia przychodziły tylko czasem, wieczorami, kiedy kładliśmy się spać lub dzwoniłymi do żon. Zawsze dzwoniłem po patrolu, nigdy przed.

Miałem ręce i nogi, to mówię – żyję

Za sapera była nagroda, do tej pory nie wiemy, w jakich kwotach. Dowiedziałem się o tym dopiero na szkoleniu w sztabie. Dało mi to do myślenia. Dużo chłopaków od nas przez to zginęło.

Afgańczycy zbierali nasze wszystkie ładunki wybuchowe, wyciągali z nich trotyl, przetapiali go i przelewali do dużych beczek. Co trzysta metrów pod „główną” drogą był przepust, tam te beczki umieszczali, a następnie wysadzali na różne sposoby. Mnie wysadzili sposobem na kabel, który był poprowadzony od beczki do najbliższego stojącego budynku. Ktoś tam siedział z przyciskiem, zobaczył, że jedzie patrol, zainicjował wybuch. Poszedł impuls z baterii, po kablu do beczki i już. Wybuch był mocny. Dziura po nim taka, że można było schować średniej wielkości samochód. Pamiętam wszystko do ostatniej chwili, kiedy już zajmowali się mną lekarze. Przewracanie się auta trwało wieczność. Karabiny, wykrywacze, wszystko w środku latało. W końcu nastała cisza, leżeliśmy do góry kołami. W pierwszym odruchu sprawdziłem, czy mam ręce i nogi. Sprawdziłem i mówię do siebie – „żyję”. Zaczęły się jęki, krzyki. Było ciemno. Poczułem ból i wiedziałem już – coś mi się stało w brzuch. Pomyślałem, że mam połamane żebra. Później się okazało, że miałem rację, ale dodatkowo poszły jeszcze mięśnie brzucha, jelita. Pobudzali mi nerwę, chyba przez dwa tygodnie. Leczenie, żeby doprowadzić się do normalnego stanu, trwało 5 lat.

Na miejscu wypadku pierwsi byli Amerykanie. Gdyby przyjechali chwilę później, to bym się udusił. Poklepalili mnie tylko, złapali za barki, pytali, czy jest OK. Zabrali nas do głównej bazy, gdzie było najwięcej lekarzy. Leciłem w pierwszej kolejności razem z gunnerem, który wypadł wtedy razem z wieżą i był bez ręki. Nikt wtedy nie zginął. Mieliśmy wielkie szczęście. Dzień przed naszym patrolem na tej drodze zginęli chłopaki, tak

samo dzień po naszym patrolu. Wpasowaliśmy się w środek między śmiercią, jednych i drugich. W Afganistanie byłem niecałe trzy miesiące.

Dłużej byłem w szpitalach niż na samej misji

Po moim wypadku wylądowaliśmy w Bauman. Pamiętam tyle, że wyciągali mnie ze śmigłowca i zdzierali ze mnie mundur. Miałem na szyi łańcuszek, który dostałem od mojej przyszłej żony. Złapałem za niego i powiedziałem: „Jego nie zrywajcie”. Potem film mi się urwał. Obudziłem się po czterech dniach w Niemczech, w Ramstein. Spędziłem tam trzy miesiące. Potem miesiąc w Warszawie. Reszta leczenia odbywała się w Szczecinie. Tam to już były różne okresy. Miesiąc, dwa tygodnie, trzy. Po każdym leczeniu jechałem do domu na parę dni i z powrotem. Dłużej byłem w szpitalach niż na samej misji. Kiedy wracałem z Afganistanu, było jeszcze przeświadczenie, że żołnierz ranny to żołnierz niepotrzebny. Dopiero w 2010 powstało Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych Poza Granicami Kraju. To bardzo pomogło, bo wcześniej żołnierz ranny po prostu szedł do cywila z małą rentą 1000 złotych. W tej chwili, należąc do stowarzyszenia, można służyć bez ręki, bez nogi.

Drugiego takiego skarbu nie znajdę

Przed wyjazdem byłem już z Izą. Jako młody chłopak, wiadomo, nie myślałem o dzieciach. To się zmieniło po wypadku. Byłem w ciężkim stanie psychicznym i fizycznym, ważne dla mnie było, że ktoś czeka. W pierwszej chwili nie chciałem, żeby Iza się ze mną męczyła. Długo chodziłem z jelitem na wierzchu, miałem stomię. Nie wiedziałem wtedy, czy zostanę zoperowany, czy będę to miał do końca życia. Dążyłem nawet do tego, żeby mnie zostawiła, znalazła sobie kogoś innego. Ale to taka uparta dziewczyna. Była ze mną we wszystkich złych chwilach. Potem lata leciały, leczyłem się i leczyłem. Musiałem się z nią ożenić, drugiego takiego skarbu nie znajdę. Zawsze miałem ją przy sobie, zawsze mogłem na nią liczyć. A chwil trudnych było wiele i nie chodzi już tylko o zdrowie, ale też finanse, których, nie powiem, brakowało. Teraz na szczęście już to tylko wspominamy. Jestem bardzo dumny ze swojej rodziny. Zrobiłbym wszystko dla moich córeczek bliźniaczek, oddałbym życie. Chcę, żeby moje dziewczyny miały jak najlepiej, teraz na to przeznaczam wszystkie swoje siły.

On podłączony do tej całej aparatury... Ciężko było

Co ja mogę? Cieszę się, że go przynajmniej nie wezmą na następną misję. Na pierwszą też zresztą nie chciałam, żeby jechał. Kiedy dowiedziałam się o wypadku, to był szok dla nas wszystkich. Niczego nie mogliśmy się dowiedzieć, niewiele informacji nam przekazano. Sami dochodziliśmy do tego, co się stało. W końcu przyjechaliśmy do tego szpitala. To było nasze pierwsze spotkanie po misji. Oboje płakaliśmy, nie wiedzieliśmy jak się zachować, co powiedzieć. On podłączony do tej całej aparatury, ciężko było. Miałam świadomość, że niektóre rzeczy są nieodwracalne, to była trudna decyzja, żeby zostać z nim. Ale przetrwaliśmy.

Siadywałem nocami w oknie, wypatrując, czy nikt nie podchodzi

Po powrocie do kraju przez pół roku walczyłem ze snami, dziwnymi lękami. Nie potrafiłem jeździć normalnie samochodem, gdy coś leżało przy drodze, musiałem się zatrzymać, sprawdzić. Nie mogłem sobie poradzić z myślą, że tam jest wojna, tam jest tak źle, a tu..., tu jest tak normalnie. Cisza, spokój, nuda, nic się nie dzieje. Siadywałem nocami w oknie, wypatrując, czy nikt nie podchodzi. Po misjach ciężko odnaleźć się w życiu codziennym. Wchodząc do stołówki w bazie, brało się to, co jest, nic innego nie było. Tutaj jedziesz do marketu kupić płatki, a na półce stoi ich sto. Nie wiesz, które masz wziąć.

To, że telewizor spadł ze ściany, że okno zostało wybite, to wszystko przestaje mieć znaczenie. Już się tym nie denerwuję. Kiedy zobaczyło się ból innych osób, śmierć kolegów, to już naprawdę inne sprawy nie mają znaczenia.

Nie żałuję

Byłem beztroski, byłem szalony. Doskonale pamiętam, kiedy spytano mnie w szkole, kim chciałbym być w przyszłości. W żartach powiedziałem, że saperem. Do ostatniej chwili nie wierzyłem, że naprawdę nim zostanę.

Kiedyś zastanawiałem się nad tym, czy żałuję. I wiem, że powtórzylibym wszystko jeszcze raz. Nabyte doświadczenie, wszystko z czym się zmierzyłem. Wzmocnienie psychiki – to jest bezcenne. Dowiedziałem się wiele o sobie. Że potrafię sobie poradzić w każdej sytuacji. Że jestem silny – psychicznie i fizycznie. Jestem tak zwanym, cichym bohaterem. Po tym wypadku, gdy już wróciłem do zdrowia, znowu zapisałem się na misję, ale już nie chcieli mnie puścić. Odpowiadali tylko: „Ostański! Mało ci wrażeń?”

Adriana Cybulska, Amelia Ciosmak

BLIZNA NA WIEKI

(2019)

Pod słuchała rozmowę babci z księdzem. „Szeptali do siebie. Pomyślałam wtedy, że to musi być jakaś ważna tajemnica”.

Nawet gorączka nie zatrzymała jej na warszawskim dworcu. 9 kwietnia 2010 roku wsiadła do pociągu i żarliwie modliła się do Boga, by pozwolił jej bezpiecznie dojechać na miejsce.

Powtarzała sobie w myślach: „Dam radę, muszę”. Obok siedział wujek Mirosław, starszy brat ojca. W skupieniu przeglądał program uroczystości i na głos odczytywał nazwiska przedstawicieli rządu, posłów, znanych polityków, z którymi mieli się spotkać na cmentarzu w Katyniu. Ona słuchała. Miała to być wielka, honorowa uroczystość.

Jechała, by zobaczyć drogę, jaką przebył jej dziadek. Zobaczyć na własne oczy i poczuć to, co musiał przeżyć Karol Świszczewski – duma rodziny, zamordowany przez komunistów w 1940 roku w Katyniu. Z pociągu przesiadła się do autokaru. Spoglądała z zaciekawieniem przez szybę. Widziała oczyma wyobraźni wyportowaną sylwetkę dziadka znaną ze zdjęć, jak 80 lat temu szedł z polskimi oficerami, duchownymi, policjantami. Mijając przydrożne domy, zastanawiała się, jak wyglądały ostatnie chwile jego życia. Czy wiedział, że zginie? Czy się bał? Co myślał? I ten moment strzału. A po nim głucha cisza. Katyński Las wywarł na niej ogromne wrażenie. Mówi o spokoju wysokich drzew. Ścieżka prowadząca na cmentarz wydawała się zbyt długa. Serce zabiło mocniej, gdy jej oczy wypatrzyły alfabetycznie oznakowane marmurowe tablice upamiętniające ofiary. W pewnym momencie zatrzymała się – porucznik Karol Świszczewski. „Jest, to tu” – ucieszyła się.

Pani Danuta siedzi w swoim drawskim domu przy stole i patrzy na rozłożone na nim stare fotografie, odwraca je i czyta opisy. Próbuje ukryć wzruszenie.

Dziadek Karol

– Mój dziadek był porucznikiem rezerwy Wojska Polskiego, Batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza „Kleck” – zaczyna opowieść. Otwiera grubą teczkę z dokumentami i czyta: – „Urodził się 5 listopada 1903 roku w Mińsku Litewskim. Po wybuchu I wojny światowej wyjechał z rodzicami do Moskwy, potem do Riazania. Na wieść o tworzeniu I Korpusu Polskiego wstąpił do niego. Służył w Bobrujsku. Działał wówczas w Tajnej Organizacji Wojskowej. W maju 1920 roku wstąpił do Wojska Polskiego. Przydzielony początkowo do sekcji defensywy 4 Armii, po inwazji bolszewickiej przeniesiony został do 216 Pułku Artylerii Pieszej. Po zdaniu matury ukończył kursy medyczno-pedagogiczne i 1 grudnia 1923 rozpoczął pracę w roli nauczyciela w szkole w Czerlichowie. 28 sierpnia 1925 roku zdał egzamin uzupełniający dla niewykwalifikowanych nauczycieli szkół powszechnych. Został kierownikiem szkoły w Talminowiczach. Pracował przed wybuchem wojny w szkole powszechnej w Niedźwiedzicach. 4 czerwca 1927 roku ożenił się z Emilią Mańkówną”.

Łapie oddech, odkłada plik papierów i tłumaczy nam, że lepiej wszystko zapisywać. Daty, nazwy, miejsca – to ważne. A zapamiętać trudno. Co innego historie opowiadane przez babcię.

– Mówiła mi, że dziadek zakupił kiedyś maselnicę tylko po to, by uczyć chłopów robić masło. Chciał spróbować w swoim życiu dosłownie wszystkiego, niespokojny duch. Każdy w rodzinie powtarzał, że pod tym względem jestem do niego podobna – mówi z lekkim uśmiechem na twarzy. Dowiadujemy się jeszcze, że pracował społecznie w straży pożarnej i był komendantem Związku Strzeleckiego w Niedźwiedzicach. Szczegóły biografii odsłaniają kolejne dokumenty, na przykład dziennik babci: „W 1926 roku był na ćwiczeniach rezerwy w 82 Pułku Piechoty, a w następnym roku w 34 Pułku Piechoty. W 1928 roku ukończył pięcioletni kurs instruktorski Przystosowania Wojskowego. W 88 Pułku Piechoty otrzymał stopień instruktora. Był słuchaczem skróconego kursu podchorążych rezerwy w Szkole Podoficerów Zawodowych Piechoty nr 8. Kurs ukończył z wynikiem dobrym i tytułem plutonowego podchorążego. 1 września 1929 roku został podporucznikiem rezerwy. 21 marca 1933 roku przeniesiono go do 80 Pułku Piechoty. Dowódca batalionu mjr Adam Smyk pisał o nim tak: »Charakter zrównoważony. Poczucie honoru i godności osobistej duże. Ambitny, siła woli duża. Pilny, sumienny i obowiązkowy. Duże poczucie dyscypliny. W stosunku do przełożonych lojalny. Ruchliwy, fizycznie na trudy wytrzymały. Wymowa dobra. Posiada Państwową odznakę Sportową. Myśli szybko i logicznie. Pamięć duża. W nowych warunkach orientuje się dość dobrze. Do rygoru przyzwyczajony. Nadaje się na dowódcę plutonu strzeleckiego. Ogólna ocena: dobry«. W 1937 roku przeniesiono go do Korpusu Ochrony Pogranicza „Kleck”. 19 marca 1939 roku został porucznikiem. Dołączył trzeciego lub czwartego września 1939 roku do 96 Pułku Piechoty 38 Dywizji Piechoty, która walczyła między innymi koło Lwowa. 19 września otrzymała rozkaz przebiecia się do Lwowa. 20 września, po walkach pod Borzuchowicami i Zamarstynowem, została rozbita. Prawdopodobnie wówczas dostał się do niewoli rosyjskiej. Jego nazwisko znajduje się na liście jeńców wojennych, których NKWD ZSRR przekazało do dyspozycji NKWD w Smoleńsku. Wywieziony z Kozielska prawdopodobnie transportem XI z 17 kwietnia lub XII z 19 kwietnia 1940 roku do Lasu Katyńskiego. Tam go zamordowano”.

Skarb rodzinny

Pierwszą wiadomość od męża pani Emilia otrzymała 22 listopada 1939 roku z Kozielska. W grudniu przyszły dwie krótkie kartki, jedna w języku rosyjskim. Karol martwił się o żonę i dzieci, prosił o przesłanie ich zdjęć. Ostatni jego list był przeczuciem zbliżającej się śmierci. Napisał:

„Wybieram się do matki, spotkam się z nią na Rossie” [komentarz w Wilnie – przyp. red.].

– Babcia była wtedy w ciąży, przeniosła się z dwójką chłopców do swojego rodzinnego domu w Łochoźwie. Dziewczynka urodziła się jako trzecia, tuż przed wysiedleniem rodziny do Kazachstanu i zmarła po trzech lub czterech dniach – wspomina pani Danuta ze smutkiem. Scenariusz w przypadku rodziny Świszczewskich był typowym losem Polaków: dostali niecałą godzinę na spakowanie rzeczy, dalej jazda w bydlęcym wagonie do Kazachstanu. Rosjanie postawili sprawę jasno – pojedą wszyscy, albo zabiorą tylko dzieci. Sześć lat pracowali przy budowie kolei. Pani Emilia przeczuwała, że mąż nie żyje, jednak nie miała o nim oficjalnych informacji. Jego listy przechowywała jak święte obrazki, by nie dostały się w ręce wroga.

– To dziwne, ale babcia wspominała ten czas z uśmiechem, żartowała, jakby opowiadała o jakimś filmie, a nie o tragicznym życiu swojej rodziny. Nie pamiętam, by w ogóle kiedykolwiek narzekała – emocjonuje się pani Danuta.

Gdy wojna się zakończyła, trafili jako repatrianci do Drawska Pomorskiego. Udało się przetrwać piekło niewoli, udało się zachować listy Karola. Przewieźli je, chroniąc podczas dalekiej podróży.

Siostry dziadka Janina i Anna zaczęły poszukiwania, napisały do Polskiego Czerwonego Krzyża w Anglii. Otrzymały wiadomość: „W odpowiedzi na list Pani z dnia 7.8. br. z żalem donosimy, że na liście zaginionych bez wieści w Kozielsku figuruje ppor. Karol Świszczewski. Reszta osób, o które Pani zapytuje, w ewidencji naszej nie figuruje, lecz rozpoczęliśmy poszukiwanie, o pozytywnym wyniku natychmiast Panią zawiadomimy”.

– Listy dziadka są rodzinnym skarbem. Można byłoby je oddać do muzeum, ale tam byłyby tylko świadectwem o obcym człowieku, a on jest wciąż nam bliski i ważny, dbamy o jego pamięć – przekonuje nas pani Danuta i dodaje: – Jak babcia żyła, trzymała je w swoim domu, później przejął je mój ojciec, a po jego śmierci trafiły do mnie, gdy mnie zabraknie, zadba o nie mój syn – Krystian.

Nieustająca pamięć

Zbigniew Świszczewski – ojciec pani Danuty, był prezesem Związku Sybiraków, który miał swój Zarząd Terenowy w Drawsku Pomorskim. Należał także do Związku Rodzin Katyńskich.

– Dbał o tę pamięć, tak mnie wychował, myślę, że przez całe życie brakowało mu ojca. Nie miał szansy go zapamiętać, bo był wtedy małym chłopcem. Pamiętki po nim miały dla niego ogromne znaczenie – wspomina pani Danuta i nieśmiało się uśmiecha, gdy jej mąż z przekonaniem opisuje teścia, jako człowieka zaangażowanego w budowanie zbiorowej pamięci o Polakach prześladowanych przez rosyjskich komunistów.

– Z jego inicjatywy powstało wiele miejsc pamięci, np. Krzyż Sybiraka czy Obelisk. Cechowała go odpowiedzialność, bardzo się w to wszystko angażował. Chciał, by inni, także młodszy, poznali historię przodków – włącza się do rozmowy mąż kobiety.

Pani Danuta pierwszy raz o zbrodni w Katyniu usłyszała jako dziecko.

Podслуchała rozmowę babci z księdzem. Jemu Rosjanie też zamordowali kogoś z rodziny.

– Szeptali do siebie. Pomyślałam wtedy, że to musi być jakaś ważna tajemnica – stara się opisać tę chwilę. – W każdym razie długo przyszło nam czekać, by znalazło się miejsce w podręcznikach historii dla takich polskich bohaterów jak mój dziadek. Cieszę się, że były minister obrony narodowej Bogdan Klich awansował go na kapitana – puentuje.

Chwilę po tragedii

Uroczystość miała się odbyć o godzinie 11:00, miał przylecieć prezydent Lech Kaczyński. Najpierw miał podejść pod krzyż prawosławny i tam złożyć wieńce.

– Staliśmy zniecierpliwieni, jeden z dziennikarzy zapytał jakiegoś człowieka w płaszczu, dlaczego musimy czekać, skąd to opóźnienie? Po chwili wszystko wiedział, powiedział nam o katastrofie lotniczej polskiego samolotu. Pomyślałam, że to niemożliwe, że to nie mógł być samolot, w którym leciał prezydent. Zauważyłam posłankę Szczypińską. Rozmawiała przez telefon i płakała. Pan Pospieszalski z ambasadorem powiedzieli przez mikrofon o katastrofie, o tym, że prawdopodobnie nikt nie przeżył. Zaczęliśmy się modlić. Po odmówieniu różańca dotarła kolejna wiadomość – wszyscy zginęli. Jedni płakali, inni stali, milcząc, byliśmy po prostu w szoku. Na specjalnie przygotowanych dla gości krzesłach pojawiły się kwiaty z czarną wstążeczką. Usłyszeliśmy dźwięk dzwonu. Dla wszystkich nagle zatrzymał się świat. Było dużo zadumy, spokoju i takiego odczucia tragedii – wspomina pani Danuta.

Po mszy wszyscy zostali przewiezieni do Smoleńska, każdy chciał jak najszybciej wrócić do domu. W drodze powrotnej rozmawiano o kolejnych ofiarach tragedii. Co chwilę ktoś przychodził z nowymi wiadomościami. To nie był ten sam pociąg. To nie był scenariusz podróży, o którym marzyła. Czekala na osobistą wyprawę po torach pamięci, tymczasem cały kraj był pogrążony w żałobie, żałobie narodowej. Czas zacisnął pętlę ponownie.

– Nie można sobie tak powiedzieć, że ktoś tam się uparł na te cmentarze. Przecież na tych cmentarzach leżą członkowie naszych rodzin – Polacy. To nie jest obojętne, w jaki sposób zginęli – żali się pani Danuta, myśląc o komentarzach tych, którzy „mają dość opowieści o Katyniu i Smoleńsku”. Podkreśla, że w książkach króluje statystyka, „najczęściej piszą, że ponad 20 tysięcy zamordowanych”. Nie chce, by jej dziadek był jedynie cyfrą w podręczniku do historii. – W życiu każdego człowieka przychodzi taki czas, gdy chce poznać swoje korzenie. I to jest ważne, żeby te korzenie mieć i żeby o nich pamiętać. Jest to nasza przeszłość, dzięki niej jesteśmy narodem – mówi z dumą.

WYWIAD

„Rozmawialiśmy na różne tematy, o bardzo osobistych sprawach, o jakich potrafią rozmawiać tylko ludzie najzupełniej sobie obcy”.

Jo Nesbø

„Podwójna ściana?

– Między sklepem a magazynem była ściana o szerokości ok. 60 centymetrów aż do sufitu.

Byliśmy tam w ósemkę. Było ciasno, ale dostarczano nam jedzenie.

To jest niesamowita pomoc, jaką otrzymaliśmy od tych ludzi.

Jak żyć w takich warunkach?

– (...) Mój kochany tatuś wziął mnie do siebie, zasłonił usta ręką i szepnął: »Szewach, zrozum, jak ty będziesz krzyczał, ja będę cię musiał udusić, bo wszystkich nas tutaj zabiją...«. Tam skończyło się moje dzieciństwo.

Miałem wtedy sześć i pół roku i od tego czasu nie jestem już więcej dzieckiem”.

Magdalena Wyrzykowska, Szymon Naumiak,
Żywa legenda. Wywiad z Szewachem Weissem

z JOANNĄ KULESZĄ rozmawiała Magdalena Zając

Z ULGĄ DŁUGO PŁYWAŁAM W JEZIORZE...

(2006)

Jaki kierunek rozwoju szkoły zaplanowała nowa pani dyrektor Joanna Kulesza i jakie zmiany czekają uczniów? Na te i inne pytania odpowiadała w rozmowie z Magdaleną Zając.

Jaka była pani reakcja, gdy dowiedziała się pani, że została dyrektorem naszego liceum?

– Pierwsza myśl była taka: teraz mogę działać, pracować, realizować wspólne cele uczniów, nauczycieli i rodziców. Nie zawieść ich zaufania. Po konkursie wróciłam do Kalisza, była piękna, słoneczna pogoda, z ulgą długo pływałam w jeziorze.

Wcześniej była pani nauczycielem ekonomii, teraz pełni pani dwie role: nauczyciela i dyrektora. Jak czuje się pani w obydwoh?

– Nauczycielem się jest, a dyrektorem bywa, to jest najważniejsza różnica. Poza tym nie zauważyłam większych zmian. Cel pracy został ten sam – tworzymy naszą szkołę, w której każdy z nas mniej czy bardziej zdolny odnosi swoje małe sukcesy. Szkołę, z której jesteśmy dumni, w której zdobywamy wiedzę, by być wolnymi ludźmi. Od dziesięciu lat pracuję z młodzieżą, słucham także nauczycieli i co roku razem podejmujemy nowe wyzwania. Zaczynaliśmy od prowadzenia firm uczniowskich, młodzieżowych działań obywatelskich, koła europejskiego, współpracy z kilkudziesięcioma instytucjami, projektów edukacji ekonomicznej, wyrównywania szans edukacyjnych młodzieży. Teraz tworzymy naszą szkołę.

Co znaczy dla pani być dyrektorem?

– Dla mnie bycie dyrektorem to kolejna szansa na to, by przekonać młodych ludzi, że warto działać, chcieć wiedzieć więcej. Nie narzekać, nie być zawistnym i obrażonym. Poza tym teraz mogę szybciej „zamykać” sprawę. Jednak na biurku dalej nie mieszczą się papiery, przy owalnym stole dyskutuję z wieloma ludźmi, a wieczorami dalej piszę projekty. Tworzę plany, które mogę szybciej wcielać w życie.

Czy relacje między panią a byłą panią dyrektor uległy zmianie? Jak ocenia pani pracę byłej pani dyrektor?

– Moja poprzedniczka pani dyrektor Anna Arcimowicz przyjęła mnie do pracy w lipcowy, słoneczny poranek. Zerwałam się nad ranem przestraszona, że zasnęłam do szkoły, o której śniłam. Przejęłam pałeczkę od pani Arcimowicz. Jej zasług w 11-letniej pracy dla szkoły nie sposób przecenić. Dziękuję jej za wolność, wyzwania, które przede mną stawiała, za wsparcie, za możliwość rozwoju.

Czy zmienił się pani stosunek do uczniów i pracowników szkoły z powodu awansu?

– Dotychczas przesiadywałam na przerwach w pokoju nauczycielskim. Teraz czuję lekki dystans, ale i serdeczność.

Czy ma pani jakieś ciekawe pomysły, by usprawnić funkcjonowanie naszej szkoły?

– Mam ciekawy pomysł, co zrobić, byście jeszcze bardziej chcieli się uczyć, byście uwierzyli, że wolność to wiedza. Przy ustaleniu szczegółów zapraszam do rozmowy, wiem, że macie proste, genialne pomysły. Część z nich została już zrealizowana, np. uproszczenie systemu oceniania. Inne chcę skonsultować z wami, z waszymi rodzicami, nauczycielami, którzy będą mieli swoich przedstawicieli w Radzie Szkoły. Rada Szkoły jest organem opiniotwórczym, który z różnych punktów widzenia będzie opiniował propozycje rozwiązań problemów, długofalowych rozwiązań. Szkoła jest nasza. Ten cel widzę jasno.

Nie przerza panią odpowiedzialność, jaka teraz na pani spoczywa?

– Czuję się zaszczycona, że powierzono mi odpowiedzialność za tak wielu ludzi: młodzież, doświadczonych nauczycieli, pracowników szkoły.

Pani mocne i słabe strony

– Moje mocne i słabe strony już znacie, albo je odkryjecie [*śmiech*].

Czy nasza gazeta może liczyć na pani wsparcie?

– Każdy wasz przejaw chęci uczenia się jest warty wsparcia, w tym działalność młodych dziennikarzy z „Kontrastu”.

Joanna Kulesza (ur. 1966) – trzydzieści trzy lata pracy dydaktycznej, dziewięć jako dyrektor Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych w Kaliszu Pomorskim i cztery w Szkole Podstawowej w Pomierzynie, w latach 1996–2015 nauczyciel ekonomii stosowanej. Jej wychowankowie, przedsiębiorcy ze szkolnej firmy „Arachne”, reprezentowali Polskę w Madrycie (2002 rok – Grand Prix w Konkursie na Najlepszą Firmę Uczniowską).

z PAWŁEM ŁUCZKĄ rozmawiały: Daria Różańska i Iwona Mazur

MAŁYM DRUCZKIEM

(2007)

Ma pan jakieś swoje motto życiowe?

– Tak, są to słowa Jakuba Alberione: „Nie wiem, mój Boże, co mnie dziś spotka, wiem jedno, że nic się nie stanie, czego byś ty od wieków nie przewidział i nie zarządził dla mojego większego dobra. To jedynie mi wystarcza”.

To autorytetem będzie dla pana zapewne Jan Paweł II?

– Też, ale autorytetem dla mnie nie jest jedna osoba, lecz wiele postaci. Zdarza się, że jakiś człowiek nie powinien być autorytetem, ale imponuje mi w danej sytuacji i chciałbym brać z niego przykład.

Najczęściej wzorem są dla nas rodzice, dla pana też?

– To prawda, są dla mnie dobrym przykładem do naśladowania. Sporo wysiłku musiałem jednak włożyć w to, by coś osiągnąć. W szkole łobuzem nie byłem, ale do wzoru wiele mi brakowało.

Najgorszy przedmiot to...

– Nie znosiłem matmy, ogromny stres. Za to interesowały mnie podróże. W przygotowaniu do matury z języka polskiego pomogło pisanie do lokalnej gazety. Uważam, że człowiek powinien uzewnętrzniać wiele spraw, które w sobie dusi. Jeżeli na przykład pisze wiersze, to nie powinny one leżeć w szufladzie.

Kiedy ktoś kocha podróże, wybiera sobie jako kierunek studiów geografię?

– Tak, najpierw była turystyka – Studium Turystyczne w Czaplunku, a potem geografia, studia w Słupsku.

Jak pan wspomina studia?

– Słupsk to nie jest metropolia, ale panuje tam niezwykły klimat. No i można spotkać przyszlą żonę [*śmiech*]. Czas nauki i zabawy był wyważony. Ogólnie wszystkie wspomnienia pozytywne. Nawiązałem tam wspaniałe przyjaźnie.

Od razu rozpoczął pan pracę w Kaliszu Pomorskim?

– Nie, było jeszcze gimnazjum w Czaplunku, ale naprawdę tutaj rozwinąłem skrzydła.

Co jest wyjątkowego w tej szkole?

– Panują tu idealne warunki do nauki, to mała miejscowość, w szkole jest sympatyczna atmosfera, ludzie nie są tak smutni jak w Złocieńcu. Młodzież jest trudna, ale jest też kochana.

Czym dla pana jest zawód nauczyciela?

– Mój zawód to moja pasja, nie traktuję go jak przykrego obowiązku. W zawodzie nauczyciela nie chodzi o władzę, ale o pracę z młodymi ludźmi, z którymi można porozmawiać na wiele tematów.

A poza pracą, ma pan jakieś pasje?

– Moją drugą pasją jest fotografia. Dawno, dawno temu dostałem pierwszy aparat i od tego czasu pstrykam. Na początku zupełna amatorka, potem lepszy sprzęt i idzie mi coraz lepiej. Obecnie w Pырzycach, a niedługo w Drawsku Pomorskim, będzie można oglądać wystawę *Złoceniec w obiektywie*, gdzie są też moje zdjęcia.

Fotografie można połączyć z podróżami, próbował pan?

– Oczywiście, a podróże zawsze będą w moim życiu. Austria, Białoruś, Chorwacja, Francja, Słowenia, Ukraina – każde z tych miejsc ma coś w sobie pociągającego. Miłe wspomnienia ludzi z Białorusi, bardzo otwarci. Lubię włoską mentalność, bardzo porywczą, krajobrazy Chorwacji czy widok Wezuwiusza, specyficzną gościnność Francuzów, spartańskie warunki Ukrainy i zorganizowanie Niemców.

Skąd taka potrzeba podróżowania?

– Nie wiem, z czego moje podróże wynikają, czy z pragnienia poznawania, czy chęci odnalezienia własnego miejsca. Myślę, że najwięcej człowiek uczy się, doświadczając. Gdybym miał taką możliwość, nie nudziłbym na lekcjach teorią, ale przeniósłbym się z klasą do omawianego miejsca.

Co pana irytuje w młodych ludziach?

– Brak celu. Dziś młodzi mają wszystko gotowe. Trzeba tylko chcieć i umieć wybrać.

Jaki jest ideał ucznia według pana?

– Nie ma czegoś takiego. Lubię ucznia, który wie, po co jest w szkole średniej, nie podlizuje się. Nie musi być uczniem celującym. Wystarczy, że chce coś w życiu osiągnąć.

To na koniec pytanie o plany na przyszłość, jakie są?

– Peru. I zwiększyć przyrost naturalny, choć nie od razu [*śmiech*].

Paweł Łuczko (ur. 1976) – nauczyciel geografii, od 16 lat pracuje w Liceum w Kaliszu Pomorskim. Od ponad siedmiu organizuje Rajd Szlakiem Ewakuacji Jeńców Oflagu II D, podczas którego młodzież poznaje historię z innej perspektywy, między innymi poprzez spotkania ze świadkami tych wydarzeń. Ponad dekadę działa w sztabie promującym Licem w Kaliszu Pomorskim. Jest opiekunem szkolnego koła fotograficznego „Pozytyw”.

ze ZBIGNIEWEM WITKIEM rozmawiała Monika Moń (Monika M.)

CAŁA PRAWDA O KOŁCZU, CZYLI WYZNANIA ZIBIEGO DON VITO

(2007)

Uczy wychowania fizycznego i przysposobienia obronnego w naszym liceum.

Jest trenerem w kaliskim klubie piłki nożnej „Calisia”.

Zbigniew Witek w świetle reflektorów „Kontrastu”.

Każdy nauczyciel ma wśród uczniów etykietkę. Czy zna pan mit krążący o panu?

– Nadal pozostaje aktualny mit dotyczący mojego stroju, którym jest oczywiście dres. Po prostu: „Ja noszę dres, dres fajny jest”.

Ale chodziło raczej o to, że uczniowie twierdzą, że jest pan skromny, nie chwali się sukcesami.

– Nikt przytomny tego nie robi. Nie biega po mieście z napisem: „Moje sukcesy i osiągnięcia”. Nauczyciele są ludźmi skromnymi, szanującymi swoją prywatność.

To teraz czas się pochwalić. Jak wyglądało wręczenie Złotej Honorowej Odznaki PZPN?

– Gala odbyła się w auli Uniwersytetu Szczecińskiego i była to uroczystość, w której brało udział około 600 osób. Odznaczenie wręczono mi z okazji 60-lecia PZPN. Zostałem doceniony za prowadzenie kadry województwa zachodniopomorskiego oraz pracę w klubie. Wręczył mi medal wiceprezes PZPN pan Eugeniusz Kolator.

To jest powód do dumy?

– Nie ukrywam, że było wzruszenie.

Jak wygląda prowadzenie drużyny piłkarskiej?

– Trzeba się interesować piłką i pogodzić z faktem, że nie ma wolnego czasu.

I mieć kwalifikacje?

– Mam tytuł trenera II klasy, studiowałem na kierunku trenerskim. A po powrocie do Kalisza Pomorskiego otrzymałem propozycję pracy w klubie i tak już zostało. Prowadzę drużynę juniorów starszych oraz dzieci ze szkoły podstawowej.

Czy umiejętności pedagogiczne, bo uczy pan przysposobienia obronnego i jest pan wuefistą, pomagają w prowadzeniu drużyny?

– Wykształcenie pedagogiczne zmienia sposób podejścia do dzieci i młodzieży oraz ułatwia wzajemne kontakty. Pozyskane umiejętności pomagają skutecznie rozwiązać problemy w grupie.

Jak rywalizacja, która jest stałym elementem w sporcie, pomaga w życiu?

– Człowiek, który przywiązany jest do walki sportowej, łatwiej znosi trudy dorosłego życia. Osoba taka jest bardziej odporna na stresy, pokonuje przeszkody, które napotyka.

Czy to żyłka sportowa skłoniła pana do decyzji, by zostać radnym?

– Chciałem się sprawdzić w pracy samorządowej i już po dwóch miesiącach muszę powiedzieć, że nie jest to łatwe. Mam kilka pomysłów, które chciałbym zrealizować w okresie czterech lat.

Przy tylu obowiązkach znajduje pan czas dla rodziny?

– Staram się, ale faktycznie, tego czasu nie jest wiele.

Zwłaszcza, gdy mieszka się pod jednym dachem z drugim nauczycielem [śmiech]. Temat szkoły jest wtedy tematem numer jeden?

–Zdarza się, ale najbardziej uciążliwe są sterty kartkówek, prac klasowych, przekładanych z miejsca na miejsce [śmiech].

Czy lubi pan swój zawód?

– Jeżeli człowiek widzi, że to, co robi, przynosi efekty, wtedy oczywiście tak. Są jednak chwile niezadowolenia i rozczarowania.

Zbigniew Witek (ur. 1972) – ukończył AWF w Poznaniu, trener Piłki Nożnej – UEFA A, absolwent kaliskiego LO, w 1996 roku rozpoczął pracę w Szkole Podstawowej w Kaliszu Pomorskim, w której uczy do dziś, a od roku 2000 z przerwami prowadzi zajęcia wychowania fizycznego w ZSP w Kaliszu Pomorskim. Wielu jego wychowanków, kontynuując pasję sportową, podjęło pracę nauczycieli lub trenerów w klubach sportowych, od 2006 roku z zaangażowaniem pełni funkcję radnego Rady Miejskiej w Kaliszu Pomorskim, działając na rzecz lokalnej społeczności.

z KATARZYŃĄ WITEK rozmawiała Klaudia Domańska

KONESERKA GRY W KOŚCI

(2008)

*Blask niebieskich oczu, bystre spojrzenie, ciepły uśmiech i zawsze wyciągnięta pomocna dłoń.
Wymagająca, ale sprawiedliwa. Systematyczna i konsekwentna, dla przyjaciół Kasia,
dla młodzieży pani profesor Katarzyna Witek.*

Jaką była pani uczennicą?

– W szkole podstawowej i szkole średniej raczej nie miałam problemów z nauką, zawsze miałam świadectwo z paskiem. Na studiach też radziłam sobie bardzo dobrze.

Lubiła pani chodzić do szkoły?

– Tak, muszę powiedzieć, że nauka była i jest dla mnie przyjemnością.

Czy uciekała pani na wagary?

– Jeden incydent mi się przypomina, jeśli chodzi o wagary. Kiedyś, właśnie w szkole średniej, poszliśmy sobie na wagary, ale zrobiliśmy to w taki sposób... naprawdę bardzo inteligentny, kulturalny. Nie podpowiadam, że warty naśladowania, ale fajny. Napisaliśmy do naszej pani od fizyki – pani profesor Marianny Wiśniewskiej list, który przekazaliśmy przez innych uczniów. Był to list pisany staropolszczyzną, w bardzo oryginalnym stylu. Zaprosiliśmy ją, żeby udała się z nami również na te wagary. W tym dniu mieliśmy przygotować jakieś zadanie. Napisaliśmy list w takim kontekście, że wiosna nam po prostu w tym pomoże i te zadania oczywiście zrobimy pod natchnieniem wiosny, słońca, energii itd.

O czym pani marzyła, gdy była nastolatką?

– Miałam marzenia, które niestety się nie spełniły. Moim wielkim marzeniem było chodzić do szkoły baletowej, ale mieszkaliśmy w małej miejscowości, pochodzę z Kalisza Pomorskiego. Nie było takich szans, pamiętam też, że jako dziecko marzyłam o tym, żeby śpiewać w zespole Gawęda. Potem chciałam tańczyć w zespole tańce latynoamerykańskie. To były takie moje marzenia, które niestety się nie zrealizowały i pewnie się już nie zrealizują.

Jak pani wspomina pierwszą miłość?

– Moja pierwsza miłość jest obecnie moim mężem, praktycznie jesteśmy ze sobą od pierwszej klasy szkoły średniej. Siedzieliśmy razem w ławce, no i tak nam zostało do dziś.

Czy zawsze chciała pani być nauczycielem?

– Zawsze, zawsze. Wtedy, kiedy moje koleżanki marzyły o tym, żeby być pielęgniarkami, lekarzami, to nie ja. Ja od samego początku stawiałam lalki, usadzałam misie, zakładałam dziennik, robiłam sprawdziany i praktycznie zawsze chciałam być nauczycielem. Szczerze mówiąc, na początku myślałam, że chcę uczyć dzieci klas początkowych. Nauczanie początkowe – kształcenie zintegrowane. Kiedyś było dużo malowania, jakies rysowanki – bardzo mi się to podobało. Ale z biegiem czasu człowiek dorośnie, nabiera nowych zainteresowań. Fakt faktem, moją pasją była zawsze matematyka i tak się stało, jak się stało, że wybrałam taki kierunek studiów.

Jakie ma pani teraz marzenia, o czym pani marzy?

– O czym marzę? Najbardziej chyba o tym, żeby moi maturzyści, żeby wszyscy moi uczniowie, osiągnęli jak najlepsze wyniki. To są chyba moje największe marzenia i chciałabym je zrealizować. Chciałabym, żeby kiedyś wreszcie mnie zaskoczyli, osiągając poziom naprawdę bardzo, bardzo wysoki. A z moich prywatnych marzeń... wiem, że zaniedbuję swoją rodzinę – coś kosztem czegoś – praca przede wszystkim, a później na drugim miejscu rodzina i zawsze sobie stawiam taki cel, że powinnam więcej czasu poświęcić rodzinie. To są takie moje marzenia, które będę starała się realizować.

Co pani robi najchętniej w wolnym czasie?

– Co to jest wolny czas? [*śmiech*] Wolny czas to jest u mnie między 2:30 w nocy a 6:30 rano, kiedy praktycznie śpię – to jest wolny czas. Ale jeśli jest, to staram się spędzać go raczej aktywnie, wypoczywam w tańcu, wypoczywam, uprawiając sport, wypoczywam, czytając książki, słuchając muzyki, ale takie chwile zdarzają się bardzo rzadko.

Jakie czyta pani książki?

– Jestem waszym stałym czytelnikiem, także pierwsze, co czytam, to na pewno „Kontrast”. Obowiązkowo, od deski do deski. Mam prawie każdy numer. Nie czytam lekkich lektur, skupiam się bardziej na literaturze, która wnosi coś w moje życie, na literaturze popularnonaukowej. Coś, co po prostu rozwija moje zainteresowania, co mnie wzbogaci. To są na przykład książki o krainie nierówności Lwa Kourliandtchika, zagadki matematyczne i logiczne Martina Gardnera oraz literatura psychologiczna Kena Ernesta. Wszystko kręci się bardziej wokół świata matematycznego. Jednak to nie jest tak do końca, że tylko poświęcam się matematyce, ja naprawdę bardzo lubię poezję, moją ulubioną poetką jest Wisława Szymborska. Nie mam jej antologii, ale znam bardzo dużo wierszy, kilka nawet na pamięć. Jej liryka jest refleksyjna, w jej wierszach można doszukać się podtekstów filozoficznych. To mi się właśnie bardzo podoba, zresztą nagrodę Nobla otrzymała w roku, w którym urodził się mój syn i to jest data

bardzo bliska mojemu sercu.

A muzyka, ma pani jakiś wybrany rodzaj, ulubionych wykonawców?

– Tak, lubię słuchać muzyki klasycznej. Każda muzyka, która jest spokojna, taki rodzaj muzyki właśnie preferuję. Ze współczesnych wykonawców bardzo lubię Enyę. Uwielbiam zespół Dżem. To jest mój ulubiony zespół, z którym łączą mnie miłe wspomnienia. Słucham wszelkiego rodzaju muzyki, aczkolwiek niektóre wykonania mnie denerwują.

Co ceni sobie pani w ludziach?

– Myślę, że największym atutem dobrych ludzi jest życzliwość, szczerłość, dobre serce. Ludzi, którzy reagują na uśmiech uśmiechem, z takimi ludźmi łatwiej nawiązuję kontakt, empatię.

Czy ma pani swój ideał, autorytet?

– Tak, oczywiście wszystko praktycznie wiąże się ze szkołą. Moim ideałem, niedoścignionym wzorem jest pan profesor Zdzisław Skurczak, który uczył mnie matematyki. To jest taka sztandarowa postać, taka historia szkoły. Jest dla mnie przykładem – naprawdę wspaniałą człowiekiem. Mimo tego, że wiem, iż niektórym ludziom nie ułatwił życia – nie sądzę, by żywili do niego urazę, bo oceniał wiedzę. Sentyment zawsze pozostanie.

Czy lubi pani nadal swoją pracę, nic się nie zmieniło?

– Nigdy w życiu! Nie wyobrażam sobie, że mogłabym robić w życiu coś innego, że mogłabym chociaż na jakiś czas rozłączyć się ze szkołą. Myślę, że w innej pracy bym się nie odnalazła. Nie widzę siebie po prostu w innej roli, bez kontaktu z młodzieżą – to niemożliwe.

Gdyby pani miała taką możliwość, o co poprosiłaby pani złotą rybkę?

– Trudne pytanie, bo jest dużo rzeczy, które człowiek chciałby posiadać. Po pierwsze zawsze nasuwają mi się sprawy związane ze szkołą. Myślę, że byłabym szczęśliwa, gdybym mogła wszystkim moim uczniom postawić szóstkę, to by mnie satysfakcjonowało. I żeby wszystkie wyniki na maturze były też szóstkami, złota rybka mogłaby spełniać wiele takich życzeń, miałabym jeszcze długą listę...

Serdecznie dziękuję za rozmowę

– Ja też dziękuję.

Katarzyna Witek (ur. 1972) – absolwentka kaliskiego LO, ukończyła UAM w Poznaniu, od 1997 roku nauczycielka matematyki w ZSP w Kaliszu Pomorskim, a od 2015 roku wicedyrektor szkoły. Wykształciła wielu absolwentów, którzy studiuje i pracują na kierunkach politechnicznych i matematycznych. Z wieloma wychowankami, którzy również są nauczycielami, współpracuje obecnie.

z MIROŚLAWĄ KACPERSKĄ rozmawiały: Paulina Emilianowicz (Emila) i Nina Tuziak (mm)

NAUCZYCIEL Z WYBORU

(2008)

Mówią o niej, że jest ostra i dużo wymaga. Niektórym trzęsą się ręce, gdy bierze ich do odpowiedzi. Skarbnica wiedzy o języku niemieckim. Chcąc bliżej poznać panią Mirosławę Kacperską, postanowiłyśmy przeprowadzić z nią wywiad.

Małe dziewczynki chcą być w przyszłości aktorkami, piosenkarkami, a pani?

– Odpowiedź nie jest trudna, już od piątego roku życia byłam pewna, że zostanę nauczycielką. Tylko nie widziałam jeszcze, czego będę uczyła.

I rodzice ucieszyli się z pani wyboru?

– Nie było na ten temat żadnych komentarzy z ich strony. Dali mi zupełnie wolną rękę.

To od ilu lat pracuje pani w szkole?

– Straszne pytanie [*śmiech*]. Dwadzieścia sześć lat.

Uczniowie od tego czasu się zmienili?

– Zmienili się trochę na plus i odrobinę na minus. Są świadomi tego, czego chcą w życiu, czego oczekują. Korzystają z różnych nowinek technicznych, rozwijają się w wybranym przez siebie kierunku, nie boją się pytać. Są bardziej dojrzały. Jednocześnie stali się, niestety, bardziej leniwi, mniej ambitni. Mówię oczywiście ogólnie, nie o wszystkich.

Pani w szkole uważana jest za osobę wymagającą i stanowczą.

– Nie zgadzam się z tym. Zarzucam sobie, że jestem zbyt mało wymagająca, a powinnam być bardziej rygorystyczna. Ciągle nad tym myślę, jak utrzymać uczniów w ryzach.

Woli pani zachowywać dystans wobec uczniów?

– Absolutnie nie. Uczeń powinien się uczyć świadomie i poprzez dobry kontakt z nauczycielem być zmotywowanym.

Jest pani wychowawcą klasy II i. Ta klasa ma najwyższą frekwencję w szkole, jak pani tego dokonała?

– Trudno powiedzieć, czyja to zasługa. Ale była taka sytuacja. Na pierwsze zajęcia spóźniło się kilka osób, moją reakcją było zaproszenie ich do sekretariatu i telefony do rodziców. To chyba był impuls, dający do zrozumienia, że do szkoły chodzimy regularnie. Całą resztę zawdzięczają sobie sami.

Ma pani patent na idealnego ucznia?

– Idealny uczeń to nie taki, który ma najwyższą średnią, tylko ukierunkowany. Wie, jakie ma zainteresowania i zdolności. Cenię uczniów, którzy wykazują się w swojej dziedzinie i robią to dla siebie.

Czy naprawdę żaden uczeń nie zalał pani za skórę?

– Nie, nie wspominam tego w ten sposób. Po prostu lubię mieć kontakt z młodzieżą, traktuję ich tak, że dopasowuję się do danego ucznia, widzę ich indywidualnie i jako klasę.

Którą ze swoich klas wspomina pani najmilej?

– Każda była inna, nie można ich porównywać. Choć z sentymentem wspominam moją pierwszą klasę. Była to klasa, której absolwenci są teraz moimi kolegami w pracy, pani Kasia Witek, Zbyszek Witek, pan Artur Stąporek. Więc cała historia się przeze mnie przewija.

Dlaczego ten zawód to pani marzenie?

– Bo największym szczęściem jest wykonywać w pracy swoje hobby. Praca jest moim hobby i odwrotnie, to najpiękniejsze, co może się zdarzyć człowiekowi, chociaż nie przekłada się to na pieniądze [*śmiech*].

Dziękujemy bardzo za wywiad.

– Już? Tak szybko? [*śmiech*] Dziękuję.

Mirosława Kacperska (ur. 1957) – dyplomowana nauczycielka języka niemieckiego w kaliskim Liceum, ponad trzydziestoletni staż pracy. Wiele pokoleń zawdzięcza jej wiedzę na temat kultury niemieckojęzycznej. Spod jej skrzydeł wyszły rzesze germanistów, lingwistów, laureatów wielu konkursów i olimpiad. Studiowali i studiują w Polsce, Niemczech, a nawet w Szwajcarii.

z KAMILEM DURCZOKIEM rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Katarzyna Jarzyńska

ZAWSZE WARTO ROZMAWIAĆ Z LUDŹMI

(2008)

W pracy jest przed ósmą. Przygotowuje kawę. Gdy zapala się czerwona lampka, musi się ładnie uśmiechnąć, czasami improwizuje. Mimo, że jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych dziennikarzy, nie znosi siebie na wizji – Kamil Durczok.

Każdy dziennikarz ma prawo do własnych poglądów politycznych, sympatii do klubów partyjnych. Gdzie znajduje się granica, której nie można przekroczyć?

– Granica jest w sumieniu. Każdy komuś sprzyja, bardziej lub mniej. Nie lubię określenia obiektywizm, wolę bezstronność. Ale nie ma recepty, jak być bezstronnym dziennikarzem. To kwestia wyborów. Trzeba być wewnętrznie uczciwym i przekonanym, że to, co się robi, jest dobre. Nie można zarzucić nieuczciwości osobie, która żyje w zgodzie z własnym sumieniem.

Miał pan problemy w związku z tym, co pan powiedział, napisał?

– Nieustannie [*śmiech*].

Ma pan przyjaciół wśród polityków?

– Nie, jedynie mam dobrych znajomych i mogę ich policzyć na palcach jednej ręki. Należy wiedzieć, że między światem polityków i dziennikarzy jest Wielki Chiński Mur.

Którego z nich i za co ceni pan najbardziej?

– To byłoby nieuczciwe, gdybym wymieniał nazwiska. Do każdego polityka powinienem podchodzić tak samo. Ważny jest jednak komfort rozmowy. Taki miałem podczas rozmowy z Tadeuszem Mazowieckim czy Aleksandrem Kwaśniewskim. Jego brak odczuwałem podczas spotkań z Andrzejem Lepperem czy Januszem Palikotem. To są dwa światy. Mazowiecki jest symbolem prawdziwej polityki.

Jak przygotowuje się pan do debaty politycznej, którą pan prowadzi?

– Tej części nie lubię, jest nudna i mało wdzięczna. To siedzenie i czytanie. Sama rozmowa jest najważniejsza. Ludzie są najlepszym źródłem informacji. Dziesięć minut rozmowy z ludźmi jest równe godzinie siedzenia nad wycinkami z gazet. Warto rozmawiać.

Czy goście znają pytania, które pojawiają się w programie?

– W żadnym wypadku. Znają jedynie tematy, do których mogą się przygotować. Poza tym, nigdy nie ma takich gotowych pytań, których byśmy się trzymali. Większość z nich przychodzi do głowy podczas rozmowy.

Mówi się o dziennikarzach, że mają największą władzę. Czuje pan tę odpowiedzialność?

– Jeżeli mówimy o odpowiedzialności, to na pewno. Nie będę udawał, że dziennikarz nie ma władzy. Ma, ale nie powinien jej wykorzystywać. Kilka milionów ludzi ogląda codziennie 26 minut *Faktów*.

Dziennikarstwo to bardzo wyniszczający emocjonalnie zawód. Dlaczego warto płacić taką cenę?

– Warto. To bardzo ciężka praca, ale cenę zdrowia płaci się w każdym zawodzie.

Jaka jest pana dziennikarska droga na szczyt?

– Zadajecie bardzo trudne pytania. Wszystko zależy od umiejętności, odrobiny talentu i w dużej mierze od szczęścia, od ludzi, których się spotyka. Fura szczęścia jest potrzebna! [*śmiech*]

Które wady dziennikarzy irytują pana najbardziej?

– Nie wiem. Najbardziej nie lubię oglądać siebie. Krytycyzm ukierunkowuje.

Na co musi być przygotowany człowiek z prowincji, który pragnie w stolicy zrobić wielką karierę?

– Prowincja to kategoria intelektualna, a nie geograficzna. Uwierźcie w siebie i wykreślcie to słowo ze swojego słownika.

Relacjonował pan wybory w USA. Jakie były reakcje zwykłych Amerykanów? Czy ten prezydent zmieni politykę Ameryki wobec Polski?

– Reakcje Amerykanów były dla nas bolesne, ponieważ ich wyraz miał miejsce o trzeciej w nocy. Byliśmy zmęczeni. Obudziły nas dzikie tłumy świętujące zwycięstwo Obamy. Co do polityki, na pewno będzie musiał zawieść część pokładanych w nim nadziei.

Czy podczas pana zmieniającej się kariery zmieniały się też pana autorytety?

– To dobre pytanie. Pewnie tak. System wartości pozostał jednak ten sam. To wynosi się z domu. Ale mam coraz mniej dystansu, coraz bardziej wkurza mnie ludzka pazerność i głupota.

Życiowe motto...

– Teraz już chyba nie, ale przez pewien czas mówiłem za Wańkowiczem, że z wszystkiego można zrobić jaja. No, prawie z wszystkiego. Takie podejście się przydaje, zwłaszcza na początku pracy, pozwala uwolnić emocje.

Wyobraża pan siebie w innym zawodzie?

– Wyobrażam, ale nie chciałbym niczego zmieniać.

Osoba, z którą Kamil Durczok chciałby przeprowadzić wywiad...

– Z tym, z którym chciałbym, już nie przeprowadzę. Są jednak spotkania, które zostają na zawsze w pamięci. Kiedyś rozmawiałem ze Stanisławem Lemem, ogromna radość słuchania. Patrzyłem w niego jak w obraz i modliłem się, by nie przestał mówić.

Jak być dobrym dziennikarzem?

– Proste. Trzeba to kochać do szaleństwa i być przygotowanym na to, że przez jakiś czas nikt nie odwzajemni tej miłości. Nie zawsze jest fajnie i nie zawsze się udaje. Trzeba być przygotowanym na stres, wiele emocji i brak snu.

Dziękujemy za rozmowę.

– Dziękuję.

Kamil Durczok (ur. 1968) – dziennikarz telewizyjny i radiowy, w latach 1993–2006 pracował w Telewizji Polskiej, gdzie był m.in. głównym prezydentem *Wiadomości* i prowadził wywiady z politykami, od 2006 do 2015 roku był redaktorem naczelnym i prezydentem *Faktów* w telewizji TVN, prowadził audycje w Radiu Katowice, Trójce i Radiu RMF FM.

z JOANNĄ RUTĄ rozmawiały: Paulina Emilianowicz (Em) i Anna Stemplewska (Selma)

EKONOMIA (NIESTOSOWANA) W PRAKTYCE

(2009)

Skromna o zdecydowanie nieskromnych osiągnięciach. Jej życie to potwierdzenie słów, że „bez pracy nie ma kołaczy”. W rozmowie z dziennikarzami „Kontrastu” pani Joanna Ruta – nauczycielka języka angielskiego.

Wiemy, że była pani wzorową uczennicą. Zawsze miała pani dobre oceny?

– Muszę przyznać, że zawsze, ale ciężko na to pracowałam i dużo się uczyłam. Oczywiście, były też takie przedmioty, nad którymi musiałam dłużej posiedzieć.

Dobre wyniki w liceum to klucz do sukcesów na studiach?

– Na pewno. Po pierwsze to przepustka na wymarzony kierunek, po drugie uczeń wzorowy nie musi uzupełniać braków, szukać korepetycji czy prosić o pomoc. Ma już usystematyzowaną wiedzę.

Będąc wszechstronnie uzdolnioną osobą, nie miała pani problemów z planowaniem swojej przyszłości?

– Tak, miałam, było ciężko. Chciałam pójść na ekonomię lub stosunki międzynarodowe, bo te kierunki były bardzo popularne.

To co skłoniło panią do wyboru anglistyki?

– Babcia mi doradziła [*śmiech*]. I nie żałuję tego. Wybrałam język angielski, bo mnie zawsze interesował i chciałam się go dobrze nauczyć. Ale muszę przyznać, że nie byłam z niego wybitna. Jak każdy, miałam na początku problemy, wypracowałam sobie dobre oceny.

Za to w liceum była pani członkiem firmy uczniowskiej i pani grupa reprezentowała Polskę w Madrycie. Co wniosło w pani życie tamto doświadczenie?

– Wyjazd do Madrytu należy do najciekawszych doświadczeń w moim życiu. Nie byłoby go bez wspa-
niałego zespołu ludzi: Marty, Bożenki, Waldka, Pauliny oraz naszej opiekunki pani profesor Joanny Kuleszy.
Konferencja młodych przedsiębiorców była możliwością poznania młodzieży z całej Europy, obcych kultur,
wymiany poglądów. Przekonałam się, jak ważne są umiejętności językowe. Muszę przyznać, że nie ma lepszego
sposobu na rozwój naszych zainteresowań niż zajęcia pozalekcyjne, zwłaszcza w takim małym miasteczku jak
Kalisz Pomorski.

Na czym polegał ten projekt?

– Krótko mówiąc na wprowadzeniu teoretycznej ekonomii w praktykę. Stworzyliśmy firmę uczniowską
„Arachne”. Zajmowała się sprzedażą piórników, które sami wykonywaliśmy. Pani Joanna Kulesza zgłosiła nasz
zespół do ogólnopolskiego konkursu i zajęliśmy I miejsce, pokonując prestiżowe licea z Gdyni czy Torunia.
W Madrycie były warsztaty marketingowe z takimi firmami, jak: Hewlett Packard, Chupa Chups.

Dlaczego pani zdaniem wszyscy powtarzają, że studiowanie języków jest przyszłościowe? Jest przecież wie- le innych przyszłościowych dróg.

– Dzisiejsze czasy wymagają znajomości języków, jako nauczyciel języka angielskiego będę twierdzić, że
angielski jest najważniejszy [*śmiech*]. Ale tak naprawdę myślę, że sam angielski to za mało. Warto znać języki
i specjalizować się jeszcze w jakiejś dziedzinie.

Maturzyści jednak wybierają inaczej, rok przerwy i jada po szkole za granicę w celach zarobkowych i nauki języka. Popiera pani takie rozwiązanie?

– Faktycznie, dla kogoś, kto nie ma sprecyzowanych planów na przyszłość, to jest jakieś rozwiązanie. Jed-
nak może pojawić się problem: „Co dalej, czy zostać i pracować, czy wrócić do kraju i studiować?”. Uważam, że
jest to opcja najwyżej na rok. Jeśli chodzi o podszkolenie języka, nie ma lepszego sposobu jak wyjazd za granicę.

Po przerwie wraca pani do pracy w naszym liceum, jak się pani czuje po powrocie?

– Moja przerwa trwała dwa lata. Muszę przyznać, że strasznie stęskniłam się za pracą w naszym liceum.
Mamy wspaniałych fachowców wśród nauczycieli i super młodzież. Nie powiem, że nie miałam obaw związa-
nych z powrotem, młodzież się trochę zmieniła, więc muszę ją na nowo poznać i wymyśleć, jak ją nakłonić do
najciekawszej podróży na świecie, jaką jest poznanie 16 czasów gramatycznych [*śmiech*].

Joanna Ruta-Boniecka (ur. 1984) – absolwentka Liceum w Kaliszu Pomorskim, dyplomowany nauczyciel języka angiel-
skiego w tej szkole, współtwórca klas dwujęzycznych, inicjator współpracy z uczelnią Bedfordshire w Anglii, przygotowuje
młodzież do międzynarodowych certyfikatów językowych Cambridge English na poziomach B1 i C2. Jej uczniowie stu-
diują kierunki językowe na uczelniach w Polsce i w Anglii.

z DARIĄ RÓŻAŃSKĄ rozmawiały: Lena Kaczmarek (Lena) i Klaudia Nadybał (Dictionary)

SPEŁNIAM MARZENIA

(2010)

Studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kiedyś uczyła się tu gdzie my, w naszym liceum.

Dzisiaj Daria Różańska mówi: „Cieszę się, że tak to wszystko się ułożyło.

I wbrew wszystkim i wszystkiemu nie żałuję, że studiuje dziennikarstwo”.

Jak wspominasz trzy lata spędzone w Kaliszu?

– Czas spędzony w liceum wspominam bardzo miło. To były fantastyczne, beztroskie lata. Miałam fajną i zgraną klasę. W szkole panowała wspaniała atmosfera, mieliśmy bardzo dobre relacje z nauczycielami. Pamiętam, jak na zakończenie roku płakałam. Szybko minęły mi te trzy lata. Na początku pierwszego roku studiów tęskniłam za liceum. Zamknęłam już ten etap. Ale tamten czas zawsze wspominam z uśmiechem i sentymentem. Czasami nawet chciałam się cofnąć w czasie i wrócić.

Którego nauczyciela najbardziej zapamiętałaś?

– Najbardziej zapamiętam nauczycieli z prawdziwymi pasjami, oddanych temu, co robią. Z niektórymi do dzisiaj mam dobry kontakt.

Jak zaczęła się twoja przygoda dotycząca dziennikarstwa?

– Myślę, że zaczęło się już w gimnazjum, pisałam wtedy do szkolnych gazetek. Potem przyszłam do liceum, pisałam do „Kontrastu”. Jeden z moich tekstów otrzymał wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie i zaczęłam pisać bardziej na poważnie.

Czy wygranie w akademickim konkursie indeksu było dużym zaskoczeniem dla ciebie?

– Nie spodziewałam się, że wygram indeks. Pisałam, bo mi się to podobało, lubiłam to robić. Nie miałam w związku z tym żadnych poważnych planów. Wtedy nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym kiedyś w przyszłości studiować dziennikarstwo.

Czy zdobycie tytułu laureata było najważniejszym twoim sukcesem?

– Niezręczne pytanie [*śmiech*]. Miałam okazję wygrać kilka konkursów.

Czy kiedykolwiek obawiałaś się, że sobie nie poradzisz w dziennikarstwie?

– Obawiam się cały czas, to bardzo niepewna profesja. Żeby coś osiągnąć w tym zawodzie, trzeba mieć dużą odwagę, cierpliwość, charyzmę i wiarę w siebie. Poza tym trzeba być przekonanym, że chce się być dziennikarzem. I dążyć do celu, realizować plany, ale nie po trupach. Nie można zapominać, że najpierw jest się człowiekiem, a dopiero później dziennikarzem. Nie można się pogubić. Kryzys panuje również w mediach. Znalezienie praktyk dziennikarskich obecnie graniczy z cudem. Sama próbowałam w kilkunastu gazetach i portalach internetowych, bezskutecznie. W redakcjach nie ma czasu ani pieniędzy na kształcenie młodych studentów dziennikarstwa.

W jakim dziale dziennikarstwa kształcisz się teraz?

– Na razie jestem na etapie poznawania każdego rodzaju dziennikarstwa. Mamy na studiach zajęcia w pracowni telewizyjnej, radiowej i prasowej. Mnie najbliższa jest chyba prasowa, choć przez cały czas jedna z prowadzących zajęcia uparcie twierdzi, że jak nie zmienię zainteresowań, to będę bezrobotna.

Czy od samego początku wiedziałaś, że zostaniesz dziennikarką?

– Nigdy nie wiedziałam i w dalszym ciągu nie wiem, czy na pewno zostanę dziennikarką. Chociaż chciałabym bardzo. W ciągu dwóch lat studiów zdążyłam dowiedzieć się, że to bardzo niewdzięczna, niepewna i trudna profesja. Poza tym, żeby zostać dziennikarzem wcale nie trzeba kończyć tego kierunku. Dziennikarstwo traktuję raczej jako drugi kierunek studiów, jako wiodący warto wybrać coś bardziej przyszłościowego. Mam właśnie taki plan.

Jak się czujesz jako jedna ze zdolniejszych studentek Uniwersytetu Jagiellońskiego?

– Ale się uparłyście z tą... zdolną [*śmiech*]. Cieszę się, że mogę studiować na UJ. Cieszę się, że tak to wszystko się ułożyło. I wbrew wszystkim i wszystkiemu nie żałuję, że studiuje dziennikarstwo, nawet w kryzysie.

Dziękujemy ci, Dario, za szczerą rozmowę.

– Nie ma za co, życzę sukcesów wszystkim młodszym kolegom po piórze, którzy publikują swoje teksty w „Kontraście”.

Daria Różańska-Danisz (ur. 1989) – dziennikarz i wydawca, obecnie związana z portalem „naTemat”, wcześniej z magazynem „Press”, najbardziej lubi reportaż, najczęściej pisze o problemach zwykłych Kowalskich.

z SZYMONEM HOŁOWNIĄ rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Aleksandra Makowska

ZATRZYMUJĄC WSKAZÓWKI ZEGARA NA METAFIZYCE

(2010)

Życiowa porażka była dla niego motywacją do odbicia się z jeszcze większą siłą. Nie daje się zaszufładować w zawodowym kalejdoskopie. Twierdzi, że nie należy religii zawijać w chusteczkę i zamykać w kościele. Należy ją sobie podawać z rąk do rąk – Szymon Hołownia w rozmowie z dziennikarzami „Kontrastu”.

Co pan myśli o zamykaniu pana w takich schematach, jak: świecki katecheta, gwiazda religii w polskim show-biznesie?

– To są opinie ludzi, którzy mają zbyt wiele czasu i nie wiedzą, jak go wykorzystać. Gdybym miał zastanawiać się, kim jestem, zwariowałbym. Szkoda mi czasu, aby myśleć nad tym, co napiszę na wizytówce. W dzisiejszym świecie, przy tak ogromnym zalewie informacji, konieczny staje się podział na kategorie. Oczywiście, jeśli kogoś to kręci, niech to robi. Niektórzy sądzą, że można napisać na mój temat litanię, ale do niczego to nie prowadzi. W tym zawodzie tylko dwa wyrazy mają znaczenie: imię i nazwisko, nic więcej się nie liczy. Nie przyświeca mi wizja chrzciciela show-biznesu. Przyznam, że kiedyś się nawet w to bawiłem, teraz najzwyczajniej już mi się nie chce tworzyć tych zbitek słownych. Dziś rodzi się sensacja, gdy jestem katolikiem i rockmanem, to nie jest normalne.

Krystyna Feldman mawiała, aby coś dobrze zagrać, najpierw trzeba coś położyć. Pamięta pan taką sytuację ze swojej dziennikarskiej kariery?

– Największą porażką był dla nie program *Po prostu pytam*. Wypuszczony na głęboką wodę, bez znajomości warsztatu, popełniałem błędy, było mi bardzo ciężko, ale dzięki temu doświadczeniu wiele się nauczyłem.

Jak zbudować więź z rozmówcą, żeby odstąpić od schematu: pytanie-odpowiedź? Widać tę sztukę w pana książce *Życie na walizkach*.

– To jest w zasadzie dosyć proste. Trzeba być ciekawym tego, co dany człowiek ma nam do powiedzenia, podchodzić do rozmowy z zainteresowaniem, inaczej żadne zabiegi nie mają sensu. Wy, jako młodzi dziennikarze, musicie postarać się znaleźć narzędzie, które w jakiś sposób pomoże wam przeprowadzić ciekawą rozmowę, wnoszącą coś nowego. Warto dać rozmówcy mówić, dać mu odczuć, że nas interesuje. Wywiad to rozmowa

dwojga ludzi, moment, gdzie jesteś tylko ty i twój rozmówca. Przede wszystkim staram się być spontaniczny. Kiedy patrzyłem na człowieka, który przeżył horror i przyszedł do mnie ze wciąż świeżymi emocjami, rozmowa nie miała sensu. Nie mogę wybierać osób, które mimo upływu czasu nadal krwawią i nie potrafią zmierzyć się z tym, co się stało. To nieetyczne. Spotkanie powinno pomóc podejść do niektórych spraw z dystansem, przynieść jakiś morał będący przestrożą dla innych. Szukam ludzi posiadających metarefleksję, mogących podzielić się ze mną jakąś myślą. Nie jestem człowiekiem, który zdziera bandaż i dłubie w ranie. Tworząc klimat intymnej rozmowy, biorę odpowiedzialność za osvajanie rozmówcy. Wywiad nie jest przesłuchaniem, dlatego należy stworzyć taką atmosferę, aby płynęła z niego szczerłość.

Czy były takie momenty w czasie tych spotkań, gdy pomyślał pan sobie, że tego nie powinien być pan usłyszeć?

– Różnie, nie ma reguł. Przyznam, że czasami zakręci mi się łaź w oku, ale chcę, żeby to była rozmowa, a nie przytulanka. To nie jest kolejny program, to są spotkania z prawdziwymi ludźmi, bogatszymi o pewne doświadczenia, którzy chcą się nimi podzielić. Moje życie nie polega na przekazywaniu ludziom informacji. Przede wszystkim mówię, co myślę i tego samego oczekuję od innych.

Zastrzega pan w swoich wypowiedziach, że kocha pan Kościół. Jak można kochać instytucję, która dyskryminuje kobiety, odsuwa poza nawias rozbite małżeństwa i często odznacza się żenującym poziomem katechezy?

– Mocno bym z tył polemizował. Kościół nie jest instytucją, która miałaby prawo do dyskryminacji. Są takie zakonnice, które mają doktoraty i potrafią wywrzeć niebywały wpływ na księży, dlatego uważam, że nie ma powodu, aby wzmacniać ich pozycję. Również Jan Paweł II podkreślał, że Kościół katolicki nie dopuszcza do dyskryminacji kobiet, ale nie została mu powierzona żadna władza do tego, aby dać kobietom większe prawa. Biorąc ślub powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, że jest to związek na całe życie, jeśli jest inaczej, musimy ponieść pełną odpowiedzialność za podjętą decyzję. Taki człowiek musi być świadomy przysięgi, jaką złożył przed Bogiem. Ale mimo rozwodu, ludzie nie mogą być traktowani inaczej, nikt nie ma prawa do tego, aby wyrzucać ich z Kościoła. Kto jest niewinny, niech pierwszy rzuci kamień. Jeśli chodzi o katechezy, najważniejsze jest nawiązanie kontaktu między księdzem a młodzieżą, bo tylko z takiego spotkania można coś wynieść. Najłatwiej jest powiedzieć, że ksiądz nie trafia do uczniów, ale to wierni wychowują księdza i to oni powinni podejść do tego z empatią, spróbować otworzyć go na swój świat. Pamiętajmy, że ksiądz również jest człowiekiem i tak jak my, może mieć słabszy dzień.

A może to Kościół został w tyle za zmieniającą się rzeczywistością?

– Kościół próbuje się przystosować, ale nie może zmienić wszystkiego. To, co było przekazywane przez 2000 lat, nie może stać się nagle nieważne. Rutyna jest wymuszona przez Rzym, ale jest to niezwykle uporządkowanie, wprowadzające wewnętrzny spokój i harmonię. Msza jest jak bicie serca, naturalny rytm, jeśli uda

nam się to poczuć, odkryjemy coś nowego – świat nieskażony aferami i komisjami. Ludzie opowiadają różne historie związane z Bogiem, często układa się to na różnych poziomach, ale czasami znajduje się ten metapoziom, a klocki układają się w jedną całość.

Gdyby miał pan z historii Kościoła wymienić postacie dla pana najważniejsze, kto by to był i dlaczego?

– Sporo jest takich osób, ale na pewno Jezus Chrystus, św. Paweł, Matka Teresa i św. Faustyna. Lubię odkrywać ich historie, to jest nasza przeszłość, przeszłość katolików. Poszukiwanie pierwszych przodków jest jak nurkowanie w duchową genealogię.

Czy można łączyć show-biznes z religią? Może to oburzające? Jak *sacrum* i *profanum*?

– *Sacrum* musi współistnieć z *profanum*. Nie możemy zawijać religii w chusteczkę i zamykać jej w kościele. Należy podawać ją sobie z rąk do rąk, czasami brudnych.

Co zmieniło się w pana myśleniu o ludziach, świecie podczas życiowej i zawodowej wędrówki?

– Wszystko, prócz tego, że wciąż bardzo ważna jest dla mnie wiara. Zdałem sobie sprawę, że świat ma w nosie, czy się na nim zawiodłem, czy też nie. Świat wspaniale poradzi sobie bez nas. Odkryłem bardzo dużo cierpienia, szarości i zobaczyłem jakiś poziom sensu w tym bezsensie. Pojawia się coraz więcej pytań, na które nie znam odpowiedzi. Boję się ludzi, którzy znają na wszystko odpowiedź. Każdy jest niewiadomą w równaniu, a ja nie wiem, jaki będzie wynik, kto wygra.

Czy wcześniej tak wyobrażał pan sobie swoje życie?

– Nie wyobrażam sobie nic na przyszłość, to jest niehigieniczne. Głównie dlatego, że nie chcę się rozczarować. Każdy ma jakiś zapisany projekt, którego powinien się trzymać. To jest jak rzeźba, odrzucam to, co jest niepotrzebne.

Prowadzi pan swój blog, ważne są dla pana głosy internautów?

– Najbardziej interesują mnie wpisy ludzi, którzy mają do powiedzenia coś ciekawego, jakąś głęboką myśl. Staram się odsączyć adoracje z ofertami matrymonialnymi.

Czuje się pan człowiekiem spełnionym?

– Póki co – nie. Być może poczuję to dopiero wraz ze śmiercią.

Szymon Hołownia (ur. 1976) – dziennikarz prasowy, telewizyjny i radiowy, publicysta i pisarz, redaktor i współpracownik wielu pism, m.in. „Gazety Wyborczej”, „Newsweeka”, „Wprost”, „Ozonu” i „Tygodnika Powszechnego”, prowadził audycje radiowe w Radiu Białystok i Radiu Vox, współpracuje z telewizją TVN, gdzie m.in. współprowadzi program *Mam talent!*, opublikował m.in. *Tabletki z krzyżykiem*, *Bóg. Życie i twórczość* i *Boskie zwierzęta*.

z ADAMEM MAŁYSZEM rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Bartosz Próchnicki

W ŻYCIU LICZY SIĘ PASJA

(2011)

„Miałem trudne momenty. Jak nie szło, to myślałem, że pójdę na dach »blachę klepać«...”
– opowiada „Kontrastowi” Adam Małysz.

Czy nie jest pan zmęczony? Najpierw skoki, teraz rajdy... Nie chciałby pan poświęcić czasu rodzinie? Przecież już tyle pan osiągnął...

– Zawsze planowałem, że jak zakończę karierę, przez rok nie będę nic robić. Będę siedział w ogrodzie, coś „dłubał”, ale im bliżej było końca kariery, te plany się zmieniały. W ogrodzie zawsze mogę „podłubać”, czy też porobić to, co lubię. Wiadomo, że na początku skoki były czymś „przy okazji”, bo trzeba było się uczyć, a szkoła ma – szczerze mówiąc – niewiele wspólnego ze sportem. Nie można tego pogodzić. Poszedłem do zawodówki, żeby mieć jakiś zawód. W ostatniej klasie już prawie wcale nie chodziłem do szkoły – cały czas były wyjazdy, zgrupowania i tylko dzięki uprzejmości nauczycieli skończyłem tę szkołę, bo miałem później osobne zaliczenia.

W szkole zawodowej to chyba trzeba jakieś miesięczne praktyki odbywać?

– Ja nie musiałem. Szkoła pomagała mi w ten sposób, że organizowała te szkolenia na miejscu. Dzięki temu udało mi się. Później, po przeszło dziesięciu latach, namówiono mnie, żebym poszedł do liceum. Dużo materiału mi wysyłali, przyjeżdżałem do Warszawy tylko na jakieś egzaminy i tak udało mi się skończyć szkołę. Tyle, że matura „zbiegła się” z igrzyskami olimpijskimi. No i kiedy wróciłem z Olimpiady, powiedzieli mi: „No, to teraz matura”. A ja: „Dajcie mi spokój, już mam dość tego wszystkiego, nie chcę, nie będę nic zdawał...”. Ale wiedziałem, że jak wtedy bym nie zrobił matury, to już wcale bym jej nie zdał. No i siedziałem trzy tygodnie w Warszawie nad książkami. To było naprawdę okropne. Wszyscy mnie pytali, czemu się tak stresuję, a ja dopiero wtedy zrozumiałem cierpienia wszystkich maturzystów [*śmiech*].

Jakie było pana dzieciństwo? Przecież nie takie jak nasze. My szalejemy na podwórku, a pan bez przerwy treningi za treningami. Nie zazdrościł pan innym dzieciakom?

– To nie było normalne dzieciństwo. Nawet jak zdarzyło się, że urwałem się z treningu i wyskoczyłem z chłopakami w piłkę pokopać, to od razu wszyscy o tym wiedzieli, no bo tata w klubie pracował, a wujek był tam trenerem. A jak pytali, czemu nie byłem na treningu, to co miałem powiedzieć? Że byłem chory? Nie przesłoby, bo przecież wszystko pozostawało w rodzinie [*śmiech*]. No i były jeszcze inne trudne momenty. Kiedy „nie idzie”, a jesteś skoczkiem i chcesz trenować, a nagle dochodzisz do momentu krytycznego. Robisz wszystko, żeby było dobrze, ale się nie udaje...

Jak pan sobie radził w takich chwilach?

– Trzeba mieć wsparcie bliskich. Na przykład po Olimpiadzie w Nagano [Adam Małysz zajął tam dopiero 51 miejsce – przyp. BP] myślałem, że zupełnie zrezygnuję. Miałem żonę, małe dziecko i nie wyobrażałem sobie, że mam żyć na utrzymaniu teściów. Myślałem, że pójdę na dach „blachę klepać”, bo taki jest mój zawód wyuczony [*śmiech*]. Ale rodzina mnie namawiała, mówili, żebym próbował, że mi pomogą. No i zacząłem trenować. Nawet robiłem tak, że po treningach brałem plecak, pakowałem do niego cegły i biegałem po górach, albo robiłem bez końca przysiady. Tak przetrwałem ten cały trudny rok. Tak to już jest. Jeśli czegoś naprawdę chcesz, w końcu to osiągniesz.

A jak jest u pana z wiarą w samego siebie, w swoje umiejętności?

– No, zdarzały się takie momenty, że myślałem sobie, że ze mnie to już nic nie będzie. Kiedy byłem juniorem, powtarzałem sobie, że jak będę musiał iść na większą skocznię, to zrezygnuję. Tak się tego bałem. Ale tak jakoś przechodziłem na coraz większe obiekty i nagle okazało się, że mam 17 lat i już skaczę na „mamucie”.

W pana kolekcji medali brakuje złota olimpijskiego. Jest niedosyt?

– Wiadomo, że jest. Mimo to, że byłem cztery razy mistrzem świata, cztery razy zdobyłem Puchar Świata, cztery razy stawałem na podium olimpijskim, to jednak nie udało się zdobyć złota na Olimpiadzie, bo zawsze Simon Amman pojawiał się w nieodpowiednich momencie [*śmiech*]. Ale mimo to, lubię go. No i jeszcze: w życiu nie można mieć wszystkiego.

Jakby spotkał pan teraz siebie mającego 17 lat, co by pan sobie powiedział?

– Nie żałowałbym, że zostałem skoczkiem i nie miałem takiego dzieciństwa, jak normalni ludzie. Czasami ludzie mówią, że ja to mam życie – mam mnóstwo pieniędzy, jeżdżę w różne miejsca. A ja bym chciał, żeby któryś z tych, co tak mówią, zamienił się ze mną, chociaż na tydzień. Ja wyjdę gdzieś na spacer i ludzie chcą, żeby im coś podpisywać, robić z nimi zdjęcia. Teraz jest już trochę lepiej, ale lata 2001–2005 to był po prostu horror. Jechałem z żoną na zakupy, ona poszła, a ja stałem w centrum handlowym i podpisywałem kartki. Żona

wychodziła i mówiła: „Adam, po co ja cię tu w ogóle brałam?” [śmiech]. Ale co ja poradzę, kiedy nie potrafię nikomu odmówić. Pamiętam, jak na Turnieju Czterech Skoczni, który wygrałem, podszedł do mnie były skoczek norweski – Espen Bredesen, pracujący wówczas w Eurosporcie i powiedział: „Jesteś dobry, ale będziesz jeszcze lepszy, jak nauczysz się odmawiać”. Zapamiętałem te słowa. Później, gdy nie miałem ochoty rozmawiać z dziennikarzami, byłem zmęczony, to mówiłem po prostu nie.

Dziennikarze potrafią być okrutni – jak jest wszystko OK, to noszą cię na rękach, a jak coś nie wychodzi, to potrafią i zniszczyć.

– Pamiętam też takich, którzy mimo tego, że byłem w słabszej formie, nigdy nie napisali o mnie nic złego. Próbowali mi jakoś pomóc, wytłumaczyć ludziom, że nie zawsze jest się najlepszym. Kilku z nich straciło nawet pracę, bo odmówili pisania bzdur o Małyszku. Teraz dziennikarze rzadko są przygotowani do rozmowy ze mną na temat rajdów, ale widać, że się uczą. Tak samo było w skokach narciarskich. Na początku, kiedy zaczynałem, nie było żadnego fachowca od tego sportu. Potem specjalistami stali się dosłownie wszyscy. W 2004 roku dostałem listy od osiemdziesięcioletnich pań, które tłumaczyły mi, że na progu spóźniłem wybicie [śmiech]. Myślę, że obecnie 90% Polaków wie, czym jest odbicie na progu, czemu jest ono za późno, czemu za wcześnie, czym jest dojazd, lot, lądowanie... Wiedzą, bo nauczyli się tego przez te wszystkie lata mojego skakania. Tak samo będzie z moim jeżdżeniem w rajdach. Na przykład moje „dachowanie” nauczyło ludzi, że to normalka w tym sporcie i że z takich wypadków wychodzi się cało. No, ale ludzie pytają, czy się nie boję i po co mi takie ryzyko? A ja odpowiadam, że to są wypadki, które po prostu w życiu się zdarzają. Na przykład, gdy człowiek źle stanie i złamie sobie nogę. Ostatnio mieliśmy spotkanie z dziećmi i chłopiec, chyba z czwartej klasy, zapytał mnie: „A jak to jest mieć złamaną nogę?”. Ja mówię, że nie wiem, bo nigdy nie miałem złamanej [śmiech].

Dobrze się pan czuje w Polsce? Nigdy nie chciał Pan stąd wyjechać?

– Powiem szczerze, że w jednym momencie chciałem, ale to jest bardziej polityczna sprawa. Nie chcę o tym mówić. Wielu moich znajomych chciało wtedy zmienić miejsce zamieszkania i ja też, choć jestem bardzo przywiązany do Polski i nie wyobrażam sobie życia poza nią.

Skąd w panu tyle energii? Przecież wiadomo, że sport to nie tylko wysiłek fizyczny, ale i ogromne napięcie psychiczne.

– Każdy człowiek jest inny i każdy inaczej reaguje. Ja niby jestem spokojny, ale też mam takie momenty, że muszę się w jakiś sposób wyładować. Miałem kiedyś taki przypadek w Zakopanem na treningu, gdy grupka dwudziestoparoletnich ludzi stała i złośliwie komentowała moje skoki. Mówili, żebym dał sobie spokój, że nic ze mnie już nie będzie. Najbardziej prowokował jeden z nich. Po ostatnim skoku już nie wytrzymałem, podszedłem do nich i powiedziałem: „Nie skończę z tym sportem, dopóki przynosi mi on frajdę i w dodatku mogę

z niego żyć, a pan sobie możesz mówić, co chcesz”. Zrobiło mu się głupio, koledzy go wyśmiali. Nauczyłem się przez te lata, że nie warto reagować agresją, bo złośliwców najbardziej zaboli miła odpowiedź.

Zdaje pan sobie sprawę z tego, że to dzięki panu tak bardzo kochamy skoki narciarskie? Chciałby pan, żebyśmy tak samo pokochali pana nową pasję?

– Na pewno tak. Robimy wszystko w tym kierunku, żeby ludzie zobaczyli, że wyścigi nie są takie, jak się niektórym wydaje. To nie jest niszczenie przyrody, to nie jest złe i niebezpieczne, to ma swój urok. No, ale jest to drogi sport. Dla ludzi, którzy mają sponsorów, albo sami są bogaci. Widziałem już takie szokujące obrazki: przyjeżdża gość, który jest prezesem jakiejś firmy, wielkim biznesmenem, ma miliony. Facet przebiera się w strój i jedzie spocony i umorusany. Jest zmęczony, ryzykuje wszystko, ale dla niego jest to odskocznia. Gdyby zajmował się tylko swoim biznesem, to w pewnym momencie miałby dość, a tak ma pasję, dzięki której nie popada w monotonię.

Adam Małysz (ur. 1977) – skoczek narciarski i kierowca rajdowy, multimedalista najważniejszych zawodów sportowych, jeden z najpopularniejszych polskich sportowców w historii, którego sukcesy w początkach XXI wieku wywołały zjawisko opisywane jako „Małyszomania”.

z MONIKĄ OLEJNIK rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Klaudia Nadybał

JESTEM ETERYCZNĄ BLONDYNKĄ

(2011)

„Jak nie masz nic do powiedzenia, to nie idź do Olejnik” – upominał Leszka Millera Aleksander Kwaśniewski. Prezydent Lech Kaczyński straszyl, że ją wykończy. Jarosław Kaczyński nazwał ją Matą Hari. Co takiego jest w Monice Olejnik, że politycy tracą przy niej opanowanie?

Co pani skłoniło do zajęcia się polityką?

– No tak, mogę przecież prowadzić program *Zerwane więzi* albo rozmawiać o ciuchach i butach. Ja lubię politykę. Na początku się nią nie zajmowałam, jeździłam po Polsce i robiłam reportaże. Ale mnie to zmęczyło.

Jak przygotowuje się pani do wywiadów?

– Bardzo dużo czytam. Najgorsze są poniedziałki, dlatego że wychodzą wszystkie najważniejsze gazety. Wstaję o 5:40. Mieszkam niedaleko Radia Zet, więc niewiele mi zabiera podróż. O 6:30 jestem w radiu. O 8:15 mam wywiad. Później poszukuję kolejnego gościa do wieczornego programu *Kropki nad i*. Nie jest to proste, bo TVN24 jest kanałem informacyjnym, więc tam ciągle są goście i trudno kogoś złapać.

Odczuwa pani treść przed kamerą?

– Trema? Nie odczuwam tremy. Nie myślę o tym, że ogląda mnie wielu ludzi. Myślę o tym, że jestem z politykiem sam na sam.

Skąd pani czerpie tę charyzmę, politycy się pani boją. Jak to możliwe, że drżą na samo hasło Monika Olejnik?

– Nie wiem, wydaje mi się, że jestem taką eteryczną blondynką.

Ma pani świadomość tego, że kształtuje pani opinię polityczną Polaków?

– Nie, przed chwilą mi to uświadomiłaś [*śmiech*].

A jednak media promują niemądrych polityków?

– Który polityk jest według ciebie niemądry?

Andrzej Lepper, taki przykład...

– Z Andrzejem Lepperem ostatni raz rozmawiałam, kiedy był wicepremierem w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, który go później wyrzucił. To było ostatnia rozmowa, bo uznałam, że ten pan jest już nikim i nie ma sensu więcej go zapraszać. Byłam autorką takiego pomysłu, żeby go bojkotować i go bojkotowałam. Gdy był tylko Andrzejem Lepperem, to go nie zapraszałam do radia, gdy był wicepremierem, zapraszałam tylko dlatego, że był wicepremierem. Osoby niewykształcone, z niską kulturą osobistą, nie powinny być w parlamencie. Zgadzam się z tobą. Czasem zaprasza się osoby, które powodują, że jest duża oglądalność. Są niezbyt mądre, co pewnie ludziom daje satysfakcję.

Politycy mają bawić?

– Niestety, zdarza się, że się kompromitują.

Dziennikarzom się to nie zdarza?

– Zdarza, a nawet gorsze rzeczy się zdarzają. Trudniejsze. W 2008 roku poleciałam z prezydentem Lechem Kaczyńskim do Brukseli i tam udzielił mi wywiadu. Spieraliśmy się, czy można obrażać jego, czy można obrażać jego brata. Po wywiadzie prezydent dostał szału i zaczął na mnie krzyczeć, że mnie wykończy. To było niesamowite. Prezydent mówi do dziennikarki, że ją wykończy. Wszystkie agencje światowe o tym napisały. Tak się zdenerwowałam, że postanowiłam nie wracać z nim do Warszawy. Mogę na piechotę z tej Brukseli wracać, ale nie lecę tym samolotem. I wracałam z Donaldem Tuskiem, bo też był wtedy w Brukseli.

I na tym sprawa się zakończyła?

– Nie. Następnego dnia dostałam karteczkę z przeprosinami od pana prezydenta Kaczyńskiego i kwiaty. Prezydent do mnie zadzwonił, przeproszał mnie za to, co zrobił. Oczywiście kłóciliśmy się też, ale pogodziliśmy się. Potem wiele osób miało do mnie pretensje, że tak szybko wybaczyłam. Z Jarosławem Kaczyńskim też były takie sytuacje. Kiedyś na początku lat dziewięćdziesiątych przyszedł do mnie do „Trójki” i agregat wysiadł. Przez chwilę nie było słyhać naszej rozmowy na antenie. Twierdził, że ja to zrobiłam specjalnie. Powiedziałam: „To ja pana zaprosiłam do radia i ja zrobiłabym to specjalnie, żeby nas nie było słyhać... Pan myśli, że ja jestem Mata Hari?”. Miałam też ciekawą historię z Leszkiem Millerem. Był wtedy szefem SLD, a Kwaśniewski był prezydentem. Przyszedł do mnie do radia. Zadaję jedno pytanie, a on: „Mmm”, drugie pytanie, on: „Mmm...”, coś bąknął, trzecie pytanie, znowu bąknął i to było nie do wytrzymania. Powiedziałam mu, że marnujemy czas słuchaczy, więc dziękuję za wywiad. Po dwóch minutach zrezygnowałam. Potem usłyszałam, że Aleksander Kwaśniewski powiedział Millerowi: „Jak nie masz nic do powiedzenia, to nie idź do Olejnik...”.

Niektórzy widzowie *Kropki nad i* twierdzą, że specjalnie zadaje pani takie pytania politykom, żeby jednym ułatwić, a drugim utrudnić karierę...

– Jak ktoś jest sympatykiem PiS-u, to uważa mnie za wroga PiS-u. Dostaję takie obelżywe listy, częściej maile. Jedna pani mi napisała, że jestem strasznie pisowska, a drugi pan, że jestem platformiarska. Więc ułatwiam po równo [*śmiech*].

Czy miała pani kiedyś sytuację, że polityk odmówił pani wywiadu?

– Tak. Miałam takie sytuacje z Lechem Wałęsą i Aleksandrem Kwaśniewskim. Aleksander Kwaśniewski przez dwa i pół roku nie udzielał mi wywiadu, ponieważ obraził się na mnie, że zrobiłam ostry reportaż o jego kolegach z SLD. A Lech Wałęsa przez dwa lata nie udzielał mi wywiadu, widocznie się obraził. To była zupełnie inna sytuacja. Jak już się „odobraził”, poszłam na wywiad. Pracowałam wtedy w radiowej Trójce, poszłam z magnetofonem, nagrałam wszystko. Wracam do radia i okazuje się, że jest pusto, że nic się nie nagrało. To jest największy dramat dziennikarza, ale kancelaria prezydenta również nagrywała wywiad i dała mi kopię. Teraz z kolei mam spór z Jarosławem Kaczyńskim, który uznał, że stoję na czele jakiejś grupy atakującej jego partię. Grupa jest niewidzialna, jestem na czele jakiegoś tajnego spisku, ale przetrzymam to.

Są takie pytania, których dziennikarz nie powinien zadawać?

– To są pytania dotyczące spraw bardzo osobistych. Chyba, że te sprawy osobiste mogą wkraczać w politykę. Jak polityk ma kochankę, która jest agentką rosyjskiego wywiadu, co nawet nie jest tak nieprawdopodobne, wtedy tak. Są granice, których przekraczać nie można. Tabloidy przekraczają takie granice. Wizualizacja arcybiskupa Józefa Życińskiego w trumnie na pierwszej stronie „Faktu” – to było straszne, albo szczątki tych, którzy zginęli w katastrofie. Takich rzeczy nie powinno się robić.

Chyba, że jest to Janusz Palikot. Kim on jest w dzisiejszej polityce?

– Janusz Palikot był *sexy* politykiem, kiedy należał do PO. Teraz nie może znaleźć miejsca dla siebie, podobno jeździ po Polsce i sprzedaje cukier. Jest bardzo mądrym człowiekiem, jest erudytą, niezwykle czytany. To zwariowany polityk i moim zdaniem szkoda, że go nie ma w PO.

Co pani czuje, gdy opisują panią na różnych plotkarskich portalach?

– Każdy z nas popełnia jakieś błędy. Kiedyś niechcący zaparkowałam blisko pasów. Pobiegłam tylko do rodziców z lekarstwami. I następnego dnia na Pudelku to opisali. Ktoś mi zrobił zdjęcie. Podejrzewam, że to jakiś sąsiad moich rodziców. To, co internauci pisali o mnie, było straszne. Nie powinnam tak zaparkować, ale nie zasłużyłam na tak obelżywe słowa. Niestety, takie jest życie i trzeba się do tego przyzwyczaić.

Nie można ufać ludziom?

– Kiedy doszło do katastrofy smoleńskiej, całe serce włożyłam w to, by pomóc Marcie Kaczyńskiej. Razem z przyjaciółkami pomagałyśmy jej. Na pogrzebie wyglądała naprawdę pięknie. Później w wywiadzie przeczytałam, że Marta Kaczyńska mówi, że pewna dziennikarka próbowała się do niej zbliżyć, nachalnie. Zrobiło mi się po prostu przykro. Wtedy nie myślałam o tym, że jestem dziennikarką tylko człowiekiem, który chce komuś pomóc w trudnych chwilach. Przyznam, że parę osób mnie zawiodło po 10 kwietnia. Z jednej strony dostawałam po głowie od moich przyjaciół, którzy są antypisowscy, że po co się angażuję w takie sprawy, a potem okazuje się, że od drugiej strony też dostawałam po głowie. Nie żałuję niczego, bo myślę, że rodzice Marty Kaczyńskiej byliby zadowoleni z tego, jak godnie ich reprezentowała.

Nie uważa pani, że o katastrofie smoleńskiej mówi się za dużo. Minął już rok...

– Cały czas powtarza się, przychodzą ludzie na Krakowskie Przedmieście. Oczywiście, że za dużo. Chcemy żyć naszym życiem, które jest, a nie ciągle mówić o tych, którzy zginęli. Jest też pytanie, czy to był zamach czy nie. Prokuratura stwierdziła, że zamachu nie było. Ale oczywiście politycy PiS-u nie wierzą.

A jaki jest pani stosunek do krzyża?

– Byłam przeciwna temu, żeby krzyż stał na Krakowskim Przedmieściu, bo miejsce krzyża jest w kościele. Z drugiej strony to, co się dzieje – krzyż z pluszowych misiów – to jest obraźliwe dla tego symbolu. To jest skandal, który polega na tym, że nikt zdecydowanie się nie odniósł do tej sprawy. Księża uciekli. Nikt z hierarchów nie stanął przy krzyżu.

Lubi pani Polskę?

– Lubię nasz kraj. Wścieka mnie to, że aby dojechać do Szczecinka, muszę jechać tak długo, szybciej bym dojechała do Berlina. Nie ma u nas tak szybkich pociągów jak we Włoszech. Jadąc samochodem, trzeba uważać, żeby nie wjechać w dziurę – takie rzeczy są irytujące. Z podziwem patrzę na ekologów, którzy walczą o to, żeby nie było elektrowni atomowej, a nie walczą o to, żeby w polskich lasach nie było śmieci. Wkurza mnie, kiedy ludzie wyrzucają śmieci do lasu. Polska jest ciekawym krajem. To, że politycy się kłócą, nie znaczy, że mam stąd wyjechać. Włosi na przykład mają swoje *bunga-bunga*.

Monika Olejnik (ur. 1956) – dziennikarka radiowa, telewizyjna i prasowa, w latach 1982–2000 związana z Trzecim Programem Polskiego Radia, gdzie prowadziła m.in. *Salon Polityczny Trójki*, po odejściu z radia publicznego pracowała w Radiu Zet (2001–2016), gdzie była gospodarzem w programach *Gość Radia Zet* i *Siódmy dzień tygodnia*, w stacji telewizyjnej TVN24 prowadzi program *Kropka nad i*.

z DAWIDEM SERAFINEM rozmawiał Krzysztof Kot

ŻYCIE W INTERNETOWYM ELDORADO

(2012)

„Prowadzimy podwójne życie. To w świecie realnym i to w wirtualnym.

I często tak bywa, że ta zmyślona rzeczywistość sieci pochłania nas bezgranicznie”.

Specjalnie dla „Kontrastu” o plusach i minusach Internetu opowiada Dawid Serafin, dziennikarz portalu Wiadomosci24.pl.

Kiedy zaczął się pan interesować dziennikarstwem?

– Pierwszy kontakt to była szkoła średnia. Zwykły, pospolity blog. Tematyka też przeciętna – o szkole, do której chodziłem i jej społeczności. Ten blog w założeniu miał być formą protestu przeciwko „profesorskiej tyranii”. Młodzieńczy bunt przeciwko wszystkiemu i wszystkim. W ostateczności okazało się, że udało mi się stworzyć mój mały serwis o szkole.

Zaczął się niewinnie. A w tym roku tytuł najlepszego dziennikarza obywatelskiego 2010 roku. Zmobilizowało to pana do jeszcze cięższej pracy?

– Wstyd się przyznać, ale po otrzymaniu tej nagrody nastąpiła właśnie taka separacja od pióra i pisania. Przez około pięć miesięcy nie napisałem ani jednego tekstu. Choć z pewnością przez ten czas w głowie tworzyłem sobie listę tematów.

No właśnie, na jakie tematy pisze pan najchętniej?

– Najchętniej? Staram się mierzyć z tematyką, którą chyba można zamknąć pod hasłem „życie”. Lubię mierzyć się z formą, jaką jest reportaż. Właśnie życie podsuwa nam najciekawsze tematy. Wie pan, kto był pierwszym polskim hokeistą w NHL?

Oczywiście, Mariusz Czerkawski.

– Dobrze, Czerkawski. Ale już mało kto wie, że na Podhalu żyje Piotr Łukaszka, wielki talent hokeja. Barwna postać. W czasach komunizmu dostał lukratywną propozycję gry w NHL. Zamiast tego wybrał drogę duchowną. Kolejny temat na ciekawy artykuł. Choć wiadomo prócz reportażu piszę też inne teksty. Dużo jest w tym newsów. To pozostałości po prowadzeniu portalu Jaworznianin.pl i pisaniu dla Wiadomości24.pl.

Wspomnieliśmy o portalu Jaworznianin.pl. Był pan jednym z jego współtwórców. Chciałbym założyć stronę internetową. Czy miałbym problem z uzyskaniem licencji?

– Sądzę, że nie miałbyś jakiś większych problemów. Jest sporo stron, które zajmują się hostingiem, udzielają swoich serwerów, mają gotowe projekty stron internetowych. Kwestią są pieniądze. Wiadomo, że hosting czy serwer kosztują. Nie są to jednak wielkie kwoty.

Czy ktoś przeprowadza selekcję w sprawie zdobywania wolnych licencji na portale internetowe?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Stworzenie najprostszego portalu internetowego to kwestia kilkunastu minut. Internet to trochę taki wielki śmietnik. Wszystko w nim może się znaleźć. Trzeba jednak pamiętać, że w tym śmietniku znajdziemy tylko to, co wcześniej ktoś postanowił tam wrzucić. Nic ponadto.

No właśnie, sieć. Tyle się mówi o uzależnieniu od narkotyków, alkoholu. Co pan sądzi o uzależnieniu od komputera?

– Dożyliśmy ciekawych czasów. Praktycznie wszystko można nazwać uzależnieniem. A armia specjalistów, psychologów, terapeutów czeka, by nas leczyć. Kiedyś ludzie spotykali się na placach miejskich, a dziś w sieci, na Facebooku. Prowadzimy podwójne życie. To w świecie realnym i to w wirtualnym. I często tak bywa, że ta zmyślona rzeczywistość sieci pochłania nas bezgranicznie.

Na przykład historia kobiety, która przestała chodzić do pracy. Straciła wszystko przez wirtualne życie.

– Słyszałem o tej historii. Kiedyś, żeby wybrać się z kumplami na piwo, trzeba było zadzwonić do każdego. Dziś wpisujesz na tablicy: „Kto na piwo?” i wystarczy. Pierwsza rada, jaką usłyszałem w redakcji „Dziennika Polskiego” od naczelnego, brzmiała: „Założ konto na Facebooku”.

Coraz więcej osób ściąga z sieci prace maturalne, dyplomowe. Do czego to prowadzi?

– Do głupoty!

Ostre słowa.

– Tak, tylko, że po fakcie nie ma co się dziwić, iż coraz częściej spotykamy osoby o dziewiczych umysłach. W wyszukiwarce wpisujesz hasło, bierzesz trochę z tego trochę z tamtego i praca gotowa.

Czy uważa pan, że powinien być dozór stron internetowych, które otrzymały pozwolenie na swoją działalność?

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo jestem w stanie sobie wyobrazić, jak taki dozór mógłby funkcjonować. I kto miałby być cenzorem.

A obraźliwe wypowiedzi internautów, może potrzebna jest kontrola?

– Tu pojawia się problem anonimowości i poczucia anonimowości. Poczucie anonimowości jest duże. I ośmiela nas do wypisywania różnych tekstów, których z pewnością w rzeczywistości byśmy nie wypowiedzieli, firmując to własnym nazwiskiem. Zresztą, anonimowość w sieci to mit. Pojawia się coraz więcej wyrafinowanych programów do śledzenia internautów.

Cały czas mówimy o negatywach, a przecież są różne encyklopedie internetowe, strony edukacyjne. Tylko jak zachęcić młodzież, aby umiała mądrze korzystać z dobrodziejstwa XXI wieku?

– Encyklopedie internetowe czy portale edukacyjne to strony podobne do innych. Więc z pewnością można je „sprzedać” i zachęcić do ich korzystania. Choć, jak sądzę, dla obecnej młodzieży samo stwierdzenie „portal edukacyjny” brzmi odstrasżająco. Więc pewnie przydałby się jakiś specjalista, aby ładnie sprzedać ten towar, jakim jest portal edukacyjny. Choć proszę zauważyć, jaki sukces odniosła Wikipedia. I choć jeszcze powtarza się nam jak mantrę, że Wikipedia nie jest źródłem, to jednak jest to najczęściej używana encyklopedia na świecie.

Dziękuję za udzielenie wywiadu.

– Proszę, mam nadzieję, że nie zanudziłem czytelników.

Dawid Serafin (ur. 1986) – z perspektywy czasu przyznaje, że dziennikarstwo, to los wygrany na loterii. Od lat próbuje zamykać rzeczywistość w ciągu czarno-białych liter. Obecnie w Onet.pl, w przeszłości m.in. „Gazeta Krakowska” i Wiadomości.24.pl. W 2018 roku otrzymał nagrodę studencką Mediator, za reportaż o historii brutalnego morderstwa i oskórowania studentki Katarzyny Z. Wielokrotnie nagradzany nagrodą Dziennikarzy Małopolski oraz nominowany w konkursie Grand Press.

z ROBERTEM MAZURKIEM rozmawiała redakcja „Kontrastu”,
opracowanie: Mateusz Wiśniewski, Ina Leśniak i Kinga Bąk

NIE MUSZĘ SIĘ PODOBAĆ

(2012)

„Każdy student, także absolwent dziennikarstwa, to genius loci. Wszyscy klną na to miejsce i mówią, że to absurd i idiotyzm. A ja powiem na przekór, studia zasadniczo nie mają znaczenia. Warto studiować coś, co człowieka rozwija” – rozmowa dziennikarzy „Kontrastu” ze znanym publicystą Robertem Mazurkiem.

Jaki pan był w liceum?

– Fajny oczywiście. Boski po prostu.

Czyli zawsze miał pan swoje zdanie i na wszystko receptę?

– Mówiąc szczerze, cokolwiek teraz powiem, będzie to element autokreacji. Dlatego trzeba przywołać fakty. Kiedyś przyszła do nas pewna młoda pani i zrobiła ankietę o nas, o klasie. Wyszło, że gdyby ktoś miał wybrać najbardziej lubianą osobę, nikt nie wybrałby mnie. Natomiast, gdy trzeba było wybrać osobę, która jest w stanie coś klasie załatwić, wygrałem z przewodniczącą, która się tym zajmowała i była naprawdę dobra. Moje koleżanki prowadziły drużynę harcerską i gdzieś tak w listopadzie przeprowadziły ankietę dotyczącą najbardziej widocznej osoby w szkole. Wygrałem z dyrektorem. Podkreślam, naprawdę nie byłem lubiany i na szczęście nie pisałem wierszy, co mnie ratuje. Wszyscy pisali wiersze.

Na pewno miał pan inne hobby?

– Miałem swoje głupie pomysły, na przykład taki, że zakładaliśmy się, kto w czasie wakacji znielebi więcej osób.

Kto wygrał?

– Konkurs był nierozstrzygnięty, ponieważ kolega był lubiany i stał na straconej pozycji. Nawet jak był wyjątkowo bezczelny, ludzie myśleli, że się wygłupia. Ja mam coś takiego w gębie, że mnie z miejsca nie lubią. Nie muszę się specjalnie odzywać.

Czy takie zawody były także w czytaniu?

– Czytało się dużo, ale dobrych tekstów w księgarniach nie było. W sklepach były długie kolejki, zwłaszcza przed świętami, matka kazała mi chodzić po zakupy. Uwielbiałem to, bo zawsze wcześniej zahaczałem o kiosk. Kupowałem gazety i czytałem. Opanowałem technikę czytania podczas chodzenia niemal do perfekcji. Pamiętam, że dostałem w liceum na gwiazdkę trzy egzemplarze *Ferdydurke* Gombrowicza, od różnych osób. Czy się nim pasjonowałem? Nie, chciałem wiedzieć, jakie ma poglądy. Kiedyś matka przywiozła z Warszawy *Mistrza i Małgorzatę* Michaiła Bułhakowa, rzuciłem się do czytania. I tu się przyznam, że książki, którą ludzie znają niemal na pamięć, nie przeczytałem. Trzy razy zaczynałem cholerstwo. I nie, nie i nie. Warto jednak czytać klasykę. Wszystkie modne książki typu *Harry Potter* albo, nie daj Boże, Paulo Coelho, nadają się tylko po to, by je podłożyć pod stół, jeśli się giba. Książka może być łatwa, lekka i przyjemna. A to jest lekkie, łatwe i prymitywne. Teraz, gdybym był na waszym miejscu, czytałbym literaturę faktu.

I to wszystko przydało się w dziennikarstwie?

– Czytanie to podstawa. A krytyka? W moim zawodzie najfajniejsze, nie najważniejsze, jest to, że mogę krytykować ludzi i mi za to płacą [*śmiech*].

Żartuje pan?

– Oczywiście, to jest zgrywa [*śmiech*]. Ważny jest spór o to, czy publicysta jest od tego, aby go inni kochali, czy raczej żeby ich wkurzał. Największy komplement usłyszałem rok temu na koncercie w Warszawie. Podchodzi do mnie młody chłopak i pyta: „Pan Robert Mazurek? Muszę panu powiedzieć, że bardzo pana nie lubię, po prostu pana nie znoszę, ale za każdym razem muszę przeczytać pana felieton”. To nie jest komplement drugiego stopnia, jesteś pan dobry, bo piszesz pan to, co ja myślę. Zaprosiłem go na piwo.

Od początku chciał pan zostać dziennikarzem?

– Nie, jak byłem mały, kazali mi słuchać partyzantów. Wy to spotkanie ze mną traktujecie podobnie, nie wyzwalalem Wału Pomorskiego [*śmiech*]. Gdy byłem w liceum, były to lata osiemdziesiąte, paskudna komuna. Chciałem być dziennikarzem, ale nie dziennikarzem komunistycznym.

Może nie warto w ogóle studiować dziennikarstwa, lepiej kończyć inne studia?

– Jest legenda, która głosi, że każdy student, także absolwent dziennikarstwa, jest to geniusz loci. Wszyscy klną na to miejsce, uważają, że jest to absurd i idiotyzm. A ja powiem na przekór, studia nie mają zasadniczo znaczenia. Warto studiować coś, co człowieka rozwija. Studiowanie dziennikarstwa pomaga, gdy nie traktuje się go jak szkoły zawodu. Ale są profesje zamknięte, jak medycyna, architektura. Moja bardzo zdolna kuzynka pochodząca z małego miasta kilka lat temu wybierała kierunek studiów. Cała rodzina uważała, że taka wybitna uczennica ze stypendium premiera to powinna studiować prawo, ewentualnie ekonomię. Ona bardzo tego nie

chciała, chciała studiować filozofię. Później wyjechała do Buenos Aires. Zajmuje się robieniem zdjęć artystycznych. Jak bym miał dzisiaj wybierać kierunek studiów, wybrałbym filozofię albo socjologię, bo jest to coś, co rozwija człowieka i uczy myślenia.

Musiał pan pracować podczas studiów, czy rodzice dawali pieniądze?

– Dali na moje studia i utrzymanie. Natomiast ja oczywiście pracowałem. Każdy chciał mieć pieniądze na wakacje. I uważam prośzenie starych o kasę na wakacje za głęboko nie fair. To jest po prostu obciach. Największe pieniądze zarobiłem po pierwszym roku studiów. Rozwoziłem podręczniki po szkołach.

To teraz trudniejsze pytanie. Czy pamięta pan swój pierwszy opublikowany tekst?

– Zabijcie mnie, nie pamiętam. Ale napisałem kiedyś niegłupi przegląd prasy kolorowej. W Polsce zaczęły się ukazywać pisma młodzieżowe „Bravo”, „Bravo Girl”. Wtedy dorośli nie zdawali sobie sprawy, o czym tam naprawdę dziennikarze piszą. A były tam instrukcje seksualne dla trzynastoletek. One pytały, jak bezpiecznie uprawiać seks. Jeszcze bardziej szokujące były odpowiedzi redakcji, że trzeba być otwartym na potrzeby partnera. Ktoś pisał, że do miłości fizycznej chciał użyć butelki i pismo również odpowiedziało, że są różne potrzeby i trzeba patrzeć na to ze zrozumieniem. Gdyby ktoś instruował tak moją córkę, spaliłbym mu chatę. Napisałem wyjątkowo ostry i kontrowersyjny tekst. Wtedy było o nim głośno.

Dziennikarz, pana zdaniem, może się zaprzyjaźnić z bohaterem wywiadu?

– Może, oczywiście, że może. Niektórym to nie przeszkadza, niektórym przeszkadza. Czasami wręcz pomaga. Jeśli człowiek ma do ciebie zaufanie, wie, że go nie oszukasz, wtedy pomaga.

A jeżeli rozmówca nie godzi się, aby pan opublikował tekst, to co pan robi?

– Nie pytam się go, czy się zgadza, czy się nie zgadza, publikuję.

A on zgłasza sprawę do sądu.

– Pójdzie do sądu i wygra, ja się odwołam do Strasburga i wygram. Uważam, że nie oszukuję ludzi podczas pisania wywiadu.

Nie opublikowano kiedyś pana tekstu?

– Bo był zły?

Na przykład...

– No chyba nie. Była kiedyś taka sytuacja z tekstem moim i kolegi, ale my w ten sam dzień złożyliśmy wypowiedzenie. Nie wypuszczono tekstu nie dlatego, że był zły, tylko nie chciano zaszkodzić pewnej osobie. A ja uważam, że dziennikarz jest od tego, by opisywać rzeczywistość.

Zdarzali się tacy rozmówcy, którzy pana zaginali?

– Cała przyjemność polega na tym, że spotyka się ludzi mądrzejszych od siebie. Czy ktoś mnie zagiął? Nie wiem, co oznacza dla was to słowo. Raz w życiu było tak, że chciałem wstać i wyjść. Rozmawiałem z Julianem Urantówką, pułkownikiem SB. W 1970 roku w Szczecinie kazał rozstrzelać 17 osób. Rozmawiamy w jego bardzo eleganckim mieszkaniu, a on bezczelnie kpi z działaczy Solidarności. Że sami pod czołgi weszli, sami sobie winni. Naprawdę się wściekłem i chciałem wyjść. Ale stwierdziłem, że jestem dziennikarzem, a on jest pierwszą osobą, która tak się odsłania.

Na pana czarnej liście jest też Janusz Palikot. Dlaczego nie przeprowadził pan z nim wywiadu?

– Przeprowadziłem, ale to był inny Janusz Palikot. On chce, by o nim pisano, chce wzbudzać kontrowersje. Co nie ma sensu, on jest potwornym łobuzem. Jest po prostu męskim członkiem.

A z Donaldem Tuskiem chciałby pan rozmawiać?

– Gdybym miał okazję zrobić wywiad z Tuskiem lub Kaczyńskim, interesowałoby mnie jedynie to, jak chcieliby przejść do historii. Myślę jednak, że mógłbym być rozczarowany ich odpowiedziami. Wywiad ma wtedy sens, gdy rozmówca chce coś powiedzieć, inaczej to sztuka dla sztuki.

Nie irytuje pana fakt, że gazety chcą wywiadów z celebrytami, osobami popularnymi, które nie mają nic do powiedzenia? Na przykład wywiad Żakowskiego z Dodą...

– Uważam, że ten wywiad sam w sobie nie jest najgorszy, tylko Żakowski źle podszedł do rozmówcy. Jeśli przeprowadza się wywiad z kontrowersyjną osobą, trzeba być gotowym na każdą odpowiedź.

A wiedział pan, że pana felieton *Więcej nie pójdę pod Pałac Prezydencki* wywoła taką burzę?

– Szczerze mówiąc naprawdę mnie zdumiało i to jest absurdalne, że ten tekst został wykorzystany jako pojedynek polityczny. Przecież tym, którzy go wykorzystali, powinien dać do myślenia. Niektórzy przeczytali tylko połowę tekstu.

Dziennikarstwo pana zdaniem jest w kryzysie?

– Jest kryzys ekonomiczny. Coraz mniej ludzi pracuje w zawodzie, bo nie mogą się z niego utrzymać. Do tego dochodzi konkurencja, ale ona istnieje także wśród lekarzy, nauczycieli. Znam taką sytuację, brat mojej koleżanki został nauczycielem biologii. Szybko go nauczyciele znienawidzili. Cała szkoła zapisała się tylko do jednego kółka, ornitologicznego. Chcieli wstawać o piątej rano i liczyć bociany. Był niewiarygodnym gościem. Jedną lekcję z nim miałem. Miał u nas praktykę jako student. Byłem w czwartej klasie liceum, oczywiście nie zajmowałem się biologią, tylko tłumaczeniem tekstów zespołu The Cure. Każdy ma jakieś wstydlive karty w życiorysie. Ten skurczybyk zaczął tak fascynująco opowiadać, że to odłożyłem i zacząłem go słuchać. Powiedziałem mu później, że całe szczęście, że nas nie uczył, bo bym jeszcze został biologiem.

Jakie podstawowe błędy popełniają dziennikarze?

– Podstawowy błąd, że dziennikarz nie wie, komu ma służyć. To jest fundamentalny błąd warsztatowy i etyczny. Dziennikarz albo służy czytelnikowi, albo nie jest dziennikarzem. Jest propagandystą, reklamiarzem, lizusem, kimkolwiek jest, nie jest dziennikarzem. Powtarzam studentom, musisz wiedzieć, do kogo piszesz, kim jest czytelnik, czym go możesz zaciekawić. Pisz jak chcesz, ale tak, by on to przeczytał. Jeśli nie dzielisz się prawdą, ulegniesz naciskom. Nie można iść na beznadziejne kompromisy. Młodzi dziennikarze nie wiedzą jak napisać, aby się spodobało. Jeśli chcesz się spodobać, to idź do cyrku.

Na koniec pytanie z kategorii prywatnych. Jak się mieszka w mieszkaniu Kornela Makuszyńskiego?

– No on tu już nie mieszka od jakiegoś czasu. Mieszkanie kupiłem od profesora Kazimierza Imielińskiego, który był twórcą polskiej seksuologii, wybitny naukowiec, kandydat do nagrody Nobla. I pan profesor powiedział mi, że biurko to trzeba ustawić tutaj, bo tu miał swój gabinet Makuszyński i on także. Odpowiedziałem mu, że gdybym miał tu ustawić biurko i kierować się taką inspiracją, to jedynym dziełem, jakie bym napisał, byłoby życie seksualne Koziołka Matołka. To nie jest muzeum. Ale córki mają w pokoju rycinę jak małpa ogląda się w lustrze, a syn – Koziołka Matołka, który idzie do Pacanowa. Mieszka się fajnie.

Robert Mazurek (ur. 1971) – dziennikarz, publicysta i podróżnik, wykładowca dziennikarstwa w Uniwersytecie Warszawskim, felietony i wywiady publikował m.in. w „Dzienniku”, „Rzeczpospolitej”, „Poznaj Świat”, „W Sieci” i „Dzienniku Gazecie Prawnej”, od 2016 roku prowadzi *Poranną rozmowę w RMF FM*.

z JANUSZEM GAJOSEM rozmawiali: Jagoda Gładysz i Krzysztof Kot

ARTYSTA W KAŻDYM CALU

(2012)

„Ten zawód ma w sobie coś pasjonującego. Są zawody uprawiane z pewną dozą rutyny, ale nie ten. Każdy nowy egzemplarz sztuki, który dostają do ręki, jest wielką niewiadomą i sprawia, że czuję się jak na pierwszym castingu” – o aktorstwie, karierze i miłości do fotografii rozmawiamy z wybitnym aktorem Teatru Narodowego, Januszem Gajosem.

Jak wyglądały pana egzaminy na studia aktorskie?

– Słabo to pamiętam. W każdym razie, jeżeli przyrównać to do jakiejś eliminacji sportowej, to nie wyszedłem z grupy, po prostu [*śmiech*].

Oglądał pan listę przyjętych?

– Tak, po pierwszej części wywieszono listę tych, którzy zakwalifikowali się do drugiej tury i mnie tam nie było. Do pakowania wiele nie miałem. Wsiadłem w pociąg i pojechałem do domu. Były poważne rozmowy z rodzicami, którzy mnie przekonywali, że to jest sygnał i nie powinienem dać się wciągać w takie rzeczy.

A jednak pana nie przekonali?

– Nie poddałem się i pracowałem przez dwa lata w Teatrze Lalek w Będzinie. Wtedy jeszcze młodzi ludzie mieli obowiązek odbycia służby wojskowej, co was już nie dotyczy. Musiałem oddać się temu zajęciu. W wojsku oddelegowali mnie do konkursu recytatorskiego, bo miałem w dokumencie wpisany zawód aktor. Pracowałem przecież w teatrze. W krótkich słowach powiedziano mi, że mam reprezentować oddział. Ku zaskoczeniu wszystkich wygrałem ten konkurs na każdym szczeblu. I choroba się odezwała, a już chciałem zdawać na dziennikarstwo lub polonistykę. Pojechałem ponownie na egzaminy. Przyjęli mnie. Przeszedłem wszystkie eliminacje i zobaczyłem siebie na liście wśród dwudziestu kandydatów.

To była chyba wielka radość?

– Tak, pamiętam, że gdy byłem przy ulicy Targowej w Łodzi, patrzyłem na ludzi w tramwaju i myślałem, że oni nic nie wiedzą o moim szczęściu. Jeszcze w szkole zagrałem w filmie *Panienka z okienka* i tak się zaczęło.

Kiedy patrzy pan na siebie jako debiutanta z tamtego okresu i dziś doświadczonego aktora Teatru Narodowego, to jest pan dumny z tego, co pan osiągnął?

– Myślę, że ten zawód ma coś pasjonującego w sobie. Żaden rozsądny człowiek nie powie wam, że doszedł do punktu, w którym nie można nic zrobić więcej, tym bardziej aktor. Są zawody uprawiane z pewną dozą rutyny, ale nie ten. W moim przypadku każde przedsięwzięcie, każdy nowy egzemplarz sztuki, który dostaję do ręki, jest wielką niewiadomą i sprawia, że czuję się jak na pierwszym castingu. Wiem, że jestem wyposażony w doświadczenie, wiem, co to jest technika, rzemiosło, jak tego używać. Umiem przewidzieć wynik tego, co robię. Ale mam też świadomość, że nie wszystko w życiu się udaje.

Czy rola Janka Kosa przeszkodziła czy pomogła w karierze?

– Był taki okres, że nie dostawałem ról. Nie można udawać, że nic się nie stało, gdy z tego punktu stagnacji nagle weźmie się udział w przedsięwzięciu, które zawładnęło wyobraźnią widzów, rozlało się na Polskę, na socjalistyczną Europę, a nawet Azję. Bo do Mongolii mam do dziś zaproszenie, ale jakoś boję się tam jechać [*śmiech*].

Pewnie marzył pan, by zagrać romantyczne role, Hamleta, Konrada...

– Koledzy żartowali, że chętnie by mnie obsadzili w roli Kordiana, ale co z psem zrobić. I tak pół żartem, pół serio musiałem dziesięć lat czekać aż to przycichnie. I dopiero wejść w inne postaci.

Na przykład Tureckiego...

– Nie przepadałem za nim. To była rola, by odwrócić uwagę od czołgisty. I powoli się udało.

Czyli miał pan świadomość, że co drugi pies w Polsce był Szarikiem, a chłopiec był Jankiem?

– Mało tego, każda dziewczynka chciała być Marusią. No tak, miałem tego świadomość. Na dworcu w Łodzi ludzie podchodzili do mnie, dotykali, pytali, czy ja to ja. Pomyślałem sobie wtedy, że tak wygląda popularność. Później, jak to bywa w życiu, okazało się, że nie wszystko złoto, co się świeci.

Później zagrał pan wiele dramatycznych ról, na przykład w *Żółtym szaliku*. Trudno było wcielić się w taką postać?

– Zdjęcia nakręciliśmy w trzy tygodnie. Wielu ludzi pytało mnie o przygotowanie. Na szczęście nigdy nie byłem w takim stanie jak mój bohater. Piję alkohol, wiem jak on działa. W rozmowach z reżyserem traktowaliśmy temat poważnie. Nie mówimy o człowieku, który napił się wódki i bełkocze, ale o człowieku chorym, który nie ma siły wyjść z zaklętego kręgu. Miałem taką historię w Warszawie, gdzie kręciliśmy część zdjęć w specjalnie wynajętym mieszkaniu. Jego właściciel mógł być przy nagraniu. Dotyczyło ono scen delirium. W pewnym momencie nie wytrzymał, podszedł do mnie i mnie zapytał, gdzie to mam. Zapytałem, o co mu chodzi. Odparł, że przecież muszę się czymś wspomagać. Musiałem mu wytłumaczyć jak to technicznie działa.

A jak to działa?

– No zapytałem go, czy pamięta, ile było dubli i ujęć. Ponad dziesięć. Gdybym po każdym walnął pięćdziesiątkę, zabrałaby mnie karetka do szpitala. Nie mógł się z tym pogodzić, wciąż patrzył podejrzliwie. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak powstaje rola, ja też nie wiem na przykład, jak się szyje buty.

A ma pan taki symboliczny żółty szalik?

– Dostałem po premierze filmu, a potem funkcjonowałem na różnych aukcjach charytatywnych. Dziś mam jeden taki w domu.

Wśród wyjątkowych kreacji nie można pominąć pana roli jako męża w *Łagodnej* Fiodora Dostojewskiego...

– O tym spektaklu nie da się powiedzieć w trzech słowach. Trzeba najpierw uruchomić wiedzę o Dostojewskim. To specjalista od opowiadania o rzeczach, które istnieją w człowieku i dotyczą jego sumienia. W dziełach Dostojewskiego gra się bardzo dobrze, chociaż sam mistrz wyraził się kiedyś: „Po moim trupie”. Chodziło o wystawianie jego literatury na scenie. Prawdopodobnie miał niedobre doświadczenia związane z teatrem.

A dla pana teatr czy film jest najważniejszy?

– Zawsze mówię, że zawód aktora to wiele możliwych scen. Można być aktorem w telewizji, teatrze czy w radiu. W Polskim Radiu czytałem *Pana Wołodyjowskiego* i było to naprawdę wspaniałe doświadczenie, nawet nie podejrzewałem, że tyle frajdy mogę z tego mieć. Wszystkie areny, gdzie się występuje, są ważne. Ale trzeba mieć świadomość, nie popadając w przesadę, że w teatrze jest laboratorium. Stąd się wynosi doświadczenie. W telewizji nie ma czasu na dzielenie włosa na czworo.

A fotografię traktuje pan jako kolejną formę wyrazu?

– Kiedyś aparat, gdy ja byłem w waszym wieku, był przedmiotem luksusowym i bardzo drogim. Nie każdy mógł sobie na niego pozwolić. Kupiłem aparat, taki najprostszy – analogowy. I traktowałem go jak zabawkę. Kiedyś jedna ze znajomych, chyba Magda Umer, gdy się spotkaliśmy na wakacjach we Włoszech, zobaczyła jak przeglądam zdjęcia. Powiedziała, że są świetne i trzeba je pokazać. I tak się zaczęło. Zawsze jednak mówię ludziom, że to amatorszczyzna. Nie cofam się przed krytyką. Robienie zdjęć mnie bawi, jednak to co innego niż zawodowa świadomość sztuki aktorskiej.

Janusz Gajos (ur. 1939) – jeden z najwybitniejszych polskich aktorów teatralnych i filmowych, fotograf, profesor sztuk teatralnych, wykładowca w łódzkiej „Filmówce”, laureat wielu nagród i wyróżnień, m.in. sześciokrotnie otrzymał Orły Polskiej Akademii Filmowej. Stworzył niezapomniane kreacje w takich filmach, jak: *Cztery pancerni i pies*, *Ucieczka z kina*, *„Wolność”*, *Trzy kolory: Biały, Czerwony, Niebieski*. Na co dzień występuje w Teatrze Narodowym w Warszawie.

Rozmowa „Kontrastu” z MARIĄ CZUBASZEK

w opracowaniu: Wiktorii Brzozowskiej, Klaudii Andryki, Bartosza Próchnickiego,

Dominika Błądka i Dominika Majki

MŁODOŚĆ MUSI SIĘ WYSZUMIEĆ, A STAROŚĆ WYPALIĆ

(2012)

*O przemijaniu, dziennikarstwie i wadach Polaków – mówi znana pisarka,
felietonistka i satyryk – Maria Czubaszek.*

Kawa czy herbata, co pani wybiera?

– Kawa, herbaty w życiu nie piłam, jak żyję sto lat. Gdy mówię sto lat, to mi zawsze mówią, nie odmładzaj się. Ja tylko piję kawę i Red Bulla, ale skrzydła mi jeszcze nie wyrosły. Słyszałam, że jesteście państwo dziennikarzami, może jakieś pytania...

Lubi pani takie spotkania?

– Długo broniłam się przed nimi. Miałam kiedyś takie w jednej ze szkół pod Warszawą. Pani dyrektor przedstawiła mnie, że oto Maria Czubaszek, a oni tak patrzyli i byli pewni, że może jakaś Konopnicka albo Dąbrowska. Młodzi ludzie mieli wtedy lekcje, więc karalucha woleliby oglądać niż być na matematyce.

Chyba nie jest aż tak źle?

– Ale ja się nie obrażam. Autentyczną historię opowiadał mi równie dorosły jak ja pan Wiesław Michnikowski. On już od paru lat nie występuje, wtedy gościnnie grał w swoim teatrze. Zauważył w przerwie taką młodą dziennikareczkę, która z magnetofonikiem biegła. Miał ochotę czmychnąć, ale się nie udało. Powiedziała, że to będą trzy pytania, była z jakiegoś radia komercyjnego. Włączyła tę aparaturkę i mówi: „Kochani witam i mam dla was wielką niespodziankę, przy mnie stoi pan Wiesław Golas”. Trochę się zdziwił, ale nie sprostował. Podziękowała mu, a on, żegnając się, skomentował: „Ja nie jestem Wiesław Golas, jestem Edward Dziewoński”. Ona na to: „A, to przepraszam panie Edwardzie”.

Młodzi dziennikarze są nieprzygotowani?

– Różnie bywa. Parę lat temu powstał jakiś teleturniej i pytania miały układać młode dziennikarki z Polsatu. Całość reżyserował Andrzej Strzelecki. Przejrzał część pytań gotowych i zdecydował, bym do tego młodego zespołu dołączyła. Siedziałam z bardzo miłymi dziewczynami w jednym pokoju. One przygotowywały pytania i w pewnym momencie jedna z nich pokazała mi takie pytanie: „Czy Grzegorz Wasowski pisał muzykę czy teksty do Kabaretu Starszych Panów?”. Powiedziałam, że to nie był Grzegorz tylko Jerzy, Grzegorz to jego syn. Ona to poprawiła, a po chwili odpowiedziała, niech się pani nie dziwi pani Marysiu, to archaiczne czasy. Odpowiedziałam, że właściwie ma rację. Bo ja wiem, że Mickiewicz miał na imię Adam, dlatego że z nim do szkoły chodziłam.

Przecież sama pani chciała zostać dziennikarzem?

– To prawda, marzyłam, że będę taką poważną dziennikarką albo korespondentem. Wyobrażałam sobie, że będę taki damski Max Kolonko. Jak byłam na czwartym roku dziennikarstwa, przyszedł pan z radia i powiedział, że otwiera audycję *Radio Reklama*. Zgłosiłam się i dostałam etat. Później nie wróciłam na piąty rok studiów. Pracowałam jako pomoc techniczna. Teksty pisał Jeremi Przybora i grali świetni aktorzy, na przykład pani Irena Kwiatkowska. I po pół roku, kiedy tam popraweczki nanosiłam, czasem kawę komuś zrobiłam, pan Jerzy Dobrowolski powiedział: „Słuchaj, sama coś napisz”. Nie śmiałam się przyznać, że mnie w ogóle takie głupoty nie interesują, że ja myślę o prawdziwym, poważnym dziennikarstwie.

Jednak to dzięki tekstom słuchowisk stała się pani sławna?

– Przez jakiś czas słuchacze nie wierzyli, że ja w ogóle istnieję. Doszli do wniosku, że Czubaszek to pseudonim. Zostaliśmy zaproszeni kiedyś do stoczni w Gdańsku. Spotkanie prowadzili Jacek Kaczmarek i Adam Kreczmar. Tłum zaczął krzyczeć, gdzie ta Czubaszek, wtedy mnie wyciągnęli. Ktoś się spytał, czy to na pewno Czubaszek, bo mogliście wziąć jakąś dziewczynę. Dałam im swoją legitymację radiową. Spotkanie w stoczni było bardzo przyjemne, tylko nic to nam nie pomogło i tak nas zlikwidowali.

Co wtedy pani zrobiła?

– Kiedy zlikwidowali naszą audycję, przesłam do redakcji „Szpilek”. I tak przetrwałam aż do zmiany ustroju. Mieliśmy pomysł, aby wykupić gazetę, ale nasza redakcja składająca się z ośmiu osób nie miała tyle pieniędzy. Kupił nas bogaty facet, miał takie pismo – „Piłka Nożna”. Napisałam w felietonie, że szedł z żoną i ona zobaczyła w kiosku „Szpilki”, zamiast kupić jej jeden numer, kupił całą redakcję.

W rozmowie z Arturem Andruszem przyznała się pani do napisania dziwnych wywiadów.

– Napisałam wywiad z Januszem Gajosem, ale był nudny, dlatego zaczęłam go poprawiać i uśmieszniać. Dałam mu do autoryzacji, Janusz stwierdził, że zrobiłam z niego blondyna, ale mu się spodobało. Wydawnictwo

poprosiło mnie także o wywiad z Wojciechem Karolakiem. A Karolak pojechał w trasę, więc napisałam sama ten wywiad. Jak wrócił, wkurzył się. Kiedy Andrus pisał książkę, zadał te same pytania Karolakowi, odpowiedzi były bardzo podobne.

Dlaczego zaczęła pani pisać bloga?

– Jakies trzy lata temu Wirtualna Polska zaproponowała mi umowę. Dostaję za to niewielkie pieniądze. Tak więc nie żyję po to, by pisać, ale piszę po to, by żyć.

Napisała tam pani, że starość czyni człowieka naturalnym, z nią trzeba się pogodzić.

– To prawda, chociaż wyglądam starszej, niż by to wynikało z mojej krwi. I ja już tego nie zatrzymam. Mam swoje sukcesy, tytuł „Nie/ najpiękniejsza Polka 2010”. Wygrałam z samą Jolą Rutowicz! Szymon Majewski prosił, by każdy z nas stworzył sobie jakieś hasło. Ja miałam takie: „Stara, ale jara trzy paczki dziennie” i „Młodość musi się wyszumieć, a starość wypalić”.

Dlaczego zdecydowała się pani na operację plastyczną?

– To było marzenie Karolaka. Ma takie wiszące podgardle. Bardzo mu to przeszkadza, ma na tym punkcie obsesję. Zwłaszcza, że on gra na instrumentach klawiszowych i robią mu zdjęcia z profilu, jak je zobaczy, drze. Z pół roku temu, kiedy byłam na jakimś wyjeździe, zadzwoniła do mnie pani z redakcji TVN Style i powiedziała, że robią właśnie taki program *Chirurgia Plastyczna*. Dodała, że będzie świetny chirurg. Czytała moje wywiady i wiedziała, że ja chciałam mojemu mężowi zafundować operację. Zadzwoniłam do Karolaka, a on jak dziecko się ucieszył. Powiedziałam, że się zgadzamy. Pan doktor obejrzał mu to podgardle i powiedział, że się zrobi. I to dość poważny zabieg będzie, a właściwie operacja, pod pełną narkozą. Dodał, że trzy miesiące będzie potem dochodzić do siebie. Mąż poodwoływał wszystkie najbliższe koncerty. W przeddzień operacji otrzymałmy telefon, że przyszły ostatnie badania krzepliwości krwi i ta operacja jest dla niego zbyt niebezpieczna, że istnieje zagrożenie martwicą skóry. Umowa była podpisana i padło na mnie.

A słynna sesja dla „Playboya”?

– Wzięło to się stąd, że ja czasem biorę udział w programie Marcina Mellera. On był do niedawna naczelnym polskiej edycji tego pisma. Teraz już nie jest naczelnym, ale nie przez sesję zdjęciową. Pan Meller zaproponował, żebym jakiś felietonik napisała. Jak napisałam, zadzwonił taki młody dziennikarz, że chce ze mną wywiad przeprowadzić. Wiem, jaka jest tematyka „Playboya”, ale on zapewniał, że będzie o życiu i śmierci. Potem zadzwonił fotograf, bo pan Meller poprosił, by sesję zdjęciową zrobić. „Czy on jest idiota, czy on chce wystraszyć wszystkich czytelników?” – pytałam. A fotograf stwierdził, że mam się nie martwić, bo zrobimy sesję na Powązkach.

Zgodziła się pani?

– Tak, umówiliśmy się po południu. Przyjechał z asystentem. Widzę, że on taki duży pakunek trzyma, lekko się przestraszyłam. Rozpakował i pokazał mi czarny worek foliowy na zamek. Spytał, czy się zgodzę w to wejść i zasunąć zamek, tylko trochę twarzy było widać. Miałam palić papierosy, żeby dym był widoczny. I sztuczne kwiaty mi dał. No i tak sobie krążyłam po tych alejkach zupełnie pustych. Fotograf mówi, a to w lewo spojrzeć, a to w prawo, w pewnym momencie mówi w lewo, akurat brama była otwarta i widzę wycieczkę dzieci. Gdy zobaczyły mnie w tym worku, buzie tak rozdziawiły, ale co gorsza zza dzieci wychylił się ksiądz, który je prowadził. Wtedy przestraszył się pan fotograf i schował aparat.

Z wszystkiego można żartować, nie ma tematów tabu?

– Wydaje mi się, że tematów tabu nie ma, że na każdy temat można żartować, jeśli jest to oczywiście na poziomie. Nawet dowcip opowiedzieć można. Chociaż właściwie jest jeden temat, na który żartować nie potrafię – okrucieństwo wobec zwierząt.

Jaki ma pani stosunek do swojego wizerunku wykreowanego przez media?

– Jakiś tabloid wyliczył, że wydaję na papierosy 13 tysięcy rocznie. Dobrze, że ja tego nie liczyłam, bo bym wypaliła ze stresu jeszcze więcej. Jak się dowiedziałam, że majątek puszczam z dymem, też się ucieszyłam, że mam majątek. Każdy myśli, że jestem bardzo bogata jak Beata Kozidrak, co dostaje za *Bitwę na głosa* 30 tysięcy. Zobaczyłam w gazecie tytuł: *Czubaszek pocięła się dla Karolaka*. Okazało się, że potem wytłumaczyli co i jak, były zdjęcia z operacji, na które ze wstrętem patrzyłam. Niedawno czytałam następny artykuł: „Czubaszek zdecydowała się na kolejną operację, tylko jeszcze nie wiadomo, co sobie tym razem zrobi”. Oczywiście, nikt do mnie nie dzwonił, na żadną inną operację się nie zgodziłam. Pokazałam to Arturowi Andrusowi, a on powiedział, że już ogłosił taki konkurs, ludzie mają zgadywać, co Czubaszek tym razem zmieni w swojej twarzy.

W mediach było głośno na temat pani wypowiedzi na temat o aborcji, żałuje pani tego?

– Nie. Oczywiście, wszystkie media to komentowały. Ale też dzięki temu dostałam nagrodę fundacji im. Izabeli Jarugi-Nowackiej, która zginęła pod Smoleńskiem. Otrzymałam „Okulary równości” w kategorii odwaga. Na uroczystości wręczania nagród powiedziałam, że zawsze jest miło, jak się coś dostaje, ale z drugiej strony jest mi smutno, iż uznano za akt odwagi coś, o czym wszyscy dorośli wiedzą. Na ulicy podchodziły do mnie panie i mówiły: „Dobrze, że pani to powiedziała, bo ja nie miałabym odwagi, chociaż mam takie samo zdanie”. Ja zdaję sobie sprawę, że wiele osób ma zupełnie inne poglądy na ten temat, to jest zrozumiałe, ale zdziwiło mnie, że przez taką wypowiedź nagle okazałam się odważna i kontrowersyjna.

Wojciech Cejrowski napisał, że nie należy pani do programów zapraszać, tylko wypraszać, bo można się zarazić...

– A ja mu odpisałam: „Panie Wojtku kochany, czym się pan zarazi, aborcji pan na sobie dokona? Poza tym, słysząc tę pańską ostatnią wypowiedź, upewniłam się, bo jak miałyby mi się trafić taki synek jak pan, to ja dziękuję bardzo”.

A co pani sądzi na temat in vitro?

– Ja naprawdę rozumiem, że tak jak nie chciałam mieć dzieci, tak dla kogoś może to być największe marzenie. Jeżeli nie mogą go spełnić naturalną drogą, to dlaczego im nie pomóc? Mam takich znajomych, dla których właściwie jedynym celem było to, żeby mieć dziecko. I właśnie dzięki in vitro mają dziecko, które w tej chwili ma już chyba 12 lat. I teraz wyobrażam sobie, co czują, gdy słuchają takich rzeczy, żeby wsadzić do więzienia lekarzy, którzy tego dokonują.

Wróćmy do tematów lżejszych. Kto wpadł na pomysł napisania książki *Każdy szczyt ma swój Czubaszek* – pani czy pan Artur?

– My naprawdę jesteśmy normalnymi ludźmi i w życiu byśmy na taki pomysł nie wpadli. To wydawnictwo wpadło na ten pomysł. Gdyby nie powiedzieli, że ta rozmowa, na podstawie której powstała książka, będzie z Arturem Andrussem, to bym się pewnie nie zgodziła, bo w ogóle nie lubię wspominać. U mnie z datami jest kiepsko. Artur przychodził, wypytywał mnie o różne wspomnienia, a następnie to spisywał. Dzwoni po trzech dniach do mnie i mówi: „Słuchaj, ty żadnych dat tu nie podajesz. Podaj jakąś, będzie bardziej wiarygodne”. Odpowiedziałam mu, że nie mam głowy do dat. On bardzo prosił, żebym przypomniała sobie chociaż jedną, odpowiedziałam, że jedną pamiętam: 1410.

Czy zauważyła pani, że dzisiaj każdy, kto gdzieś się pokaże w telewizji, chwyta za pióro i pisze? Kiedyś nawet wspomniana przez panią Jolę Rutowicz też się odgrażała, że napisze...

– I ja się boję, że napisze. Dzisiaj więcej osób pisze niż czyta. W zeszłym roku czytałam wywiad z Katarzyną Cichopek, w którym tłumaczyła, dlaczego napisała książkę *Sexy Mama*. Stwierdziła, że niestety kobiety, które są w ciąży, nie mają odpowiedniej lektury i ona musi tę lukę w literaturze wypełnić. Ja napisałam, że z tego co wiem, zanim pani Kasia napisała tę książkę, kilka kobiet w tym kraju urodziło dzieci i jakoś wiedziały, co zrobić.

Pisze pani teksty dla różnych wykonawców, czy zdarzyło się, że napisała pani tekst dla konkretnego aktora, a on wykonał go niezgodnie z oczekiwaniami?

– Nie, nigdy. Zawsze byłam z moich aktorów zadowolona i uważam, że to ich zasługa, że te moje rzeczy podobały się trochę i czasami były śmieszne. Jeśli jest jakaś powtórka mojego słuchowiska, to mimo że swoich tekstów nienawidzę czytać i słuchać, czasami nawet się roześmieję, ale nie z tego, co ja tam napisałam, lecz ze

sposobu w jaki sposób aktorzy mówili kwestie. Staram się zawsze pisać pod określone osoby, co więcej, mam dobry gust, powiem nieskromnie, na dobrych aktorów stawiam. Uważam, że jest w Polsce wielu wspaniałych aktorów.

Czy Polacy potrafią się z siebie śmiać, bo pani na pewno tak?

– Jedyną rzeczą, której mi w Polakach brakuje, jest to, że nie mają do siebie dystansu. Jest to może normalne, bo jak ktoś idzie przed nami i rąbnie, to jest to śmieszne, a jak sami rąbnjemy, nie kwiczymy ze śmiechu. Uważam, że każdy temat można potraktować lżej. Zwłaszcza śmierć, która wszystkich czeka, bo niepalący również żyją tylko do śmierci. Polacy do wszystkiego podchodzą bardzo ponuro. Poza tym, myślą, że jak ktoś umrze, idzie do nieba. Ja natomiast uważam, że jeśli to niebo faktycznie istnieje, to tam wcale tłumów nie ma.

Jest pani dumna z tego, że jest pani Polką?

– Opisałam to właśnie na swoim blogu. Tam jest wykreowana przeze mnie postać – córka mojej sąsiadki. Ona zadała mi podobne pytanie i odpowiedziałam jej, że z dumy to ja nie pękam, tak jak te nasze polskie autostrady, które niedawno zostały wybudowane, ale nie jest źle. Oglądałam mistrzostwa, do których byłam bardzo pesymistycznie nastawiona, ale o dziwo pozytywnie mnie zaskoczyły sytuacje, które miały tam miejsce. W jakiś sposób wszystko tam było dowodem patriotyzmu, ale takiego na wesoło. To właśnie mi się podoba.

Maria Czubaszek (1939–2016) – pisarka i satyryk, autorka tekstów piosenek, scenarzystka, felietonistka i dziennikarka. Nazwisko Czubaszek zachowała po swoim pierwszym mężu. Studiowała na Wydziale Dziennikarstwa, a także na Wydziale Filologii Angielskiej Uniwersytetu Warszawskiego. 20 maja 2009 roku z rąk ministra Bogdana Zdrojewskiego odebrała Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

z MACIEJEM RYDZEWSKIM rozmawiała Maria Kurylczyk

KSIĄŻKA OKIEM HISTORYKA

(2013)

Miłośnik literatury, nauczyciel historii – profesor Maciej Rydzewski specjalnie dla czytelników „Kontrastu” opowiada o swojej czytelniczej pasji.

Czyta pan tylko książki, czy wszystko, co wpadnie panu w rękę?

– Czytam wszystko, co mam pod ręką, od ulotek z Biedronki po grube powieści fantastyczne. Dziś na przykład, gdy chodziłem po korytarzu, zainteresowała mnie instrukcja obsługi gaśnicy. Przeczytałem uważnie całą. Spacerując ulicami naszego miasta, czytam wszystkie szyldy, napisy na witrynach sklepów, po prostu wszystko, co mi się nasunie.

Ale zawsze jest jakiś początek, co wprowadziło pana w ten czytelniczy świat?

– Zaczęło się niewinnie, od rosnącej sterty komiksów. W latach siedemdziesiątych jako chłopiec czytałem głównie komiksy. Najlepiej lubiłem *Tytusa, Romka i A’Tomka*, ale uwielbiałem także przygody *Kajka i Kokosza*. Czytałem na okrągło, jeden po drugim. Miałem wszystkie numery. Niektóre cytaty do dzisiaj pamiętam.

Polowanie na komiksy w tamtych czasach chyba nie było łatwe?

– Dla mnie nie było trudne. Wychodziły raz na pół roku, nie tak, jak dzisiaj, że co tydzień. Autor musiał mieć czas na ułożenie dialogów, rysownik na ilustracje. Gotowy komiks ukazywał się w kiosku i zaraz go nie było. Czekałem na każdy z niecierpliwością, cieszyłem się, gdy wychodziły i czytałem. Myślę, że tę pasję czytania zapoczątkowali moi rodzice. Bo gdy dziecko jest małe, ktoś musi wprowadzić je w zaczarowany świat książki. Opowieści mamy o smokach, dzielnych rycerzach przerodziły się stopniowo w miłość do komiksu.

A pan jako rodzic przekazuje ten entuzjazm swoim synom?

– Tak, starałem się rozpalic w nich ten ogień. Dobrze mi to wyszło, obaj uwielbiają czytać. Nie można nikogo na siłę zmuszać. Według mnie młodego człowieka od czytania komputer.

Przecież właśnie taką drogą zmierza współczesne czytelnictwo...

– No tak, wszystko idzie z duchem czasu, e-booki zastępują tradycyjne książki. Sam mam takie w domu. Ale mam nadzieję, że nowe technologie nie wyprą tradycyjnych książek z bibliotek.

Jak wygląda biblioteka Macieja Rydzewskiego?

– Biblioteka to za dużo powiedziane, mam kilka regałów z książkami. Są tam głównie książki historyczne, teksty znanych podróżników czy pamiętniki. Dużo miejsca zajmuje też literatura kobieca mojej żony. To, co nie zmieści się w moim domu, zajmuje miejsce w moim gabinecie. Rano, gdy jadę do szkoły, słucham w Polskim Radiu, konkretnie w Trójce, recenzji książek. Gdy mnie jakaś zainteresuje, po prostu ją kupuję. Ostatnio zaczynam wypożyczać książki, bo faktycznie brakuje już miejsca.

Jaki tekst ostatnio chciał pan przeczytać, a jeszcze pan tego nie zrobił?

– Słyszałem o książce Werbera *Imperium mrówek*. Recenzja mnie zainteresowała i od jakiegoś czasu przymerzam się do jej przeczytania.

Wykorzystuje pan swoje przeczytane lektury, gdy prowadzi pan zajęcia?

– Jasne. Trudno zajmować się historią i nie czytać. To tak jak być polonistą i nie przeczytać ani jednej lektury. To by było dziwne.

Jeśli mówimy o dziwnych rzeczach, ma pan swoje dziwactwa związane z czytaniem?

– Jeśli można to nazwać dziwactwem, to często czytam gazety w wannie. Sobotnie wydanie „Rzeczpospolitej” w długiej kąpielu, to recepta na udany wieczór. Książek do wanny nie biorę, bo szkoda by było, gdyby się zmoczyły. Ale gazetę udaje mi się utopić [*śmiech*].

Jakie książki poleciłby pan czytelnikom naszej gazety?

– Są według mnie książki warte przeczytania. To książka Paula Johnsona *Historia świata od 1917 do lat dziewięćdziesiątych* oraz książka Normana Daviesa *Orzeł biały, czerwona gwiazda*. Cieszę się, że w końcu w „Kontraście” pojawi się coś o czytelnictwie. Książki wprowadzają człowieka w równoległy świat, dzięki nim można odwiedzić każde miejsce na Ziemi.

Maciej Rydzewski (ur. 1971) – nauczyciel historii, przez 9 lat pełnił funkcję zastępcy dyrektora Liceum w Kaliszu Pomorskim, od czterech lat jest dyrektorem szkoły. W latach 1995–1998 pracował jako nauczyciel historii, wiedzy o społeczeństwie, geografii i wychowania fizycznego w Szkole Podstawowej w Trylu koło Grudziądza. Wielokrotnie nagradzany za swoją pracę, m.in. Nagrodą Ministra Edukacji Narodowej w 2017 roku. Jego uczniowie co roku zwyciężają lub są w gronie laureatów licznych konkursów historycznych, takich jak: „Szkolna Liga Historyczna”, „Kazimierz Wielki i jego czasy”, „Aliante”, „Żołnierze Wyklęci Bohaterowie Niezlomni”, „Żołnierze Wyklęci – Pomorscy Konspiratorzy”, „Pomorska Liga Historyczna”, „Olimpiada Solidarności. Dwie dekady historii” i w wielu innych.

z PRZEMYSŁAWEM KOSSAKOWSKIM rozmawiała redakcja „Kontrastu”,
opracowanie wywiadu: Agata Dobiesz,
współpraca: Klaudia Andryka, Patrycja Figiel, Marta Przybylska, Paulina Staniecka, Marta Stympin

WCIAŻ JESTEM CIEKAWY...

(2014)

„Jestem jak ten chłopiec, który stawia sobie nowe wyzwania” – mówi Przemysław Kossakowski – człowiek do zadań specjalnych. Przemierzając świat, poddaje się metodom medycyny niekonwencjonalnej. Odkrycia z jego podróży widzowie mogą zobaczyć w programie *Kossakowski. Szósty zmysł* oraz *Kossakowski. Inicjacja*.

Jak to się stało, że trafił pan do programu *Kossakowski. Szósty zmysł*?

– Lidka Kazen zaproponowała, żebym coś wymyślił dla telewizji TTV, bo wierzyła, że może się jednak do czegoś nadać. Projekt o uzdrowicielach przyszedł mi do głowy w pół godziny. Oczywiście, pierwotnie był zupełnie inny. Gdyby mi wtedy, kiedy jechałem zbierać dokumentację, ktoś powiedział, że będę prowadzić program w telewizji, puknąłbym się znacząco w czoło. A jednak udało się.

Ale ta dziedzina pana interesowała?

– Tak, od zawsze.

Jaka jest pana definicja terminu medycyna niekonwencjonalna?

– *Kossakowski. Szósty zmysł* jest o alternatywnej medycynie. To jest chyba odpowiedź. Program stał się możliwością podróży po ludzkim umyśle.

Co to znaczy podróż po ludzkim umyśle?

– Na Ukrainie na przykład są szeptunki.

Szeptunki?

– To takie lokalne psychoanalityczki. Rzucają klątwy, czary, uroki. Dla mnie jest to punkt wyjścia do rozmowy. Chcę wiedzieć, jak ci ludzie widzą świat, a to jest skrajnie różne od tego, do czego my jesteśmy przyzwyczajeni. I to jest nieprawdopodobnie fascynujące, także jako intelektualna przygoda.

Pan przypatruje się bohaterom czy oni panu?

– Myślę, że przypatrujemy się sobie wzajemnie. Ja patrzę na nich z pewną ciekawością, a oni na mnie trochę z podejrzliwością.

Namówić kogoś, żeby stanął przed kamerą, przed obcą osobą, to nie jest prosta sprawa. Jak pan ich przekonuje?

– Zdarzało się tak, że wchodziliśmy do kogoś bez wcześniejszej zapowiedzi. Trzeba mieć dobrą energię i być szczerym. Mam także wspaniałą ekipę. Tu nikt nie patrzy na zegarek. Poza tym jako prowadzący dają sobie robić różne, dziwne rzeczy i oni pokazują swoje metody na mnie, czyli swoją osobą uwiarygadniam to, co robią.

Czy bohaterowie pana programu chcą oglądać te materiały?

– Z tym bywa różnie. Na Ukrainie pewnie niektórzy obejrzeni, bo ukraińska telewizja wykupiła licencję na ten sezon, natomiast w Rosji czy na Bałkanach, to nie sądzę, aby tak było.

Bohaterowie odcinków dostają za to pieniądze?

– To ciekawe pytanie. Zazwyczaj nie chcą pieniędzy. W Polsce zapłaciłem jedynie dwóm osobom, ale tylko dlatego, że ich do tego zmusiłem. Na Ukrainie chcieliśmy zapłacić pewnej szeptunce, która mieszkała w strasznych warunkach. Wychodząc, włożyłem pieniądze dyskretnie pod doniczkę. Gdy to zobaczyła, goniła nas później i siarczyście zakłęła, żebyśmy jej nie obrażali. Szeptunką nie zostaje się dla pieniędzy. Na Bałkanach było inaczej, bardzo często rozmowa zaczynała się od tematu pieniędzy, stawka zaczynała się od 50 euro.

Szeptunki, szamani, do tego chyba nie przygotowują żadne kursy?

– Oczywiście. Ci ludzie wierzą, że są do tego powołani, wybrani przez Boga, duchy przodków. Nie wykonują zawodu. Żyją zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Pomagają innym.

Pomagają?

– To kwestia wiary. Myślę, że pomaga nam coś, w co wierzymy. Nie można tego przełożyć na zwykły rozsądek.

W jakim stopniu program jest wyreżyserowany?

– Jeśli chodzi o sprawy techniczne, zdarza się to tylko wtedy, gdy potrzebujemy dobrego światła, czy ciekawego kadru. To ma znaczenie dla samego obrazu. Ale w ciągu dwóch lat nigdy nie mówiliśmy danej osobie, co ma robić lub mówić.

Czy ci ludzie, widząc kamerę, nie są sztuczni?

– Czasami tak jest, ale to zależy od człowieka. Staramy się tak przykuć ich uwagę, rozmawiać z nimi, żeby o tym zapomnieli. I zapominają.

Korzysta pan z pomocy tłumacza?

– To właśnie jest bardzo duży dyskomfort, ponieważ ja mówię do bohatera po polsku, następnie tłumaczy to tłumacz. Problem polega na tym, że ten człowiek nie odpowiada już do mnie tylko do tłumacza, a wszystko jest rejestrowane. Tu faktycznie jest ingerencja, bo to trzeba wycinać, sklejać i jest to długi proces. Dlatego próbuję sam rozmawiać z bohaterami, nawet jeśli słabo znam język.

Jakie rytuały zrobiły na panu największe wrażenie?

– Na pierwszym miejscu zakopanie żywcem. To było w Rosji. Kolejny rytuał był w Buriacji, gdzie szamani zrobili nade mną rytuał oczyszczania i po tym doznałem jakiegoś dziwnego stanu psychicznego. Rozkleiłem się i ekipa była lekko przerażona, bo wyglądałem jakbym oszalał. Trzeci był podczas rekolekcji u ojca Konstantina, gdzie odbywało się istne szaleństwo, ludzie padali na ziemię, tracili przytomność, toczyli pianę z ust i pluli krwią, a ojciec odprawiał nad nimi egzorcyzmy. My jesteśmy weteranami i trudno na nas zrobić wrażenie, ale to były takie trzy najbardziej przejmujące sytuacje. Spotkaliśmy się z dziwnością i czymś niezrozumiałym. Niektóre rzeczy powodowały, że opadały nam ręce i nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje.

Co to znaczy zakopanie żywcem w ziemi?

– Spędziłem pod ziemią 48 godzin. Nie uwierzycie, jakie to oczyszczające doświadczenie, jaka jest później radość z samego życia.

Człowiek leży pod ziemią i myśli o śmierci?

Nie myśli o niczym, nie jest w stanie. Każdy oddech jest walką o życie. Ból jest ogromny, miałem wtedy największy kryzys. Naprawdę bałem się tej próby, że nie podołam. Jednak nigdy nie czułem takiej radości z życia. To tak jakby ktoś był martwy i nagle obudził się do życia. Kolory, dźwięki, zapachy – wszystko w zaskakującej sile.

Co nami kieruje i ustawia obraz świata: umysł, zmysły, siła wyższa?

– Kiedy rozpoczynałem pracę nad programem, byłem racjonalistą i uważałem, że cały świat jest tylko tym, czego możemy dotknąć, co możemy zmierzyć, obliczyć. W tej chwili uważam, że równie dobrze mamy jakiś rodzaj innej rzeczywistości, której nie jesteśmy w stanie pojąć. Bo mamy do dyspozycji niedoskonałe narzędzia, by ją poznać. A jeżeli chodzi o uzdrawianie, to wszystko zaczyna się i kończy w naszej głowie.

Ciekawość jest większa od rozsądku?

– W moim przypadku tak. To jest dla mnie duże źródło troski.

A jaka jest pana granica ryzyka?

– Podczas tego programu raz, no może dwa, naprawdę ryzykowałem. Inne rzeczy były nieprzyjemne, wiązały się z tym, że krwawiłem, zwyczajny ból fizyczny. Jestem takim człowiekiem, że zauważam ryzyko po czasie.

W trakcie rytuałów o tym nie myślę, dopiero po nakręceniu odcinka dociera do mnie, że rzeczywiście, to było niebezpieczne.

Czy kiedykolwiek była potrzebna interwencja lekarza?

– Nie. I nigdy nie poszedłem się zbadać po tych wszystkich rytuałach. Nawet, gdy znachorzy stwierdzali u mnie problemy z prostatą. Normalny, zdrowy człowiek udałby się do lekarza, by się upewnić, natomiast ja nigdy tego nie zrobiłem.

Nie czuje się pan królikiem doświadczalnym?

– Nie, ale to nie znaczy, że nie jestem. Bo pewnie dla wielu jestem. Jestem jak ten chłopiec, który stawia sobie nowe wyzwania i wciąż jest ciekawy tego, co się wydarzy.

To niebezpieczna gra. Czy po trudnych doświadczeniach myślał pan o konsultacjach z psychologiem?

– Nie, ale po odcinkach *Inicjacji* naprawdę zacząłem o tym myśleć, ponieważ sam czułem, że jestem inny niż do tej pory. To podróżowanie po ludzkim umyśle, także własnym, jest fascynujące, ale może być niebezpieczne.

Czy pana program utrwała, czy obala stereotypy?

– Trzeba by było zapytać widzów. Wszyscy ulegamy stereotypom. Pamiętam swoje spotkanie z szamanem w Buriacji. Przychodzi gość w adidasach, w dresie i pyta, czy mam konto na Facebooku. Pomyślałem, że mamy pecha, bo na pewno nie jest to żaden prawdziwy szaman, gościu zwyczajnie ściemnia. Tymczasem, kiedy rozpoczął rytuał oczyszczania, stało się coś takiego, że rozkleiłem się całkowicie.

Dlaczego ludzie w XXI wieku tak często sięgają po niekonwencjonalne metody leczenia, przecież medycyna jest mocno rozwinięta?

– Moim zdaniem są trzy powody. Po pierwsze, medycyna nie zawsze daje radę. Są sytuacje, kiedy nie ma ratunku, więc z desperacji sięgamy po inne metody. Drugim powodem jest brak pieniędzy na leczenie, czyli poczucie osamotnienia i zdradzenia. W leczeniu ważne jest to, by ktoś przy nas stał, czuwał. Pacjenci żalą się, że przechodzą z rąk do rąk. Tak naprawdę nikomu na nich nie zależy. Natomiast ostatni powód to tęsknota, chcemy wierzyć, że mamy duszę.

Ma pan pomysły na kolejne sezony?

– Aktualnie mam przerwę, a na wiosnę w telewizji TTV pojawi się nowy, bardzo ciekawy i zaskakujący projekt. Nie mogę zdradzić nic więcej.

Wciąż będzie pan sprawdzał granice swojej wytrzymałości na ból?

– Niekoniecznie, ludzki umysł można również poznać poprzez milsze doświadczenia. Ale nie mogę niczego zdradzić.

Brzmi interesująco, dziękujemy za wywiad i czekamy z niecierpliwością.

– Proszę bardzo, pozdrawiam czytelników waszej gazety i zachęcam do śledzenia moich programów.

Przemysław Kossakowski (ur. 1972) – dziennikarz i podróżnik, ukończył Wydział Wychowania Artystycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, podejmował najróżniejsze zajęcia, aż w 2012 roku związał się z telewizją TTV, dla której zrealizował m.in. następujące cykle programów: *Kossakowski szósty zmysł*, *Kossakowski Inicjacja*, *Kossakowski nieoczywiste* i *Kossakowski wtajemniczenie*, jest autorem książki *Na granicy zmysłów*.

z MACIEJEM ORŁOSIEM rozmawiała redakcja „Kontrastu”,
opracowanie: Jakub Biegnewski (Samson Samsonsky)

MIAŁEM CZAS SIĘ PRYZYWCZAĆ...

(2015)

Spotkania ze studentami dziennikarstwa, z młodzieżą wydającą gazetę. A przecież bezrobotni są właśnie absolwenci dziennikarstwa. Jaka jest według pana przyszłość tego zawodu?

– Nie pierwszy raz słyszę to pytanie. No bo jest taka wątpliwość. Uważam, że jeśli ktoś chce być dziennikarzem, ma taką wewnętrzną potrzebę i predyspozycje, będzie nim niezależnie od tego, na jakie studia pójdzie. Może się ukierunkować poprzez swoje zainteresowania, które pogłębia niezależnie od studiów. Oczywiście, można być świetnym dziennikarzem po każdych studiach. Uważam, że trzeba mieć duszę dziennikarską, która polega mniej więcej na tym, że się przekazuje maksymalnie prawdziwe informacje – pisze się o różnych sprawach, mając misję. I to jest najważniejsze. Skąd się przyjdzie do dziennikarstwa to już jest sprawa wtórna. Trzeba mieć ciąg na bramkę. Trzeba naprawdę chcieć. I praca się znajdzie.

Mówi pan to z takim zapałem i zaangażowaniem...

– Mówię tak, chociaż nie jestem ani rasowym dziennikarzem, ani nie jestem po studiach dziennikarskich. Ale czy można człowieka nauczyć otwartości na świat, na ludzi, zainteresowania, pasji? Tego się i tak nie nauczysz. Owszem warsztatu można nauczyć, ale predyspozycji – tej smykałki, talentu i tak się nie nauczysz. Albo to się ma, albo się tego nie ma.

Tak było na studiach aktorskich?

– Tak i w dziennikarstwie jest podobnie.

Dlaczego taki wybór?

– Życie skorygowało moje wybory. Teatr i film – to mnie interesowało. Chciałem być reżyserem teatralnym. Wtedy były takie studia podyplomowe, więc postanowiłem zacząć od aktorstwa. Potem znowu – korekta życiowa – już nigdy nie wróciłem do reżyserii. Czasy w Polsce się zmieniły. Nigdy nie myślałem, że mogę być dziennikarzem czy też prezenterem. Wcześniej telewizja kojarzyła się z propagandą komunistyczną. Po 1989 roku to się zmieniło. Dostałem możliwość pracy w telewizji już w innych czasach, mogłem to rozważyć.

Studia aktorskie pomagały czy przeszkadzały?

– Łączy się to tylko warsztatowo. Ktoś, kto występuje na wizji, powinien mówić wyraźnie, w dobrym rytmie i być świadomym gestów, mimiki twarzy, ale to tyle. Prowadząc program nie gra się żadnej roli. Jest się sobą.

Czyli nie tak, że nazywam się Maciej Orłoś i oto prowadzę program... [śmiech]

– Widzowie wyłapują fałsz. To by było bez sensu. Na początku, gdy zaczynałem, było w tym za dużo aktorstwa... Ale, cóż... musiałem się jakoś przestawić...

I tak widzowie pana lubią, a pan lubi tę popularność?

– Robię to prawie 24 lata. Miałem czas się przyzwyczaić. Nie ma na co narzekać. Ludzie mają większe problemy niż popularność.

Ale fakt, że jest pan prezenterem w *Teleexpressie* zniweczył plany zarobienia naprawdę dużych pieniędzy? Dziennikarz programu informacyjnego ma wiele zakazów, jeśli chodzi o „użyczanie” swojej twarzy w mediach.

– Tak. Nie mogę brać udziału w reklamach. To by było niezgodne z etyką [dziennikarską, przyp. red.], to jest niedopuszczalne! Miałem parę razy propozycje reklamowe, które musiałem odrzucić. OK, mógłbym to zrobić, ale musieliby mnie zwolnić z telewizji. To mi się nie opłacało. Był taki moment, że chciałem wziąć udział w reklamie, bo miałem dosyć tego, co się działo w ówczesnej telewizji. W końcu zrezygnowałem z tego pomysłu. Na szczęście!

A wystąpienie w *Celebrity Splash*? Może Pan brać udział w takich programach? To czysta rozrywka, tak?

– Dlaczego mówisz o tym programie?

Jestem na bieżąco z pana facebookowym profilem...

– Mogę występować w takich programach pod warunkiem, że dostanę zgodę telewizji – mam to wpisane w kontrakt, ale... dałeś się nabrać! Nie występuję tam. Napisałem to prowokacyjnie [śmiech]. Bardzo mnie zadziwiła formuła tego programu. Cóż... mogą tańczyć na lodzie, to mogą i skakać do wody [śmiech].

Polska jest OK? Taki jest roboczy tytuł programu?

– Nie. To znaczy *Nie ma jak Polska* może też będzie miało swoją kontynuację, ale to nie to. To będzie taki program, który wstępnie się nazywa *Firmowe ewolucje*. Chodzi o to, że będziemy naprawiać firmy.

Trochę jak *Kuchenne rewolucje*?

– Tak, *Firmowe rewolucje* – to takie nawiązanie. Najbardziej lubię robić w telewizji takie rzeczy, które mają coś z misji, jakiś przekaz wartości. Dlatego te *Wielkie Testy* z wiedzy różnej bardzo mi odpowiadają. Są połączeniem przyjemnego z pożytecznym.

Mówiąc o przekazywaniu wartości... Odwiedza pan domy spokojnej starości i pomaga seniorom. Kiedy to się zaczęło?

– Pięć lat temu, chociaż taka myśl towarzyszyła mi od dawna. W Polsce jest wiele fundacji, akcji i one dotyczą dzieci – młodych ludzi. Bardzo mało robi się dla seniorów. Nikt nie ma dla nich czasu i nikt się nimi nie interesuje, więc zaczęliśmy takie działania. Do kilku domów opieki w okolicach Warszawy zapraszaliśmy znanych ludzi, którzy po prostu urozmaicali im czas. Okazało się, że dla tych starszych osób to jest bardzo cenne, że ktoś się nimi interesuje. Teraz mam przerwę, mój kolega, który bardzo mi w tym pomagał, wyjechał do Anglii. Nie mam teraz osoby, która by mnie w tym wsparła. Najchętniej zrobiłbym z tego akcję ogólnopolską. Jakby się to rozrosło, byłoby super.

Wywiady z Tiną Turner, Billem Gatesem czy Ice-T, w głowie się kręci od tej listy gwiazd. Które z tych spotkań było najciekawszym doświadczeniem?

– To było dawno już... lata dziewięćdziesiąte. Niezapomniane dla mnie było spotkanie z Meryl Streep, bo to była moja ulubiona aktorka. Sam fakt, że mogłem znaleźć się obok takiej gwiazdy i 20 minut rozmowy. To było super! To samo mogę powiedzieć o Anthonym Hopkinsie, którego bardzo cenię jako aktora.

A Bill Gates?

– To było w Warszawie. Przyjechał jako najbogatszy Amerykanin. Był rok 1995, a ja miałem z nim rozmawiać o informatyce, Microsoftzie. Byłem przerażony. Wtedy tego jeszcze nie było. Ja nawet nie miałem komputera. Nikt tego nie używał. Musiałem się bardzo mocno przygotować i dzięki temu ta rozmowa nawet całkiem niezłe wyszła. Przygodą było też spotkanie z takim zespołem... Spice Girls. Nie wiem, czy kojarzycie...

Ależ oczywiście!

– Takiego wywiadu to chyba nigdy nie przeprowadziłem. Miałem z nimi spotkanie w Paryżu. Siedziały w pokoju hotelowym... zmęczone... byłem gdzieś na końcu kolejki dziennikarzy.

Musiały być wyjątkowo opanowane...

– Tak [*śmiech*]. Zajmowały się swoimi sprawami. Malowały paznokcie – jedna u rąk, druga u nóg. Trzecia patrzyła w lusterko, a czwarta grzebała w komórce. Bo już wtedy komórki się pojawiły – to był 1998 rok. Tylko jedna łaskawie odpowiedziała na kilka moich pytań.

Dzisiaj skończyłoby się pewnie na kilku mailach...

– Mam nadzieję, że są pewne granice tego internetowego szaleństwa. Odniosę się do takich obaw, które kiedyś dotyczyły kina. Mówiono: „Może kino upadnie, bo pojawiły się kasety VHS?”. Później DVD. Jak ludzie będą mieli filmy w domu, nie będą chodzić do kina. Myślę, że Internet nie zwycięży tradycyjnego dziennikarstwa.

Coś pana przeraża w Internecie? Przecież to dobrodziejstwo!?

– Hejt. Zastanawiam się, czy nie ma jakichś granic wolności słowa, ale jest proste rozwiązanie – można tego nie czytać.

Spotkał się pan z obraźliwymi opiniami na swój temat?

– Oczywiście, tak. W momencie, kiedy ma się dzieci, pojawia się jeszcze ten wątek. Nie chciałbym, żeby ktoś mnie z nimi fotografował i wrzucał wszędzie. Nie jest to przyjemne. Najlepiej tego nie czytać. Chociaż zdarzyło mi się parę razy.

Nie jest łatwo zachować dystans wobec takich ataków?

– Komentarze, memy, żarty – nie, nie jest to łatwe. Staram się podchodzić z dystansem, ale parę razy coś przeczytałem i mnie ścisnęło. Ludzie pokazują swoją ciemną naturę. Anonimowo każdy może napisać wszystko. Żadnych hamulców.

Przejdźmy do przyjemniejszego tematu, do pisania. Pisze pan książki dla dzieci, skąd taki pomysł?

– Dzieci mnie zainspirowały – aby napisać coś o nich i dla nich. Napisałem w sumie cztery książki, ale na razie nie zanoszę na kontynuację. Dzieci rosną i byłoby to dla nich już pewnie zbyt obciążające.

Takie pisanie to musi być frajda, odskocznia od dziennikarskich realiów...

– Odpowiedź nie jest taka prosta. Z jednej strony frajda, kiedy już się udało ją napisać i poprawić. Sam proces pisania bardzo angażuje. Jak ktoś nie może się temu poświęcić, musi łapać każdą chwilę. Godzinę, dwie, czasami trzy... i wychodzić z tego świata. Mój ojciec jest pisarzem prawdziwym. Jak on pisze książkę, to wchodzi w ten świat na wiele dni, tygodni. Bycie prawdziwym pisarzem to poważna sprawa.

Dzieci były pierwszymi recenzentami? Jak im się podobała książka?

– Które dzieci?

Pańskie.

– Aaa... [*śmiech*] Często tak. Myślę, że im się spodobała. Mojej żonie też. W pewnym momencie przyzwyczaiły się do tego, że tatuś pracuje w telewizji. Mimo wszystko mam satysfakcję, bo fragmenty dwóch książek znalazły się w podręcznikach szkolnych.

Czyli dzieci w szkole wylapały te teksty?

– Tak. Tu nie było żadnej inicjatywy wydawcy. Autorzy podręczników musieli sami dodać te fragmenty. To jest ciekawe, bo to moja córka przysłała do mnie, przyniosła podręcznik i mówi tak: „Chciałam ci coś pokazać”, patrzę, a tam całe fragmenty i ćwiczenia – jak to w podręczniku. „Przeanalizuj postępowanie Kuby...” i potem punkty do zadań.

Zamieścili bez pana wiedzy?

– No tak, nie wiem jak to się stało, wydawca książki też nie wiedział. Sprawa się już wyjaśniła.

Za to dzieci będą miały ćwiczenia z głowy, bo tata sam je rozwiąże...

– Śmiałyśmy się już z tego właśnie.

Zostańmy przy żartach, skąd pomysły na puenty kończące *Teleexpress*? Testujecie ich śmieszność? I kto je tworzy?

– Ja sam. Muszę znaleźć i opisać zdjęcie, które dostajemy od widzów. Wiem, co się nadaje, a co się nie nadaje. Od pasa w górę na pewno, od pasa w dół to nie. Ale tak naprawdę to nie ma na to reguły.

Są też żarty z prognozy pogody, a to już mniej zabawne. Na przykład przedstawił pan ją w *Teleexpressie* specjalnie dla Drawna, ni stąd, ni zowąd...

– A tak [*śmiech*]. Był taki pomysł, choć później to jakoś upadło, żeby na początku każdej prognozy pogody uwzględniać wybrane małe miejscowości, gdzieś tam w Polsce. Najdziwniejsze miejsca, ale prognoza pogody była autentyczna, żadnych żartów.

Akurat Drawno?

– Dlaczego, to ja nie wiem... [*śmiech*]

Prosimy o dokończenie zdania: „Maciej Orłoś to...”.

– Mieszkaniec Warszawy, ojciec, mąż, współpracownik TVP, prowadzący popularny program informacyjny – *Teleexpress*, autor kilku książek, szkoleniowiec, były aktor. Cóż więcej... Dobrze odpowiedziałem?

Właśnie taka była odpowiedź! Bardzo dziękujemy.

Maciej Orłoś (ur. 1960) – dziennikarz i prezenter telewizyjny oraz radiowy, aktor teatralny i filmowy, autor książek dla dzieci, m.in. *Tajemniczych przygód Kubusia* i *Tajemniczych przygód Meli*, w latach 1991–2016 pracował w Telewizji Polskiej, od 2019 związany jest z Radiem Zet.

z WŁADYSŁAWEM GLENIEM rozmawiali: Magda Wyrzykowska i Daniel Morcinek

GINĘLI NA MOICH OCZACH

(2016)

„Niemiecki komisarz przejeżdżał przez wieś. Ukraińcy zrzucili granat na samochód, którym jechał. Poszło na Polaków. Ukraińcy razem z Niemcami zaczęli się na nas mścić. Podpalili wieś, uratował się tylko brat naszego sąsiada i jego syn” – opowiada Władysław Gleń, Polak, który przeżył rzeź ukraińskich bandytów w okolicy Annowala i niemieckie prześladowania w Majdanku.

Jak pan zapamiętał swoje rodzinne strony?

– Piękna przyroda wołyńska: lasy, zwierzyna, grzyby, jagody. Ciepłe lata, a zimy mroźne, do 40 stopni i dwa metry śniegu. W wiosce były trzy sklepy – dwa żydowskie i jeden polski. Hrabia Lubomirski wybudował kościół, szkołę podstawową i klasztor. Nasza rodzina miała dużo ziemi. Dziadek 20 hektarów, rodzice 15 hektarów pól. I olbrzymie sady: grusze, jabłonie i śliwy. Wszyscy obok siebie mieliśmy gospodarstwa. My, dziadek z wujkiem i ciocia, każdy miał osobne gospodarstwo.

Kim byli pańscy sąsiedzi?

– Tu byli sami Polacy, nie było żadnego Ukraińca. Niecały kilometr od nas we wsi Kruchy mieszkali Niemcy. Nasze pola ze sobą graniczyły. Między nami panowała zgoda. Dzieci się razem bawiły. Nawet jedni pracowali u drugich. Do nas często na żniwa i wykopki przychodzili Ukraińcy jako najemni pracownicy. Żyliśmy spokojnie.

Kiedy zaczęła się nienawiść ze strony Ukraińców?

– Tak na dobre to w 1943 roku. Wszystko zaczęło się od zabójstwa niemieckiego komisarza. Nasz sąsiad miał brata we wsi Ozirce, oddalonej od nas o 8 kilometrów. Duża, piękna, polska wieś. Droga z Kostopola do Ludwipola, która przebiegała koło nas, była często wykorzystywana przez Niemców. Przez Ozirce przepływał

strumyk, na którym zbudowany był mostek, przez który przejeżdżał ten komisarz. Tam ukraińscy nacjonaliści przeprowadzili zamach. Gdy komisarz przejeżdżał, rzucili granat na samochód z Niemcami. Później winę zrzucili na Polaków. Niemcy wraz z Ukraińcami zaczęli się za to mścić. Razem podpalili wieś, z której uratowali się tylko brat naszego sąsiada z synem.

Jaka była skala tej zemsty?

– Zginęło prawie 100 osób. Doszło do tego, że zaczęli podpalać następne miejscowości i mordować Polaków. Mieszkańcy naszej wsi się zorganizowali. Sąsiedzi pilnowali na zmianę, by nas Ukraińcy nie wymordowali. Ojciec zrobił dla nas schron. Wykopał wielki dół, wyłożył go słomą i przysypał ziemią. Nie było nas tam widać. W razie podpalenia było wyjście, przez które mogliśmy uciec przed nimi. Ukraińcy nienawidzili Polaków, swoją Ukrainę u boku Niemców chcieli budować.

Zdarzały się takie sytuacje, że musiał pan jako dziecko uciekać sam?

– Wiele razy. Trzeba było uciekać bez krzyku i nie oglądając się za nikim, biec na bosaka, w samej piżamie, przedrzeć się przez rzekę. Ludzie z pobliskich kolonii słyszeli hałas, sami się bali, więc nie chcieli nas ukrywać. Chowaliśmy się za kopcami. Nie wiedziałem wtedy, gdzie są moi rodzice. Strasznie się bałem. Któregoś razu, pamiętam, że ojciec złapał jakiegoś konia i zabrał matkę z najmłodszym bratem Witkiem. Szukali mnie i znaleźli. Płakaliśmy z radości, że żyjemy. Wróciliśmy wtedy do domu. Gdyby nie ucieczki, zamordowaliby nas.

Kiedy zdecydowaliście, że trzeba opuścić wioskę?

– Po fali okrutnych mordów. Pamiętam polsko-ukraińską rodzinę Sarnowskich. Mieli dwójkę pięknych dzieci. Żyli sobie spokojnie, jednak jak zaczęli mordować, dopadli ojca tych dzieci. To byli bracia żony. Ona ich błagała, mówiła, że przecież go znają, że mają dzieci. W bestialski sposób wbili mu nóż w plecy. Działo się to na jej oczach, a wszystko dlatego, że był Polakiem. Wtedy, na początku maja 1943 roku, gospodarze otworzyli wszystkie obory i wypuścili zwierzęta. Ojciec zrobił to samo. Zaczęliśmy uciekać. Co mogliśmy wziąć na wóz, to pakowaliśmy. Mieliśmy tylko dwa konie i uciekliśmy do Borszczówki [wioska w gminie Hoszcza, powiat Równe, województwo wołyńskie, parafia Hłuboczek – przyp. red.]. Wszystko zostawiliśmy: dom, ziemię, zwierzęta.

Udało się uciec całej rodzinie?

– Niestety, nie. Mimo, że dziadek wyjechał z nami, to jednak zawrócił. Stwierdził, że i tak Ukraińcy nic mu nie zrobią. Dojechał tylko do Borszczówki. Naoczny świadek opowiadał później rodzicom, że Ukraińcy zatrzymali go i wydłubali oczy. Nie wiem nawet, czy został pochowany. Mówiono też, że na naszym podwórku wrzucali żywcem ludzi w płomienie.

Takie wspomnienia wracały do pana w snach?

– Przez całe życie. Często w nocy nie mogłem spać, bo dręczyły mnie koszmary. Nawet po wojnie, kiedy byłem już bezpieczny. Tego nie da się zapomnieć. Miałem osiem lat, a jednak wszystko się zapisało.

Czy ucieczka z rodzicami zakończyła pańską drogę przez piekło?

– Zaczęła się nowa. Zgotowali ją Niemcy. Na początku maja zamieszkaliśmy w Kostopolu. Ojciec wyszedł na rynek i nie wracał do późnego wieczora. Dowiedzieliśmy się, że była łapanka. Martwiliśmy się o niego. Wieczorem przyszło do nas dwóch żandarmów niemieckich. Powiedzieli, że ojciec jest w obozie i jutro jest wywózka całej rodziny. Mama błagała, by go wypuścili choć na parę godzin. Chciała mu uszykować jedzenie. Zgodzili się, ale wzięli zakładnika – moją 15-letnią siostrę Zosię.

Jak wyglądała wywózka? Wiedzieliście, dokąd was zbijają?

– Spakowaliśmy się i zabraliśmy to, co było nam potrzebne. Sąsiad naszymi końmi zawiózł nas do wagonów. Dopiero wtedy przyprowadzili siostrę-zakładniczkę. Przywieźli nas wszystkich do Lublina, kazali wychodzić z wagonów. Pamiętam, że obcy ludzie chcieli mnie zabrać do siebie, uratować. Mówili, że wszyscy zginieemy. Nie wiedzieliśmy, że idziemy do obozu śmierci, do Majdanka.

Jak pan zapamiętał moment wejścia do obozu?

– Pamiętam, że otworzyli drzwi wagonu i zobaczyłem tłum przerażonych ludzi. Niemcy stali w szeregu z psami i z bronią w ręku. Każdemu kazali się ustawiać. Dzieci, kobiety i mężczyźni – wszyscy osobno. Oderwali mnie wtedy siłą od mamy. Nie mogłem nic zrobić. Zabrali nas do łaźni. To było okropne. Niemieccy żołnierze lali nas wodą. To był wrzątek. Do dziś słyszę krzyk poparzonych dzieci. Dobrze, że miałem starsze rodzeństwo, nie pozwolili mi tam iść do tej wody.

Jak wyglądały baraki?

– Spaliśmy na drewnianych piętrowych łózkach, przykryci jednym kocem. Ściany były ciemne, pokryte słomą. Smród był okropny. Do jedzenia dostawaliśmy tylko ziemniaki i brukiew.

Długo trwała ta gehenna?

– Cztery miesiące. Wyszliśmy stamtąd chudzi jak palec. Rodziców mogłem zobaczyć dopiero, gdy nas wywozili na roboty do Niemiec. Wtedy nas znowu połączyli ze sobą. Bo okazało się, że Majdanek to był tylko etap przejściowy – tam czekaliśmy właśnie na wywózkę na roboty do Niemiec.

Jak wyglądała droga do Niemiec?

– Nie wiadomo, gdzie nas wieźli. Długo jechaliśmy pociągiem aż w końcu wysiedliśmy w Magdeburgu. Zabrali nas do wielkiej hali, gdzie staliśmy z innymi rodzinami. Przyszli kupcy i zaczęli sobie wybierać, kogo

kto chciał, jak niewolników. Chodził po hali duży kulawy mężczyzna i stanął przy nas. Popatrzył: ojciec, matka i nas pięcioro. Dużo rąk do pracy. Spytał ojca, czy potrafi pracować na roli i kiedy ten odpowiedział że tak, zabrał nas ze sobą. Pojechaliśmy z nim do miasta Dreileben, tam pracowaliśmy.

A jak zapamiętał pan wasze życie na robotach?

– Rodzice pracowali, ale my – dzieci też. Codziennie wstawaliśmy o 9:00 i tak do 11:00. Zbieraliśmy jajka, siano czy koniczynę. A potem bawiliśmy się z niemieckimi dziećmi. U gospodarza było dobrze. On nigdy nikogo nie uderzył i szanował nas. Jednak, kiedy przyszło wyswobodzenie, Amerykanie bez pytania zabierali wszystkich obcokrajowców. A nasz gospodarz płakał i nie chciał, żebyśmy wyjeżdżali. Zabrali nas najpierw do Magdeburga, później wieźli do Hanoweru. Mieszkaliśmy w domach po Niemcach. Byliśmy tam tylko miesiąc. Następnie ulokowano nas w koszarach w Kassel. Jednak i tam długo nie zostaliśmy. Później wywieźli nas w głąb Bawarii. Było tam osiedle, ponad sto domów. Wszystkich Niemców wysiedlili. Amerykanie zawsze nam dawali po nich ciuchy: buty, spodnie i wszystko, co na kogo pasowało. Tam zacząłem chodzić do szkoły, w której uczyło dwóch polskich księży. Przystąpiłem także do pierwszej komunii świętej.

Rodzice chcieli wracać do Polski?

– Mogliśmy jechać do Francji, Anglii lub zostać w Niemczech. Jeden amerykański major nam mówił, aby nie jechać do Polski, bo tam są Ruscy. Ojciec chciał jechać do Ameryki, ale mama uparła się, że wracamy do Polski. Amerykanie wsadzili nas do wagonów i wieźli przez czeską Pragę i przywieźli do Dzierżyc w Polsce. Na każdej stacji ochraniali nas przed grasującymi złodziejami żołnierze amerykańscy. Nikt nie miał prawa dojechać do wagonu, jak był przystanek. Mogliśmy zostać we Wrocławiu. Cała rodzina mojego ojca tam była. Jednak jechaliśmy dalej w Polskę: Katowice, Zielona Góra, Szczecin. Aż trafiliśmy do Szczecinka. Miałem wtedy 11 lat.

Chciał pan kiedyś wrócić do Kostopola?

– Mój brat cioteczny był z wycieczką w Kostopolu. Nie zostało tam już nic. Najpierw wszystko Niemcy spalili, później Ukraińcy poprawili. Boję się tam wrócić. Gdzie ja się zatrzymam? Byłbym bez niczego. Kto mnie tam obroni? Tutaj będzie moja mogiła. Tam nie ma już Polski.

Ale wojna dawno się skończyła, żyjemy w innych czasach...

– Ja nie chcę tej rany otwierać. Po co miałbym to robić?

Może po to, by się wyleczyć?

– W Szczecinku czuję się bezpiecznie. A tam, co bym zobaczył? Jedyne nasz staw, trawę, las. Tyle z tego zostało. W Szczecinku skończyłem szkołę, zdobyłem zawód i znalazłem piękną żonę. Wychowaliśmy trzech synów. Tu spokojnie mi się żyje.

Czy można rzeź wołyńską nazwać ludobójstwem?

– Tak! Ale oni się nie zgadzają! To byli zbrodniarze! Ja nie mam pretensji do tych, co urodzili się po wojnie. Oni teraz przejrzeni na oczy, że źle zrobili. No, ale co ja mogę? Oni dopiero teraz poszli po rozum do głowy.

A wybaczył im pan?

– A co ja mam teraz do gadania? To bez znaczenia, kto z tych zbrodniarzy jeszcze żyje?

Dostał pan jakieś odszkodowanie za utracony majątek?

– Tylko od Niemców jako poszkodowany przez III Rzeszę. Za Wołyń nie dostałem nic. Złożyliśmy do powiatu dokumenty, później to poszło do wojewody i do Koszalina. Któregoś razu przyszło pismo, że przydzielono nam dom w Bornym Sulinowie jako zadośćuczynienie. Cała ziemia i las na Kresach były wycenione na stare pieniądze na 4 miliony. Był rok 1993, kiedy Rosjanie opuszczali Borne Sulinowo.

Ale Borne Sulinowo to miejscowość leżąca koło Szczecinka, a nie na ziemi wołyńskiej?

– No właśnie, tak chcieli nam zapłacić. Szkoda gadać.

Może jednak warto było to wziąć?

– To był ładny budynek, piętrowy. Tylko wewnątrz trzeba było wyremontować. Jak poszliśmy do gminy, okazało się, że nie możemy wziąć całego budynku, tylko jedno mieszkanie. Rosjanie chcieli nam oddać to, co należało do Polski. Obiecali, że mogą wypłacić nam 20% wartości naszego majątku. Później było z tym za dużo roboty. Musiałem jeździć i załatwiać wszystkie papiery. Aż w końcu stwierdziłem, że nie chcę nic, dałem spokój i wszystko przepadło. Wyprowadzono nas z naszej ziemi, a my za to nic nie dostaliśmy. Po tym zmienialiśmy tylko mieszkania. Na Wołyniu trafiały się żydowskie, później niemieckie, ale nigdy nie mieliśmy swojego kąta na dłużej. Cała moja rodzina jest rozproszona po całej Polsce. A moja Ojczyzna i miejsce, gdzie chcę spędzić resztę swojego życia, jest tu, gdzie jestem, przy żonie.

Władysław Gleń (ur. 1935) – mieszkaniec Szczecinka, przed wojną mieszkał w Annowalu na Wołyniu.

z EMILIĄ GRABOWSKĄ-GRZĄDZIEL rozmawiała Alicja Bulkiewicz

PRZYRODNICZE A, B, C

(2016)

Jak wiosenne motyle w brzuchu tłumaczy nauka?

Rozmowa z biologiem, panią Emilią Grabowską-Grządziel.

Zacnę od banałów. Romantyczna wizja wiosny to zielen i śpiew ptaków. Ale chyba nie wszystkie ptaki śpiewają i jak to się dzieje, że świat nagle staje się zielony?

– To prawda, nie wszystkie ptaki śpiewają. Tę zdolność mają te z rzędu wróblowatych. Mają one specyficzną budowę podniebienia i krtani wyposażonej w mięśnie głosowe. To umożliwia wydawanie głosów godowych, potocznie nazywanych śpiewem. Wiosną usłyszymy: słowika, rudzika, skowronka, kosa, drozda, jemioluszkę, strzyżyka i wiele innych. Co do zieleni głównym sprawcą zamieszania jest światło słoneczne i zjawisko fotoperiodyzmu, czyli reakcje roślin na czas trwania światła i ciemności. Dzięki temu rośliny zaczynają produkować duże ilości chlorofilu, zielonego barwnika.

Wdychamy powietrze i mówimy, czuć wiosnę, co tak naprawdę wychwytuje nasz węch?

– Wiosna to okres, gdy kwitną kwiaty, świat staje się kolorowy. Dookoła unoszą się słodkie zapachy żonkili, hiacyntów czy tulipanów. Młoda trawa wydziela mnóstwo soków. Wiosenny deszcz oczyszcza powietrze. To wszystko buduje niepowtarzalny klimat, taki przyjemny i rześki.

Czy nasz organizm tak bardzo przyzwyczajony do wygód cywilizacji jest przygotowany na zmiany zachodzące w przyrodzie? I jaki mają one na nas wpływ?

– Cywilizacja cywilizacją, a natura i tak robi swoje. Jesteśmy jak supermaszyna dostosowująca się do warunków środowiska. Zegar biologiczny jest zestrojony z porami roku. Jest on uaktywniany też dzięki światłu. Ma wielki wpływ na samopoczucie.

Robimy w tym czasie porządki w domu, w ogrodach. Czy to ma też związek ze światem natury?

– Oczywiście, że tak. Niektóre zwierzęta budzą się ze snu zimowego lub wychodzą ze stanu hibernacji. Sarny szykują się do porodów, które nastąpią w okolicach kwietnia, maja. Malutkie zajączki już się rodzą, a ptaki muszą wic gniazda lub naprawiać stare. Zaczynają się tańce godowe.

Już od kwietnia na ulicach widać ludzi w lżejszych strojach, w radosnych kolorach. W przyrodzie jest podobnie?

– Zwierzęta tak jak ludzie przygotowują się na nadejście pór roku. Dlatego zmienia się kolor futra czy upierzenia. Zmiana futra jest pożyteczna, bo pozwala wtopić się w otoczenie i zmylić drapieżników. Płeć męska stroi się w piórka, by zaimponować samicom. Wybrany zostanie ten z najładniejszym upierzeniem, najlepiej śpiewający, z największym porożem itd.

Ile jest prawdy w tym, że nasze samopoczucie zależy od promieni słonecznych?

– To stuprocentowa prawda. Każdy z nas choć raz odczuwał wpływ dni pochmurnych na złe samopoczucie. Jesienią i zimą większość ludzi tęskni za słońcem. Gdy promienie się pojawią, pojawią się uśmiech. Słoneczny dzień to optymizm i ochota do życia. Promienie słoneczne emitują ciepło. Dostępność światła jest ważna dla kości. Słońce daje nam witaminę D. Rośnie ilość serotoniny, nazywanej hormonem szczęścia. Jedną z metod leczenia zaburzeń depresyjnych jest terapia światłem. Poprawa samopoczucia wzmacnia też system odpornościowy. Według fizjologa dr Agnieszki Wsół melatonina wpływa na zachowanie seksualne. Wiosną, w związku z obniżeniem jej stężenia odblokowują się ośrodki wydzielające hormony płciowe. Dlatego po zimie zwierzęta i ludzie rozpoczynają poszukiwania partnerów.

A jakich zmian w przyrodzie my ludzie nie możemy dostrzec?

– Bardzo ważna i niezauważalna na co dzień jest ewolucja życia na Ziemi. Wszyscy wiemy, że zachodzi, ale trudno dostrzec jej poszczególne stadia.

Jak daleko od natury jest dzisiaj człowiek?

– Człowiek XXI wieku to głównie konsument. Chce więcej i więcej. Czerpie z przyrody, nie dając nic w zamian. Prerażony, gdy choć na godzinę wyłączą prąd. Nie chce zbliżyć się do natury. Posłużę się słowami Bertolda Kittela: „Czas sobie zdać sprawę, że wchodzimy w uliczkę bez wyjścia. Nasze samochody, telewizory, satelity, czy zwykłe tostery i maszyny do krojenia chleba spowodowały, że staliśmy się gatunkiem nieprzystosowanym do życia w symbiozie z przyrodą i jako taki powinniśmy wyginać”. Jednak widzę światelko w tunelu, zmienia się prawo, powstają organizacje, które aktywnie działają na rzecz ochrony przyrody, zwiększa się świadomość ludzka i potrzeba zmian.

Emila Grabowska-Grządziel (ur. 1978) – dyplomowana nauczycielka biologii w kaliskim Liceum, szesnastoletni staż pracy, od sześciu lat przewodnicząca zespołu matematyczno-przyrodniczego. Jej uczniowie wielokrotnie zwyciężali w różnorodnych konkursach związanych z biologią i ekologią, niektórzy z nich związali swoją przyszłość z medycyną, farmacją, dietetyką i weterynarią.

z ANNA WILCZYŃSKĄ rozmawiali: Patrycja Sobczak, Wojciech Fedorowicz, Magda Wyrzykowska

WIEDZA ZAMIAST NIENAWIŚCI

(2017)

„Sprzedaje się wszystko, aby wysłać jedną osobę w nieznaną. Najczęściej jest to mężczyzna, bo jest to daleka i niebezpieczna podróż. Trzeba przeżyć transport na łodzi i drogę na piecho” – o uchodźcach mówi Anna Wilczyńska, dziennikarka. Na co dzień pracuje z muzułmanami i jeździ na Bliski Wschód. Biegłe mówi po arabsku, pisze do polskich tytułów o tej kulturze, przełamując barierę strachu i uprzedzeń.

„Nie wszyscy muzułmanie to terroryści, ale wszyscy terroryści to muzułmanie”. Co pani o tym sądzi?

– Bardzo wygodne są dla nas takie stwierdzenia. W samym islamie mamy tak ogromną różnorodność, że właściwie i z jedną i z drugą stroną tej tezy mamy problem. Nie wszyscy muzułmanie to terroryści, to na pewno. Właściwie dla każdego kraju musielibyśmy rozważać to zupełnie osobno.

Dobrze. Uporządkujmy to. Islamista to...?

– Jest to osoba, która bada islam i zajmuje się nim pod kątem naukowym.

Czy osoba, która wyznaje islam to też islamista?

– Nie. To muzułmanin.

Ciapaty to...?

– [śmiech] Nie ma to nic wspólnego z islamem, to bardzo rasistowskie określenie. Do islamu ma się nijak, koczowniczość to powinno z jedzeniem dalszej części Azji.

Dżihadysta to...?

– Dla muzułmanów pojęcie to jest rozległe. Niektórzy muzułmanie powiedzą, że dżihad to walka ze swoimi słabościami, grzechami i próba stania się lepszym człowiekiem. Mówi się, że terroryści to głównie dżihadysty

i to pokazuje, jak bardzo tego nie rozumiemy. Jest też inne tłumaczenie. Dżihad to walka z wrogami islamu, która w gruncie rzeczy powinna być walką obronną.

A jest?

– Dla muzułmanów w Afganistanie zamachy terrorystyczne są walką obronną ich ziem i religii w związku z najechaniem USA na ich teren. Dla nas przemoc wobec niewinnych jest zła. Ciężko to moralnie ocenić. Musielibyśmy przyrzeć się konkretnym osobom i grupom. To wszystko jest skomplikowane, a my bardzo to upraszczamy stereotypami.

Czy uważa pani, że ludzie oceniają muzułmanów zazwyczaj negatywnie, nie wiedząc, kim oni właściwie są?

– Często tak, ale nie byłabym taka surowa. Jest to skutek niewiedzy na ten temat. Uczymy się wyłącznie o swoich wojnach i religii.

Więc co powinniśmy robić, aby to zmienić?

– Musimy popracować nad swoją wiedzą. Idealnie, gdyby każdy miał możliwość spotkania się z muzułmaninem i zadania mu pytań. Książki nam wszystkiego nie wytłumaczą. Doktryna a postępowanie to dwie inne sprawy. Chrześcijanin też różnie postrzega wiarę. Warto podróżować, ale spotkanie z muzułmaninem byłoby najlepsze.

Jeden z mitów mówi, że skutkiem przyjęcia muzułmańskich uchodźców do Polski będzie to, że kobiety będą musiały chodzić w burkach, naszym narodowym daniem stanie się kebab, a modlić będziemy się w kierunku Mekki.

– Po pierwsze nie wszystkie muzułmanki chodzą w burkach, bo islam pozwala swobodnie interpretować *Koran*, tak jak nam sumienie podpowiada. Kebab jest daniem tureckim, nawet nie we wszystkich krajach muzułmańskich się go spożywa [*śmiech*].

Niektóre dzielnice Paryża czy Brukseli zamieniły się w getta. Co zrobić, aby nie stało się tak w przypadku uchodźców ewentualnie przyjętych do Polski?

– Miałam okazję być we Francji i w Niemczech w dużych obozach dla uchodźców. Niestety, niektóre państwa, w pewnym momencie przestały się nimi interesować. Uchodźcy mieszkali zazwyczaj na przedmieściach miast, gdzie była duża przestępczość. Chcąc się odnaleźć w tym miejscu, często wsiąkali w złe towarzystwa i chodzili do dużo gorszych szkół na peryferiach. Potrzebny jest krok z obu stron. Przyjęci uchodźcy muszą pozwolić sobie pomóc, ale też zaoferować coś od siebie. Lokalni mieszkańcy muszą się w to włączyć. Wystarczy zwykle „dzień dobry”, a od razu poczują się lepiej.

Dlaczego według pani Polacy w zdecydowanej większości postrzegają muzułmanów jako „brudasów” i gwałcicieli?

– Niestety, prawie nie interesujemy się państwami islamskimi. Z drugiej strony, gdy w mediach pojawi się coś na ich temat, chłonimy absolutnie wszystko. Jest to duża przeszkoda, mamy bardzo mało wiedzy profesjonalnej.

Jak możemy ją zdobyć?

– To nie jest straszny wysiłek. W Polsce od dawna mieszkają rodziny muzułmańskie, są w każdym większym mieście. Możemy sobie z nimi pogadać. Nie musimy spędzać dwóch godzin nad książką. Tylko podejść i zapytać, jak to jest np. z kobietami w islamie.

A Internet i gazety?

– Czytać jest zawsze dobrze, ale nie można wierzyć we wszystko w stu procentach. Zawsze warto wszystko konsultować z żywym, doświadczonym człowiekiem.

A może to partia rządząca tworzy zły wizerunek uchodźcy w Polsce?

– Myślę, że partia rządząca wie tyle samo, co przeciętny Polak. W dużej mierze nie znają się na tym temacie i nie sięgają do opinii ekspertów.

O pokój w Europie, a szczególnie w Polsce, trzeba było walczyć. Polacy pytają więc, dlaczego niby mamy przyjmować do swojego domu tych, którzy od wojny uciekają, zamiast w niej uczestniczyć?

– Tworzymy różne bajki mówiące, że ludzie powinni walczyć, zamiast uciekać. Jest to skutek naszej niewiedzy na temat wojny w Syrii. Jeżeli zapytamy Syryjczyka: „Którzy są twoi?”, to on nie będzie w stanie odpowiedzieć. Każda z tych stron ma już tyle za uszami. Mordy, wykroczenia, zagrywki polityczne, że właściwie niektórzy ludzie nie utożsamiają się z żadną ze stron.

No bo szczerze mówiąc, czy to w porządku, że dorośli mężczyźni zamiast walczyć i bronić rodzin przyjeżdżają do nas sami?

– Jest to efekt dwóch rzeczy. Ceny legalnego przejścia albo przemytu i ich kultury. Jest to niesamowicie drogi interes. Trzeba sprzedać cały swój dobytek, żeby pozwolić komuś wyruszyć w tak daleką i niebezpieczną podróż.

Czyli co? Mężczyzna jedzie i zostawia rodzinę z niczym?

– Tak. W krajach arabskich normalne jest to, że gdy ktoś traci dach na głowę, to dalsza rodzina przyjmuje go do siebie. Jest bardzo ciasno i niewygodnie, ale nie ma wyjścia. Często się tak zdarza. Sprzedaje się wszystko, aby wysłać jedną osobę w nieznaną. Najczęściej jest to mężczyzna, bo jest to daleka i niebezpieczna podróż.

Trzeba przeżyć transport na łodzi i drogę na pieszo. A kobieta z dzieckiem ma mniejsze szanse na przeżycie czegoś takiego. W tej kulturze jest przekonanie, że na kobiecie spoczywa cały ciężar honoru rodziny. Jeżeli kobieta zostanie zgwałcona, to hańbą okrywa się cała rodzina. Mężczyźni mają ciężkie zadanie – muszą przebyć długą i niełatwą drogę, a jest to drogie i bardzo niebezpieczne.

No i też nie zawsze spotykają się z miłym powitaniem.

– Różnie to jest. W Niemczech wita się ich raczej pozytywnie. Jest program „Korytarze humanitarne”, który polega na transporcie najbardziej potrzebujących osób w bezpieczne miejsca. Te osoby są wielokrotnie sprawdzane, żeby była pewność, że to one są właśnie najbardziej poszkodowane.

Jak powinniśmy postępować? Przyjmować uchodźców, czy pomagać na miejscu w ich macierzystych krajach?

– Jedno drugiego nie wyklucza. Jeżeli nie będziemy udzielać pomocy w krajach, gdzie są konflikty, to ten napływ się nie skończy. Ludzie tam są tak zdesperowani, że wezmą każdą okazję. Przepływanie na pontonach przez Morze Śródziemne to akt absolutnej desperacji. Byłam w miejscu, skąd wyruszają te łodzie i to jest jeden wielki cmentarz.

Doświadczyła pani hejtu dotyczącego pani pracy i specjalizacji?

– Tak. Z jednej strony usprawiedliwiam to, bo ludzie mało wiedzą o islamie. Rzadko zdarza się, że ktoś w twarz powie coś niemiłego. O wiele częściej są to niemiłe komentarze w Internecie. Ale w tych komentarzach widać niewiedzę. Wkurza mnie to czasami, ale to jest długi proces i w jeden dzień nie nauczy się trzydziestu ośmiu milionów ludzi tego tematu.

Anna Wilczyńska (ur. 1989) – arabistka i tłumaczka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, podróżuje po Bliskim Wschodzie, pisze reportaże, prowadzi blog Islamista, za pośrednictwem którego objaśnia wiele zjawisk związanych z islamem, współpracuje z wieloma tytułami, m.in. z „Tygodnikiem Powszechnym”.

z WIKTOREM Blichowskim rozmawiał Daniel Morcinek

NIEDOŚWIADCZONE DOŚWIADCZENIA

(2017)

*„Nie ma terminu: »był uzależniony«. Pewnych zmian w psychice nie da się zmienić”
– o uzależnieniach i pracy nad sobą w rozmowie z „Kontrastem”
certyfikowany terapeuta uzależnień Wiktor Blichowski.*

Jak nasze dzieciństwo może wpłynąć na pokusy uzależnień?

– Znany psycholog John Bowlby zdefiniował teorię przywiązania. Zajmował się wpływem relacji rodzic-dziecko. Zdecydowanie się z nim zgadzam. Rodzice mają najważniejszy wpływ na rozwój dziecka i na to, jak będzie funkcjonowało w życiu dorosłym. Dzieciństwo to najważniejszy punkt naszego rozwoju. Od narodzin do trzeciego roku życia. Wtedy zaczynają tworzyć się relacje, a dziecko tego najbardziej potrzebuje. To jest najważniejszy kawałek życia. Zaczynamy uczyć się wartościowania. Jeżeli mamy wszystko, czego potrzebujemy, nie musimy szukać tego w przedszkolu czy szkole. Jednak w pewnym momencie życia wszystko się zmienia. Potrzebujemy zaistnieć jako osoba. Więc zaczynamy się buntować. Musimy przez to przejść. Odcinamy się wtedy od swoich rodziców. No i następuje moment wyboru. Pójdziemy w świat narkotyków albo nie. Wiadomo, że kilku rzeczy nie wolno: pić czy palić. Człowiek zaczyna kombinować, aby zobaczyć, jak to jest.

Co decyduje o wyborze?

– Jest dużo zmiennych decydujących o wyborze, chociażby środowisko. Gdy jest okazja zapalić, wypić, robić to w grupie wtajemniczenia, zaczyna się wchodzenie w ryzykowny kawałek życia. Niektórym osobom „nic” nie będzie. Próbuja, doświadczają i zostawiają. Ale niektórzy mogą się uzależnić. Wszystko dla tej przyjemności, jaką daje substancja lub czynność. Nikt by przecież nie próbował, gdyby nie ten fakt. Młodzi ludzie nie są zmuszani przez życie do używania, przecież nie mają aż tak trudnych sytuacji. Wszystko zależy od naszych decyzji. Są badania, które pokazują, że młodzi ludzie sięgają po pierwszy kieliszek szampana w domu. Zaczynają myśleć, że skoro mi w domu wolno, to poza domem mogę coś więcej.

Dlaczego naśladujemy naszych rodziców?

– To jest jedyny wzorzec, jaki znamy. Wszystko to, co robimy w początkach życia, jest naśladowaniem. Większość chłopców uważa, że jak tata pali, to jest oznaka dorosłości, bo on może, a my nie. To jest naturalne, bo od kogo mamy się uczyć? Oczywiście, zdarza się iść do innego domu kolegi czy koleżanki. Kiedy mamy osiem lat, to widzimy, że te domy są jakieś inne. Wtedy dziecko zastanawia się, co jest normalne. To, co u mnie w domu, czy u znajomych. Uczymy się od rodziców, jak żyć, co jest prawidłowe i jak się zachowywać.

Wiadomo, że nie zawsze musimy być tacy jak rodzice. Oni mogą popadać w uzależnienia, my nie. Co wpływa na to, że nie jesteście tacy jak oni?

– Klasycznie to może być tak: dziecko ma rodzica, który np. pije alkohol. Przekazy rodzicielskie są takie: „Nie pij, bo to szkodzi!”. Jeśli dziecko widzi, co alkohol robi z ludźmi, mówi sobie: „Nie, ja nigdy nie chcę być taki/a jak oni”. Bywają też sytuacje, gdzie w bardzo zdrowej rodzinie jest dwoje dzieci, syn i córka, w domu nikt nie pali, nie pije, a chłopak szybko – jako nastolatek – wszedł w używanie substancji i w efekcie się uzależnił.

Dlaczego tak się dzieje?

– Ojciec był nieobecny, bo ciągle pracował. Taki „zimny wychów”. Masz wszystko, ale nie to czego potrzebujesz. Brak relacji, którą znajdujesz poza rodziną. Opuszczony chłopak odkrył, że jego koledzy świetnie się bawią w swojej grupie, i coś tam używają... Substancje psychoaktywne „wypełniają” tę pustkę, przenoszą do innego świata. W domu można mieć opiekę, ciepło i spokój. Ale poza domem spotykasz się z czymś innym. Z czymś atrakcyjnym, co pociąga, fascynuje, nie jest nudne i monotonne. Osoby, które nie doświadczają miłości w domu, odnajdują ją właśnie tam. To, co powiedzą kumple, bardziej się liczy niż to, co mówią rodzice.

Kiedy można nazwać kogoś osobą uzależnioną?

– Uzależnienie jest wtedy, kiedy pomimo jakiejś straty, nadal to robimy. Na przykład spotkanie z kolegami. Jedno, drugie, trzecie piwo i nikomu nie zaszkodziło, tylko jednej osobie. Ból głowy, czyli informacja z organizmu była. Po dwóch dniach chłopcy znów mówią: „Dawaj, idziemy na piwo!”. W odpowiedzi: „Nie, nie idę”. No i od razu jest komentarz: „No co ty stary, odpadasz?”. Jeśli pójdę z nimi, to będę musiał pić tyle co oni. Pomimo tego poszedł na piwo.

Wszystko dla popularności...

– Może być. Po to, aby zaistnieć, ludzie robią to, co im szkodzi. Każdy z nas chce być popularny. Czasami słyszymy informację: „wszyscy biorą”, co jest kompletną bzdurą. Narkotyki zażywa zdecydowana mniejszość. No, ale koledzy przecież mówią: „Dawaj, bierz!”. Zaczynamy im wierzyć i myśleć: „Skoro ja nie biorę, to będę gorszy?”. Może się skończyć na jednym razie lub nie, niestety.

Czyli nie zawsze środowisko nami kieruje?

– Zdecydowanie. Jak już jesteśmy uzależnieni, kieruje nami substancja. Mam takiego jednego pacjenta, który pierwsze, co robi po pracy, otwiera piwo. Potem następne, obiad, coś robi i znów pije. I do późnego wieczora jest wstawiony. Rano budzi się i nie wie, czy może jechać do pracy główną drogą, czy bocznymi. To substancja decyduje o stylu życia. Jak ma ochotę się napić, to zrobi wszystko, by się napić. Pokłóci się z żoną, żeby wyjść albo zadzwoni do przyjaciela, cokolwiek, aby to zrobić.

Człowiek sam decyduje.

– Jak najbardziej, czasami z problemowych rodzin wychodzą osoby, które nigdy nie tknę alkoholu ani nic z tych rzeczy.

Co tak naprawdę daje uzależnienie?

– Zapytaj każdego, kto miał z tym do czynienia. Daje ci „coś”, czego nie doświadczysz w świecie rzeczywistym. Ja wiem, że przede wszystkim oszukuje. To są doświadczenia, odloty, których realnie nie będziesz miał. W prawdziwym, rzeczywistym świecie myślisz prosto, jesteś poukładany. Różnorodne substancje powodują, że jesteś w odmiennym stanie świadomości. Albo z niego wyjdiesz, albo nie wyjdiesz.

Czyli chęć ucieczki z tego świata?

– Niektórzy chcą uciec z tego świata albo przeżyć jeszcze raz to, czego doświadczili wcześniej pod wpływem substancji. Paradoksem jest jednak to, że nigdy nie doświadczy się tego, czego by się chciało. Arnold Mindell uważa, że odmienny stan świadomości to jest niedoświadczony doświadczenie. Im częściej zażywa się substancji, tym mniejszy ma się kontakt ze świadomością. Człowiek nie pamięta, co się stało, czyli nie doświadczył tego, po co pił czy brał! Podczas leczenia osobom uzależnionym ciężko jest to zrozumieć. Bardzo często nie jest to ucieczka, ale próba odnalezienia czegoś. Doświadczenia czegoś, czego nigdy tak naprawdę nie doświadczymy.

Jak zaczyna się leczenie osoby uzależnionej?

– Zaczyna się od diagnozy uzależnienia, ale praca z uzależnionym to przede wszystkim poszukiwanie jego własnej motywacji. Jednak bardzo wielu uzależnionych nie zaczyna leczenia. Po decyzji zaczyna się praca z motywacją, następnie robimy diagnozę uzależnienia i plan terapii. Wszystko to sprowadza się do pracy nad zmianą. Nie oznacza, że pacjent już nigdy nie wróci do czynnego używania. Cały czas musi mieć kontakt z grupami wspierającymi – AA, AN. A przede wszystkim musi zrozumieć i poznać swoje uzależnienie. Praca polega też na odnalezieniu wartości: co dalej, jak żyć w trzeźwości? Sporo klientów mówi, że już nic nie ma, że wszystko stracili. Wtedy odpowiadam, że można zacząć od nowa, skoro nie mają, wszystko można zbudować na nowo.

Kiedy uzależniony najczęściej decyduje się na terapię?

– To są graniczne momenty. Musi przyjść kryzys. Alkoholik często dochodzi do kryzysu nazywanego dnem. Musi najpierw go dotknąć, doświadczyć, zauważyć i wówczas może podjąć decyzję: leczyć się lub nie, czyli popełniać samobójstwo przez picie alkoholu. W narkotykach jest tak samo.

Podczas terapii zmienimy swoje myślenie, znajdziemy cel, będziemy bardziej świadomi, ale co ze środowiskiem?

– Mogę odwołać się do własnego przykładu. Sam nadużywałem alkoholu. Po terapii nie zmieniłem pracy, rodziny. To się dzieje z czasem. W pracy powiedziałem o swoim problemie i miałem z tym spokój. Nie zmieniłem rodziny, jedynie część z nich (pijący) nie bardzo chciała ze mną utrzymywać kontakt. Uzależniony musi wiedzieć, być świadomym, że najważniejsze jest nieużywanie substancji. Wtedy nic nie jest w stanie tej decyzji zmienić. Gdy przestaniesz używać substancji, dotychczasowe środowisko samo będzie odchodzić. Dzisiaj nie mam tych kumpli, co kiedyś, niektórzy nie chcieli mieć ze mną kontaktu, z innymi ja nie chciałem utrzymywać znajomości. Zostali ci, którzy wspierają świat bez substancji. Nawet moi bracia rzadko mnie odwiedzają..., ale to już inna historia.

Czyli pan już nie jest uzależniony?

– Nie ma w terapii terminu „był uzależniony”. Pewnych zmian w psychice nie da się zmienić. Zawsze to może wrócić. Dlatego ważne jest, by należeć do grup samopomocowych. Abstynencję utrzymuję od 32 lat.

Wiktor Blichowski (ur. 1960) – certyfikowany instruktor terapii uzależnień, w Ośrodku Profilaktyczno-Terapeutycznym NaProgu w Szczecinie i Złotowie prowadzi terapię indywidualną i grupową, od kilkudziesięciu lat współpracuje z Komisjami Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, lektor Komisji Edukacji Fundacji Batorego.

z ROBERTEM GÓRSKIM rozmawiała redakcja „Kontrastu”

ORDER ORŁA BIAŁEGO DLA ROBERTA GÓRSKIEGO

(2017)

„Kabaret jest wciąż sztuką niedocenianą. Uwielbiam tę formę, łączy w sobie teatr piosenki i potrafi reagować na to, co dzieje się na bieżąco. Mamy w Polsce piękną tradycję kabaretową”.

Dlaczego spotykamy się tu, w warszawskiej w Harendzie, czy to jakieś specjalne miejsce?

– Jesteśmy w miejscu, gdzie moja przygoda z kabaretem się rozpoczęła. Byłem wtedy studentem polonistyki i stawiałem swoje pierwsze kroki.

Czyli nie chciał pan zostać nauczycielem?

– Robiłem wszystko, by nie uczyć w szkole. Tak jak każdy student polonistyki myślałem, że będę pisarzem. Najlepiej poetą. I w ten oto sposób zostałem autorem tekstów satyrycznych.

Robert Mazurek mówił, by pana zapytać, dlaczego powinien pan dostać Order Orła Białego?

– Tak, obiecałem sobie, że zacznę od przemowy na ten temat [*śmiech*].

To dlaczego Robert Górski powinien dostać tę nagrodę?

– Bo już mam swoje lata, pierwsze siwe włosy, a kabaret jest wciąż sztuką niedocenianą. Uwielbiam tę formę, łączy w sobie teatr piosenki i potrafi reagować na to, co dzieje się na bieżąco. Mamy w Polsce piękną tradycję kabaretową. I dodam, że zostałem ostatnio przez pewne oglądające mnie małżeństwo porównany do Juliana Tuwima, za samo porównanie należy mi się jakiś order [*śmiech*].

Może gdy Adrian (prezydent w Uchu Prezesa) wejdzie do prezesa bez czekania, to się pan doczeka?

– Nie wiem, co będzie, czy wejdzie. To wie tylko pan prezes prawdziwy.

Występuje pan w tym serialu, w kabaretach na dużej scenie, na spotkaniach bardziej kameralnych. Czym się różni sposób żartowania w takich sytuacjach?

– Trzeba mieć przed oczami widza i wiedzieć, kim on jest. Pamiętam nasz pierwszy występ na festiwalu w Opolu w *Kabaretonie*, kiedy graliśmy po Marcinie Dańcu. On był wtedy u szczytu popularności. Cztery razy bisował, a po nas występował kabaret OT.TO, który też świętował sukces. I wyszliśmy my, wtedy jeszcze studenci. Na dzień dobry zaśpiewaliśmy piosenkę i widziałem, jak wszyscy wychodzą po kiełbasę, po piwo. Patrząc w plecy tych ludzi, pomyślałem sobie, że następnym razem nie będziemy śpiewać piosenek. Więc niestety trzeba się dostosować.

Jaka jest recepta na radzenie sobie z tremą przed widownią?

– Najlepiej nie występować [*śmiech*]. Pamiętam, jak mój kolega, Tomek Jachimek wystąpił w Opolu i został niemalże wygwizdany. Nie jest to przyjemne. Nie każdy ma dar i umiejętności radzenia sobie z tłumem, bo każdy ma inne poczucie humoru.

A pan jakie ma poczucie humoru?

– Myślę, że dosyć uniwersalne, tak widzę to po reakcji publiczności. Przychodzą ludzie i bardzo młodzi, i starszankowie, i ludzie z dziećmi, więc chyba temu nasz kabaret zawdzięcza popularność przez tyle lat. Oczywiście, najlepszymi widzami są nasi rówieśnicy, bo nas łączą wspólne tematy. Ostatnio zrobiliśmy serial *Ucho prezesa*, który dodał nam sławy i popularności.

Skąd biorą się tematy do tekstów?

– Między innymi z historii opowiadanych przez artystów na trasach. Jest wspaniała książka Stefanii Grodzieńskiej, mówi w niej o swoich występach estradowych w latach sześćdziesiątych. Okazuje się, że od tamtych czasów niewiele się zmieniło. Tematy są takie same. Stefania Grodzieńska opisuje historię, kiedy wychodzi na scenę, powiedzmy w Kołobrzegu i mówi: „Witam państwa w Koszalinie”, no i się wszystko chrzani, bo wczoraj była w Koszalinie. Widownia tego nie wie, ludzie są w Kołobrzegu i nie są zachwyceni taką pomyłką. Koledzy jej kiwają, ona się błyskawicznie orientuje, że coś jest nie tak i dodaje: „Tak bym powiedziała jeszcze wczoraj, ale dzisiaj jesteśmy w Kołobrzegu” [*śmiech*].

A stresuje się pan jeszcze przed występem?

– Nie, nie mam stresu, chyba że muszę zaśpiewać piosenkę. Wtedy czuję, że muszę zrobić coś, czego nie umiem, wtedy tak.

To jak zaśpiewać, gdy się nie umie śpiewać?

– Jest takie powiedzenie, że nie sztuką jest zaśpiewać, gdy się potrafi. Jak się w ten sposób zapowiem, to jest mi więcej wybaczone.

Czy mam pan takie momenty, że chce się pan śmiać na scenie?

– Wielokrotnie. Wszystko jest śmieszne wtedy, jak mówi się śmieszne rzeczy poważnym głosem. Często bywa tak, że coś ci wpadnie do głowy i się tam dołoży jakieś słowo, jakieś zdanie i jak się widzi kolegę, który się śmieje, tobie też ciężko się powstrzymać.

Ile w tym prawdy, że artyści kabaretowi improwizują i nie trzymają się scenariusza?

– To zależy od sytuacji. Gdy jest występ telewizyjny, trzymamy się scenariusza, bo jesteśmy umówieni, staramy się nie przekroczyć czasu, bo to jest na żywo. Publiczność lubi jednak, jak artysta się „zagotuje” na scenie. Oczywiście nie za często, bo są tacy, co specjalnie pod publikę się „gotują”, żeby odebrać jakieś oklaski.

Nie zawsze są oklaski, na przykład *Ucho Prezesa* ma swoich hejterów, jak pan sobie z tym radzi?

– Staram się tego nie czytać, bo hejt jest wszędzie i rzeczywiście sto osób napisze coś miłego, a jedna napisze coś okropnego czy krytycznego i człowiek myśli o tym jednym, że coś tam źle zrobił. Nie można się tym przejmować i sugerować, warto zapamiętać uwagi, ale takie, mające jakąś wartość. Gdy ktoś pisze, że robię ten serial za żydowskie pieniądze, to co mam z tym zrobić?

Może odpowiedzieć?

– Ale tak myśli jakiś margines. Nasz serial ma w tej chwili sto milionów wejść i nie spotkało mnie na ulicy ani razu nic nieprzyjemnego w związku z tym. Przeciwnie, zbieram same wyrazy sympatii.

A jeśli chodzi o cenzurę, czy pan to komuś daje do czytania, żeby zobaczył, czy nie jest za przesadnie?

– Jako autor sam siebie cenzuruję, bo wiadomo, czasem potrzeba żartu jest tak dogłębna, że człowiek zapomina się w tym wszystkim i na scenie też powie za dużo, więcej niż się chciało. Taka zwykła potrzeba rozśmieszenia publiczności czy wzbudzenia jakiejś reakcji, więc sam sobie wystawiam cenzurę.

A co by już nie przeszło?

– Nie mamy w *Uchu Prezesa* ani słowa o Smoleńsku, ten temat tam nie istnieje, uznaliśmy na dzień dobry, że nie będziemy się tym zajmować, bo nic dobrego z tego nie wyjdzie. Nawet w dobrej wierze, podejmując ten temat, można zablądzić.

A gdyby *Ucho Prezesa* emitowano w TVN albo Polsacie?

– To wszyscy by powiedzieli, że wiadomo, po której stronie autor stoi i komu sprzyja.

Nie proponowali?

– Nie staraliśmy się o to. Miałem spotkanie z dyrektorem z Drugiego Programu TVP, który zaproponował przeniesienie tego serialu do telewizji, tylko z taką sugestią, że fajnie by było dokręcić drugi serial, który opowiada o życiu opozycji. Przez wiele lat robiłem w telewizji publicznej *Posiedzenia rządu*. To było jakoś tam

popularne, ale nie było czymś takim, czym obecnie stało się *Ucho prezesa*. Wydaje mi się, że miało trochę lżejszą formę. Myślałem sobie, że będzie to kontynuacja *Posiedzenia rządu* w formie internetowej, ale jak widać po popularności tych wszystkich youtuberów, życie przeniosło się z telewizji do Internetu. Młodzi ludzie rzadko oglądają telewizję. Sukces mojego serialu m.in. polegał na tym, że ma taką formę. Taki dwunastominutowy serial w telewizji po prostu by przepadł, musiałby trwać co najmniej pół godziny.

Czyj był to pomysł, żeby właśnie w ten sposób wystartować?

– Ja sobie wymyśliłem, żeby coś zrobić w Internecie, korzystając z tej „dobrej zmiany”, która nas z telewizji publicznej wypchnęła. Nawet się z tego trochę ucieszyłem, bo już miałem dosyć. Pomyślałem, że fajnie jest coś zrobić bez oglądania się na dyrekcję, na całą strukturę, to daje niezależność. Robiliśmy wszystko za swoje pieniądze, tak jak uważamy, jak nam się podoba.

Pan dobierał wszystkich aktorów?

– Nie, to mój wspaniały kolega, który odtwarza postać Mariusza [Mikołaj Cieślak – przyp. „Kontrast”]. Podzieliliśmy obowiązki i to on przeszukuje Internet w poszukiwaniu osób, które pasują do oryginałów.

Czy wszyscy aktorzy zgodzili się zagrać, czy ktoś odmówił?

– Jeśli ktoś odmawiał, tłumaczył się brakiem czasu, no i zakładamy, że rzeczywiście tego czasu nie miał, bo ci ludzie są strasznie zapracowani. Chyba tylko Agata Kulesza powiedziała, że nie, bo chciała chyba odpocząć już.

Ile osób pracuje nad przygotowaniem jednego odcinka?

– Cała masa. Na początku wyobrażałem sobie, że to będzie taka prosta produkcja, jakieś tam biurko, w jakimś tam pomieszczeniu i dwie kamery. Tymczasem wzięliśmy takiego reżysera, który powiedział, że trzeba to zrobić porządnie. Później przyniósł nam listę płac wielu ludzi, którym trzeba zapłacić za pracę. Wśród nich był np. ostrzyciel.

Kto taki?

– No też pomyślałem sobie, po co nam ostrzyciel, co trzeba nam naostrzyć? Okazało się, że trzeba naostrzyć obraz. To taki człowiek, który siedzi obok operatora przy kamerze i wybiera obiekt, który ma być akurat ostry, czyli istotny. Ekipa składająca się z co najmniej dwudziestu osób, oprócz aktorów. Sumując to wszystko, cena jednego odcinka to jakieś 40-60 tysięcy zł. A dochodzą jeszcze koszty dodatkowe, gdy np. trzeba wynająć kaskaderów.

Możemy liczyć na jakiś spoiler w związku z *Uchem Prezesa*?

– Wiem, że będzie drugi sezon, jesteśmy umówieni na 16 odcinków.

No to w końcu uda się wejść prezydentowi do gabinetu?

– To bardzo ciekawe pytanie [*śmiech*]. Myślę sobie o zrobieniu filmu na podstawie *Ucha Prezesa*, którego bohaterem będzie prezydent – Adrian, bo wydaje się najciekawszą postacią. Musi pokonać w pewien sposób samego siebie, żeby się usamodzielić. Więc myślę, że to wspaniała postać, trochę tragiczna, ale oczywiście też komediowa.

Robert Górski (ur. 1971) – twórca kabaretowy, współzałożyciel i autor wielu tekstów Kabaretu Moralnego Niepokoju, scenarzysta i odtwórca głównej roli w serialu internetowym *Ucho Prezesa*.

ze STEWARTEM SNEDDENEM rozmawiał Nikolas Richter

GOLF NIE TYLKO DLA BOGATYCH

(2018)

Wielu Polaków twierdzi, że nie gra w golfa, dlatego że ten sport jest za drogi. Czy to prawda?

– Wbrew pozorom nie jest to drogi sport. To jednorazowy zakup sprzętu, który może służyć przez wiele lat. Wejście to koszt ok. 100 zł., ale na greenie możemy spędzić nawet pięć godzin. Dla porównania dwutygodniowy wyjazd na narty jest droższy niż gra w golfa raz w tygodniu przez miesiąc.

To skąd się bierze ta opinia?

– Według mnie ten stereotyp jest spowodowany brakiem wiedzy. Większość osób, które tak uważają, widziały grę jedynie w amerykańskich filmach. Swoją drogą Ameryka jest właśnie najdroższym krajem do gry w golfa, pola golfowe są tam zazwyczaj w centrum miasta, co powoduje właśnie wzrost ceny za granie.

A jak jest w Szkocji?

– Inaczej. Dla przykładu Szkocja – *fatherland* golfa jest jednym z najtańszych miejsc do gry. Pola golfowe rosną tam jak grzyby po deszczu. Co ciekawe, Polacy nie są świadomi, że ich kraj jest także jednym z najtańszych miejsc do gry w golfa. Właśnie dlatego gra tu wielu zagranicznych golfistów.

Kiedy po raz pierwszy miał pan styczność z golfem?

– W golfa grałem już w szkole podstawowej. Wynika to z faktu, że w Szkocji golf jest traktowany podobnie jak piłka nożna w Polsce. Uczymy się grać już od najmłodszych lat. Właśnie dlatego Szkocja nie ma dobrego zespołu w piłce nożnej i podczas meczu np. z Anglią Szkoci obstawiają, do ilu dziś przegrają [*śmiech*].

Za to w golfie mistrzowie?

– Jeżeli spojrzymy na tabelę wyników jakiegoś większego turnieju w golfa, to prawie zawsze znajdziemy jakiegoś Szkota w czołówce.

Czemu akurat Polska?

– Artur Gromadzki – właściciel Modrego Lasu szukał kogoś z doświadczeniem, żeby poprowadził jego nowe pole golfowe, więc wybrał się do kraju, gdzie to wszystko się zaczęło, do Szkocji. Tam skontaktował się ze mną i zaproponował mi nową pracę. Nie wiedziałem za wiele o golfie w Polsce i jak to wygląda. Teraz myślę, że przybyłem, żeby upowszechnić grę w golfa w Polsce i przełamać stereotypy.

Trudno jest opanować grę?

– W golfie potrzebna jest duża zręczność, precyzja i koncentracja. Nie należy do łatwych sportów, jest absorbujący, angażuje wszystkie mięśnie, wymaga koordynacji i synchronizacji różnych części ciała jednocześnie. Doskonalenie techniki jest pracochłonne, ale jednocześnie bardzo satysfakcjonujące. Do tego podczas gry na pełnym, osiemnastodołkowym polu, można spalić około dwóch tysięcy kalorii. Dla porównania: godzinna jazda na rowerze to 400 spalonych kalorii, 90-minutowy mecz piłki nożnej – 1200 kalorii, a godzinny bieg – 700 kalorii.

No proszę, a większość myśli, że tam się chodzi w białych spodniach i patrzy, gdzie piłka spadnie...

– To obraz z amerykańskich filmów [*śmiech*].

Dlaczego golf jest tak bardzo popularny na całym świecie?

– Nie ma innego takiego sportu na świecie, w którym dwóch zawodników o różnym poziomie umiejętności i zaawansowania może ze sobą rywalizować, w którym amator może grać razem z zawodowcem i co więcej, może z nim wygrać. Ludzie wybierają ten sport głównie po to, żeby miło spędzić czas na świeżym powietrzu. Chcą mieć odskocznnię od codziennego życia, od wszystkich spotkań biznesowych i stresu związanego z pracą.

Jak na co dzień porozumiewa się pan z kolegami z pracy oraz innymi golfistami?

– To jest właśnie piękne w golfie. Bez względu jakiej jesteś narodowości, gdzie mieszkasz i jakim językiem posługujesz się na co dzień, na polu golfowym dogadasz się na całym świecie. Wszyscy wiedzą, co to jest *par*, *birdie* czy *green*. I nawet gdy Włoch powie: „buca”, Czech: „jamka”, Polak: „dziurka” to wszyscy wiedzą, że chodzi o „hole”. Ten specyficzny język określający rodzaje kijów, miejsce na polu golfowym, czy rodzaj uderzeń jest zrozumiała na całej kuli ziemskiej. To łączy ludzi. To ich zbliża.

Jakie wpadki zdarzają się golfistom?

– Mówiąc szczerze to ostatnio szukałem białego tuszu do drukarki, ale pamiętam też najzabawniejszą wpadkę golfową. Podczas jednej lekcji, którą prowadziłem, chciałem udowodnić uczniom, że nie jest istotne jak mocno się uderzy w piłkę, tylko ważna jest technika. Chciałem im pokazać, że nawet najmocniejszym strzałem nie pošlemy piłki daleko. Na moje nieszczęście po mocnym zamachnięciu główka od kija oderwała się, a piłka poleciała ponad 250 metrów.

Czy golfiści tworzą o sobie dowcipy?

– Według polskiej etykiety golfowej nie powinno robić się czegoś takiego. Podczas słabego strzału partnera, golfiści powinni zachować kamienną twarz i się nie odzywać. Sytuacja ma się inaczej w Szkocji. Podczas słabego strzału jednego z golfistów reszta najczęściej z niego szydzi, a on śmieje się razem z nimi. Takie zachowanie traktujemy tam bardzo luźno. W Polsce by to nie przeszło.

To teraz pytanie poważne. Jak się panu udało zatańczyć z księżną Dianą?

– Co roku rodzina królewska pragnie podziękować wszystkim Szkotom za ich służbę i organizuje przyjęcie na ich cześć. Zjeżdżają się wtedy wszystkie najważniejsze osoby w kraju m.in. cała rodzina królewska, premier, politycy oraz inni celebryci. Każdy z trzech oficerów ma przydział w innym roku, czyli się wymieniamy. Właśnie w podziękowaniu za służbę, oficerowie są zapraszani na tańce z rodziną królewską. Przygotowania, próby do nich trwają miesiące przed. Na moje szczęście byłem idealnie przygotowany, dlatego właśnie niczym się nie stresowałem. Wydaje mi się, że nawet nie pomieszałem żadnych kroków [*śmiech*].

Pana plany na przyszłość?

– Tak jak już wcześniej wspomniałem, jednym z moich celów jest upowszechnienie golfa w Polsce. Chciałbym, żeby w polskich szkołach też była możliwość uczenia się gry w golfa, tak samo jak w Szkocji. Dlatego właśnie jeżdżę po szkołach, żeby pokazać, jakim pięknym sportem jest golf.

To może przyjedzie pan do nas?

– Jestem gotowy, dajcie tylko znak, kiedy.

Stewart Snedden (1965–2019) – był dyrektorem pola golfowego Modry Las w Choszcznie, które już od kilku lat utrzymuje swoją pozycję w rankingach najlepszych pól golfowych w Europie. Od 2012 roku był profesjonalnym graczem. Był także strażnikiem rodziny królewskiej, a nawet udało mu się zatańczyć walca z księżną Dianą. Po 27 latach służenia w siłach powietrznych Wielkiej Brytanii, wybrał grę w golfa jako swój następny cel w życiu. I przyjechał do Polski.

z ARTUREM ANDRUSEM rozmawiała redakcja „Kontrastu”, opracowanie: Maria Wiewiórkowska

KABARET W RMF CLASSIC

(2018)

„Wszystko już o mnie powiedzieli, wszystko wam pokazali w radiu. To co ja jeszcze mogę opowiedzieć? O sobie? Nie.... To nie będzie ciekawe” – tak skromnie mówi Artur Andrus, który pasję połączył z pracą i wciąż zaskakuje słuchaczy swoimi artystycznymi pomysłami.

Czerpie pan inspiracje z polityki?

– Nie, niechętnie. W *Szkle kontaktowym* co prawda trochę siada się i rozmawia jak u cioci na imieninach. Nikt się tam do końca nie zna na polityce, bo nie chodzi o to, żeby zajmować się tematem poważnie, tylko żeby spuścić z tego powietrze. Program powstał, kiedy były głośne afery, jeszcze za czasów SLD. Wtedy atmosfera wokół polityki była taka, że to jest bagno. I *Szkle kontaktowe* zostało stworzone nie po to, by ocieplać wizerunek polityków, tylko żeby powiedzieć, że są ważniejsze rzeczy niż polityka i należy się z tego śmiać!

Więc czerpie pan pomysły głównie z życia?

– Tak. Jest taka moja piosenka *Przy kościele Santa Croce*. Pojawiła się w radiu informacja, że burmistrz Florencji wydał polecenie, że w porze obiadowej w okolicach kościoła Santa Croce mają wyjeżdżać polewaczki, żeby turyści nie obsiadali otoczenia. Kiedy usłyszałem taką wiadomość, pomyślałem, że to świetne i napisałem tak: „Los się plecie jak warkocze / Każdej chwili życia szkoda / Przy kościele Santa Croce / Woda. // Nie da się żyć samą nadzieją / Trzeba i chleba czasami zjeść / A we Florencji leją i leją. / Leją i leją i cześć!”. Nigdy nie wymyśliłem niczego, co by było rzeczą zupełnie abstrakcyjną.

Pisanie przychodzi panu lekko?

– Bywa bardzo różnie. Piosenka, która dała mi popularność – *Pilem w Spale, spałem w Pile* – może być odpowiedzią na wasze pytanie. Kiedyś jechałem przez Spałę i to hasło wpadło mi do głowy, zapisałem i leżało

przez dwa lata. Potem wyniknęła taka sytuacja, że miałem tydzień, by wystąpić w telewizji z nową piosenką, której nie miałem, więc dopisałem do tamtej myśli resztę, w jakieś dwadzieścia minut.

Czy brak weny to brak pracy?

– Nie ma takiej możliwości, bo jest termin. Audycja musi się ukazać. Mam też tak z pisaniem piosenek. Nie piszę piosenek, bo wstaję rano i myślę, dzisiaj jestem w dobrym humorze. Wiem, że za tydzień mam wystąpić w programie telewizyjnym, w którym mam zaśpiewać nową piosenkę. Wtedy nie mam wyjścia, siadam i piszę. Marysia Czubaszek zawsze mówiła, że do niej wena przychodzi, kiedy ma trzy niezapłacone rachunki. Andrzej Poniedziałki mówi, że do niego wena przychodzi, kiedy czuje chłód lufy przystawionej do skroni.

Gdyby teraz ktoś panu zagroził i kazał napisać piosenkę, zrobiłby to pan?

– Zależy, czym by mi zagroził [*śmiech*]. Od stycznia w RMF Classic będziemy robić piosenki jednodniowe.

Brzmi co najmniej dziwnie...

– Będziemy szukać materiałów, na przykład w wiadomościach czy informacjach i z tego będę starał się pisać piosenkę na bieżąco.

Często brakuje panu pomysłu na tekst, na pytania do rozmowy podczas audycji?

– Pewnie że tak. Są takie sytuacje, że myślę: „Boże, z kim ja bym teraz pogadał?”. I nawet jak pomysłów jest tysiąc, to trzeba też mieć pretekst do rozmowy. To są proste preteksty – to się nowa płyta ukazała, to ktoś zagrał w jakimś filmie albo jakiś nowy program się pojawił. Ale czasami jest pustka, szczególnie kiedy z niektórymi się już kilka razy rozmawiało i każdy kolejny raz jest trudniejszy. Trudniejszy o tyle, że muszę mieć świadomość, że na pewno słuchają tego ludzie, którzy słuchają nas pierwszy raz i ja nie mogę przeprowadzić rozmowy w sposób: „Wiesz dwa lata temu już o tym rozmawialiśmy, to już to zostawmy”. Każda z tych rozmów, mimo że któryś raz z tą samą osobą, jest tak naprawdę robiona na nowo. Ale z drugiej strony, kiedy się z kimś rozmawia już dziesiąty raz, nie można zadawać w kółko pytań o to samo. Muszę więc znaleźć złoty środek.

Jak się pracuje panu w RMF-ie?

– Tutaj pojawiłem się od niedawna, bo większość swojego życia spędziłem w innym radiu – w Trójce. Trochę się pozmieniało i teraz w RMF Classic przygotowuję audycje, rozmawiam z ludźmi. I to jest właściwie, jeżeli miałbym mówić o zawodzie dziennikarza, najfajniejsza rzecz, że można spotkać ludzi, których by się nie spotkało nigdzie indziej. Nie byłoby okazji, żeby tak podejść na ulicy do kogoś, do swojego ulubionego piosenkarza czy aktora i powiedzieć mu: „Proszę pana, ja bym chciał z panem pogadać”. A w radiu jest pretekst, żeby zaprosić i spytać o cokolwiek. Ja nigdy nie zajmowałem się innym rodzajem dziennikarstwa. Nie robiłem analiz ekonomicznych, audycji politycznych, tylko od samego początku sobie wymyśliłem, że jak będę pracował jako dziennikarz to po to, żeby mieć z tego jak najwięcej przyjemności – z poznawania ludzi.

Od jakiej osoby zaczął pan tę przygodę?

– Moja praca zaczęła się od wywiadu z Wojciechem Młynarskim. Strasznie chciałem go poznać. Uwielbiałem jego piosenki i pomyślałem, że kiedyś pójde do niego na rozmowę. I właśnie na studiach dziennikarskich mieliśmy moment, że musieliśmy coś przynieść na zaliczenie na koniec semestru. Zadzwoiłem więc do Teatru Ateneum, spytałem pana Młynarskiego, czy by się zgodził, że jestem studentem dziennikarstwa. Wymyśliłem, że jedno pytanie do niego napiszę wierszem, w rytm jego piosenki *Mile Panie i Panowie bardzo mili*. Spytałem go, czy ktoś zadawał mu pytania wierszem. Z lekkim niepokojem na mnie spojrział i powiedział, że jeszcze nikt tego nie robił. Powiedziałem, że ja będę pierwszy i podsunąłem mu kartkę, gdzie miałem je zapisane.

Jak zareagował?

– Zapytał, czy sam to napisałem. Przytaknąłem, na co odrzekł: „Gratuluję, bardzo przyjemnie jest to zrymowane” i odpowiedział wierszem na mój wiersz. Niektórzy, jak to teraz opowiadam, to sobie myślą, że my byliśmy prekursorami rapu. Nagrałem więc mój wywiad i zaniósłem na zaliczenie i dyrektor Programu Czwartego Polskiego Radia wysłuchał tego. Szczęśliwie się złożyło, że on też był fanem Młynarskiego. Zapytał, czy nie chciałbym mieć audycji w Polskim Radiu. I tak dostałem pracę.

Jaki właściwie zawód pan uprawia?

– To jest zawód, który jest na pograniczu jakiejś twórczości i jakiegoś rzemiosła, w którym liczą się takie rzeczy, jak: szczęście, trafienie w odpowiednim momencie do odpowiedniego miejsca. Dość specyficzne rzeczy robię w radiu, bo się zajmuję także kabaretem, satyrą. Dzięki temu sam zacząłem występować na scenie. Praca połączyła się z pasją.

Artur Andrus (ur. 1971) – dziennikarz i prezenter telewizyjny i radiowy, również poeta, pisarz, piosenkarz, autor tekstów i artysta kabaretowy, w latach 1994–2017 związany z Programem Trzecim Polskiego Radia, od 2018 roku pracuje w RMF Classic.

z JAROSŁAWEM MODZELEWSKIM rozmawiała redakcja „Kontrastu”,
opracowanie wywiadu: Weronika Mazur

JEŚLI CHCESZ BYĆ MALARZEM...

(2018)

*O powstawaniu obrazów i o swojej pracy twórczej,
a także pracy ze studentami Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie
opowiada profesor Jarosław Modzelewski.*

Czy malarz podobnie jak poeta kieruje się czymś takim jak natchnienie?

– No właśnie, skąd się bierze ten obraz? [*śmiech*] Ja muszę mieć taki czas, kiedy mi nic nie będzie przeszkadzać.

Bo są tacy malarze, którzy mówią, że idą do pracy...

– No właśnie, ja jestem za tym. Muszę tak pracować nad obrazem, żeby wiedzieć, co na nim będzie, co się na nim zdarzy. Czasem trwa to bardzo długo. Jak się ktoś mnie pyta, ile pan maluje obraz, mogę powiedzieć, że zdarza się, że jeden dzień, ale przygotowuję się bardzo długo, bo muszę mieć to wszystko w głowie. Potem oczywiście, gdy zaczyna się ten proces, koncepcja może się zmienić, bo obraz już jako rzeczywistość zaczyna też wymagać, jak się położy farbę.

Co dla malarza jest najważniejsze: zmysły, wrażliwość, doświadczenie?

– Siatka pewnych narzędzi: zaplecze intelektualne, oko, wiedza i doświadczenie. Chociaż doświadczenie z czasem zaczyna przeszkadzać, człowiek się starzeje i robi się ostrożny.

Wspominał pan, że źródło pana malarstwa to obojętność i tęsknota. Czego dotyczy ta tęsknota?

– To są chyba takie doświadczenia niemożności wejścia w coś. To właśnie jest obojętność świata. Taka obojętność, że my żyjemy, nasz los się wypełnia, a świat, mam na myśli pełną rzeczywistość, jakby żyje obok. Zamkniesz oczy i drzewa rosną, zamkniesz oczy – deszcz pada. I tak ta przestrzeń między mną, moją psychiką, a rzeczywistością zewnętrzną, jest nieusuwalna.

Jak wygląda przenoszenie tych przemyśleń na płótno?

– Jest wielki strach przed zaczęciem obrazu, wielki strach, po prostu przerażenie. Przynajmniej ja tak mam. Strasznie się boję zacząć malować i często jest tak właśnie, że zacznę i widzę, że idzie dobrze. I wiem, że to jest bardzo złudne. Ta pierwsza uroda tych pierwszych ułożeń i szkiców może poprowadzić na manowce, a schody zaczną się dopiero później [*śmiech*].

Zdarza się panu malować na zlecenie, czy takie sytuacje są tylko do odrzucenia?

– Zdarza się i to czasami jest nawet ciekawe. Byle nie za często. Malowałem na przykład rektora Uniwersytetu Warszawskiego, profesora Grzegorza Białkowskiego, który był fizykiem. Skojarzyłem go ze Stefanem Gierowskim w tle, ciekawa to była praca.

A jak coś nie jest po pana myśli, zamalowuje pan swoje obrazy?

– Czasami, ale potem żałuję.

Łatwo jest się z nimi rozstać, sprzedając je. Myśli pan wtedy, niech idą do ludzi?

– Tak, niech idą w świat. Duże wrażenie robi zobaczenie ich po latach. To tak jakby się kogoś bliskiego znowu spotkało i to są czasami bardzo wzruszające momenty. Niedawno trafił na aukcję obraz, którego od początku lat 80., czyli ponad 30 lat, nie widziałem. Podszedłbym go pocałować, ale wisiał wysoko, więc dałem spokój [*śmiech*]. To są bardzo pozytywne emocje, bo wtedy odżywają te okoliczności, ten czas, kiedy to powstawało.

Jest pan silnie związany z Warszawską Akademią Sztuk Pięknych. Jak studiowanie na ASP Pana ukształtowało?

– Studiowałem u profesora Stefana Gierowskiego, który uprawia malarstwo abstrakcyjne, ale z jego pracowni wyszło wielu różnych artystów. Nigdy nie było u nas, że tak powiem, przemocy. Zwracał uwagę na rzeczy, które były dla niego najistotniejsze i wszystko jedno, czy malowało się figuratywnie, czy abstrakcyjnie, te wartości były zawsze zobowiązujące i ważne. Natomiast mnie się wydaje, że w największym stopniu to ukształtowały mnie właśnie przyjaźnie, współpraca między kolegami, nami studentami. To zbudowało pewne wspólnoty, które niesłuchanie zaważyły na moim losie.

Dlaczego został pan profesorem na akademii?

– To trudne pytanie. Chyba to ewoluowało. Początki były takie, że znalazło się trochę pracy i można było parę groszy zarobić, bo to były ciężkie chwile. Te pierwsze 7-8 lat to były czasy Gruppy, kiedy właściwie ona była dla mnie ważniejsza niż praca ze studentem. Odwalało się czarną, asystencką robotę i właściwie żyło czymś innym, ale z czasem to się zmienia i zaczyna się bardziej doceniać pracę ze studentami. Oni myślą odmiennie, bo przynoszą nowe doświadczenia, wszystko się weryfikuje, bo widzisz siebie na tle tych zmieniających się pokoleń, doświadczeń, relacji. To jest też jakaś wzajemna zależność.

Pracując ze studentami, jakie treści pragnie im pan przekazać?

– Jestem bardzo przywiązany do takich wartości jak doświadczenie i praca. Chcę, żeby oni studiowali z obserwacji i pracowali. Patrzyli na kolory, na przestrzeń, kto tam siedzi i jak to skonfrontować z płaszczyzną. Trzeba to poprzez obserwację zredukować do dwóch wymiarów. To jest praca nad tym, by poradzić sobie z przestrzenią, ze światłem. To są doświadczenia, których bez pracy nigdy się nie wymyśli. Po prostu trzeba przez nie przejść – normalnie, fizycznie przejść. Zwracam na to uwagę w pracowni, by studenci przez to przechodzili i to jest najtrudniejsze, bo im się nie chce [*śmiech*].

Za chwilę spotka się pan z tymi, którzy bronią swoje prace dyplomowe. Jak Pan wspomina swój dyplom?

– To był szczególny okres w historii, robiłem swój dyplom w latach osiemdziesiątych i mieliśmy problemy z cenzurą, taką uczelnianą. Miałem propozycję wyróżnienia, którego mi nie przyznano, koledze ocenowano tytuły. To zapada w pamięć i stawia tę pracę dyplomową w innej perspektywie. Ale na zawsze zostaje ona jakimś punktem odniesienia.

A istnieje dzisiaj cenzura?

– Myślę, że nie. Przynajmniej nie w takim sensie, jak wtedy. Istnieje autocenzura, jakieś decyzje, które łamią konwencje, ale bardziej w charakterze obyczajowym, mniej politycznym. Były takie dyplomy, które okazywały się artystycznym wstrząsem, kontrowersyjne, na przykład Katarzyny Kozyry.

I jakie stanowisko zajął pan profesor w tym sporze?

– Raczej krytyczne.

To jakiej wskazówki udzieliłby pan młodym artystom?

– Trzeba zachować spokój. Nawet, jeśli dyplom nie jest fajerwerkiem, to może być ważnym etapem w ich rozwoju. I tego należy się trzymać.

Jarosław Modzelewski (ur. 1955) – malarz, rysownik, uczeń Stefana Gierowskiego, wykładowca w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, w latach 80. był współtwórcą formacji artystycznej Grupa, nazywany jest „malarzem ikon codzienności”, jego obrazy oglądać można m.in. w Muzeum Narodowym w Warszawie, Krakowie i Poznaniu oraz Narodowej Galerii Sztuki Zachęta.

z MARIANNĄ WIŚNIEWSKĄ rozmawiali: Wojciech Fedorowicz i Natalia Sobczak

ZMIANA POKOLEŃ

(2018)

Pani Marianna Wiśniewska wkładała w swoją pracę wiele serca i cierpliwości.

Była wychowawczynią sześciu klas, w zawodzie przepracowała 42 lata, z czego 35 w kaliskim Liceum.

Czy z bycia nauczycielem się wyrasta?

– Posłużę się przykładem. Znaście Bartka Jaworka? Teraz miał przerwę semestralną, przyszedł do mnie z szampanem, z czekoladą. Przychodzi do mnie od szóstej klasy szkoły podstawowej, a jest na drugim roku studiów. Powiedział mi, że brakuje mu spotkań ze mną, przyszedł porozmawiać.

Czyli jest pani potrzebna?

– Różnie jest, niektórym nauczycielom do końca zostaje nawyk pouczania, ale ja mówię, gdy ktoś zapyta. Nieraz człowiek wyskoczył i dostał po nosie, to już wie, że nie wolno.

Nie poucza pani, ale naucza?

– Staram się nie pouczać, a nauczanie to inna sprawa.

Jednak, gdy idzie pani koło liceum, serce żywiej bije?

– Oczywiście, jeszcze w czasie emerytury prowadziłam trochę lekcji. Niektórzy koledzy odradzali, mówili: „Marysiu, gdzie ty idziesz, nie idź. Kochałaś młodzież i szkołę, obrzydzisz sobie”. Nie wierzyłam im. Jednak faktycznie było inaczej.

Gorzej?

– Zaczęły się telefony komórkowe, plaga. A jak wy sobie z tym radzicie?

Trzeba zapytać nauczycieli [śmiech].

– Wy nie wiecie, jak to jest. Przygotowuje się lekcję, chce się uczniom coś przekazać i nikt się na tym nie skupia, oni tylko siedzą w ławkach z telefonami.

Nie możemy już od tego uciec.

– To nie mój świat. Wiecie, kiedy mi jeszcze serce zapika? Poszłam na zastępstwo i zobaczyłam cały mój gabinet, który urządzałam latami, w kurzu, na strychu.

Teraz mamy inne możliwości, są specjalne programy komputerowe, ogląda się wszystko na ekranie.

– Wiem, że czas minął, ale niektóre rzeczy można jeszcze wykorzystać. Są pewne plusy tej rewolucji, nie zaprzeczam. Na przykład zakładasz słuchawki na uszy i słuchasz, czego chcesz.

Jakie były pokolenia, które pani wychowywała?

– Wspaniałe!

Na pewno też dawali w kość...

– Mieli fantazję. Zacznę od historii z samochodem. Ale bez nazwisk! [śmiech] Było tak. Kolega moich chłopaków ze starszej klasy, Marcin, a konkretniej jego ojciec, miał malucha. W tamtych czasach ktoś, kto miał malucha, był bogaczem. Kiedyś przyjechał nim na dyskotekę, chciał się popisać. Chłopcy nudzili się, na tańce ich nie brało, zrobili mu psikusa. Przystawili ten samochód na kratę. Kiedy to zrobili, nieszczęście, krata się urwała i maluch wpadł do dziury.

Coś z niego zostało?

– Musiał być trochę odnowiony [śmiech]. Karoseria się zniszczyła, powgniatą, chryja niesamowita! Poprosiłam ojca Marcina, by nie robił niczego pochopnego, obiecałam, że załatwię chłopakom pracę, zarobią i zapłacą.

A sprawcy stali wtedy jak potulne baranki?

– Pozwieszali głowy. Faktycznie załatwiłam im pracę i zapłacili. Tak się skończyła impreza.

Takich historii na pewno było więcej...

– Mam ich trochę w pamięci. Na przykład wyjście na koncert symfoniczny w Kaliszu. Miałam zaprowadzić młodzież do ośrodka kultury, ale coś miałam jeszcze do załatwienia. Poprosiłam, by poszli sami, a ja ich dogonię. Wzięłam rower, żeby być szybciej, a moja klasa, wedle moich przeczuc, zeszła w boczną uliczkę. Zapytałam ich: „I co już po koncercie? Nie było artystów?”. Stażeli jak wryci. Cisza.

I jak to pani rozwiązała?

– Na lekcji wychowawczej powiedziałam im, że niczego ich nie nauczyłam i oddaję wychowawstwo. Boże, jakie przepraszenie wtedy było!

Trzeba nieraz krzyknąć!

– Nie trzeba! Tak samo było na wycieczce w Zakopanem. Młodzi chcieli iść na dyskotekę. Zgodziłam się pod jednym warunkiem: chłopcy z dziewczynami – razem. I razem wracają. Czekałam na nich lekko przerażona. Za godzinę byli pod drzwiami. Chcę powiedzieć, że do młodzieży trzeba mieć zaufanie.

Brała pani uczniów w obronę, nawet gdy broili?

– Bywało tak. Rodzice chłopaków, którzy rozbili malucha, nic nie wiedzieli. Może później się im przyznali. Ale jest jeszcze lepsza historia z chłopcami z Mirosławca. Wspaniali chłopcy, mam z nimi kontakt do dziś. Jeden miał wtedy urodziny. Do szkoły dojeżdżali pociągiem. Po drodze do szkoły wstąpili sobie na piwko. Solenizant postawił, no i wiadomo było wesoło. Przed obecną „Biedronką” był taki domek pewnej babci i rozlatujący się płot. Chłopaki po sztachecie wyrwali i udawali rycerzy. Rano w szkole już była policja. Poprosiłam, by nic nie mówić dyrektorowi, że oni zrobią nowy płot i po sprawie. Inaczej wyszłoby na jaw ich picie. Chłopcy stanęli na wysokości zadania, nowiutki płot zrobili, jest do dzisiaj.

A jak wyglądały lekcje fizyki?

– Różnie. Bywało wesoło. Raz wchodzę na lekcję, robiliśmy ćwiczenia z optyki przy zasłoniętych oknach. Wchodzę więc, a na stołach palące się świece. Zapytałam, czy to pogrzeb, za chwilę spod ławek wychylili się uczniowie.

Rozstanie ze szkołą chyba nie było dla pani łatwe?

– Gdy odchodziłam na emeryturę, moi uczniowie byli wtedy w drugiej klasie i mieli kogoś dostać w zastępstwie. Przyszła cała delegacja do dyrektora, żeby mi przedłużył pracę. Jakoś tak się złożyło, że przy mnie maturę pisali. Fajni ludzie.

Jak wspominają panią i szkołę?

– Na zjeździe sześćdziesięciolecia miałam spotkanie z klasą. Jeden z moich wychowanków, jest teraz radcą prawnym, opowiedział, jak szykował się na zjazd. Wybierał krawat, żona prasowała mu koszulę, a syn zdziwiony zapytał, gdzie się tak szykuje. Odpowiedział, że na spotkanie z kolegami, a on zdziwił się i wypalił tak: „Jak ja skończę szkołę, nawet na nią nie spojrzę!”. No, o czymś to świadczy.

Może system edukacji jest zły?

– Dziś wszystko jest takie formalne. Nie ma między uczniami takiej więzi. Każdą rzecz załatwia się przez Internet.

Czy ktoś się zapisał w pani sercu szczególnie?

– Moje klasy. Zobaczcie, mam tu albumy ze zdjęciami. Bardzo często moje klasy się skrzykiwały i robiliśmy sobie spotkania. Na takim jednym stoimy pod szkołą i przybiega Krysia. Opowiada, gdzie kto siedział, nagle patrzy na mnie i mówi: „A ciebie nie pamiętam”. Wszyscy w śmiech! Potem pokazali mi, gdzie chodzili na wargi, gdzie palili papierosy. Po latach to są już dorośli, wykształceni ludzie.

Zawsze przeszłość się idealizuje i pamięta te przyjemne chwile...

– Pewnie macie rację, ale wiele się zmieniło. Ludzie powinni więcej ze sobą być, rozmawiać. To jest takie ważne. Gdybyście do mnie zadzwonili, chcieli rozmawiać przez telefon, to ja bym wam odmówiła. Kiedyś syn mnie upomniął, że opłaty można robić elektronicznie. Byłam oburzona, przecież ja mam radość z tego, że idę do banku. Spotykam tam swoje byłe uczennice, porozmawiamy. Już się nie zmienię. Nie chciałabym wrócić i znaleźć się w tych czasach jako nauczyciel. Młodzież jest trudniejsza w kontakcie. Mnie jest dobrze, gdzie jestem. Cieszę się życiem. Mam swój ogród, kwiaty, książki. Czytam dopóki oczy mi służą. Dla mnie papierowa książka pachnie i ja to uwielbiam.

Marianna Wiśniewska (ur. 1938) – nauczyciel fizyki, wychowawca wielu pokoleń absolwentów Liceum w Kaliszu Pomorskim. Jej wychowankowie wielokrotnie zdobywali indeksy na studia medyczne i politechniczne. W liceum przepracowała 35 lat, a w zawodzie nauczyciela łącznie 42.

z SZEWACHEM WEISSEM rozmawiała redakcja „Kontrastu”,
opracowanie: Szymon Naumiak i Magdalena Wyrzykowska

ŻYWA LEGENDA

(2018)

Sześćoletnie dziecko trafia niemal na rok do pomieszczenia, które ma szerokość około sześćdziesięciu centymetrów. Nie ma tam okien, a gdy chłopiec patrzy w górę, widzi jedynie sufit. Nikt go tam nie tuli, nie całuje, nikt się z nim nie bawi. Ma wszy i rany od drapania. Nie rozumie, dlaczego nie może stamtąd wyjść
– opowiada Szewach Weiss, profesor Uniwersytetu w Hajfie i były ambasador Izraela w Polsce.

Jaki jest najstraszniejszy obraz wojny, jaki pan pamięta?

– Sprawa pamięci jest trudna. Mam już 83 lata. Wydarzenia związane z wojną zacząłem opowiadać, pamiętając je, część znam z relacji rodziców. Teraz nauczyłem się o nich opowiadać. To nie jest tak, że można zrobić selekcję w swojej pamięci i zapomnieć pewne rzeczy, a o innych pamiętać, bo niestety pamięta się wszystko. Dzieje, o których wam opowiem, to dzieje setek tysięcy dzieci żydowskich. Ale nie tylko. Dotyczy to też Romów. Te dwa narody postanowiono po prostu zlikwidować. Ich losy były różne. Część Żydów została złapana i wepchana do getta, i tam umierali z głodu, z chorób i innych epidemii. A część zabito.

Jaka jest pana historia? Gdzie ukrywał się pan razem z rodziną?

– To właśnie u Polaków znaleźliśmy schronienie, jest to powód do ogromnej dumy dla tego narodu. Groziła im za to kara śmierci na miejscu. Jeżeli jakiś Żyd został złapany, całą rodzinę Niemcy brali do obozów zagłady. My mieliśmy szczęście w nieszczęściu. Mieliśmy przyjaciół – sąsiadów w Borysławiu. To jest miasto koło Drohobycza, dziś na Ukrainie. Teraz to ruina, ale kiedyś było tam pięknie. Miasto wielojęzyczne, wielokulturowe i wielowyznaniowe. Żyliśmy obok siebie: Żydzi, Ukraińcy, Polacy i Niemcy – razem 50 tysięcy mieszkańców. Podczas pogromów wpychali nas do getta, ponieważ zaczęły się likwidacje. Razem z rodziną chowaliśmy się na strychu, lecz i tak nie udało nam się uciec. Trafiliśmy do getta. Po pewnym czasie udało nam się stamtąd zbiec i wróciliśmy do naszego domu. Na początku ukrywaliśmy się w domu państwa Góralów, a potem w domu

państwa Potężnych. To byli nasi polscy sąsiedzi z Borysławia. Później chowaliśmy się u pani Lasotowej – naszej sąsiadki. Tam czekała na nas podwójna ściana, w której spędziliśmy kolejne osiem miesięcy.

Podwójna ściana?

– Między sklepem a magazynem była ściana o szerokości ok. 60 centymetrów aż do sufitu. Byliśmy tam w ósemkę. Było ciasno, ale dostarczano nam jedzenie. To jest niesamowita pomoc, jaką otrzymaliśmy od tych ludzi.

Jak żyć w takich warunkach?

– Nie było łatwo. Pamiętam jeden dzień. Leżałem wtedy na półce w tej podwójnej ścianie i przez szparę widziałem polskie dzieci, które szły do szkoły. Jeden trzymał lody. I ja sobie wtedy zadałem pytania, dlaczego jestem tu zamknięty, dlaczego nie jestem Polakiem? Nagle zacząłem krzyczeć: „Chcę cukierka!”. A tam nie było wolno nic mówić. Mój kochany tatuś wziął mnie do siebie, zasłonił usta ręką i szepnął: „Szewach, zrozum, jak ty będziesz krzyczał, ja będę cię musiał udusić, bo wszystkich nas tutaj zabijają...”. Tam skończyło się moje dzieciństwo. Miałem wtedy sześć i pół roku, i od tego czasu nie jestem już więcej dzieckiem.

Dzieciństwo to czas beztroski, w którym nie powinniśmy mieć żadnych zmartwień...

– Tak, lecz dla mnie był to stan głodu, strachu i poczucia ogromnej niesprawiedliwości.

A nie było w panu żalu do Polaków, ponieważ oni mogli sobie żyć normalnie?

– Zazdrościłem im, ale bardziej czułem chęć zemsty na Niemcach. To nie zmałało do dziś. Oglądając filmy z tamtych czasów i przypominając sobie te wszystkie uczucia, zastanawiam się, czy gdybym miał wtedy pistolet w dłoni, nie zabiłbym gestapowca. Nie oznacza to, że gdy spotykam Niemca w waszym wieku to go nienawidzę. On może być dobrym człowiekiem. Może jego rodzina też cierpiała przez Hitlera. Przecież Hitler szkodził tylu milionom Niemców, bo on też mordował swoich.

Biorąc pod uwagę wydarzenia Holocaustu, zgodzi się pan ze stwierdzeniem, że człowiek jest z natury zły, a bywa tylko dobry?

– Nie ma na to konkretnej odpowiedzi, każdy jest inny.

Jednak jest ta pamięć, której nie można się pozbyć?

– Tak, nie usuniesz jej. Nie czułem ogólnej złości na Polaków. Gdy po wojnie zamieszkałem z rodziną w Izraelu, słyszałem komentarze, że ich bronię, bo mnie uratowali, inni mieli mniej szczęścia. Zawsze miałem sentyment do tego kraju, dlatego kiedy pojawiła się możliwość w 2001 roku wyjazdu, postanowiłem wrócić do Warszawy jako ambasador.

Skąd taka propozycja?

– Przez pięć kadencji byłem posłem w parlamencie i przez półtora kadencji marszałkiem Knesetu. Premier Izraela, Ehud Barak, zaproponował mi wyjazd na służbę dyplomatyczną. Miałem trzy możliwości: Niemcy, Rosja i Polska. Powiedziałem mu, że jeżeli chce mnie wyrzucić z Izraela, to tylko do Warszawy. On na mnie spojrział i mówi: „Szewach, zwariowałeś? Ja ci proponuję Moskwę, Berlin, a ty Warszawa?”. Odpowiedziałem pytaniem: „Ehud, gdzie się urodzili twoi rodzice?”. Zrozumiał. Jego matka w Warszawie, tak samo jak ojciec.

A jakie były marzenia młodego Szewacha Weissa, gdy był pan w naszym wieku?

– W 1946 roku opuściliśmy Polskę. Zaczęliśmy swoją długą drogę do Palestyny, długo przed powstaniem Izraela. 5 grudnia 1947 roku nasz statek dotarł do Hajfy. Wysłano mnie do szkoły rolniczej, do szóstej klasy. Z zawodu jestem traktorzystą [*śmiech*]. Ale już wtedy chciałem być politykiem. Udało mi się.

Co o Holocauście wie przeciętny młody Izraelczyk?

– W szkołach uczą się o Holocauście. Jest duża grupa młodych ludzi, których dziadkowie lub pradziadkowie przyjechali do Izraela i opowiadali im dokładnie o swoim życiu. Pamięć o Holocauście to część naszej duszy i tożsamości. To uczucie niesprawiedliwości, zrobiono krzywdę milionom ludzi. Nie można ominąć przecież najtragiczniejszych zdarzeń w historii ludzkości. Żydzi mają pretensje do Boga, gdzie wtedy był. Dlaczego nie ratował swojego niby narodu wybranego, tylko pozwalał mu ginąć. Zamordowano wtedy 6 milionów Żydów, z czego półtora miliona dzieci! Ale ja zawsze mówię sobie, że Bóg był wtedy z nami w sercach Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Dlaczego był pan przeciwnikiem „Marszu Żywych”?

– Stan bezpieczeństwa w Izraelu jest napięty cały czas. Niestety – wojna, przerwa, znowu wojna. Młodzi ludzie przyjeżdżają z Izraela do Polski, czyli do miejsca, gdzie zamordowano ich wszystkich dziadków, wujków i całe rodziny. Widok ich prochów, gdzie nie ma tam nawet cmentarza, nie ma nagrobka, nie ma nic i wszędzie jest popiół, może stworzyć atmosferę odwetu na granicy nacjonalizmu, tego się bałem.

Co pan sądzi o tym, że w Polsce i ogólnie na świecie wracają głosy nacjonalistyczne?

– To chyba nie powinno podobać się nikomu. Nas – Żydów – było tyłu i nagle nas nie ma, bo tyle milionów zginęło z rąk Niemców. Na oczach świata.

Powinniśmy wracać do tego, co było kiedyś? Może lepiej skupić się na tym, co jest dzisiaj?

– Jak mówiłem wcześniej, przeszłości nie można wymazać. Jednak z mojego punktu widzenia, powinniśmy dać młodzieży spokój, dajmy im nadzieję, dajmy im przyszłość.

Jesteśmy dzisiaj w Warszawie, ale częściej jest pan w Hajfie?

– Tam mieszkam, sprawdźcie, jaka jest pogoda, pewnie jest ciepło.

Dziewiętnaście stopni, deszczowo.

– To trzeba jeszcze trochę zaczekać [*śmiech*].

Na koniec chcielibyśmy zapytać, jakie są trzy rzeczy, z których jest pan w swoim życiu najbardziej dumny?

– Najbardziej dumny jestem ze swojej kariery dyplomatycznej. Także z tego powodu, że wziąłem intensywny udział w negocjacjach pokojowych z Palestyńczykami. No i oczywiście z mojej rodziny.

Szewach Weiss (ur. 1935) – izraelski politolog, polityk i dyplomata, profesor nauk politycznych, poseł do Knesetu w latach 1981–1999 i jego przewodniczący w latach 2001–2003, ambasador Izraela w Polsce. Kawaler Orderu Orła Białego. Naukę rozpoczął w Izraelu w szkole rolniczej Hadassim niedaleko Netanji. Później został dziennikarzem radiowym. Jednocześnie studiował na Wydziale Nauk Politycznych Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie i Wydziale Prawa w Tel Awiwie. W 1975 roku założył Wydział Mediów na Uniwersytecie w Hajfie i został profesorem nauk politycznych na tej uczelni. W 1993 roku uczestniczył w rozmowach pokojowych z Jasirem Arafatem w Oslo. Był jedną z ostatnich osób, z którą rozmawiał premier Izraela Icchak Rabin zanim zginął z rąk żydowskiego nacjonalisty 4 listopada 1995 roku.

z MARCINEM MELLEREM rozmawiała redakcja „Kontrastu”,
opracowanie: Marta Rogowska i Zofia Zawrot

„KIEDY TWÓJ SARKAZM JEST TAK GŁĘBOKI, ŻE MAJĄ CIĘ ZA KRETYNA”

(2019)

Publicysta, prezenter telewizyjny i historyk – Marcin Meller
– *mówi o swoich felietonach, o roli sarkazmu i o sytuacji w Polsce.*

Które felietony z książki *Nietoperz i suszone cytryny* powinna przeczytać młodzież?

– Ja nie wiem, czy w ogóle młodzież powinna to czytać [*śmiech*]. To jest tak: gdy piszę, wyobrażam sobie, że robię to dla paru znajomych. Nie nastawiam się, że piszę do określonego odbiorcy. Spodoba się, to się spodoba. Nie kieruję tekstów, mówiąc, że to ma być dla starszych, to dla rówieśników, a to dla młodzieży. Równie dobrze może się spodobać dwudziestolatkowi jak i siedemdziesięciolatkowi.

No to możemy odwrócić pytanie, który z tych felietonów jest dla pana szczególnie ważny?

– Na przykład ten, który otwiera książkę: *Mano Negra* i nazywa się tak, bo był taki zespół Mano Negra, który bardzo lubiłem. Zaczyna się od tego, że jadę pociągiem z Wrocławia do Warszawy w piątek rano. Zagaduje mnie siedząca obok pani, taka czterdziestka. Mówi: „No, proszę pana, jestem rozczarowana, bo pan teraz pisze felieton do »Newsweeka« prawda? Ja myślałam, że takich rzeczy nie da się pisać na trzeźwo, że pan to pisze nocami, popijając whisky, dym papierosowy unosi się w pokoju, rozpięta koszula, a pan tutaj siedzi jak księgowy o 10 rano”. Przeprosiłem panią, że ją rozczarowałem. To stanowiło pretekst do opisanie różnych straconych szans w życiu, że coś mogłem, a nie zrobiłem. A *Mano Negra* wzięła się stąd, że jest taki kawałek *For All The Women*, gdzie Manu Chao śpiewa do wszystkich kobiet, których nie miał. Puenta polega na tym, że czasami się lepiej pamięta to, czego się nie miało niż to, co się udało.

Sarkazm, ironia, kontrolowana złośliwość. Co jeszcze powinno znaleźć się w felietonie oprócz wzruszenia?

– Sarkazm jest dobry, poczucie humoru jest mile widziane, choć nie zawsze, zależy na jaki temat. Z tym sarkazmem też trzeba uważać, ja właśnie nie uważam.

I wtedy czytelnik sprowadza artystę na ziemię?

– Właśnie. Pamiętam, że bardzo spodobał mi się taki mem, który widziałem w Internecie. Jest tam napisane: „Kiedy twój sarkazm jest tak głęboki, że wszyscy mają cię za kretyna”. Napisałem taki felieton na dzień matki w zeszłym roku, pisałem go z pozycji totalnego faceta-buraka, że kobieta jak zostaje matką, to niby ma jakiś powód do dumy, że niby jak urodzi, to musi odpocząć. A przecież to facet ma przechlapane, bo pępkowe, potem się trzeźwieje dwa dni i tak dalej. Pokazałem to swojej żonie. Ona na to: „Wiesz Marcin, masz świadomość, że połowa ludzi nie złapie ironii i wezmą cię za debila albo co gorsza pochwalą?”. Byłem zdziwiony jej uwagą, bo to było dla mnie tak oczywiste. Okazało się, że miała rację. Ilość maili i komentarzy była porażająca. Pisali: „Panie Marcinie tego się po panu nie spodziewałam, wstyd”, albo „wreszcie powiedział prawdę” i tak dalej. Kilka razy tak miałem. W pewnym momencie poproszono mnie, abym złagodził sytuację i postanowiłem napisać kolejny felieton. Tłumaczyłem w nim, na czym polega felieton i zaproponowałem, że od tej pory będę zaznaczał kolorami, kiedy się posługuję ironią, kiedy sarkazmem. To rozsierdziło wszystkich jeszcze bardziej. Więc sarkazm tak, ironia tak, tylko trzeba uważać.

Czyli początkujący felietonista szczególnie powinien z tym uważać?

– Dojrzały też, tyle lat piszę, a ciągle mnie coś zaskakuje. Na początek warto przeczytać felietony różnych autorów, żeby zobaczyć, z czym to się je. Chodzi o to, żeby była jakaś forma, jakiś pomysł, puenta, bo felieton to nie jest komentarz, nie jest to strumień świadomości, nie jest postem na blogu.

Ile razy został pan wrogiem narodu według pana koncepcji felietonu z alfabetem?

– Według tej listy wrogów?

Tak.

– Ja tam podpadam pod połowę [*śmiech*]. Poza tym jest coś takiego jak wzmożenie agresji w ciągu ostatnich lat. Czasami z bardzo niewinnych powodów można przeczytać czy usłyszeć o sobie, żeby spadać z tego kraju, bo Polacy – „patrioci” wezmą cię za ryj. Za każdym razem dostaję groźby, że przyjdą i się rozliczą.

I panu to nie przeszkadza?

– Czasami mnie to bawi, czasami nie, zależy od sytuacji. Bo są i takie mroźące krew w żyłach, nawet zgłaszałem sprawę na policję. Przez te wszystkie lata zdarzyło mi się kilka przykładów nie fizycznej, ale słownej agresji. Uliczne przykłady mogę policzyć na palcach jednej ręki. Natomiast w Internecie – dzień w dzień. No i znowu świat realny jest lepszy od tego, który jest w sieci. Poczucie bezkarności w sieci jest większe.

Czy według pana bycie dziennikarzem w Polsce jest bezpieczne?

– Tak, poza wyzwiskami na ulicach, nie słyszałem, żeby komuś coś się stało. Wydaje mi się, że nie jest źle.

Co denerwuje pana w naszym kraju?

– Na tym polega dojrzały patriotyzm, że widzi się błędy. Nie na tym, że jesteśmy super, tylko na tym, że się mówi, co nam się nie podoba. Irytuje mnie poziom tak zwanego kapitału społecznego, zaufania społecznego. To, że w krajach skandynawskich jest powyżej 80%, a u nas jak przekroczy 20%, to się wszyscy jarają. Nikt nikomu w Polsce nie ufa, ufa się rodzinie, znajomym. Każdy uważa, że urzędnik to złodziej, że każdy chce każdego oszukać. Wkurza mnie to, co dzisiaj opisuje się oficjalnie jako patriotyzm, a co dla mnie jest tępym nacjonalizmem, bezrefleksyjnym. Denerwuje mnie to, że nie wyciągamy wniosków z historii. I to, że każdy, kto ma inny stosunek do polskiej tradycji, do patriotyzmu czy do trudnych problemów, jak na przykład powstanie warszawskie, jest od razu opisywany jako Anty-Polak. Ja bym mógł tak długo, ale nie o to chodzi, bo z reguły jestem człowiekiem pogodnym, w sumie lubię miejsce, w którym żyję. Ale tak, wkurza mnie. Bo tu mieszkam, tu żyję, tu jest mój kraj. A jak się ludzie przestaną wkurzać, to będzie cmentarz.

Jak przekonać młodych ludzi, żeby poszli głosować?

– Genialne pytanie. Trzeba im coś zaoferować. Coś związanego z kosztami studiów. Znaczący, nie mówię, żeby przekupywać każdego, bo to też jest ślepa uliczka. Oczywiście w świecie idealnym cudownie by było, gdyby młodzi ludzie interesowali się tym, w jakim stanie jest kraj, w którym przyjdzie im żyć. To jest jednak abstrakcja. Uważam, że w interesie polityków wcale nie powinno być namawianie młodzieży do głosowania, ponieważ młodzi ludzie z natury rzeczy są radykalni – albo w lewo, albo w prawo. W związku z czym, z punktu widzenia statycznej demokracji, niech lepiej młodzi siedzą domu i się nie ruszają.

Jak to, teraz sam sobie pan zaprzeczył?

– To był sarkazm, ironia, zrozumieliście? [*śmiech*]

Staramy się nadążyć [*śmiech*]. Ciekawi pana, co myślą o panu inni piszący?

– Jakoś tam mnie ciekawi, ale najbardziej mnie ciekawią tak zwani czytelnicy. W przypadku książek ci, co wykładają własne cztery dychy, kupują i sprawia im to przyjemność. W przypadku innych piszących jest taka sieć, ilość elementów, układów, zawiści. Im jestem starszy, tym bardziej mam wywalone na to, co o mnie sądzą, o moim świecie, chyba że przyjaciele. Wtedy to ma znaczenie. Oczywiście, kiedy ktoś, kogo cenię, wyśle mi coś fajnego, to się cieszę, ale z drugiej strony, jak ktoś mi przywali, nie wpadam w depresję.

Ma pan jakieś plany pisarskie na przyszłość?

– Zacząłem pisać rok temu powieść, którą schowałem na dnie szuflady, później głowę zajęły mi inne rzeczy. Teraz, gdy wyszła ta książka z felietonami, jeszcze z dwa tygodnie pojeżdżę po Polsce i usiądę sobie na wsi, zajrzę do tego, co pisałem rok temu i zobaczę, czy to się trzyma kupy. Umówiłem się z moim kumplem, znakomitym pisarzem – Zygmuntem Miłoszewskim, że powie mi, co sądzi o powieści. Znam go, on jest lekko

autystyczny, więc nie będzie się przejmował. Jeśli będzie do niczego, powie, że do niczego. Oszczędzi mi wstydu. A jak mi to powie, to dam sobie spokój i nikt więcej tego nie zobaczy. Czasami można robić jedną rzecz dobrze, a drugą beznadziejnie.

Kryminał?

– To ma być powieść sensacyjna dziejąca się między Polską i Afryką, z wątkami ojciec–syn. Generalnie przez to, że nie mam zbyt bogatej wyobraźni, osiemdziesiąt procent realiów to takie, które jestem w stanie ogarnąć, zarówno jeśli chodzi o Warszawę, jak i Afrykę, konkretniej Ugandę. Już dogadałem się z żoną, że jeśli się rozkręcę z powieścią, to polecę sobie na jesień, w listopadzie do Ugandy na dokumentację.

Marcin Meller (ur. 1968) – dziennikarz, prezenter telewizyjny i radiowy, historyk, przez lata związany z tygodnikiem „Polityka”, w latach 2003–2012 był redaktorem naczelnym polskiej edycji „Playboya”, felietonista tygodników „Wprost” i „Newsweek”, dyrektor wydawniczy Grupy Wydawniczej Foksal.

z PAWŁEM RESZKĄ rozmawiała redakcja „Kontrastu”,
opracowanie: Maria Wiewiórkowska i Adrianna Cybulska

DZIENNIKARZ NA DYŻURZE

(2019)

Najbardziej drastyczne są rzeczy, które nie są drastyczne. Przyjeżdżamy do domu, do rodziny dotkniętej patologią. Sąsiedzi już wiedzą, czekają w oknach, przyjechała karetka, znowu będzie show. Zabieramy narkomankę. Najpierw trzeba ją trochę nastraszyć. Jeśli jej nie nastraszymy, będzie dzwoniła zawsze, jak jej zabraknie kasy na drugi. Żeby dostać relanium, żeby mniej bolało. Ale nie. Właśnie nie wolno jej podać relanium. Niech ją boli. Niech cierpi. Jej rodzice, jej dziecko – wszyscy na to patrzą. Co mną najbardziej wstrząsnęło? To, że oni mieli w domu takie same meble, jakie mieli moi rodzice. Pomyślałem sobie wtedy, to była kiedyś fajna rodzina, taka jak moja, taki sam blok, taki sam pokój. I coś nie poszło.

Rozmowa z reporterem Pawłem Reszką na temat kulisów jego książki o polskiej służbie zdrowia, o pacjentach i lekarzach, o tym co dzieje się za drzwiami domów i gabinetów lekarskich.

Czy tytuł *Mali Bogowie* jest prześmiewczy, czy ma mieć wydźwięk pozytywny?

– Wydawało mi się, że on trochę opowiada o tych ludziach. W głowie utkwiał mi taki obrazek: pani doktor opowiadała, że boi się wyjść do toalety z gabinetu, bo wie, że czekają na nią wrogie spojrzenia tych, co czekają w kolejce. Powiedziała: „No ja też jestem w pracy, mam pęcherz, mogę się czasami poczuć źle, czasami mam depresję, czasami kłócę się z mężem, czasami dziecko ma klasówkę”. Mam na myśli to, że niespecjalnie lubimy lekarzy, ale nadajemy im cechę boskości. Oni mają uzdrowić, powinni być ponad wszystko i nas ratować. A my? Niewiele im jesteśmy winni, bo opłacamy składkę. Słowo „mali” miało ich sprowadzić do naszego poziomu. Przypomnieć, że mają nasze namiętności, nasze potrzeby, że są ludźmi takimi jak my, tylko są przebrani w biały fartuch. A tak naprawdę to jest taka sama pani, taki sam pan, którzy chcieliby lepiej żyć, chcieliby nie mieć problemów, i których też czasami coś boli.

Jak udało się panu zatrudnić pod fałszywym nazwiskiem?

– Nie zatrudniłem się pod fałszywym nazwiskiem. Warto nie łamać prawa. Jestem mądrym chłopakiem, więc postąpiłem chytrze – musiałem przynieść wiele dokumentów, m.in. świadectwo ukończenia szkoły. Nie było napisane, jakiej szkoły, więc przyniosłem podstawowej. Do pracy dostałem się z ogłoszenia. Praca niewdzięczna, fizycznie i psychicznie wyczerpująca, w końcu patrzysz na szpital od podszewki, więc ogłoszenia o naborze były ciągle. Trzeba było napisać życiorys, żeby nie kłamać, ale żeby nie zdradzić za wiele: „Urodziłem się w 1969 roku w Choszczynie, tam też ukończyłem szkołę, miałem się różnych zawodów, nigdy nie byłem karany”. Nie było się do czego przyczepić. Musiałem udawać człowieka, który nie ma praktycznie żadnych dochodów. Gdzie indziej parkowałem samochód, inny zegarek, ubranie. Jedyna wada była na świadectwie z podstawówki, były tam same piątki i wzorowe zachowanie. Pani kadrowa, jak zobaczyła świadectwo, powiedziała: „No widzi pan, panie Pawełku, kiedyś było dobrze i co to się z panem stało?”

Jak wyglądało pana przygotowanie do pracy?

– Trzeba było przejść szkolenie BHP, jakieś badania, sikanie do kubeczka. Specjalnie mnie nie szkolili, nie było do czego. Staralem się wykazywać maksimum entuzjazmu, żeby zobaczyć jak najwięcej. Jednocześnie starałem się, by entuzjazm do pracy nie był zbyt podejrzany dla współpracowników, chociaż i tak uchodziłem wśród nich za świra. Jak trzeba wywieźć trupa do prosektorium, nikt się nie pali, a ja tak. W szpitalu pracowałem na pełen etat, oprócz tego jako dziennikarz w dwóch redakcjach, prasowej i radiowej. Czasem ze zmęczenia nie wiedziałem, gdzie jestem.

Jakie najważniejsze rzeczy pan zaobserwował?

– Reportaż wcieleniowy jest o tyle fajny, że nie musisz nigdzie szukać odpowiedzi, one same przychodzą. Idzie smutna pani ze smutnym panem i czujesz podświadomie, że coś złego im się stało. Okazuje się, że stracili trzydziestoletniego syna w wypadku i zostali sami na świecie. Jak zadać pytanie: „Jak się czują?”. A kiedy oni sami przychodzą i pytają, gdzie jest prosektorium, bo chcieliby zobaczyć swoje dziecko, to jest zupełnie inna sytuacja. Widzisz dwoje starszych ludzi w totalnie odhumanizowanym świecie. Nikt nie ma czasu pomagać żywym ludziom, a co dopiero jeszcze myśleć o trupach. O rodzicach. Czasami na SOR-ze widziałem ludzi, którzy po dwunastu godzinach siedzieli dokładnie w tym samym miejscu. Szukałem też nieoczywistych zdarzeń. Bardzo mi się podobało w lekarzach, którzy są ponadprzeciętnie inteligentni, że sami sobie potrafią postawić diagnozę – dostrzec moment, w którym tracą empatię. Więc ja siebie też zacząłem obserwować. I dostrzegłem, że bardzo szybko zacząłem zachowywać się jak oni, że empatię w szpitalu traci się błyskawicznie. Inne zagadnienie – zawsze mi mówiono, że ratownicy medyczni są brutalni. Zastanawiałem się, czy mógłbym uderzyć człowieka, albo czy mógłbym wybaczyć komuś, że na moich oczach uderzył pacjenta? I też okazało się, że to idealistyczne wyobrażenie nie obowiązuje, kiedy człowiek już się pobrudzi, ufafluni rzeczywistością. Dobrze

być idealistą w domu, ale kiedy widzisz gościa, który przed chwilą pobił swoją żonę i dzieci, to z natury rzeczy chcesz mu przyłożyć. Możemy sobie gadać przy pięknym, polakierowanym stole o tym, czym jest medycyna, przysięga Hipokratesa – takie duperele, ale jak człowiek podźwiga, ubrudzi się, popatrzy, jak ktoś umiera, to będzie miał inny pogląd.

Jak wyglądało pana pierwsze zderzenie ze śmiercią?

– To zawsze jest trudne. Nie jest tak, że się wcześniej nie stykałem ze śmiercią czy zwłokami ludzkimi. Ale to nie jest codzienne, więc zawsze robi wrażenie. W warunkach szpitalnych patrzysz, jak oni gasną. Na salach granica między życiem a śmiercią jest bardzo cienka. Raz pani żyje, potem nie żyje, potem znowu żyje, bo można ją przywrócić do życia. Widać, jakie to jest kruche. Gdybyśmy się na 5 minut odwrócili i patrzyli w okno, tej pani by już nie było. Kiedyś ratowaliśmy pacjenta w domu i byłem absolutnie przekonany, że odstawiamy jedynie *show* dla rodziny. A on przeżył. To niesamowite uczucie, kiedy człowiek zaczyna oddychać pod rękami, w trakcie reanimacji, jak zmartwychwstanie. Żona nie była zadowolona, że go odratowaliśmy, pomyślałem wtedy: „Jaką suką trzeba być?!” A potem powiedzieli mi, że przez całe życie facet ją bił i pomyślałem, że trochę ją rozumiem. To wszystko uczy, że nic nie jest takie oczywiste. I jeszcze od tego wszystkiego trzeba się odciąć, trzeba ratować życie bez względu na wszystko.

Co było dla pana najbardziej drastyczne?

– Istnieje pojęcie współzależnienia, że jak masz w rodzinie alkoholika, ty też jesteś współzależny. Wyobrażałem sobie, że to bzdura. W praktyce okazało się, że jest to święta prawda. Nie chodziło o osoby uzależnione od alkoholu, lecz od narkotyków. Zobaczyłem mieszkanie w bloku i dziewczynę, która, widać było, że kiedyś była bardzo piękna, a w tamtym momencie został z niej wrak, bez zębów. I widziałem, że ta dziewczyna zniszczyła życie całej rodziny. Ma córkę, która nie wie, że jest jej córką, myśli, że babcia jest jej mamą. Ma tatę, który się wyprowadził i mieszka w ogródku działkowym mimo, że był listopad, bo nie mógł znieść widoku tego, co ona wyczynia. Ma matkę, która jest totalnie rozwalona i mówi: „Weźcie ją, weźcie, bo odkręci gaz i nas wysadzi”. Dziewczyna tak im groziła, bo nie miała już kasy, nie miała narkotyków. Jest gotowa i spakowana do karetki, jakaś kompletna paranoja. Mieszkanie zapuszczone, szczególnie ten jej pokój. Ona jak czarna kukła leży w barłogu, już nic do niej nie dociera. Najbardziej drastyczne są rzeczy, które nie są drastyczne. Przyjeżdżamy do patologicznego domu, w którym już na nas czekali, sąsiedzi już byli ustawieni, wszystko było wiadomo, znowu będzie *show*, znowu przyjedzie po nią karetka, znów wszyscy w oknach. Przyjeżdżamy, wyciągamy narkomankę, trzeba ją trochę nastraszyć, żeby nie dzwoniła ciągle kiedy jest jej źle, żeby tylko podać jej zastrzyk z relanium. Od razu wie, po co dzwoni. A właśnie trzeba jej nie dać, żeby ją bardziej bolało, żeby bardziej cierpiała, bo inaczej nie będziemy mieli spokoju, a ona i tak już prawdopodobnie jest stracona. Co mną najbardziej wstrząsnęło? To, że oni mieli w domu takie same meble, jakie mieli moi rodzice. Taką samą

syfiastą meblościankę. Stało się po nią w kolejce, były jakieś talony, krótko mówiąc posiadanie jej wymagało wielu łapówek i zabiegów. Pomyślałem sobie wtedy, to była kiedyś fajna rodzina, taka jak moja, taki sam blok, taki sam pokój. I coś nie poszło. I to zdjęcie tej dziewczyny, kiedy była jeszcze normalna.

Czy w prawdziwym życiu chciałby pan pracować jako ratownik medyczny?

– Czasem zastanawiam się, co by było, gdyby... I muszę przyznać, że bardzo podobał mi się ten zawód. Ratownik super, a jeśli miałbym być lekarzem, to właśnie związanym z medycyną ratunkową. To ogromne ryzyko, wracasz do domu i dalej myślisz o tym, co spotkało cię w pracy, czy ci się udało. To właśnie prawdziwe życie.

Jak pan myśli, czy pana książka zmieniła coś w sposobie myślenia społeczeństwa?

– Nie wiem, czy nie brzmi to brutalnie, ale myślę, że nie jest to do końca moja sprawa. Jeżeli my reporterzy za bardzo chcemy sięgnąć chmur, słońca i gwiazd, zostajemy jak te ćwoki z wyciągniętą ręką. Jeśli przebijemy się do literatury? Świetnie! Zmienimy troszeczkę świat? Doskonale! Ale to jest przy okazji. Bo ja chcę po prostu opowiedzieć jakąś historię czytelnikom. Podzielić się przeżyciem. Sam sobie narzucam takie ramy, być może dlatego, żeby się nie rozczarować. Chcę przeżyć, zrozumieć, opowiedzieć i wystarczy. Ale kto wie, może mi się kiedyś to zmieni. Zechcę czegoś więcej.

Paweł Reszka (ur. 1969) – dziennikarz, związany w różnych latach z „Rzeczposolitą”, „Dziennikiem”, Tygodnikiem Powszechnym” i „Newsweekiem”, od lutego 2019 roku kieruje działem krajowym tygodnika „Polityka”, autor reportaży książkowych m.in. *Chciwość. Jak nas oszukują wielkie firmy, Mali bogowie. O znieczulicy polskich lekarzy, Mali bogowie 2. Jak umierają Polacy, Czarni*. W listopadzie 2019 roku otrzymał Nagrodę Specjaną Radia Zet im. Andrzeja Wojciechowskiego, a wraz z nią tytuł Dziennikarza Dekady.

VARIA

„Prawdziwy satyryk nie cofa się przed niczym, ma nawet tyle odwagi, iż obala tak zwany zdrowy rozsądek, sens, tak zwaną prawdę i inne podobne drobiazgi”.

Antoni Słonimski

„Sokrates mawiał, że należy się strzec ludzi, którzy są pewni tego, że mają rację. Ja mam na tę sytuację zgoła inny pogląd. Rozmowy z ludźmi wszechwiedzącymi są moim zdaniem wspaniałą rozrywką, a także dobrym ćwiczeniem dla umysłu. Tezy stawiane przez ekspertów od wszystkiego nierzadko są komiczne i absurdalne. Jako fan absurdalnego humoru rodem ze skeczów grupy Monty Pythona jestem wręcz zachwycony każdą okazją do dyskusji z nimi”.

Mateusz Martenka, *Wiem, że wiem wszystko*

Anna Ročławska

DROGI UCZUĆ. ODCINEK PIERWSZY

(2003)

Kiedy piękna Felicja Anhelina Milagros Sorra zakończyła szorowanie wanny, a zajęło jej to ponad dwie godziny, postanowiła pospacerować po pobliskim parku. Nie tracąc ani chwili, pobiegła do swojej gigantycznej szafy i zaczęła w niej radośnie szperać. Po upływie godziny, zdecydowała się na długą czarną spódnice z rozporkiem aż do biodra i na przezroczystą bluzeczkę. Do tego dodała pół kilograma srebrnych łańcuszków, pierścionków i bransoletek. I już była gotowa do wyjścia. Tak więc szła niezwykle dostojnym krokiem. Kiedy w końcu dotarła do swojej ulubionej parkowej ławeczki, zaczęła uśmiechać się promiennie do wszystkich przechodniów. Znudziło jej się to już po dwudziestu minutach i postanowiła wracać do domu. Przechodząc przez ulicę, była tak zajęta rozmyśleniem, co ugotować dziś dla siebie i swojej młodszej siostry Lucjany Hortensji, że nie zauważyła pędzącego w jej stronę sportowego wozu. Pochłonięta myśleniem, co jej się rzadko zdarzało, gdyż jest blondynką, nie usłyszała krzyku przechodniów ani trąbienia kierowcy. Z zadumy wyrwał ją dopiero pisk opon hamującego auta, ale było za późno. Siła uderzenia sprawiła, że przeleciała pięć metrów nad ziemią i wylądowała na pobliskim trawniku. W jej stronę pędził wstrząśnięty kierowca. Wymachiwał rękoma i krzyczał coś w rodzaju: „Ty głupia babo!”. Gdy w końcu dotarł do Felicji, złapał ją za ramiona i z całej siły ryknął: „Nic ode mnie nie dostaniesz!”. W tym momencie piękna Felicja otworzyła oczy i spojrzała prosto w ślepią potrząsającego nią faceta. Nagle jej serce przeszył grom. Wydawało jej się, że unosi się wśród niebiańskich obłoczków. W powietrzu rozległ się słowiczy śpiew, a podniecona Felicja zemdlała, uśmiechając się szeroko do osłupiałego faceta, pokazując przy okazji swoje zajęte próchnicą zębiska.

Karolina Rybicka

EKSPERYMENT 1999

(2003)

Tysiące małych króliczków idą w kierunku wielkiej hali, w której będzie przeprowadzona REFORMA. Zmieni ich. Będzie trudna i bolesna...

Rocznik osiemdziesiąty szósty został poddany eksperymentowi, czyli reformie szkolnictwa. Wprowadzona w 1999 roku reforma wprowadzała gimnazja, egzamin gimnazjalny, trzyletnie licea i nową maturę. O tym roczniku mówi się „króliki doświadczalne”. Białe jak białe karty, niczego nieświadome.

Nie ma materiałów dydaktycznych, za to jest marzenie o wspanialej szkole. Tymczasem *homo sapiens* w szkole jest jedynie zmęczony. Ogrom materiału do zakuwania. Chaos. Brak szkoleń dla nauczycieli pod kątem nowej matury też niepokoi. Bo jeśli oni nie wiedzą, to jak my mamy wiedzieć. Póki co musimy żyć w niepewności i czekać na lepsze jutro. Nadzieja to jedyne, co nam pozostaje. Chociaż ostatnie miesiące przyniosły nam kilka drobnych odpowiedzi na pytania w sprawie nowej matury w 2005 roku. Pociuszające jest to, że o zdanej maturze decydować będzie tylko poziom podstawowy. Aby zdać, należy zdobyć 30% wymaganej liczby punktów. Czy tak zostanie, czy za jakiś czas znowu się coś zmieni? Czas pokaże. Póki co, trzymamy kciuki!

Krzysztof Grodecki

IDEALNIE WYTRESOWANI

(2004)

Przez całe życie uczymy się zasad. Począwszy od etykiety, poprzez zasady ruchu drogowego, na prawie karnym kończąc. Wszystkie te przepisy kiedyś ktoś wymyślił, a my musimy je stosować i nie możemy ich łamać. Dlatego uważam, że jestem „wolnym niewolnikiem”. Prawo daje mi wolność, ale mnie ogranicza. Zawsze znajdują się zakazy, których nie zdołamy ominąć. W domu rodzice każą uczyć się, sprzątać i o właściwej godzinie wracać do domu. Gdy wyjdziemy na ulicę, mamy światła. Czerwone – stój, zielone – idź. W szkole musi być bezgraniczne posłuszeństwo. No i niech mi ktoś pokaże, gdzie jest ta wolność? Żyjemy jak ludzie w jaskini Platona. Siedzimy tam od lat przykuci do miejsca, patrzymy przed siebie, a okowy nie pozwalają odwracać głów. Czy w takim świecie możliwe jest, by człowiek był naprawdę szczęśliwy? Voltaire w *Kandydzie* pisał, że nawet w najbardziej optymistycznym scenariuszu znajdzie się coś, co nam nie da usnąć. Czego byśmy nie pragnęli, nie będzie osiągalne. Tytułowy Kandyd nawet w Eldorado – krainie szczęścia nie miał wszystkiego, czego chciał. Przez całe życie dążył, by zdobyć swoją ukochaną Kunegundę. Gdy dopiął swego, kobieta jego marzeń była już stara i brzydka. Jesteśmy jak on. Czy naprawdę jesteśmy skazani na taki świat?

Pewnie, że nie!

Mamy do wyboru, albo poddać się globalizacji i być jednym z trybików w maszynie lub zacząć działać. Możemy wspólnymi siłami stworzyć nowy – lepszy świat, w którym czujemy się jak w domu.

Katarzyna Obrębska

DIABEŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

(2004)

Szkolna populacja wie już wszystko na temat seksu! To przecież nic zdroźnego. Nauka o „tych” sprawach czerpana jest z różnych źródeł. Żądni wiedzy młodzi ludzie nie ograniczają się do podręczników i atlasów anatomicznych. Poszerzają swoje horyzonty także przy użyciu prasy i wciągających filmów „przyrodniczych”. Każdy ma swoją receptę na głód poznania intymnych spraw damsko-męskich. Nikt przecież przy zdrowych zmysłach nie będzie truł o tym rodzicom. Oni sami liczą na to, że ich mądre i zaradne dzieci odnajdą się w gąszczu seksualnej niewiedzy. Grunt to samoświadomość!

No i wszystko ładnie, a nawet pięknie, ale co zrobić, gdy bliskość zaczyna wykraczać poza pewne sfery? Co zrobić, gdy ten pierwszy raz okazał się totalnym niewypałem i test ciążowy zaświeci dla dwójki nieletnich rodziców? Gdy zabarwienie paseczka zaświadczy, że zegar biologiczny wybił godzinę zero, zostaje płacz i zgrzytanie zębów. Ojciec, młody Casanova, prawdopodobnie zwieje, a załamana i porzucona dziewczyna musi wyjaśnić swój malutki sekret rodzicom. Tym samym, którzy liczyli, że sama z siebie będzie mądra.

Maciej Domański

KALISKA KULTURA

(2007)

Swoją kulturalną podróż po rodzinnym miasteczku rozpocząłem w sobotni wieczór od ulicy Dworcowej. Ścieżka prowadziła mnie w kierunku tak zwanego *downtown*. Na oko jakieś trzy kilometry, mierząc licznikiem oka, czy też długością buta. Niby nic ciekawego tu nie ma, na ogół nic się nie dzieje. A tu proszę, tym razem moc atrakcji!

Mijam pierwszą osobę, z rysów wnioskuję, że to rdzenny kaliszczanin: głowa spuszczone, oczy melancholijnie wlepione w kałuże, nostalgiczne siorbanie. Artysta-mysliciel. Słowa z niego nawet batem nie wyciśniesz. Woń za to roztacza zabójczą.

By minąć kolejną osobę, muszę zejść z chodnika. Po jej ruchach można poznać, że to światowej klasy artysta-tancerz. Jakoś tak leci zygzakami, to ci obrót, to ci fikołek, gdzieś tam przysiad – czysta sztuka! Jakiś prekursor tańca nowoczesnego. Tańczył z małym rekwizytem. Ktoś tam mu napisał na butelce recenzję – „Luksusowa”.

Koło miejskiej piekarni pojawił się bohater numer trzy. Chyba najciekawszy. Jestem pięć metrów od niego i słyszę dziwne odgłosy: „Pif, paf, ku..., uuu”. To na pewno fan Urszuli Dudziak, pomyślałem. I już chciałem mu przybić piątkę jako jazzmanowi, gdy ten pokazał mi swój szklany gadżet z etykietą „Byk”. Spłoszyłem się. Co było zawartością butelki, do dziś nie potrafię rozgryźć. Butelka, butelką, ale facet miał prawdziwy talent!

No i dochodzę do dziesiątki, czyli lokalnej autostrady biegnącej przez centrum miasta. Wypełnia mnie euforia. Jakie życie jest soczyste!

Do uszu płyną dźwięki i nie jest to Mozart ani Chopin. To sobotnie disco w niezastąpionej „Paczy”, „Planeście” cokolwiek napiszę, każdy zna to miejsce. Nie mogę przepuścić okazji. Wchodzę. Widzę rozanielone panienki i gości w koszulkach z napisem „Strongman”. Kocia muzyka i ludzie disco nie dla mnie. Wychodzę.

Gdy jestem w pobliżu poczty, mijam kozaczka, który zaczepia mnie słowami: „Fajka, albo...”. Wybieram wersję pierwszą, gdyż jestem człowiekiem pokoju.

I tak oto docieram do dworca autobusowego. A tu już otworem przede mną stoi cały świat, mogę jechać do Warszawy, Krakowa, Paryża, Nowego Jorku... Tylko po co?

Zdecydowanie odmawiam, rezygnuję. Zostaję w Kaliszu Pomorskim, bo przecież to miasto tętni kulturą!

Redakcja „Kontrastu”

MISTRZ

(2010)

Powiem tak: zapukał strach do drzwi, otworzyła mu odwaga i się okazało, że nikogo tam nie ma. Tak z przekonaniem mówił Maciej Kozłowski do Pauliny Pruskiej, chorej na złośliwy nowotwór odporny na chemioterapię. Nie wiedział, że sam tak szybko zobaczy podszewkę świata, drugą stronę, za ptakiem, górą i zachodem słońca. Zmarł w nocy z 10 na 11 maja 2010 roku.

Ludzie go kochali, nie tylko za role teatralne czy filmowe, kochali go za to, jakim był człowiekiem i jak walczył z chorobą. A on sam mówił, że łatwiej być dobrym aktorem niż dobrym człowiekiem. Dla uczniów Liceum w Kaliszu Pomorskim był mistrzem, przewodnikiem, autorytetem.

Wspominamy

Katarzyna Obrębska:

Maciej Kozłowski – po prostu dobry człowiek. Moje pierwsze spotkanie z panem Maciejem Kozłowskim? Liceum. Wycieczka do Warszawy. Udało nam się umówić w kawiarence w Teatrze Narodowym. Wiedział, że redagujemy szkolną gazetę, potraktował nas jak prawdziwych dziennikarzy, poprosił o zadawanie pytań. Zapadła niezręczna cisza. Zadałam pierwsze nieprzemyślane pytanie. Zaliczyłam wpadkę, ale przełamałam blokadę. Dialog układał się płynnie. Pan Maciej opowiadał o sobie, pracy zawodowej. Było w nim coś takiego, że gdy mówił, wszyscy dookoła milkli, koncentrowali się na jego słowach. Takich chwil nie sposób zapomnieć. W swojej naiwności myślałam, że takie spotkania to jedynie kilka lapidarnych historyjek ze świata artystów. Totalnie się myliłam. Dane mi było poznać niezwykle mądrego i otwartego człowieka, który swoją erudycją mógł zawsty-

dzić niejednego profesora. Przyznam, że nie byłam do końca przekonana, gdy w kontekście małomiasteczkowej mentalności mówił, że nikomu z nas nie przyczepiono etykiety. Myślałam, że to naciągane, bo co taka gwiazda może wiedzieć o naszych problemach? Dziś wiem, że pan Maciej miał rację i to nie tylko w tej kwestii. Taki wielki żal, że odszedł nasz nauczyciel... Dziękujemy za wszystko! Będziemy pamiętać!

Paulina Szczęsna:

Z panem Maciejem Kozłowskim miałam okazję rozmawiać raz w życiu. Byliśmy wtedy w Warszawie. Oprócz rozmowy z nim mieliśmy inne przywileje. Byliśmy na próbie generalnej *Chłopców z Placu Broni*. Na żywo przekonaliśmy się o jego talencie aktorskim, ale najbardziej w pamięci utkwiała mi właśnie rozmowa. Na początku stres, jakie zadać pytania, by nie były głupie. Byłam pod wrażeniem charyzmy i wszechstronnej wiedzy, jaką miał. Rozmowa skierowana została na tematy polityki i Kościoła. Drażliwe kwestie, mogące być bombą wybuchową. Poglądów jest tyle, ilu ludzi i wszystkie trzeba jakoś przetykać. Jakże byłam zaskoczona, gdy każde jego zdanie trafiało w moje przekonania! Z minuty na minutę coraz bardziej dochodziłam do wniosku – swój!

Daria Różańska:

Pamiętam, jak Maciej Kozłowski w upalny dzień, ubrany na czarno, w ciemnych okularach oprowadzał nas po Warszawie. Robił to prawie co roku, z takim samym oddaniem. Zawsze był wesoły, zabawny, opowiadał o życiu, o aktorstwie. Do wszystkiego miał dystans, jednak przede wszystkim do siebie. Poruszała mnie jego inteligencja, rzetelność i pasja, z jaką mówił. Słuchając go, rozmawiając z nim, miałam wrażenie, że to nie jest człowiek z telewizji, ale ktoś przystępny dla zwykłych ludzi, stary znajomy. Nigdy nie zapomnę jego uśmiechu, prostych, ale głębokich słów i pozytywnej energii, którą zarażał.

Marzena Fajgier:

Smutek, żal, niedowierzanie. Zaduma nad tym, jak ulotne jest nasze życie. Maciej Kozłowski – aktor teatralny i filmowy, ale przede wszystkim wspomniały człowiek. Taki właśnie pozostanie w mojej pamięci. Nie budował dystansu. Dla nas był ciepły, był przyjacielem. To jemu zawdzięczamy spotkania w Warszawie. Pamiętam, jak był z nas zadowolony po wywiadzie z Kamilem Durczokiem. Byliśmy szczęśliwi, wracaliśmy do schroniska niemal na skrzydłach. Rzadko nas chwalił. Częściej powtarzał: „Pytacie czy zbieracie autografy?”

Adam Kacperski:

Maciej Kozłowski: polski aktor teatralny i telewizyjny – tak twierdzi Wikipedia.pl. Co ja mogę napisać? Ciepły, wesoły i otwarty człowiek, który ciągle obdarowywał uśmiechem. I te jego dowcipy opowiedane po próbie generalnej *Chłopców z Placu Broni*...

Joanna Zuba:

Gdy umiera człowiek, odczuwamy ból. Jeżeli jest to ktoś bliski, cierpimy jeszcze bardziej. Gdy jest to osoba, która zrobiła dla nas coś dobrego, odczuwamy pustkę i żal, zastanawiamy się nad niesprawiedliwością świata. Dlaczego ludzie, którzy robią tyle dobrego, nie mogą kontynuować swojej pracy? Wspominam pana Macieja jako człowieka, który bezinteresownie pomagał. To sprawiało mu przyjemność. Spacerowaliśmy po Starówce, widziałam w nim kogoś, kto cieszy się każdym dniem, a przecież już wówczas można było zobaczyć, jak jest zmęczony chorobą. Podczas wyjazdów często pytałyśmy pana Macieja, co nowego będzie w *M jak miłość*, śmiał się tylko, nigdy nie zdradzał, co się wydarzy. Pamiętam, jak grupa debatowała, co mu przywieźć w prezencie. Dostał od nas symboliczne drzewo do zasadzenia i książkę przyrodniczą. Nie mogliśmy mu tego wręczyć osobiście, bo trwały wciąż próby do sztuki *Wiele hałasu o nic*. Gdy wracaliśmy już do domu, zadzwoniła jego żona, pani Agnieszka Kowalska i powiedziała, że ten prezent wywołał jedyny uśmiech na jego twarzy po morderczym dniu pracy. 11 maja odszedł z tego świata wyjątkowy człowiek! Dokąd? To bez znaczenia, nadal idziemy za nim i czekamy na słowa, które powtarzał: „To dobra droga, nie gapcie się na inne”.

Maciej Dziermański (Dzierman)

O TAK ZWANYCH STARYCH I NOWYCH CZASACH

(2013)

Mamy rok 2013. Zewsząd docierają do nas nowinki techniczne, które teoretycznie mają nam ulepszyć życie. Kultowy Facebook zostaje już w tyle. Powstają nowe portale, strony internetowe. Bez wychodzenia z domu możemy zrobić zakupy. Wszystko ku wygodzie. Pięknie – można byłoby rzec. A ciemne strony mocy?

Przenieśmy się do lat młodości mojego brata i mojej siostry. Czasy te pamiętam tylko częściowo. Wiem o nich z opowieści mojego rodzeństwa. Malutka wieś – Niemieńsko w latach 1997–2005 tętniła życiem. W moim bloku mieszkało dwudziestu dwóch młodych ludzi. Codziennie do późnej nocy przesiadywali na schodach, rozmawiając, śmiejąc się. Wspólnie spędzali ze sobą czas. To był ich chleb powszedni. Gwar pod blokiem był czymś normalnym. Każdy rodzic wiedział, gdzie jest jego dziecko, oczywiście na schodach pod blokiem. Wszyscy z ekipy bez problemu znajdowali przyjaciół – miejsce spotkań było jedno. Znali się na wylot. Jeśli ktoś nie mógł wyjść z mieszkania z powodu wielu zadań domowych, grupa kolegów i koleżanek przychodziła mu z pomocą. Dzięki temu mógł szybko opuścić dom i wyskoczyć na wspólne gry i zabawy. Panowała tutaj solidarność. Hasło: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Każdy każdemu pomagał. Kiedy moja mama martwiła się, bo siostra nie wracała do domu, a było już późno, otwierała okno od strony kuchni i krzyczała: „– Paulina jesteś?!”. „–Jestem!”. Po czym je zamykała. Siostra wracała późno, ale mama wiedziała, gdzie jest i z kim jest. A jak wyglądał lany poniedziałek? Pozalwane klatki schodowe i piwnice. Przede wszystkim było kogo oblewać. Złapanie dziewczyny były wrzucane bezlitośnie do rzeki, a woreczki foliowe z wodą wpadały przez okno do domów sąsiadów mieszkających na parterze. Do brata przychodzili znajomi i do późnej nocy grali w karty. A co sobotę impreza w Dominikowie w tzw. „Stodole”. Elegancki parkiecik, dj-ka, bilard, bar. Młodzi szli pieszo.

A jak to było ze mną? Całkowicie nie udało mi się przeżyć tego, co mojemu rodzeństwu. Jednak w większym stopniu udało mi się „liznąć” tych czasów.

Podchody – była to główna wioskowa zabawa. Przez nas trochę przerobiona. Dzieliliśmy się na dwie grupy. Jedna chowała się przez 100 sekund. Następnie, po wyliczonym czasie, druga ich szukała. Zasady były jasne:

„Od znaku do znaku, nie ma chowania się po domach, w piwnicach, na strychach i w ogródkach”. Zapamiętam to do końca życia. Zabawa trwała od godzin obiadowych do późnych godzin wieczornych. A gdzie się chowało? Wszędzie. W krzakach. Niektórzy wchodzili na drzewa. Na dachy. Moją najlepszą kryjówką był jednak dom. Pamiętam, jak mój przyjaciel podsłuchiwał rozmowę dwóch kolegów: „– A gdzie Dzierman? – Pewnie w domu. No tak, to zaczynamy kolejną rundę bez niego”. Budowaliśmy tak zwane bazy. Pod osłoną nocy wykradaliśmy sąsiadowi deski z szopy. Przeznaczaliśmy je na budowę swojego nowego miejsca zamieszkania - bazy. Łamaliśmy drzewa, wspólnymi siłami, żeby zdobyć „kolumny”, na czym mogliśmy zawiesić folię na wypadek deszczu. Przesiadaliśmy pod blokiem, nudząc się, gadając i śmiejąc się razem. Prawie codziennie graliśmy w piłkę nożną. Od najmłodszych lat stałem na bramce. Pamiętam też zabawę w króla. Polegała ona na tym, żeby kopnąć piłkę jak najmocniej o blok tak, żeby kolega po nas kopiąc miał jak najtrudniej. Był dopuszczalny tylko jeden kontakt z piłką. Każdy miał po 5 szans. Nazywane one były przez nas gwiazdkami. Kto uzbierał 5 – ten kończył rozgrywkę. Kiedy było ciepło, budowaliśmy tamy na rzece. Miejscami w wodzie było tak głęboko, że można było skakać na główkę. Za każdym razem historia z tamą kończyła się interwencją starszej pani. Rozwalała nam naszą pracę, bo woda nie dochodziła do jej ogródka i kury nie miały co pić. Byliśmy ekipą. Zawsze zgrani i pomocni. Aż się łezka w oku kręci.

Dzisiaj jest inaczej. Rano, gdy czekam na autobus, widzę samotnie stojącego chłopca. Jest z podstawówki. Nazywam go „DJ”, bo zawsze chwali się muzyką puszczaną z telefonu. Codziennie ta sama śpiewka. Całe dzieciństwo przy komputerze, żal. To pokolenie nie ma prawdziwego dzieciństwa, co zapamięta na stare lata? To, że po nocach „expili” swoje drugie życie? Od czasu do czasu spoglądam przez okno na schody – nie ma nikogo. Boisko porasta chwastami. A w lany poniedziałek jest po prostu sucho! Nikt nie biega z wiaderkami. Dzisiejsze dzieci wolą przeznaczyć ten czas na *FIFĘ* albo kij wie, na co jeszcze. No bo po co biegać z wiadrami i się bać? Żeby zachorować? Wolne żarty! Pod blokiem rzadko słyszę krzyki dzieci. Wszyscy pochowani w czterech ścianach. Zamknięci w sobie. Dlatego mamy nieśmiałych ludzi. Otwartość i towarzyskość to kompetencje, które się ćwiczy. Jak się nie rozmawia z ludźmi, to się jest zamkniętym w sobie. Mamy mnóstwo nieśmiałych ludzi, którzy mają niskie poczucie własnej wartości. Brak im pewności siebie. W dzisiejszych czasach nie wiadomo, czy dać karę dziecku na wychodzenie z domu, czy na komputer. Niestety, czasy się zmieniają, ale my na tym dużo tracimy. Nie podoba mi się taki stan rzeczy. Dokąd idzie ten świat? Co będzie za 10 lat? Pozostają jedynie pytania bez odpowiedzi...

Mateusz Wiśniewski

JĘZYKOWA WSPÓŁCZESNOŚĆ

(2014)

Żyję na świecie osiemnaście lat. Wiem, że nie jest to wyczyn czasowy, ale zapewniam, że mogłem już dostrzec wiele dynamicznie zmieniających się rzeczy. Od dziecka jestem zapatrzony w Internet, a tam wciąż wszystko się rodzi na nowo. Kiedyś dyskietka mogła pomieścić jedną tysięczną tego, co dzisiaj mieszczą dyski przenośne. Nawet nie zacznę opisywać telefonu, bo napisać bym musiał epopieję. Najłatwiej zmiany można dostrzec w tym, z czym mamy do czynienia na co dzień. Jedną z takich rzeczy jest nasz język. Czy ta rewolucja ułatwia czy utrudnia komunikację? Czy ulegamy modzie na angielski, czy może to naturalna kolej rzeczy? To pytania, które stawiają sobie ludzie o wiele mądrzejsi niż leniwy uczeń z trzeciej klasy liceum.

Profesor Jan Miodek, który jest wybitnym znawcą polszczyzny, twierdzi, że ewolucja jest naturalna i nic nie zagraża naszemu językowi bardziej niż w przeszłości. Wystarczy spojrzeć, jak język wyglądał 300-400 lat wcześniej. Prosty przykład, używano słów: „zawždy”, „waćpan”, „białogłowa”. Wszystkie ewaluowały i uprościły się, skróciły.

Dziś wystarczy wejść na forum, gdzie udzielają się młodzi, aby zostać zalanym potopem skrótów językowych. „Nara”, „siema” znane starszym czytelnikom oznaczające „cześć” to już przeżytek. Zamiast pisać całe zdania, lepiej tak: „och” („o co biega?”), „ock” („o co chodzi?”), albo „jj” („już jestem”). Można się też rozgadać bardziej zagadkowo: „w8” („zaraz wracam”), albo futurologicznie: „XD” (nikt nie wie, o co chodzi, ale fajnie wygląda). Młodzi mieli i mają swój zaszyfrowany język, który dziś służy im do wirtualnej komunikacji i przybiera różne formy, w zależności od kontekstu rozmowy. Ulubione miejsca spotkań, zwłaszcza chłopaków, to przestrzeń gier. Tam króluje angielski. Widzimy wiele dziwnych, żartobliwych skrótów typu: „gg” („good game” – „dobra gra”), „2late” („too late” – „za późno”) lub „4you” („for you” – „dla ciebie”). Studenci umawiają się na „brons”, czyli na piwo, a wszyscy młodzi, jak to młodzi, piszą dla podkreślenia „Lol”, dla mniej wtajemniczonych wyjaśniam, że chodzi o głośny śmiech. Nawet w miłosnej materii mamy wiele zmian. Dzisiaj dziewczyna nie pisze do chłopaka, że go kocha, ale „loffcia”. Gdyby ten kod został w Internecie, napisałbym, że się nie mar-

twię. Ale na co dzień słyszę takie dialogi: On do niej: „W8”. Ona do niego: „Sorka musiałam ogarnąć majonez z matematyki” (Przepraszam, musiałam zrobić zadania z matematyki).

Dlaczego tak mówimy i piszemy? Bo jest wygodniej, bo jesteśmy dziećmi Internetu, bo liczy się liczba liter, by nie wybulić za dużo kasy za rozmowy telefoniczne. Żyjemy coraz szybciej, żyjemy w globalnej wiosce, kontaktujemy się z Niemcem, Japończykiem, Francuzem, granice nie istnieją. Nasi potomkowie będą musieli włożyć wiele trudu, by nas rozszyfrować, już dziś nie mogą tego zrobić nasi rodzice. Jednak nie widzę w tym żadnej agonii polszczyzny. To języki, które się nie rozwijają, skazane są na zagładę. O wiele gorszą plagą naszych czasów są wulgaryzmy. Stały się niemal przerywnikami w polskich zdaniach. Wystarczy dołączyć w trakcie jakiejś rozgrywki do ekipy, która już gra. Grad miłych epitetów się sypie. Wszędzie są dwie strony – awers i rewers, kluczem do sukcesu jest, nie odpowiadać tą samą monetą. Najważniejszą umiejętnością współczesnego człowieka jest to, żeby umiał odróżnić śmieci od rzeczy wartościowych, również w języku. Walczmy o swój język i pamiętajmy, że poprzez różnorodność jest piękny!

Julia Kapiszka

SPRZEDAWCY NADZIEI

(2014)

Oszuści, naciągacze żerujący na nieszczęściu zdesperowanych, naiwnych i ślepych, wchłaniających jak gąbka wciskany im kit. Taki obraz kreślą sceptycy, wykształceni medycy. Ich wypowiedzi nierzadko przesiąknięte są drwiną i lekceważeniem. Bo przecież nikczemna działalność medyków niekonwencjonalnych nie ma nic wspólnego z ich zawodem.

Dawno, dawno temu niejaki Hipokrates połączył ochotników służących ludzkiemu zdrowiu i życiu wspólną przysięgą. Czyż nie jest ona mianownikiem dla wszystkich profesji łagodzących ludzkie cierpienie? Bo przecież choruje nie tylko ciało, ale również dusza. Nie mam na myśli odrębnego bytu, w którego istnienie niekoniecznie każdy wierzy, raczej psychikę. Najprościej ujmując, człowiek chory czuje się przygnębiony. Traci nadzieję, wiarę. Czyli wartości, które go napędzają do walki. A walka to łapanie każdej isierki nadziei. Więc, czy nie jest to swoistym rodzajem leczenia?

„Kluczem jest pozytywne nastawienie. Przygnębienie, poczucie beznadziejności osłabiają zdolności obronne organizmu, a więc zmniejszają szansę na pokonanie choroby” – twierdzi psychoterapeutka Ewa Maciocha. Jednym słowem medycyna alternatywna wcale nie musi działać sama w sobie, aby pomóc wrócić do zdrowia osobie, która w nią wierzy. Przecież powszechnie wiadomo, że wiara czyni cuda! Nierzadko głosy wszechwiedzących internautów, którzy w negatywny sposób oceniają, niszczą wiarę w uzdrowienie. Niestety w świecie, w którym przyszło nam żyć, empatia i bezinteresowność są towarami deficytowymi.

„Którą drogę wybrać? Mogę wybrać szeroką i wygodną, którą pójdzie większość ludzi lub własną ścieżkę, która oznacza niebezpieczeństwo, za to gwarantuje piękne widoki”. Autor tych słów, Armin Schutz zobaczyłby znacznie mniej widoków, gdyby nie uwierzył w inne sposoby niż tradycyjne.

Istnieje wiele alternatywnych metod leczenia, a może powinnam zapisać słowo leczenie w cudzysłowie, aby nie urazić medyków. Lista jest długa: rozmaite zioła, diety, hipnoza, działania mistyków i modlitwy. Ludzie wierzą, choć inni powiedzą, że to efekt placebo, a jeszcze inni uznają, że to sposób na wyłudzenie pieniędzy. Tylko czy nadzieja ma jakąkolwiek cenę?

Myślę, że tylko osoba, która zmuszona była o nią walczyć, zna odpowiedź. Ostatecznie to do niej należy decyzja, którą drogę wybierze, co da jej nadzieję na dalsze życie.

Nikt nie musi wierzyć w działanie medycyny niekonwencjonalnej, ale każdy może.

Mateusz Wiśniewski

DWA ŚWIATY LITER

(2015)

Dzisiaj postęp technologiczny jak kleszcz przysłał się do kultury. Od kleszcza różni się tym, że przynosi korzyści. Czy jednak nie mylimy błogosławieństwa z boreliozą? Mowa o rosnącej potędze technologii i rozwiązaniach, które niesie ze sobą ta dobrodziejka. Człowiek, który żyje w tak dynamicznie zmieniającym się świecie, czasem może mieć wrażenie, że poszedł spać w XX wieku, a wstaje już w XXI. Budząc się, zadaje sobie pytanie: gazeta czy Internet? Książka czy e-book?

Nie jest tajemnicą, że tradycyjne książki coraz rzadziej trafiają do rąk czytelników. Wydawnictwa i księgarnie próbują przełamać kapryśną passę, ale nie jest to łatwe. Niedawno powstało lekarstwo dla czytelników - malkontentów. Skutecznie działa na tych leniwych. Zostają w swoich domach, bo teksty mają pod ręką. E-booki, bo o nie chodzi, dla jednych są wytworem sztucznym i odpychającym, dla pozostałych dowodem kreatywności i potęgi rozumu. Umożliwiły całej rzeszy Kowalskich czytanie, to fakt.

Mówiąc o zwykłych książkach, niektórzy myślą o wielkich, nieporęcznych „cegłach”, które fajnie wyglądają ustawione na regałach i dodają powagi gospodarzom domów. Przypomina mi się historia, którą opowiadał na religii pewien ksiądz. Gdy chodził po kolędzie, trafił do mieszkania zagorzałej katoliczki, która z dumą oznajmiła, że kupiła nowe *Pismo Święte*. Po jego obejrzeniu stwierdził, że nigdy nie było otwarte. Skąd to wiedział? Jak byk było napisane, że to *Pismo Święte* dla Świadków Jehowy. Gromadzenie książek bez czytania przypomina postępowanie kolekcjonera porcelanowych słoni, który nie wierzy w ich magiczną moc. A czytanie to z całą pewnością jest magia! Poza tym, jakoś trudno wyobrazić sobie w zatłoczonym autobusie kogoś, kto z uporem maniaka stara się, mimo wszelkich przeciwności, wydobyć swoją ulubioną książkę z otchłani plecaka, a potem ją czytać. A siedzącego w tramwaju przed małym monitorem człowieka i owszem!

Istnieje jednak wielu maniaków, którzy niczym narkomani wdychają woń świeżutkich kartek i macają lubieżnie paluchami każdy skrawek cennego dzieła, które udało im się nabyć. Przedkładają też cielesność książki nad kilka obwodów scalonych e-booka. Jedną z największych fanek tradycyjnych książek jest pani profesor

Maria Janion, znana z miłości do literatury. No i z tego, że trzyma książki nawet w wannie, bo w domu brakuje już miejsca. Gdyby pani profesor posiadała e-booki, wówczas z całą pewnością jej dom nie wyglądałby jak „obwoźna biblioteka”. Jednak czy byłyby to taka sama przyjemność? A książka Barbary Łopieńskiej o słynnej badaczce romantyzmu w formie e-booka, czy nie byłaby z kategorii *profanum*?

Zwolennicy e-booków trąbią o ich ogromnych zaletach. Że można je czytać w nocy, że zajmują mało miejsca, że pasują jak ulał do codziennego życia w pośpiechu, że można manipulować czcionką, powiększać, pogrubiać i wykonywać inne podobne bajery. Ja, przeciętny Wiśniewski, odnoszę się z dystansem do takiego lansowania wszystkiego co nowe. Samo lansowanie jest jeszcze do zniesienia, ale jak ktoś przy okazji stara się walczyć z tymi, którzy lubią inne rzeczy, to już nie jest dobrze. Według mnie e-book ma tyle samo wad, co zwykła książka. Problem w tym, że bez komórki i laptopa większość dzisiejszego „nowoczesnego” społeczeństwa padłaby w stan hibernacji, bo jak żyć bez takich komunikatorów? Wracając do tematu, wszystkie te urządzenia potrzebują zasilania, co jest ich największą wadą. Nie inaczej jest z czytnikiem do e-booków. Ta wada jest niedostrzegana, lecz gdy nam padnie bateria, to możemy sobie co najwyżej pogwizdać, a nie czytać. A złośliwość przedmiotów martwych? Zawodność sprzętu elektronicznego? Moim zdaniem wszystko to w pewien sposób się uzupełnia: wady i zalety, tworząc z tych różnych składników gulasz, który jedni zjedzą z apetytem, a drudzy skrzywią się na sam jego zapach.

Nie zapominajmy o kwestii finansowej, która dotyczy obu sposobów promocji słowa. Książki są droższe, ich produkcja szkodzi środowisku, bo giną drzewa, a ich dostępność jest mniejsza i autorzy nie mają aż tak wielu czytelników. Z kolei e-booki są łatwo dostępne, ale też szerzy się przy nich piractwo. Jedna osoba kupi i udostępni. Mógłbym tak jeszcze długo wymieniać za i przeciw, ale nie o to chodzi.

Od osiemnastu lat czytam książki i od niedawna również e-booki. Swoją miłość do nich zawdzięczam mamie, która czytała mi wszystko, co się dało, dopóki sam nie nauczyłem się sięgać po literaturę. Pamiętam, jak jej głos zaczynał słabnąć po przeczytaniu stu stron *Harrego Pottera*. Tak odkrywałem nowy świat i żyłem w nim razem z nowymi „przyjaciółmi”. Rosłem otoczony zapachem tajemnicy. Według mnie nie ma żadnego problemu w koegzystencji książek i e-booków. Przynajmniej z punktu widzenia miłośnika literatury. Życzyłbym sobie takiego małżeństwa tradycji z nowoczesnością, bo wierzę w owoce tego związku, czyli chęć śledzenia znaków, zapisu ludzkich myśli. Powinniśmy wychwalać wszystkie sposoby czytania, bo to ono samo w sobie jest najważniejsze, a nie metoda, którą się posługujemy. Książki? Tak! E- booki? Proszę bardzo!

Szymon Wytlib

W KOŃCU PRZYSZŁA...

(2016)

Wiosna to druga, zaraz po lecie, najbardziej ulubiona pora roku. Czas, kiedy przyroda budzi się do życia jest wyjątkowy, bo wraz z przyrodą budzą się ludzie. Zmęczeni szarą, ponurą aurą polskiej jesieni i zimy. Jednak za co my – Polacy, a w szczególności uczniowie, lubimy tę porę roku?

Pytani o jej zalety licealiści podkreślili fakt, że od wiosny już jest bardzo blisko do wakacji. Im cieplej, tym bardziej wyczekujemy końca roku szkolnego. Tak ma chyba każdy... Bywa, że w maju temperatury są jak w lipcu i w ogóle na nauce nie można się skupić. To czas wielkiej wędrówki od kolegi do kolegi, od parku do parku itp. Trzeba przyznać, że od pogody zależy wiele. Nikt tak jak Polacy nie tłumaczy swojej niedyspozycji pogodą: wszystkiemu winne wysokie lub niskie ciśnienie, słońce lub jego brak, deszcze, wiatry. Oczywiście, są ludzie, którym nic nie przeszkadza, ale tacy optymiści pod tą szerokością geograficzną stanowią mniejszość. Większość z nas gorzej funkcjonuje w listopadowy dzień. Gdy człowiek się budzi, a słońce jeszcze śpi, nie jest fajnie. Radośniej jest, gdy jest słoneczne, kwietniowe popołudnie. I słońce jest wysoko. Długość dnia wpływa na poziom naszej energii. Pod względem czasu noc i dzień wyrównują się 20/21 marca. Zjawisko to nazywamy równonocą wiosenną. Zmiany te najbardziej odczuliśmy 27 marca, kiedy zaczął obowiązywać nowy czas – letni. Zegarki mamy przestawione. Mamy długie godziny w promieniach słońca gratis. Czas letni już z nazwy prowadzi nas do wakacji. I jest radośniej! Wiosna ma też swoje inne atrakcje – święta! Za nami już pierwszy dzień wiosny oraz święta Wielki Nocy, ale przed nami długi weekend majowy, popularnie zwany majówką. Jeden z najbardziej wyczekiwanych weekendów w roku. A jak majówka, to sezon grillowania, kiełbasek, kurczaków, szaszłyków. W ten weekend zabraknąć tego nie może, oj nie! Dla maturzystów będzie to ostatni moment luzu, wiadomo przed czym, zalecam grillujcie jak najwięcej. Nie odmawiajcie sobie! Mimo, że jesteśmy mistrzami w narzekaniu, w tym roku niech wiosna nas rozpieszcza, temperatury powyżej dwudziestu i tylko wzwyż! Tego sobie i Wam życzę!

Magdalena Wyrzykowska

MARCIN DUBIEL, MIETCZYŃSKI I SEKSMASTERKA

(2017)

Kojarzycie Marcina Dubiela? No jasne, że tak. Przecież on ma miliony wyświetleń. Chcecie wiedzieć, kto „uprawia seks na donicze?”

Marcin ma na to odpowiedź. Ten film podbił serca ponad miliona ludzi. Youtuberzy często stosują click-baity, a to znaczy, że tytuły ich filmów zachęcają do obejrzenia. Seks, alkohol, narkotyki – to klika się najlepiej. Filmiki nęcą tytułem, a prawda jest taka, że ogłupiają. Zupełnie jak z reklamami. Im więcej ich w filmiku, tym więcej youtuber zarabia. Filmik jest tak wypełniony wyskakującymi okienkami z reklamą, że nie widać prawie youtubera. Nie warto wierzyć w te polecenia, to zwyczajne robienie nas w balona, a komuś rośnie kasa. Reklamują, bo im płacą. A młode fanki się jarają.

Uczępię się tego Dubiela. Jak on doszedł do sławy? Zrobił jakiś edukacyjny, mądry, życiowy film? Chyba, że chodzi o edukację typu, jakie pozycje lubi Justyna. W tej materii ma osiągnięcia. A jego kolega Stuu? Następny geniusz sfery erotycznej. Ale przynajmniej uprawiał seks w miejscu publicznym, czyli walczy z przesądami i wyznacza nowe trendy.

Zatem moi drodzy, jeżeli Mietczyński nie pomoże wam zdać matury z polskiego, wiecie już co robić, by zarobić. Chociaż musicie się spieszyć, bo nie zmieścicie się w przedziale wiekowym. Tam jest granica 16 lat. I twórcy mają tego świadomość.

YouTUBE to istny pokaz mody! Pranki, czyli głupie żarty, a może challenge? Wszystko, by zaistnieć!

Teraz parę słów o Anieli Bogusz. Nie kojarzycie? Znana pod pseudonimem SeksMasterki. Ma wiedzę kobieta. Z jej filmików możemy się dowiedzieć rzeczy, o których nawet nie wiedzą nauczycielki wychowania do życia w rodzinie. Sposób, w jaki Aniela przedstawia swoje filmiki, jest genialny! Patrząc na miniaturki, mamy wrażenie, że po odtworzeniu tego ukaże się film dla dorosłych. Aniela nie jest głupia. Śmiem twierdzić, że nawet jest trochę inteligentna. W końcu zrobiła biznes życia! Mówi o tym, o czym nikt nie mówi, pokazuje to, czego nikt nie pokazuje. Niby mówią, że dno, a piosenkę *Poka sowe* obejrzało 11 milionów.

Przejdźmy do ambitniejszego youtubera, pana Mietczyńskiego.

To on sprawia, że trudne lektury są banalnie łatwe. Pod jego filmikami czytam komentarze: „Dzięki tobie zdałam maturę z języka Polskiego” (zachowana pisownia oryginalna, he, he). Autor z dumą mówi, że edukuje nowe pokolenie.

You Tube staje się powoli kolejną chorobą XXI wieku. Gdy patrzę na mojego dwunastoletniego brata, trochę mi przykro. Z pamięci może wyrecytować youtuberów, którzy nagrywają *Maincrafta* albo inne gry. Kiedy go pytam o datę rozpoczęcia II wojny światowej, zaczyna głupio się śmiać.

Malwina Cybulska

ŁAMACZ SCHEMATÓW

(2018)

Jazz był zawsze elitarny. Powszechnie twierdzi się, że słuchają go albo elity, albo hipsterzy. Tymczasem możemy go usłyszeć wszędzie, w kawiarenkach, w sklepach i w windach. Oprócz wartości artystycznej ma on swoją historię, ma swoją stylistykę. Ragtime uważany jest za jeden z pierwszych stylów, tworzących podwaliny historii gatunku na przełomie XIX i XX wieku. Wywodził się z połączenia folku amerykańskiego i muzyki europejskiej. Szczególnie przyjął się na Dzikim Zachodzie, towarzyszył robotnikom przeprowadzającym linie kolejowe przez cały kontynent. Był muzyką fortepianową, komponowaną, brakowało mu improwizacji. Zwykło się go zaliczać do jazzu, bo swingował.

Nowy Orlean nie bez powodu nazwano kolebką muzyki jazzowej, był miejscem jej krystalizacji. W narodowościowym i kulturowym tyglu mieszały się tu pieśni niewolników, te religijne i śpiewane w pracy. Z połączenia nastroju i potrzeb Storyville, rozrywkowej dzielnicy tego miasta, z wpływami muzyki anglosaskiej i francuskiej, dawnych kolonizatorów, stworzył się amalgamat zwany jazzem nowoorleańskim. Szybko nastąpiła koegzystencja muzyków czarnych i białych, którzy grali razem w zespołach. Podczas I wojny światowej Nowy Orlean został zamieniony w port wojskowy. Dowódca w trosce o morale żołnierzy kazał zamknąć dzielnicę Storyville. Rozpoczęła się wielka przeprowadzka tamtejszych muzyków do Chicago. Z naśladownictwa mistrzów zrodził się styl Chicago, w którym partie solowe i chorusy zyskiwały coraz większe znaczenie. W latach trzydziestych rozkwitł swing. Słowo oznacza kołyszący się rytm. W czasie drugiej wojny światowej pojawił się nowy styl bebop. Charakterystyczne dla niego są rozpędzone, nerwowe frazy, odpowiadające obecnym wtedy w świecie nastrojom. A potem pojawia się Miles Davis, a wraz z nim styl zwany cool jazz. Uspokoili się czasy, uspokoił się i jakby zintelektualizował jazz, który jest wrażliwym barometrem każdego czasu. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nastąpiła epoka free jazzu. Swobodny jazz porzucił dotychczasowe symetrie rytmiczne i zaczął kumać się z odległymi kulturami, jak na przykład z arabską czy hinduską. W latach siedemdziesiątych okazało się, że cała historia jazzu może dostarczyć istotnych bodźców do jego rozwoju, że mogą współistnieć zwolennicy jazzu tradycyjnego i free jazzu, że może on się łączyć z rockiem i muzyką klasyków wiedeńskich, tworząc coraz to inne konfiguracje brzmieniowe. Zatem, wszystko w jazzie jest możliwe, na pewno nie ma stagnacji.

Maria Wiewiórkowska

PRAWDZIWA RZECZYWISTOŚĆ, NIERZECZYWISTA PRAWDA

(2018)

Prawda to zgodność naszej własnej percepcji z rzeczywistością. Rzeczywistość to przeciwieństwo rzeczy nierealnych i wymaginyowanych, wszystko, co widzimy, słyszymy, z czym stykamy się na co dzień. Ale równie dobrze możemy założyć, że świat nie istnieje? Nie ma czegoś takiego jak Układ Słoneczny, Droga Mleczna, planeta Ziemia, że znajdujemy się na jakimś pustkowiu, gdzie nie ma ani piasku, ani dymu. Jakież istoty stworzyły nasze ośrodki myślenia i żyjemy w sztucznie utrzymywanej przez nie halucynacji? Co, jeżeli sny są naszymi jedynymi prześwitami świadomości? To brzmi jak wiara w potwora Spaghetti, ale prawda jest naszym subiektywnym postrzeganiem i nie musi być zgodna z obiektywną rzeczywistością.

Żeby uspokoić kołaczące serca, ludzie wymyślili religie. Ich prawdą jest Bóg i nadzieja na coś lepszego, wynagrodzenie trudów życia po śmierci. Żyją, przestrzegając zasad, wyrzekając się niektórych przyjemności, wierzą, że to ma sens. Chrześcijanie cierpią na niedobór białka przez regularne poszczenie, a muzułmańskie kobiety nigdy nie podzielią się pięknem swojego ciała z całym światem. Aztekowie każdy dzień i noc poświęcali na czczenie bogów, nieziemskich mocy, pomimo że wcale nie żyli w epoce piątego słońca. Wszyscy robili i robią to świadomie, z wyboru, bo prawda jest zależna od nas. Myśląc w ten sposób, czciciele bóstw odbiegają od przyjętych powszechnie realiów, bo żadna maszyna, żaden człowiek nie potwierdzą istnienia nieba czy piekła, czy raju z siedemdziesięcioma dwiema dziewicami. Błądząc po własnej drodze duchowej, tworzą wymaginyowaną teorię. Nie wiadomo, co znaleźli, stojąc u progu odpowiedzi, czy ich prawda istnieje, czy jest zgodna z rzeczywistością?

Życie. Z medycznego punktu widzenia czas pomiędzy aktem urodzenia a aktem zgonu. Cytując Prospero: „To chwila jawy między dwoma snami”. Według mnie dzisiaj życie to obłądna gonitwa, ślepa pogoń za ulotnym marzeniem, spis telefonów i nieporozumień, niewypowiedziane uczucia, niedokończone zdania, krępująca cisza podczas kolacji u teściowej. Można by rzec, że życie to rzeczywistość, jednak okazuje się, że nie do końca. Kierując się słownikiem filozofii Didiera Julii, można wyczytać, że rzeczywistość jest przeciwieństwem pozoru. Ale prawda jest taka, że człowiek to jeden wielki pozór!

Dzieje się tak od zamierzchłych czasów. W średniowieczu kobiety udawały szczęście w zaaranżowanych małżeństwach, a dzisiaj widzimy sfrustrowane pokolenie studiujące prawo. Boimy się dyskutować o własnych gustach, bo ktoś nas nie zaakceptuje, bo popełnimy błąd, bo nie jesteśmy idealni. Boimy się sprzeciwić rodzicom, dzielimy ich los, popełniając te same błędy. I tak pozornie zadowoleni z przyklejonym uśmiechem, dyplomem w rękę, wykreowani i oszlifowani płaczymy w środku nad martwym marzeniem, zarośniętą drogą prowadzącą do tego, czego pragnęliśmy, na którą baliśmy się wejść. Świat jak najbardziej jest realny, bo świat to drzewa za oknem i wiatr stukający gałęzią w szybę. Blaszyany kubek, smak kawy, skwierczenie drewna w kominku. Twarz ojca i matki, samotne dziecko na huśtawce i...

Tak widzimy to wszystko, czujemy, ale świat to ludzie. My, ludzie, którzy cały czas, we wszystkich dziedzinach, udajemy. Lecz według definicji pozor jest sprzeczny z rzeczywistością. Więc w tym przypadku, uzmysławiając sobie prawdę, oddaliśmy się od realiów.

Czym jest $C_8H_{11}N$? Podpowiedź: ma gęstość 964 kg/m^3 i dobrze rozpuszcza się w wodzie. Tak, to miłość. Uczucie motylków, zamglone spojrzenia, nogi z waty. Jakże nieludzkim jest sprowadzanie tego do wzoru! Dla mnie wyobrażenie miłości to dobro. Antidotum na smutek, antidotum na złość i chęć zagłady. Miłość jest rozwiązaniem wszystkiego. Gdyby kryminalistów kochały matki, nikt nie wkroczyłby na drogę nielegalnego handlu samochodami. Gdyby heroiniści, zamiast odwyków w przerażająco białych pomieszczeniach, dostali strzykawki z miłością, na berlińskim Dworcu Zoo nigdy nie byłoby prostytutki. Gdyby człowiek potrafił kochać przyrodę, nie wynaleziono by silnika spalinowego. Gdyby człowiek kochał swoich młodszych braci - zwierzęta, futra nie kosztowałyby tysiące. Gdyby człowiek kochał człowieka, nie byłoby wojen. Ale te wszystkie rzeczy się stały i dzieją się dalej, co zaprzecza mojemu pięknemu wyobrażeniu. Oczywiście istnieją organizacje, jak Caritas i UNICEF, domy socjalne dla bezdomnych, WOŚP. Cały ONZ poci się nad zawieszeniem broni i nawet Anders Breivik może liczyć na drugą szansę, ale gdyby miłość istniała, Hitler nie mordowałby Żydów, malowałby dla nich portrety. Nie trzeba wertować podręczników od historii. Wystarczy pomyśleć, ile razy zwątpiłeś?

Gdy słyszysz rozpaczliwy krzyk małej dziewczynki, gdy sąsiad spod dwójki bije żonę, gdy widzisz kobietę w ciąży na fajce podczas przerwy od pracy, gdy twój narzeczony od tygodnia odwołuje kolację, wykręcając się nadgodzinami, czy nie wątpisz? Jasne, wszystko jest dobre, kiedy jest niewinne i trzeba stawiać czoło trudnościom, jest tyle kochających rodzin i adopcja, zadbane cmentarze błyszczące w łunie kolorowych świateł zniczy, ale czy nie jest to mniej niż miłość?

Filozofowie się produkują, piszą dzieła, piszą księgi, w słownikach definicja ma milion przykładów. Miłość to szacunek, opieka, martwienie się, dbanie o innych, dzielenie ostatnim kawałkiem chleba i jedynym kocem w grudniową noc, śmiech, radość, podanie babci pudełka z lekarstwami i szklanki wody. Uczucie jest wyraźnie zdefiniowane na papierze, mamy jego zamysł w głowie, jest uważane za rzeczywiste i powszechnie występujące. Jednak analizując je głębiej, patrząc na głód na świecie, wycinanie Puszczy Białowieskiej i na to, że nie mamy

się do kogo przytulić, ten pewnik znika. I jak mam zaufać książce, jeżeli sama tego nie czuję? W grece *αγάπη* znaczy równocześnie silne uczucie, którym darzymy drugą osobę i chorobę. Bo my wszyscy chorujemy na miłość, śledzimy jej wyidealizowaną sylwetkę, która za każdym razem rozmywa się we mgle, gdy próbujemy się jej z bliska przyjrzeć. Nie można więc zarzucać ludziom, którzy w nią nie wierzą, że są niepoważni, bo to ich prawda, nawet jeśli dla innych jest naiwna.

Jesteśmy panami własnego losu. Każdy z nas buduje w sobie swój własny świat i interpretuje istniejący na różne sposoby. My decydujemy o tym, w co wierzymy. My decydujemy, czy kierujemy się sercem czy rozumem. My wybieramy: pesymista, optymista, polonista, a może inżynier. My tworzymy naszą prawdę i będziemy przy niej twardo stać. My, czyli pokolenie smartfonów i e-booków, my, czyli starożytny ród Azteków, my, czyli zrzeszenie pomarszczonych staruszek, oburzonych niewiernością młodzieży. My, czyli wszyscy ludzie, którzy żyli, żyją i będą żyli. To my sami dyktujemy sobie warunki, nawet jeżeli to oznacza kompletne odrealnienie.

Wojciech Flantowicz

SOCIAL MEDIA, CZYLI JAK WALCZYĆ O BYCIE SOBĄ

(2019)

W miarę rozwoju cywilizacji powstał on – Internet, władca naszego czasu oraz pomoc w wielu kwestiach. Źródło informacji bądź problemów. Lecz to nie jest najpopularniejsza funkcja owej struktury, najpopularniejsze stały się media społecznościowe. Tu należy się zastanowić nad tym, jaką rolę w budowaniu naszego światopoglądu odgrywa Internet i wyżej wspomniane media społecznościowe.

Pierwszym, co chcę zauważyć, jest fakt, iż nie można tego określić jednym rzeczownikiem. Dla Kowalskiego media społecznościowe będą synonimem wolności, a dla Nowaka więzieniem. Przedstawiony stan rzeczy zależy od osobowości i umiejętności posługiwania się tym wynalazkiem. Uważam, że najlepszym opisem takich stron będzie pojęcie wolności. Wiele osób żyje z prowadzenia *social mediów* dla dużych firm bądź korporacji.

Najważniejsze rozróżnienie, jakiego trzeba dokonać, to umiejętność korzystania z nich. Zwykle jest to uzależnienie od mediów społecznościowych. Jeżeli dla osoby X liczy się w relacjach z drugą osobą danie reakcji „super” pod zdjęciem profilowym, to widzę w tym poważne objawy uzależnienia. Ale jak pisał Stan Lee, wielka moc wiąże się z wielką odpowiedzialnością. To sedno całej sprawy. Mamy nielimitowany dostęp do wiedzy, do informacji oraz do słodkich piezków. Niektórzy opłacają to nałogiem, można powiedzieć, że dosłownym brakiem umiejętności funkcjonowania bez wejścia na najpopularniejszy portal – Facebook.

Media społecznościowe, jakże piękna byłaby to sprawa, gdyby możliwe było całą nienawiść na świecie wysłać właśnie tam. Gdyby wszystkie spory działały się na Facebooku, byłoby to idealne. Ukraina dająca reakcję „wrr” Rosji, ponieważ ci zajęli im zamek w grze na Messengerze. Konflikty w kraju, które związane są z wyborem władzy – rozwiązaniem byłoby głosowanie na grupie oznaczonej groźnym napisem: „Tajna”. Zostawaliby z nami szczęśliwi ludzie, którzy nie musieliby szerzyć wzajemnej niechęci w świecie realnym.

W mediach społecznościowych widzę wolność, jak w tekście zespołu Kult *Gdy nie ma w domu dzieci*. *Social media* są tym domem bez dzieci. Jest tam bezkres możliwości, bo któż może zabronić nam polubienia postu Andrzeja Dudy, mówiącego o zniesieniu podatków.

W świecie realnym podejście do prezydenta RP podczas przemowy, zajęcie jego mównicy i powiedzenie: „Dobrze jest, dobrze robią, jest git”, byłoby bądź co bądź dziwne. Nie mamy takich możliwości. Dziwi mnie obawa przed Internetem, konto można zawsze usunąć, a informacje, które zdobędziemy, zostaną z nami.

Wielu przy użyciu *social mediów* poznaje nowych fascynujących ludzi bądź utrzymuje kontakt z bliskimi. Posłużę się swoim przykładem, bo to właśnie dzięki Facebookowi rozmawiam z rodziną za granicą. Oczywiście niektórzy nie szukają kontaktu poza Internetem, co jest smutne. Bo nasz ukochany wujek Janusz mieszkający w „Czikago” jest dla nas już zupełnie obcym człowiekiem, po prostu obawiamy się spotkania z jegomościem. I fakt, który jest nie do podważenia, powiedzenie, że „socjale” zabierają nam za dużo czasu. W czym tkwi problem z mediami społecznościowymi?

Czy można powiedzieć, że problemem są same portale? Nie wydaje mi się. Wina leży zazwyczaj po stronie użytkowników, tonących w odmętach informacji. Sam znam sytuacje, gdy chcę zwyczajnie dowiedzieć się, co powiedział prezydent Sudanu 5 kwietnia ubiegłego roku. A dzień kończę, czytając o Hugo Christophie. Człowieku, który był komikiem XX wieku. Po co mi ta informacja? Zupełnie po nic.

Sami stworzyliśmy Internet i wszystko, co w nim jest. Istnieje zapewne opcja odłączenia całej planety od dostępu do Internetu. Lecz wtedy wyświetla się nam wielki czerwony i gniewny znak zapytania. Po tylu latach kontynuowania i rozwoju tego dzieła, zniszczenie całego dorobku w nim zawartego byłoby nie na miejscu. Nie ma tam faktycznych ograniczeń, możemy dzięki temu tworzyć, dzielić się owym tworem ze światem i jeszcze na tym zyskiwać.

Sytuację można porównać do polskiej komedii pt. *Smacznego telewizorku*, gdzie telewizory wciągały dorosłych do swego wnętrza, gdy ci za długo wlepiali w nie oczy. Nasze współczesne, groźne telewizory to właśnie „socjale”, które wciągają i przetrzymują nas w swoich sidłach. Ocalić nas zawsze może sympatyczny dziadek, którym w polskich realiach komediowych zapewne będzie Tomasz Karolak. Złapie nasz telefon i wyrzuci w nadprzestrzeń. Później zostanie zatrzymany przez policję za niszczenie cudzego mienia, ale intencje będzie miał dobre.

W sieci mamy mnóstwo możliwości do wyboru, ale także multum informacji do zapamiętania. Złoty środek każdy musi znaleźć sam. Na koniec użyję słów Jerzego Owsiaaka: „Róbta, co chceta”, bo korzystania z Internetu obecnie nie może zabronić nam nikt. Moim zdaniem człowiek nie powinien obawiać się mediów, bo one dają nam pewnego rodzaju wolność, a korzystania z niej każdy powinien nauczyć się sam.

Mateusz Martenka

WIEM, ŻE WIEM WSZYSTKO

(2019)

„Moja racja jest racja najmojsza!” – zakrzyknął Tomasz Sapryk w *Dniu Świra*. To zdanie jak i cały film miały skłonić Polaków do głębokiej refleksji nad sobą. W dzisiejszej dyskusji publicznej wyraźnie widać przekonanie większości ludzi, że ich racja jest bezwarunkowa i niepodważalna. Coraz rzadziej można zaobserwować jakiegokolwiek wątpliwości co do słuszności własnego zdania. Łatwo znaleźć takie przykłady, włączając dowolny kanał informacyjny, radio bądź czytając gazetę lub portal informacyjny. Osoby publiczne w Polsce przyzwyczyły już nas do przekonania o swojej nieomyślności. W ostatnich latach jednak w Internecie rozlała się prawdziwa plaga. Zwykli, szarzy obywatele za pomocą portali społecznościowych w dobitny sposób przedstawiają swój punkt widzenia. Bardzo często ich pojęcie na dany temat jest dosyć wąskie, a czasami nawet zerowe. Nie jest to dla nich żadną przeszkodą. Wręcz przeciwnie, brak hamulców w rozmowie zwykle jest odwrotnie proporcjonalny do stanu wiedzy.

Internet jest wspaiałym narzędziem, o którym poprzednie pokolenia nawet nie mogły marzyć. My, szczęśliwie obdarzeni tym cudem techniki, korzystamy z niego chętnie. Raz mądrzej, innym razem niekoniecznie. Pewien obrazek kilka lat temu głosił: „Nie wierz we wszystko, co znajdziesz w sieci” – Albert Einstein. Część odbiorców tego przekazu słusznie zauważyła, że panu Albertowi nie było dane doświadczyć, czym jest Internet. Część po prostu przyznała mu rację. Powszechnym zjawiskiem jest bezmyślne powielanie niesprawdzonych treści. Niestety, wiąże się z tym fakt, że spora grupa ludzi jest w stanie bronić tych bzdur.

Pierwszym przykładem, który przychodzi mi na myśl, jest świeża sprawa. Komentarze pewnej części społeczeństwa odnośnie strajku nauczycieli. Spotkałem się z wieloma twierdzeniami, że nauczyciele pracują tylko osiemnaście godzin tygodniowo. Zwracałem takim delikwentom uwagę, że praca nauczyciela nie kończy się w momencie opuszczenia murów placówki. Ich potrzeba posiadania racji była jednak silniejsza niż logiczna argumentacja. Nie chcieli nawet słuchać, wciskali „caps lock” i swoje racje „wykrzykiwali” mi prosto w twarz przez Internet. Jest przecież wiedzą powszechną, że im głośniejszy ktoś mówi, tym jego zdanie jest prawdziwsze.

Interesująca była też dyskusja na temat zarobków belfrów. No właśnie, ile oni w ogóle zarabiają? Pewne środowiska obiegała informacja o rzekomych pięciu tysiącach złotych netto miesięcznie. Ludzie w to uwierzyli. Bez jakiegokolwiek zastanowienia. Bez sprawdzenia czy to prawda. Bez żadnych granic. Wtedy zgodnie ze schematem zaczęło się powielanie. Każda próba wyprowadzenia z błędu zdenerwowanych internautów skutkowałą

agresywnymi odpowiedziami pełnymi obelg, pisаныmi wielkimi literami, z kilkoma wykrzyknikami na końcu każdego zdania.

„Uff... Najmojsza prawda została obroniona, można iść spać, jutro kolejny dzień walki z zastępami płatnych trolli” – pomyślało zapewne wielu z nich.

Sokrates mawiał, że należy się strzec ludzi, którzy są pewni tego, że mają rację. Ja mam na tę sytuację zgoła inny pogląd. Rozmowy z ludźmi wszechwiedzącymi są moim zdaniem wspaniałą rozrywką, a także dobrym ćwiczeniem dla umysłu. Tezy stawiane przez ekspertów od wszystkiego nierzadko są komiczne i absurdalne. Jako fan absurdalnego humoru, rodem ze skeczów grupy Monty Pythona, jestem wręcz zachwycony każdą okazją do dyskusji z nimi. Wielu ludzi grywa w szachy, rozwiązuje krzyżówki, żeby zachować jasność umysłu. Moim zdaniem szukanie argumentów przeciw twierdzeniom ludzi, którzy zawsze mają rację, jest równie rozwijające. Najważniejsze przy tym jednak jest to, by samemu nie wpaść w stan, w którym uznamy własne przekonania za niepodważalne.

Nadmierna pewność co do własnych racji nie jest zjawiskiem, które występuje tylko w sieci i w mediach. Wielokroć można się z tym spotkać nawet we własnym domu. Dobrą okazją, by to zaobserwować, są zbliżające się święta. Wy też nie możecie się doczekać, aż wujek Jurek przy wielkanocnym stole rozpocznie temat polityki? Świąteczne dysputy na tematy polityczne i społeczne są niestety domeną znacznej części Polaków. Podobno nie powinno się rozmawiać o polityce, religii i pieniądzach, tak mówi się na całym świecie. Jak tu jednak nie dyskutować o tym, kiedy przy jednym stole siedzi kilku ekspertów od wszystkiego? Każdy z nich najlepiej wie, co wydarzyło się w Smoleńsku, jak powinna wyglądać nasza polityka zagraniczna, kogo powinniśmy wysłać na konkurs Eurowizji, kto powinien wyjść na boisko w następnym meczu kadry... Co należy zrobić w tej sytuacji? – Kontynuować spożywanie sernika, lepiej nie robić sobie wrogów we własnym domu.

Ten wielkanocny stół, mimo swojego urzeczywistnienia w wielu domach, w istocie jest alegorią. Przedstawia poziom debaty publicznej w naszym kraju. Nie da się ukryć, że jesteśmy społeczeństwem ekspertów. Od ekonomii, od rolnictwa, od historii, od sportu, od lotnictwa, od hodowli jedwabników. Krótko rzecz ujmując, od wszystkiego. W tym całym zamieszaniu najbardziej cenię ludzi, którzy nie boją się przyznać do błędu. Nie w każdej sprawie mamy największą wiedzę. Czasami wręcz powinniśmy wycofać się ze słów, które wypowiedzieliśmy. Bywa to trudne, przecież uwielbiamy mieć rację. Szczególnie, kiedy rozmawiamy ze szwagrem albo z sąsiadem. W tej sytuacji błagam wszystkich: nie pozbywajmy się wątpliwości! Tylko one utrzymują nas w tej cudownej niepewności, która nie pozwala nam iść w zaparte w rozmowie, w której nie zawsze musimy mieć słuszność.

Wracając do Sokratesa, powinniśmy zdać sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nic nie wiemy. Nasza wiedza jest ograniczona, a wszechświat nieskończony. Nie ma innego wyjścia jak uznać swoją niższość wobec tego ogromu. Wątpiąc we własną rację, zauważymy cudzą mądrość, a jeśli będziemy umieli z niej korzystać, stanemy się rzeczywiście mądrzejsi.

Aleksandra Radecka

„KONTRAST” – TROCZĘ FAKTÓW I ANEGDOT

„Po pierwsze: trzeba lubić ludzi.

Gdy się nie lubi ludzi, nie można ich zrozumieć.

Po drugie: rozumieć ich motywy.

Po trzecie: traktować to, co się robi, z wielkim oddaniem.

Pisanie jest zawsze misją”.

Ryszard Kapuściński

Każda historia ma swój początek. Najlepiej, gdy od razu zaczyna się niebanalnie, bo jeśli zaczyna się banalnie, to dalej musi już być tylko ciekawiej. Nasza rozpoczęła się we wrześniu 2003 roku i trwa nieprzerwanie szesnaście lat. I co w tym nadzwyczajnego, zapytacie. Niby nic. Ale spróbujcie przez ponad dekadę zaskakiwać znudzonego czytelnika! Zwłaszcza, gdy szkolnej wersji dziennikarstwa towarzyszy nieustanna rotacja. Jedni odchodzą, drudzy przychodzą, a najdłuższy angaż to zaledwie trzy lata.

Bracia Golcowie wierzyli, że na polskim ściernisku stanie kiedyś piękne San Francisco, a dwie polonistki, Sławka Sudnicka i ja, że w kaliskim Liceum powstanie najlepsza szkolna gazeta. Może było tak jak w powieści Denisa Diderota, w której Kubuś Fatalista twierdził, że nic na tym świecie nie dzieje się bez przyczyny i że wszystko zapisane jest w gwiazdach. Może, jednak my wtedy bladego pojęcia nie miałyśmy ani o gwiazdach, ani o Bożych planach. Prowadziło nas silne wewnętrzne przekonanie, że jako dziennikarska forpoczta w powiecie drawskim tworzymy nową historię.

Na pierwsze redakcyjne zebranie do pracowni numer dziesięć przybyły tłumy. Nie mogę w tym miejscu pominąć opisu rozbudzonych mocy intelektualnych, i ani mi w głowie jakakolwiek ironia. Byłyśmy obie ze Sławką tak wzruszone i oszołomione energią młodych, że później przegadałyśmy jeszcze długie godziny, paląc papierosy jak dwie nastolatki, które urwały się na wagary.

Zapadły ważne decyzje co do tytułu, formatu, grafiki i tego, kto będzie rządził.

To po kolei. Z tytułem nie było łatwo. Burzliwa dyskusja, zapis propozycji na tablicy, głosowanie i decyzja – będzie „Kontrast”. Bo chcemy się wyróżniać, być w opozycji do szkolnej szarej rzeczywistości. Logo i pomysł graficzny stworzyli Szymon Woźniak i Wojtek Gągalski. I tego bronimy jak niepodległości, choć były już przymiarki, by coś unowocześnić. Najzabawniejsze okazały się wybory zarządu gazety, jedyne takie w całej jej historii. Otóż dziewczyny podczas wakacji rozdzieliły między siebie najważniejsze funkcje, a we wrześniu łaskawie nam tę nowinę ogłosiły. I nikt nie zaprotestował. Redaktorem naczelnym została Karolina Rybicka, jej zastępcą Justyna Pacześna, a sekretarzem redakcji Katarzyna Obrębska. Z perspektywy czasu wiem, że nominacje, przyniesione w czarnej teczce, były strzałem w dziesiątkę i lepiej dla „Kontrastu” być nie mogło.

Pierwszy numer wydaliśmy z fanfarami czternastego października 2003 roku z okazji święta Komisji Edukacji Narodowej. Do dziś czerwienię się na samo wspomnienie porażającej ilości błędów, które tam są, ale uwierzcie, że w tamtej chwili to się w ogóle nie liczyło. Zapanowała jakaś niewytłumaczalna euforia, bo „urodziła się” gazeta, kto by jej wytykał niedoskonałości. Czy o płacziwym narodzonym dziecku mówi się przy matce, że jest brzydkie? No właśnie!

Dyrektor Anna Arcimowicz podzielała nasz zachwyt i natychmiast zaferowała bezpłatne ksero. Zgodziła się też na kolportaż miesięcznika na terenie szkoły za symboliczną złotówkę. Wierzyła, że to będzie hit promocyjny na edukacyjnym rynku. Szybko się przekonała, że większa część tej piszącej bandy naoglądała się Monty Pythona i o powagę będzie raczej trudno.

Kwitła wolność myśli. A to parodie brazylijskich seriali pisane przez utalentowaną Annę Rocławską, a to paszkwil na księży autorstwa bezkompromisowego Krzysztofa Grodeckiego, a to zbiorowe żądanie natychmiastowej zmiany zarządu SU, który uznano za skorumpowany i niedemokratyczny. Umówmy się, łatwo Anna Arcimowicz z nami nie miała, tak jak i jej następcy. Dyrektor Joanna Kulesza dzielnie zniosła pamiętne kolegium redakcyjne, podczas którego Maria Kurylczyk (ówczesny redaktor naczelny) jak lwica broniła newsa o nastrojach uczniów zmęczonych pracą przy realizacji kolejnego edukacyjnego projektu. Obecny dyrektor Maciej Rydzewski zmuszony był do interwencji w sprawie informacji o niewygodnych ławkach w pracowni historycznej. Ławkami w klasie nr 36 żyła cała szkoła. Ileż to trzeba mieć zrozumienia dla takich bezkompromisowych wariatów!

W każdym razie na początku działalności „Kontrastu” w gabinecie dyrektor Anny Arcimowicz meldowałyśmy się ze Sławką parę razy. Niby nas upominała, ale czułyśmy, że w głębi duszy wszystko rozumiała. Trzeba wyjaśnić, że czasy, o których mowa, nie były tak restrykcyjne jak dziś. Nikt się z nas nawet nie zająknął na temat tego, czy fotkę Kowalskiego mamy prawo opublikować. Upublicznialiśmy wizerunki swoje i innych bezkarnie. Nie było też laptopów, nawet własnego komputera redakcja nie miała. Były tego pozytywne strony, zwłaszcza dla dziennikarzy czuwających nad wydaniem. Czuwali w moim domu, który, jak wszyscy wiedzą, jest rzut beretem od szkoły, czuwali przy moim komputerze. A kiedy czuwanie ich zmęczyło, pospali sobie. Pamięć pod-

powiada mi taki obrazek. Wchodzę do domu, Justyna Paczeńska, która wtedy była redaktorem naczelnym, siedzi wpatrzona w ekran, a Olek Wróblewski, nasz składacz, chrapie cały szczęśliwy w słodkich objęciach Morfeusza. I tak mijał dzień. Za to *deadline* zawsze nas stawiał na nogi!

Były burzliwe zebrania redakcji, ale najczęściej kłótnie dotyczyły błahostek. Dziwna sprawa, bo właśnie po takiej wymianie zdań pojawiały się teksty bardzo poważne. Młodzi pisali eseje o kulturze XX wieku i o tym, dla czego *Deszcz jesienny* Leopolda Staffa może być współczesnym dekadencją rapem. Pisali przede wszystkim uczniowie z klasy humanistycznej i informatycznej – wychowankowie Sławki Sudnickiej i Piotra Sieradzona. Składaniem zajęli się Szymon Woźniak i Wojtek Gągalski, po nich pałeczkę przejęli Karolina Rybicka i Aleksander Wróblewski.

Zatrzymam się teraz przy niektórych tekstach.

Poza reportażem ulubionym gatunkiem stał się wywiad. Jest taki jeden, który czytała cała szkoła. W 2011 roku nasze liceum odwiedził Adam Małysz. Chciałoby się napisać, że mistrz z Wisły specjalnie do nas przyjechał. Prawda jest mniej ekscytująca. Ten epokowy skoczek rozpoczął wówczas karierę kierowcy rajdowego i trenował na poligonie drawskim. Przyjął zaproszenie dyrekcji i spotkał się z rozradowanym tłumem zgromadzonym w szkolnej auli, gdzie rozdał setki autografów. A później, jak mówią dzisiejsi dziennikarze, kalecząc polszczyznę, udzielił „ekskluzywnego wywiadu »Kontrastowi«”.

Rozmawiali z nim doświadczeni dziennikarze. Tekst zredagował Bartosz Próchnicki, biorąc sobie do serca uwagi Tomasza Ogonowskiego (wtedy producenta szczecińskiego oddziału TVN24), który w tym czasie był u nas na warsztatach. Trzeba przyznać, że tak jak nieomylnie były loty Adama Małysza, tak zawsze podziw budziła jego naturalność i szczerść. Opowiedział nam o tym, jakim piekłem dla niego było zdawanie matury, niezbyt lubił się uczyć. Jak przeżył najgorszy kryzys w karierze sportowej, gdy rzucił wszystko i myślał poważnie o karierze dekarza.

Takich rozmów się nie zapomina. Mieliśmy szczęście przeżyć ich niemało. Na przykład z Januszem Gajosem, Kamilem Durczokiem (zanim był szefem *Faktów* TVN i zanim zakończył karierę w tej stacji), Maciejem Orłosiem (zanim odszedł z TVP), Marią Czubaszek, Marcinem Mellerem, Robertem Mazurkiem, Robertem Górskim.

Czuję, że czytelnik jest już znużony śledzeniem nazwisk i tytułów. A przecież to zaledwie kropla w morzu. A gdzie felietoniści, recenzenci, dziennikarze informacyjni, sportowi, składacze tekstów, fotografowie, rysownicy?

Chciałoby się krzyknąć za poetą: „Ach, gdzie są niegdysiejsze śniegi!?” Ale są! Sporo artykułów udało się umieścić w tej antologii.

Było o pisaniu, czas na piszących. „Kontrast” tworzyli i tworzą niezwykli ludzie. Przede wszystkim duchy niezależne, zbuntowane, ciekawe, czasem ciekawskie, z reguły leniwe, ale z poczuciem humoru i wyraźnym urokiem osobistym. Wiem, ponieważ obserwacje prowadzę od początku.

Niektórzy uczniowie tak skutecznie zarazili się w szkole dziennikarstwem, że wybierali sobie takie studia. Wymienię ich nazwiska: Justyna Paczeńska, Katarzyna Obrębska, Joanna Paczeńska, Daria Różańska, Nina Tuziak, Maja Banaszak, Lena Kaczmarek, Bartosz Próchnicki, Marta Stympin. Dla wielu z nich przepustką był udział w Akademickim Konkursie im. bp. Jana Chrapka. Zwycięzali i dostawali indeksy na Wydział Dziennikarstwa i Nauk Polityczno-Społecznych UW lub UJ. Kapituła tego konkursu uhonorowała nasz wkład. Obie z dyrektor Joanną Kuleszą zostałyśmy zaproszone na galę „Totusów” do Warszawy (w 2010 roku), podczas której uroczyście wręczono nam podziękowania. Usłyszałyśmy z ust profesora Jerzego Ołędzkiego, że Liceum w Kaliszu Pomorskim jest „kuźnią młodych dziennikarskich talentów”. Jak to wtedy optymistycznie brzmiało!

Rzeczywistość pokazała, że ten trudny zawód wybrały zaledwie dwie absolwentki: Daria Różańska i Nina Tuziak, obie pracują w Warszawie. Pozostali zdecydowali się na studia językowe, prawnicze, społeczne, pedagogiczne, filozoficzne, artystyczne, medyczne, leśne, a także techniczne. Komu, co w duszy zagrało. Mimo, że ze szkołą wiążą ich jedynie wspomnienia, młodzieńcza przyjaźń między nimi przetrwała.

Skoro padło słowo przyjaźń, chcę napisać, że gazeta zawsze miała szczęście do życzliwych ludzi. Niektórzy zapisałi się w historii miesięcznika złotymi literami.

Sławka Sudnicka rozpoczęła pracę w kaliskim Liceum zaraz po studiach. Głowę miała wypełnioną poezją Barańczaka, o którym pisała pracę magisterską, ale czytała zachłannie wszystko. Opowiadała o tym młodzieży. Stawiała na lekcji wywrotowe tezy i liczyła na intelektualną odpowiedź. Skromna. Polubiłyśmy się od pierwszego spotkania. Nie byłoby „Kontrastu” bez Sławki. Taka jest prawda.

Rzadko można spotkać kogoś, kto jest tak uczciwy i oddany jako przyjaciel. Ze Sławką rozumiałyśmy się bez słów. W pracy z dziennikarzami stosowałyśmy zasadę: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. W 2006 roku wyprowadziła się do Warszawy. I tam z licealistami założyła nową gazetę, ale to już jest inna historia. Zostałam sama na placu boju, choć niekoniecznie sama.

Na pewno wiecie, co to znaczy mieć obsesyjne myśli. Mnie nawiedzała jedna, żeby zorganizować warsztaty dziennikarskie. Najlepiej cykliczne, prowadzone przez mistrzów tego zawodu. Obsesja, obsesją, ale bez kasy nic się nie da zrobić. Podzieliłam się pomysłem z dyrektor Joanną Kuleszą i zaplanowałam powiatowy konkurs reportażu pt. „Różnorodne obrazy najbliższej rzeczywistości”. Dzięki niemu znalazły się pieniądze także na naukę. Zadzwoniłam do przyjaciela – Kuby Grabskiego, wtedy dziennikarza Radia Koszalin i poprosiłam, by polecił mi jakiegoś dobrego reportera. W ten sposób trafił do nas w 2007 roku Tomasz Ogonowski.

W pracowni zebrała się młodzież z całego powiatu, nie tylko z redakcji „Kontrastu”. Każdy liczył, że zgłębi tajniki tego gatunku. Przyznam się, że miałam pewne obawy, nasłuchiwałam się samych okropnych rzeczy o takich warsztatach, powtarzał się rzeczownik „chałtura”. Gdy do klasy wszedł wyluzowany facet z rzemykami na szyi i zawadiackim uśmiechem, w mojej głowie wyświetlił się najgorszy scenariusz. Wystarczyło jednak, że

zaczął mówić i już wiedziałam, że będzie dobrze. Młodzi słuchali go jak zaczarowani, a on opowiadał o kulisach pracy reportera, czyli jak powstał jego tekst o tatuażach w więzieniu, jak jeździł wózkiem inwalidzkim ulicami Koszalina, sprawdzając ludzkie reakcje i forsując bariery architektoniczne, jak wyglądał Wrocław i jego mieszkańcy w czasie wielkiej powodzi. Kupił nas wszystkich.

Od ponad dziesięciu lat przyjeżdża do Kalisza na warsztaty. Jeśli miałabym podsumować, co wniósł do gazety, powiedziałabym – dużo serca, profesjonalizm i porządek. Przez te dziesięć lat zdążyliśmy przeciwzyć różne modele warsztatów.

Kolejny raz pojawia się słowo-klucz, czyli warsztaty. Gdy przeliczyłam, ile lat jeździmy na nie do Warszawy, zaniemówiłam z wrażenia, bo minęło 13 lat. Pierwszy wyjazd był w 2006 roku. Nie byłoby Warszawy bez Agnieszki Kowalskiej i jej śp. męża, wspaniałego aktora i wyjątkowego człowieka – Macieja Kozłowskiego. Agnieszka jest moją przyjaciółką od lat. Każdy, kto ją trochę zna, wie, jak nie znosi szkoły, a od ludzi woli odлюдzie. Cóż mogłam jej powiedzieć, by uwierzyła, że warto zaangażować się w organizację spotkań szkolnych dziennikarzy z gwiazdami z pierwszych stron gazet? Wyjaśniam, że nic. Ona i Maciej sami zadecydowali.

Przyjechaliśmy z grupą na zwyczajną wycieczkę do stolicy. Maciej zaproponował, byśmy przydreptali do bufetu Teatru Narodowego. Czekali tam na nas z Agnieszką. Nagle Kozi, najczęściej tak do niego mówili znajomi, gdzieś zniknął. Po chwili przyprowadził Piotra Adamczyka i Jerzego Radziwiłowicza. „No to pytajcie” – rzucił jakby od niechcienia, a moim zuchom mowę odebrało. Tylko jednej dzielnej harcerce z piersi się wyrwało: „A skąd się państwo w ogóle znacie?”. Tu trzeba doprecyzować, że jej dociekliwość dotyczyła mojej znajomości z Maciejem Kozłowskim. Była kupa śmiechu, a po chwili już wszyscy się rozgadali.

Nie wiem czy jakaś szkoła w Polsce, no może za wyjątkiem tej z rodzinnego miasteczka Koziego – Kargowej, miała takie bonusy jak my. Nie o chwalenie tu chodzi, ale o pamięć. Maciej otwierał swój notes i pytał: „To z kim chcecie się teraz spotkać?”. Jemu nikt nie odmawiał. Grzecznie po spektaklach, na których byliśmy, przychodzili do nas tacy mistrzowie, jak: Dorota Landowska, Beata Ścibakówna, Jan Frycz, Zbigniew Zamachowski, Janusz Gajos, Bogusław Linda, Agata Kulesza, Marcin Dorociński i wielu innych. Rozmawialiśmy o aktorstwie i obejrzanych sztukach.

Niepowtarzalna była *Nora*. Nie zapomnę dyskusji, którą rozpoczęła Ola Jabłońska, uznając, że scena z tańcem Nory w kostiumie indiańskim była dziwaczna i niepotrzebna. No i zrobił się lekki dym, bo o skomentowanie tej myśli poproszono reżysera, czyli Agnieszkę Olsten. Żeby było jasne, pomimo długiego wywodu autorki, Ola nie dała się przekonać.

I jeszcze jeden obraz – próba generalna *Chłopców z Placu Broni*, na którą zostaliśmy zaproszeni. Maciej grał tam jedną z ważniejszych ról, biegał po scenie, jakby nic nie ważył. Ale wszyscy przyjaciele wiedzieli, że dźwigał w brzuchu ponad pięć kilo wody. Bardzo już wtedy chorował. To było niewiarygodne, jakaś nadludzka moc w niego wstępowała i unosiła ponad ziemię. Jakże pięknie grał! Po zakończeniu podszedł do nas. Miał wo-

skową i zmęczoną twarz, jednak gdy zobaczył wzruszone dziewczyny, ukradkiem wycierające łzy, posłał nam jeden z najpiękniejszych uśmiechów, jakie w życiu widziałam. Po jego śmierci Agnieszka długo jeszcze nam pomagała. Ze względu na nią i na pamięć o Maćku wciąż spotykali się z nami aktorzy w Warszawie. Z inicjatywy Agnieszki na dziesięciolecie „Kontrastu” do Kalisza Pomorskiego przyjechała Iwona Schymalla z mężem. Dlaczego to robili? Może dla tej jednej chwili wzruszenia...

Po paru latach wróciłam do stolicy w charakterze studentki podyplomowych studiów dziennikarskich na UW. Najciekawsze zajęcia prowadzili dziennikarze. Paru z nich zgodziło się pomóc w edukacji młodzieży (Robert Mazurek, Paweł Reszka, Marcin Meller).

Roberta Mazurka trudno nie podziwiać za to jak pisze (dla mnie niekwestionowany mistrz wywiadu, wtedy nie był jeszcze gwiazdą RMF-u). Można było go za jego specyficzne poczucie humoru polubić lub znieubić. Ja go polubiłam. Pozwolę sobie na osobistą dygresję.

Pierwsze zajęcia, na których się pojawił w roli mojego wykładowcy, wyglądały tak: na środku sali taneczne ruchy wykonuje uradowany, lekko siwiejący gość, dla urozmaicenia bawi się zawiązanym na szyi jaskrawym szalikiem i buzia mu się nie zamyka, anegdota, za anegdotą. Kpi na czym świat stoi z dziennikarzy. Rechotałyśmy z koleżanką, aż nas brzuchy bolały, za to cała grupa słuchała go w kompletnym osłupieniu, łypiąc jednym okiem na niego, drugim na nas. To jasne, że nie zawsze było mi do śmiechu. Pisanie tekstów, które z uwagą czytał, było prawdziwym koszmarem.

Zależało mi, by spotkał się w Warszawie z młodzieżą podczas corocznych warsztatów. Przyjechał rowe-rem. Był lekko zmęczony i lekko spóźniony. Rozmowę rozkręcił Mateusz Wiśniewski, znany w redakcji jako Gilmour. Zadawał Mazurkowi pytania, jakby strzelał do niego z karabinu, jedno po drugim, aż w końcu ten nie wytrzymał. Spojrzał znudzonym wzrokiem na grupę i zapytał: „To ty jeden mnie będziesz przepytywał?”. Na co z rozbijającą szczerością odezwała się siedząca tuż przy nim dziewczynka: „Nie, bo my proszę pana jesteśmy podzieleni”. Długo i szczerze się śmiał. Jak można przewidzieć, dalej było już tylko lepiej.

Drugie spotkanie dziennikarzy „Kontrastu” z redaktorem też miało akcenty humorystyczne. Otóż, grupa ledwo wstrzymywała ziewanie, a niektórzy nawet zasnęli. Taki był skutek nocnych „rozmów”, które odbywały się poprzedniego dnia. Trzeba mieć dystans do siebie, by nie stracić w takiej sytuacji cierpliwości. Robert Mazurek nie tylko jej nie stracił, ale zapowiedział swój przyjazd do Kalisza Pomorskiego na warsztaty. W ten sposób otworzyła się nowa karta w historii „Kontrastu”.

Wiele cennych uwag o zawodzie dziennikarza, o podróżowaniu, o czytaniu tekstów i ciekawości świata, praktyczne ćwiczenia z pisania informacji – to wypełniło pobyt Roberta Mazurka w Kaliszu Pomorskim. A był u nas kilka razy. I nie ma w tym żadnej przesady, gdy stwierdzę, że były to lekcje nie tylko dziennikarstwa, ale przede wszystkim ogromny zastrzyk motywacji, by wiedzieć więcej.

Do Kalisza Pomorskiego wysłał z misją swoich przyjaciół.

Igor Zalewski, znany publicysta, uczył licealistów etycznego i skutecznego przemawiania, a jego żona z pasją poprowadziła w warszawskiej Akademii Retoryki warsztaty z autoprezentacji.

Z kolei poeta i prozaik Jarosław Klejnocki (dyrektor Muzeum Literatury w Warszawie) zgodził się tymczasowo zostać profesorem w kaliskim Liceum. I zaproponował młodzieży lekcję ze współczesnej poezji. Do zacnego grona edukatorów dołączył także Sebastian Krok – asystent warszawskiej ASP.

Dlaczego wszyscy zgodzili się do nas przyjechać? Przecież nie dla sławy, a już na pewno nie dla pieniędzy.

Przyjaciół „Kontrast” ma nie tylko w Warszawie. Jest ich sporo na miejscu. Nie wyobrażam sobie wyjazdów do stolicy bez Danusi Stempień. Nazywam ją żartobliwie ministrem finansów. Jako matematyk bezbłędnie liczy pieniądze i za każdym razem wyznacza granice naszego finansowego szaleństwa. Ma także inny dar, wyjątkowe poczucie humoru. Z natury, podobnie jak ja, jest niepoprawną optymistką. Określenie wierny przyjaciel, bardzo do niej pasuje. Jest niezawodna. Młodzież nawet nie pyta, czy jedzie z nami na warsztaty, bo to jest oczywiste.

W Warszawie byłoby smutno także bez Adama Stąporka, Zyty Bogacz, Katarzyny Witek, Pawła Łuczko, Anny Józia, Darii Różańskiej, Piotra Denisza, Katarzyny Obrębskiej. Nasze pomysły zawsze wspierała, nadal wspiera dyrekcja szkoły oraz władze gminne i powiatowe.

Mamy długą listę współpracowników. Mogę napisać, że koledzy z pracy są członkami dziennikarskiej załogi. Historia gazety to historia kilkunastu pokoleń młodych ludzi.

Co przyniesie przyszłość? Nie wiem. Jednak postaramy się realizować życzenie byłego redakcyjnego kolegi: „Będziemy trwali do końca świata i jeden dzień dłużej z naszą małą szkolną gazetką”, bo jak mawiają Anglicy, to jest *neverending story*.

ANEKS 1. DZIENNIKARZE „KONTRASTU”

2003/2004

Redaktor naczelny: Karolina Rybicka

Zastępca redaktora naczelnego: Justyna Paczeńska

Korekta/fotoreporter: Marta Ilnicka

Skład, łamanie: Łukasz Cieszyński

Projekt logo: Wojtek Gągalski, Łukasz Cieszyński, Szymon Woźniak

Redaktorzy: Tomasz Czajkowski, Anna Rocławska, Katarzyna Obrębska, Daria Daż, Krzysztof Grodecki, Lucyna Dębiec, Magdalena Paszkiewicz, Magdalena Wielgosz, Robert Jedynowicz, Winicjusz Teraźniewski, Piotr Pawlasty, Bartosz Kaczmarek, Edyta Wiśniewska, Katarzyna Dobosz, Paulina Hejwosz, Katarzyna Zwierzyńska

Opiekunowie: Aleksandra Radecka, Sławomira Sudnicka

2004/2005

Redaktor naczelny: Karolina Rybicka (2004), Justyna Paczeńska (2005)

Zastępca redaktora naczelnego: Katarzyna Obrębska, Jolanta Głębocka

Sekretarz redakcji: Justyna Paczeńska (2004), Anna Rocławska (2005)

Skład, łamanie: Karolina Rybicka, Aleksander Wróblewski, Justyna Paczeńska

Projekt logo: Wojtek Gągalski, Szymon Woźniak

Grafika: Krzysztof Pribe

Redaktorzy: Daria Daż, Anna Rocławska, Edyta Wiśniewska, Paulina Maciejewska, Urszula Ignaszewska, Katarzyna Zwierzyńska, Marta Szadejko, Magdalena Wielgosz, Barbara Michalicka, Paulina Gnacyk, Przemysław Domański, Robert Jedynowicz, Andrzej Kędzior, Tomasz Czajkowski, Anna Wiśniewska, Anna Olejnik, Agnieszka Rudawska, Ewelina Jarzębska, Krzysztof Grodecki, Filip Sipajło

Opiekunowie: Aleksandra Radecka, Sławomira Sudnicka

Współpraca: Marek Jarzyński, Ewelina Żarczyńska, Aleksandra Stanisławska

2005/2006

Redaktor naczelny: Magdalena Kulik

Zastępca redaktora naczelnego: Aleksandra Bieńkowska

Skład, łamanie: Kamil Wiśniewski, Aleksander Wróblewski, Magdalena Kulik

Projekt logo: Kamil Wiśniewski, Aleksander Wróblewski

Grafika: Maciej Gardziński

Redaktorzy: Justyna Paczeńska, Katarzyna Obrębska, Magdalena Wielgosz, Daria Daż, Judyta Gawrońska, Paulina Maciejewska, Beata Jakubowicz, Anna Wiśniewska, Anna Olejnik, Katarzyna Zwierzyńska, Agnieszka Rudawska, Krzysztof Grodecki, Elżbieta Wiśniewska, Wiktoria Muszyńska, Aleksandra Rzeszuto, Daria Różańska, Paula Jaworska, Iwona Mazur, Angelika Moń, Marcin Stanulis, Bogusława Woźniak

Opiekunowie: Aleksandra Radecka, Sławomira Sudnicka

Współpraca: Marek Jarzyński, Adam Stąporek, Aneta Olszacka, Dorota Jedynowicz

2006/2007

Redaktor naczelny: Aleksandra Bieńkowska

Zastępca redaktora naczelnego: Daria Różańska

Skład, łamanie: Daniel Puchalski

Grafika: Maciej Gardziński

Redaktorzy: Aleksandra Bieńkowska, Sandra Ceholnik, Maciej Gardziński, Aleksandra Jabłońska, Beata Jakubowicz, Paula Jaworska, Natalia Kędzierska, Iwona Mazur, Angelika Moń, Emilia Nalazek, Anna Olejnik, Daria Różańska, Agnieszka Rudawska, Aleksandra Rzeszuto, Marta Sęk, Marcin Stanulis, Ewa Wiśniewska, Kamil Wiśniewski, Emilia Ziarniewicz

Opiekun: Aleksandra Radecka

2007/2008

Redaktor naczelny: Emilia Ziarniewicz

Zastępca redaktora naczelnego: Paulina Emilianowicz

Skład, łamanie, grafika: Emilia Maligłówa, Anna Cieszyńska

Redaktorzy: Paula Jaworska, Angelika Moń, Daria Różańska, Emilia Ziarniewicz, Joanna Paczeńska, Dorota Paczeńska, Klaudia Filipczak, Monika Pasierbiewicz, Konrad Paś, Marta Sęk, Paulina Emilianowicz, Emilia Kopa, Katarzyna Miry, Katarzyna Jarzyńska, Aleksandra Makowska, Anna Stemplewska, Klaudia Domańska, Nina Tuziak, Monika Moń, Alicja Staniaszek

Opiekun: Aleksandra Radecka

2008/2009

Redaktor naczelny: Klaudia Domańska

Zastępca redaktora naczelnego: Nina Tuziak

Skład, łamanie: Artur Molski, Kamil Okoń

Redaktorzy: Emilia Ziarniewicz, Joanna Paczeńska, Dorota Paczeńska, Klaudia Filipczak, Monika Pasierbiewicz, Konrad Paś, Marta Sęk, Paulina Emilianowicz, Emilia Kopa, Katarzyna Miry, Katarzyna Jarzyńska, Aleksandra Makowska, Anna Stemplewska, Klaudia Domańska, Nina Tuziak, Bianka Kapturkiewicz, Monika Moń, Alicja Staniaszek
Opiekun: Aleksandra Radecka

2009/2010

Redaktor naczelny: Joanna Zuba

Zastępca redaktora naczelnego: Marzena Fajgier

Skład, łamanie: Artur Molski, Kamil Okoń

Redaktorzy: Marzena Fajgier, Joanna Mazur, Katarzyna Pierzgalska, Jonatan Domagała, Joanna Dąbrowska, Małgorzata Dąbrowska, Przemysław Wiaderski, Paweł Ziarniewicz, Marta Sałahub, Kuba Sadowski, Martyna Staniecka, Justyna Cechowska, Anna Gaik, Bianka Kapturkiewicz, Kasia Jarzyńska, Ola Makowska

Opiekun: Aleksandra Radecka

2010/2011

Redaktor naczelny: Dobrogniewa Stachowiak, Maja Banaszak

Zastępca redaktora naczelnego: Maja Banaszak, Lena Kaczmarek

Skład, łamanie: Kamil Okoń, Mateusz Twarkiewicz, Wojciech Brończyk

Grafika: Dawid Drewke, Jonatan Domagała

Redaktorzy: Joanna Paczeńska, Dorota Paczeńska, Klaudia Filipczak, Monika Pasierbiewicz, Konrad Paś, Marta Sęk, Paulina Emilianowicz, Emilia Kopa, Klaudia Nadybał, Lena Kaczmarek, Kuba Sadowski, Paweł Ziarniewicz, Dominika Maksimczyk, Karolina Wybrańska, Alicja Śliwczyńska, Michalina Mielniczyn

Opiekun: Aleksandra Radecka

2011/2012

Redaktor naczelny: Jagoda Gładysz, Bartosz Próchnicki

Zastępca redaktora naczelnego: Maciej Dziermański

Skład, łamanie: Mateusz Twarkiewicz, Wojciech Brończyk

Redaktorzy: Bartosz Próchnicki, Marcin Ratajczak, Łukasz Fajgier, Ewelina Lewandowska, Maciej Dziermański, Szymon Lisiecki, Mateusz Wiśniewski, Wiktoria Brzozowska, Krzysztof Kot

Opiekun: Aleksandra Radecka

2012/2013

Redaktor naczelny: Wiktoria Brzozowska, Maciej Dziermański

Zastępca redaktora naczelnego: Mateusz Wiśniewski

Skład, łamanie: Dawid Drewke, Jonatan Domagała, Michał Radecki
Fotografie: Magdalena Biegniewska, Natalia Kojałowicz, Klaudia Maziarz

Rysunki: Hanna Przytarska

Redaktorzy: Bartosz Próchnicki, Marcin Ratajczak, Łukasz Fajgier, Ewelina Lewandowska, Maciej Dziermański, Mateusz Wiśniewski, Wiktoria Brzozowska, Krzysztof Kot, Karolina Wybrańska, Karol Drewke, Przemysław Wiaderski, Jonatan Domagała, Wiktoria Brzozowska, Aleksandra Werecka, Daria Mądrowska, Jacek Orzechowski, Natalia Budna

Opiekun: Aleksandra Radecka

2013/2014

Redaktor naczelny: Maria Kurylczyk

Zastępca redaktora naczelnego: Jakub Biegniewski

Skład, łamanie: Michał Radecki, Mateusz Witek

Grafika: Hanna Przytarska, Szymon Lisiecki

Redaktorzy: Wiktoria Brzozowska, Mateusz Wiśniewski, Bartosz Próchnicki, Łukasz Fajgier, Ewelina Lewandowska, Klaudia Menzyk, Patrycja Synowiec, Maciej Dziermański, Marcin Ratajczak, Marta Przybylska, Agata Dobiesz, Klaudia Andryka, Dominika Polak, Paulina Staniecka, Marta Stympin, Dominik Błądek, Kuba Biegniewski, Maciej Radzimski, Klaudia Maziarz, Dominik Majka, Mikołaj Korczyński, Maria Kurylczyk, Natalia Tymczyszyn, Aleksandra Łastówka

Opiekun: Aleksandra Radecka

2014/2015

Redaktor naczelny: Maciej Radzimski

Zastępca redaktora naczelnego: Jakub Biegniewski

Skład, łamanie: Piotr Niewiero, Mateusz Witek

Grafika: Szymon Lisiecki

Fotografie: Agata Dobiesz, Klaudia Maziarz, Iga Piesiewicz

Redaktorzy: Klaudia Andryka, Paulina Staniecka, Marta Stympin, Maria Kurylczyk, Magda Ambroziak, Dominik Majka, Natalia Tymczyszyn, Szymon Lisiecki, Marta Przybylska, Natalia Rowińska, Alicja Bulkiewicz, Julia Kapiszka, Anna Gorzynik, Szymon Wytlib, Żaneta Maszota, Kasia Grelewicz, Szczepan Domagała, Szymon Baran, Weronika Iwańska, Aleksandra Miry, Aleksandra Rogan, Paulina Szymoniak, Daniel Morcinek, Ewelina Maćkowiak, Zuzanna Ziółkowska, Julia Kaszuba, Karolina Skory, Aleksandra Łastówka, Magdalena Totur

Opiekun: Aleksandra Radecka

2015/2016

Redaktor naczelny: Bartosz Rowiński, Aleksandra Rogan

Zastępca redaktora naczelnego: Aleksandra Rogan

Skład, łamanie: Wojciech Gładel, Mateusz Gajda

Grafika: Mateusz Gajda, Jakub Łastówka

Korekta: Artur Majorczyk

Fotografie: Julia Kaszuba, Paulina Szymoniak, Weronika Iwańska

Redaktorzy: Szymon Wytlib, Żaneta Maszota, Kasia Grelewicz, Maria Kurylczyk, Szczepan Domagała, Szymon Baran, Weronika Iwańska, Aleksandra Miry, Aleksandra Rogan, Paulina Szymoniak, Daniel Morcinek, Ewelina Maćkowiak, Zuzia Ziółkowska, Julia Kaszuba, Artur Majorczyk, Karolina Skory

Opiekun: Aleksandra Radecka

2016/2017

Redaktor naczelny: Aleksandra Rogan, Magdalena Wyrzykowska

Zastępca redaktora naczelnego: Magdalena Wyrzykowska

Skład, łamanie: Michał Kozera, Adrian Głogowski

Grafika, rysunki: Maciej Rumowski, Daria Stachańska, Justyna Myszkier

Fotografie: Julia Kaszuba, Weronika Iwańska, Klaudia Jąg, Dominika Sosnowska

Redaktorzy: Katarzyna Krzak, Szymon Wytlib, Żaneta Maszota, Kasia Grelewicz, Weronika Iwańska, Aleksandra Miry, Aleksandra Rogan, Paulina Szymoniak, Daniel Morcinek, Ewelina Maćkowiak, Zuzia Ziółkowska, Julia Kaszuba, Artur Majorczyk, Magdalena Wyrzykowska, Julia Kieć, Julia Enders, Patrycja Rzeszuto, Malwina Cybulska, Oskar Gonciarz, Monika Kwaśniewska, Wojtek Fedorowicz, Wojtek Flantowicz, Klaudia Tukindorf, Emma Brożek, Patrycja Sobczak, Wiktoria Rakowska, Paulina Ławniczak, Kacper Gliński, Milena Migdalska, Wiktoria Spieler, Kaja Kamińska

Opiekun: Aleksandra Radecka

2017/2018

Redaktor naczelny: Magdalena Wyrzykowska

Zastępca redaktora naczelnego: Maria Wiewiórkowska

Skład, łamanie: Michał Kozera, Adrian Głogowski, Magda Światowa, Jakub Łastówka

Grafika, rysunki: Maciej Rumowski, Daria Stachańska, Jakub Łastówka

Fotografie: Julia Kaszuba, Weronika Iwańska, Klaudia Jąg, Paulina Szymoniak

Redaktorzy: Julia Kaszuba, Weronika Iwańska, Klaudia Jąg, Dominika Sosnowska, Szymon Wytlib, Weronika

Iwańska, Aleksandra Miry, Paulina Szymoniak, Daniel Morcinek, Ewelina Maćkowiak, Julia Kaszuba, Magdalena Wyrzykowska, Julia Kieć, Julia Enders, Patrycja Rzeszuto, Malwina Cybulska, Oskar Gonciarz, Monika Kwaśniewska, Wojtek Fedorowicz, Wojtek Flantowicz, Nikodem Dziermański, Klaudia Tukindorf, Emma Brożek, Patrycja Sobczak, Wiktoria Rakowska, Paulina Ławniczak, Kacper Gliński, Bartłomiej Jaśkiewicz, Julia Sikora, Marcel Łastówka, Milena Migdalska, Wiktoria Spieler, Kaja Kamińska
Opiekun: Aleksandra Radecka

2018/2019

Redaktor naczelny: Maria Wiewiórkowska

Zastępca redaktora naczelnego: Adrianna Cybulska

Skład i łamanie: Michał Bilski, Jakub Łastówka, Aneta Myślińska

Grafika, rysunki: Jakub Łastówka, Amelia Ciosmak

Fotografie: Nikodem Dziermański, Jakub Łastówka

Redaktorzy: Magdalena Wyrzykowska, Julia Enders, Oskar Gonciarz, Aneta Myślińska, Wiktoria Spieler, Małgosia Słomka, Marta Losekoot, Wojciech Fedorowicz, Maria Rzeźniewska, Szymon Naumiak, Nikolas Richter, Łukasz Ziółkowski, Marta Rogowska, Zofia Zawrot, Amelia Ciosmak, Wojciech Flantowicz, Nikodem Dziermański, Paulina Ławniczak, Patrycja Rzeszuto, Klaudia Lewosiuk, Mateusz Martenka, Jakub Lipiński

Opiekun: Aleksandra Radecka

2019/2020

Redaktor naczelny: Adrianna Cybulska

Zastępca redaktora naczelnego: Hanna Bruzi

Skład i łamanie: Michał Bilski, Jakub Łastówka, Aneta Myślińska

Grafika, rysunki: Amelia Ciosmak, Zofia Zawrot, Jakub Łastówka

Fotografie: Małgorzata Chwiłkowska, Kaja Kruk, Nikodem Dziermański

Redaktorzy: Maria Wiewiórkowska, Zofia Zawrot, Marta Rogowska, Mateusz Martenka, Wojtek Fedorowicz, Julia Enders, Wiktoria Spieler, Nikodem Dziermański, Jakub Lipiński, Klaudia Lewosiuk, Małgorzata Słomka, Hanna Pal, Jagoda Leciejewska, Amelia Ciosmak, Aneta Myślińska, Maria Rzeźniewska, Zofia Stąporek, Aleksandra Bilka, Nadia Mrozińska, Aleksandra Mickun, Patrycja Zdyr, Julia Kiszkielewicz, Martyna Kocoń, Nikola Pietkiewicz, Natalia Syroka, Wiktoria Łangowska, Daria Wilińska, Jędrzej Kwaśniewski, Katarzyna Susłowska, Antoni Ciećwierski, Hanna Bruzi, Kacper Farbisz, Kacper Czyż, Viviane Januszke

Opiekun: Aleksandra Radecka

ANEKS 2. SUKCESY

Sukcesy redakcji „Kontrastu”

- 2004 – II miejsce w ogólnopolskim konkursie „Pałuckie Pióro”
- 2005 – II miejsce w ogólnopolskim konkursie „Potęga Prasy”, organizowanym przez „Angorkę”
- 2006 – wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie „Potęga Prasy”
- 2007 – kolejne wyróżnienie w konkursie „Potęga Prasy”
- 2008 – II miejsce w ogólnopolskim konkursie „Potęga Prasy”
- 2009 – I miejsce w konkursie „Potęga Prasy”
- 2010 – wyróżnienie w konkursie „Potęga Prasy”
- 2012 – „Szkolny Pulitzer” przyznany przez redakcję „Kuriera Szczecińskiego”
- 2013 – wyróżnienie w XVII edycji konkursu „Historia Bliska”, organizowanym przez ośrodek „Karta”, za tekst *Autochtonka i przyjezdna*
- 2019 – II miejsce w ogólnopolskim konkursie „Potęga Prasy”

Sukcesy indywidualne dziennikarzy „Kontrastu”

- 2006 – Justyna Paczeńska i Katarzyna Obrębska uzyskały tytuł laureata w ogólnopolskim Konkursie Akademickim im. Bp. Jana Chrapka o indeks na Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW
- 2007 – wyróżnienie dla Darii Różańskiej za tekst *Przeszłość zakopana we wspomnieniach* w ogólnopolskim konkursie „Potęga Prasy”
- 2007 – II miejsce Darii Różańskiej oraz wyróżnienia dla Emilii Ziarniewicz i Katarzyny Jarzyńskiej w I Powiatowym Konkursie na Reportaż Prasowy „Różnorodny obraz najbliższej rzeczywistości”
- 2008 – Daria Różańska otrzymała wyróżnienie w Ogólnopolskim Turnieju Reportażu im. Wandy Dybalskiej we Wrocławiu
- 2008 – Daria Różańska i Joanna Paczeńska zostały laureatkami ogólnopolskiego Konkursu Akademickiego im. Bp. Jana Chrapka o indeks na Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW
- 2009 – I miejsce dla Katarzyny Jarzyńskiej za wywiad z Kamilem Durczokiem w konkursie „Potęga Prasy”
- 2009 – III miejsce dla Aleksandry Makowskiej za wywiad ze stuletnią mieszkanką Kalisza Pomorskiego w konkursie „Potęga Prasy”
- 2010 – wyróżnienie dla Mai Banaszak w ogólnopolskim konkursie „Potęga Prasy” za reportaż *Trzymać w garści świat*

- 2010 – II miejsce dla Dobrogniewy Stachowiak za reportaż *Stracone życie* w konkursie „Bliżej niż myślisz”, organizowanym przez Stargardzką Szkołę Wyższą Stargardinum
- 2010 – II miejsce dla Mai Banaszak za reportaż *Czuć bluesa* oraz III miejsce dla Dobiegniewy Stachowiak za reportaż *Żyleta* w konkursie „Bliżej niż myślisz”
- 2010 – II miejsce dla Dobiegniewy Stachowiak oraz wyróżnienie dla Mai Banaszak w konkursie na reportaż o tematyce społecznej, organizowany przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej w Szczecinie
- 2011 – Maja Banaszak została najlepszym dziennikarzem województwa zachodniopomorskiego w konkursie „Szkolny Pulitzer”
- 2011 – I miejsce dla Dobiegniewy Stachowiak, wyróżnienie dla Leny Kaczmarek w ogólnopolskim konkursie „Potęga Prasy”
- 2011 – tytuł laureata dla Mai Banaszak i Leny Kaczmarek w ogólnopolskim Konkursie Akademickim im. Bp. Jana Chrapka o indeks na Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW
- 2011 – III miejsce dla Leny Kaczmarek w Ogólnopolskim Konkursie Reportażu im. Melchiora Wańkowicza w Warszawie
- 2011 – III miejsce dla Bartosza Próchnickiego za wywiad z Adamem Małyszem w ogólnopolskim konkursie „Forum Pismaków”
- 2014 – Nagroda Prezydenta Wrocławia dla Marii Kurylczyk w Ogólnopolskim Turnieju Reportażu im. Wandy Dybalskiej za reportaż *Interwencja o interwencję*
- 2015 – Nagroda Dolnośląskiego Kuratora Oświaty dla Marty Stympin w Ogólnopolskim Turnieju Reportażu im. Wandy Dybalskiej we Wrocławiu
- 2015 – tytuł laureata dla Marty Stympin w ogólnopolskim Konkursie Akademickim im. Bp. Jana Chrapka o indeks na Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW
- 2016 – pierwsza nagroda w ogólnopolskim konkursie „Potęga Prasy” za wywiad dla Magdaleny Wyrzykowskiej i Daniela Morcinka
- 2017 – tytuł najlepszego dziennikarza województwa zachodniopomorskiego dla Magdaleny Wyrzykowskiej w „Szkolnym Pulitzerze”
- 2018 – tytuł laureata dla Marii Wiewiórkowskiej za felieton w wojewódzkim konkursie „Bliżej niż myślisz”
- 2019 – nagroda Departamentu Edukacji dla Marii Wiewiórkowskiej za reportaż *Znieczulenie* w Ogólnopolskim Turnieju Reportażu im. Wandy Dybalskiej we Wrocławiu
- 2019 – I nagroda dla Marii Wiewiórkowskiej za wywiad z Arturem Andruszem w konkursie „Potęga Prasy”
- 2019 – Grand Prix dla Magdaleny Wyrzykowskiej i Szymona Naumiaka za wywiad z Szewachem Weissem w konkursie „Potęga Prasy”

PODZIĘKOWANIA

Są osoby, bez których nie byłoby tej książki.

Dziękuję wszystkim byłym i obecnym dziennikarzom „Kontrastu”.

Dziękuję Erykowi Krasuckiemu, za to, że dostrzegł w tekstach licealistów ważny dokument – świadectwo z życia Małej Ojczyzny i zaproponował, by je wydać i za to, że jest taki, jaki jest.

Dziękuję Stowarzyszeniu Przyjaciół Drawska „Meander” za budowanie tożsamości i rozwój kultury naszego regionu.

Dziękuję Sebastianowi Krokowi za projekt okładki.

Dziękuję wspaniałym dziennikarzom, którzy bezinteresownie nam pomagają: Tomaszowi Ogonowskiemu, Robertowi Mazurkowi, Igorowi Zalewskiemu, Pawłowi Reszce, Marcinowi Mellerowi, Krzysztofowi Bednarkowi, Bogdanowi Twardochlebowi.

Dziękuję Jarosławowi Klejnockiemu – polonistycznemu mistrzowi, który chętnie dzieli się swoją wiedzą z młodzieżą.

Dziękuję Agnieszce Kowalskiej, bo to dzięki jej staraniom Maciej Kozłowski „zaadoptował” dzieci z Kalisza Pomorskiego.

Dziękuję Danusi Stempień, Darii Różańskiej, Jagodzie Sylwestrzak, na które zawsze mogę liczyć.

Dziękuję Grażynie Kowalskiej, która wspólnie ze mną zgodziła się zająć korektą tekstów.

Dziękuję całej szkolnej ekipie, z dyrekcją na czele.

Dziękuję rodzicom, mojej rodzinie za cierpliwe znoszenie moich ucieczek w rejony inne niż domowe.

F O T O G R A F I E
z archiwum „Kontrastu”



Jakub Biegnewski i Szymon Lisiecki już planują swoją pierwszą muzyczną audycję w Polskim Radiu (2015)



Z Jackiem Kurowskim, dziennikarzem i prezenterem sportowym rozmawiamy o fenomenie gwiazd piłki nożnej (2015)



Dobrogniewa Stachowiak i Paweł Ziarniewicz dziękują Monice Olejnik za ciekawą rozmowę (2011)



Maciej Orłoś w ogniu pytań młodych dziennikarzy (2015)



Widzowie mają *Drugie śniadanie mistrzów*, a licealiści z Kalisza Pomorskiego rozmawiają z mistrzem, siedząc na zielonej trawie (2016)



Obowiązkowe zdjęcie grupy w Polskim Radiu (2015)



Robert Mazurek po warsztatach w Liceum w Kaliszu Pomorskim składa autografy (2016)



Monika Olejnik pod czujnym okiem Sławomiry Sydlewskiej (Sudnickiej) wpisuje się do szkolnej księgi (2011)



Wojciech Flantowicz, Jakub Wójciak, Michał Kozera i Magdalena Wyrzykowska – pilni uczniowie redaktora Roberta Mazurka (2017)



Wyjątkowe spotkanie z przyjacielem Roberta Mazurka – Robertem Górskim w warszawskim klubie „Harenda” (2017)



Agnieszka Kowalska, żona Macieja Kozłowskiego, z licealistami w audycji o charytatywnych działaniach męża (2011)



Przemysław Wiaderski, Aleksandra Radecka, Dobrogniewa Stachowiak i Nina Tuziak tuż przed nagraniem (2011)



Zbigniew Zamachowski i Beata Ścibakówna
już w rozmowie nieoficjalnej (2011)



Zbigniew Hołdys i Grzegorz Miecugow
– pyta Mateusz Wiśniewski (2012)



Jacek Kurowski i dziennikarze „Kontrastu” (2015)



Tomasz Ogonowski na przykładzie „Kontrastu” omawia podstawowe
elementy graficzne niezbędne w gazecie (2013)



O podróżowaniu z planem i bez planu opowiadał kaliskim licealistom Robert Mazurek (2017)



Z wizytą w Trójce. Artur Andrus wystąpił w roli naszego przewodnika (2017)



Robert Mazurek i Weronika Iwańska w szkolnej ławce, przed lekcją profesora Jarosława Klejnockiego, dyrektora Muzeum Literatury w Warszawie (2017)



Jak pisać, by nie znudzić czytelnika – tego uczył młodzież Robert Mazurek na warsztatach w Kaliszu Pomorskim (2017)



Po spektaklu Janusz Gajos cierpliwie odpowiadał na pytania zadawane przez Jagodę Gładysz i Krzysztofa Kota (2012)



Janusz Gajos w otoczeniu licealistek (2012)



Piękna chwila – 15-lecie „Kontrastu”. Spotkanie po latach: Aleksandra Radecka i Dobrogniewa Stachowiak (2018)



Pole, pole... krótki spacer podczas warsztatów z kreatywnego pisania prowadzonych przez Tomasza Ogonowskiego w Starej Studnicy (2019)



Kto nie przeżył jazdy tramwajem z profesorem Adamem Stąporkiem, dużo stracił... (2012)



Anna Głowacka w Akademii Retoryki uczy jak mówić, by nas słuchano (2018)



Sebastian Krok oprowadza nas po swojej wystawie (2018)



Takie spotkanie zdarza się tylko raz. Bogusław Linda, reżyser *Merylin Mongoł*, po spektaklu przyprowadził cały skład aktorski, same gwiazdy. A wszystko na prośbę żony Macieja Kozłowskiego, Agnieszki (2011)



Szwach Weiss swoją relacją o wojnie nie tylko poruszył serca, ale skłonił także wszystkich do refleksji (2018)



Na zaproszenie Roberta Mazurka wizyta w RMF FM. Tym razem w centrum Maciej Rock (2018)



Nie do poznania... Spotkanie z Szymonem Majewskim zorganizowane przez Macieja Kozłowskiego (2009)



Jarosław Klejnocki w roli profesora Liceum w Kaliszu Pomorskim (2018)



Warsztaty z Tomaszem Ogonowskim muszą mieć akcent muzyczny (2016)



Uroczystość wręczenia tytułu „Przyjaciela Liceum w Kaliszu Pomorskim”: dyrektor Maciej Rydzewski, Tomasz Ogonowski, Sebastian Krok, Jarosław Klejnocki i Aleksandra Radecka (2019)



Joanna Zuba, Bianka Kapturkiewicz – nowe prezenterki TVN-u (2008)



Katarzyna Witek, Aleksandra Radecka, Paweł Łuczko, Danuta Stempień, Adam Stąporek – najlepsza kadra (2012)



Męska część „Kontrastu” w objęciach profesora Adama Stąporka (2012)



Kamil Durczok w najlepszym momencie swojej kariery, a po drugiej stronie młodzież z Kalisza Pomorskiego (2008)



Nigdy nam nie brakowało fantazji: Aleksandra Radecka po przegranym zakładzie piłkarskim musi przenieść Zytę Bogacz (2017)



Robert Mazurek odbiera z rąk dyrektora Macieja Rydzewskiego honorową nagrodę „Przyjaciela Liceum w Kaliszu Pomorskim” (2018)

